

MACLEAN ALISTAIR

SILA STRACHU

Prolog

3 maja 1958 roku.

Siedziałem u siebie w biurze, jeżeli biurem nazwać można drewniane pudło o wymiarach dwa na trzy metry, zamontowane na przyczepie samochodowej. Tkwiłem tam już cztery godziny, a uszy puchły mi od trzymania słuchawek. Znad bagien i morza nadciągał zmierzch. Ale gdyby nawet przyszło mi tak sterczeć całą noc, nie ruszyłem się z miejsca: te słuchawki były dla mnie najważniejsze w świecie, stanowiły jedyną więź łączącą mnie z tym wszystkim, co przedstawiało dla mnie jakkolwiek bądź wartość.

Już przynajmniej trzy godziny temu Pete miał się odezwać na umówionej długości fal. Barranquilla była wprawdzie kawał drogi na północ, ale już wielokrotnie pokonywaliśmy tę trasę. Nasze trzy samoloty DC były mocno wysłużone, ale dzięki starannej konserwacji i pieczołowitej opiece znajdowały się w doskonałym stanie technicznym. Pete jest znakomitym pilotem, a Barry to as wśród nawigatorów. Prognozy meteorologiczne dla zachodniego rejonu Morza Karaibskiego były dobre, nie nadeszła jeszcze pora huraganów.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego od tak dawna już nie miałem od nich żadnej wiadomości radiowej. Tak czy inaczej, musieli już minąć punkt największego zbliżenia i lecieć w kierunku północnym zmierzając do celu - Tamy. Czyżby nie usłuchali moich zaleceń i zamiast zatoczyć szeroki łuk nad cieśniną Jucatan, polecieli najkrótszą drogą, nad Kubą? W owych czasach samolotom przelatującym nad tą rozdartą wojną domową wyspą przydarzyć się mogły najrozmaitsze przykre niespodzianki. Wydawało się to mało prawdopodobne, a zważywszy, co wieźli na pokładzie - wręcz niemożliwe. Ilekroć w grę wchodził element ryzyka, Pete był jeszcze bardziej ode mnie ostrożny i przewidujący.

W kącie mojego biura na kółkach cichutko grało radio. Nastawione było na jakąś mówiącą po angielsku stację i już po raz drugi tego wieczora nie znany mi ludowy gitarzysta smętnie zawodził o śmierci matki, żony czy ukochanej, sam już nie wiem czyjej. Piosenka nosiła tytuł "Moja czerwona róża nagle pobladła". Czerwień to życie, biel to śmierć. Czerwień i biel - barwy trzech samolotów, stanowiących własność naszego Transkaraibskiego Towarzystwa Lotów Czarterowych. Kiedy piosenka dobiegła wreszcie końca, odetchnąłem z ulgą. Moje biuro wyposażone było skromnie. Biurko, dwa krzesła, szafka do przechowywania dokumentów i potężny, nadawczo-odbiorczy aparat radiowy RCA, zasilany grubym kablem przeciągniętym przez dziurę w drzwiach, a potem wijącym się wśród trawy i błota przez narożnik pasa startowego ku głównym zabudowaniom dworca lotniczego. Poza tym jeszcze lustro. Zawiesiła je Elżbieta w

czasie swej jedynej wizyty tutaj, a potem nigdy jakoś nie potrafiłem zdobyć się na to, żeby je zdjąć ze ściany.

Przejrzałem się w lustrze, ale to był błąd. Czarne włosy, czarne brwi, ciemnoniebieskie oczy i blada, wymizerowana, napięta twarz przypominały mi tylko, jak strasznie jestem podenerwowany. Jak gdyby trzeba mi było o tym jeszcze przypominać! Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno.

Wcale mi to nie pomogło. Tyle że nie patrzyłem już na swoją twarz. Oczywiście nic nie widziałem. Nawet w najlepszych warunkach niewiele przez to okno było widać: ot dziesięć mil ponurej, płaskiej, podmokłej równiny, ciągnącej się od lotniska Stanley Field aż po Belize. Teraz jednak w Hondurasie rozpoczęła się właśnie pora deszczowa, fale wody od samego rana spływały po szybie, a z postrzępionych, nisko wiszących chmur lunął na wyschlą, parującą ziemię gwałtowny deszcz zamieniając świat za oknem w szarą, mglistą nicość.

Znów wystukałem nasz sygnał wywoławczy. Z takim samym zresztą skutkiem jak przy kilkuset poprzednich próbach. Milczenie. Zmieniłem zakres fal, żeby sprawdzić, czy odbiór w porządku; i usłyszawszy jedynie zakłócenia atmosferyczne, śpiew i muzykę, wróciłem natychmiast na naszą częstotliwość.

Właśnie odbywał się najważniejszy lot w dziejach naszego Transkaraibskiego Towarzystwa Lotów Czarterowych, a ja musiałem tkwić jak przykuty w tym malutkim pomieszczeniu biurowym i bez końca czekać na zapasowy gaźnik, który w ogóle nie dotarł na miejsce. A bez tego gaźnika biało-czerwona maszyna zaparkowana na pasie startowym, w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów, tyle jest dla mnie warta, co zeszłoroczny śnieg.

Z Barranquilli musieli wystartować, tego byłem pewien. Pierwszą wiadomość otrzymałem trzy dni temu, w tym samym dniu, kiedy przybyłem na miejsce. W zaszyfrowanej depeszy nie było żadnej wzmianki o jakichkolwiek trudnościach. Wszystko odbywało się w najściślejszej tajemnicy. O transporcie wiedziało tylko trzech wyższych urzędników administracji państwowej. Lloyd zgodził się wprawdzie ubezpieczyć ładunek, ale zażądał jednej z najwyższych stawek asekuracyjnych. Nawet nie przejąłem się specjalnie komunikatem radiowym o wczorajszej próbie zamachu stanu zwolenników dyktatury, którzy nie chcieli dopuścić do wyboru liberała Lierasa: zakazano wprawdzie lotów wszystkim samolotom wojskowym i pasażerskim na liniach wewnętrznych, ale zagraniczne linie lotnicze zakazem tym nie zostały objęte: Kolumbia znalazła się w tak opłakanej sytuacji gospodarczej, że nie mogła sobie pozwolić na to, aby się narazić nawet najbiedniejszym cudzoziemcom, a my byliśmy niemalże w takiej samej sytuacji.

Ale i tak nie chciałem ryzykować. Zadepeszowałem do Pete'a, żeby wziął ze sobą Elżbietę i Johna. Jeżeli 4 maja - to znaczy jutro - do władzy dorwą się elementy niepożądane i dowiedzą się o

naszej dotychczasowej działalności, będzie to bezapelacyjnie koniec Transkaraibskiego Towarzystwa Lotów Czarterowych. I to natychmiast! Ale przy tym bajecznym wynagrodzeniu, jakie nam zaproponowano za jeden frachtowy lot do Tamy...

W słuchawkach coś zatrzeszczało. Wyglądało to na zakłócenia atmosferyczne, ale dokładnie na uzgodnionej przez nas częstotliwości. Jak gdyby ktoś chciał się włączyć. Pomacałem ręką gałkę odbiornika - przekręciłem ją do samego końca, o ułamek milimetra przesunąłem skalę w jedną i drugą stronę i... zamieniłem się cały w słuch. Nic z tego! Żadnych głosów, żadnych sygnałów Morse'a, absolutnie nic. Zsunąłem jedną słuchawkę i sięgnąłem po paczkę papierosów.

Radio nadal grało. Po raz trzeci tego wieczora, po upływie niespełna kwadransa, znowu usłyszałem zawodzenie: "Moja czerwona róża nagle pobladła".

Było to już ponad moje siły. Zerwałem słuchawki, skoczyłem do radia, przekręciłem wyłącznik z taką siłą, że o mało nie wyrwałem gałki, i sięgnąłem po butelkę stojącą pod biurkiem. Nalałem sobie solidną porcję, a potem znów założyłem słuchawki.

- CQR wzywa CQS. CQR wzywa CQS. Czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz? Odbiór...

Whisky zalała całe biurko, przewrócona szklanka z trzaskiem rozbiła się o drewnianą podłogę, a ja gorączkowo szukałem gałki nadajnika i mikrofonu.

- Tu CQS, tu CQS! - wołałem z całych sił. - Pete, czy to ty? Pete! Odbiór...

- Tak, to ja... Trzymamy kurs, jesteśmy o czasie. Nie moja wina, że się spóźniłem - głos był słaby, daleki, ale mimo bezbarwnego, metalicznego dźwięku, wyczuwałem w nim zdenerwowanie i wściekłość.

- Sterczę tu od nie wiadomo ilu godzin! - Choć odetchnąłem z ulgą, w moim głosie zabrzmiał gniew, ale z chwilą gdy sobie to uświadomiłem, poczułem wyrzuty sumienia. - Czy coś się stało Pete?

- Stało się! Jakiś dowcipniś dowiedział się, co mamy na pokładzie, albo może nie spodobał nam się po prostu. Tak czy owak, podłożył pod radio ładunek wybuchowy. Zapalnik odpalił, detonator eksplodował, ale na szczęście sam ładunek - nitrogliceryna, TNT albo coś w tym rodzaju - nie wybuchł. Ale radio omal się nie rozleciało! Na szczęście Barry zabrał pełną skrzynkę części zapasowych. Właśnie zdołał doprowadzić aparat do porządku. Byłem cały mokry na twarzy, ręce mi drżały. Kiedy wreszcie dobyteł z siebie głos, wyczuwało się w nim drżenie.

- Mówisz, że ktoś podłożył bombę? Ktoś chciał wysadzić maszynę w powietrze?

- Jak najbardziej!

- Czy ktoś... Czy są ranni? - z przerażeniem czekałem na odpowiedź.

- Uspokój się, stary. Tylko radio uszkodzone.

- Dzięki Bogu! Miejmy nadzieję, że na tym koniec.

- Nic się nie martw. Zresztą mamy teraz anioła stróża. Od co najmniej trzydziestu minut towarzyszy nam amerykański samolot wojskowy. Widocznie z Barranquilli drogą radiową zażądano eskorty, która nas doprowadzi do celu - Pete zaśmiał się sucho. - Ostatecznie to Amerykanom najbardziej zależy na tym, co mamy na pokładzie.

- Co za samolot? - zapytałem ze zdziwieniem. Przecież trzeba nie byle jakiego pilota, żeby zapuścił się czterysta czy pięćset kilometrów nad Zatokę Meksykańską i bez żadnych wskazówek radiolokacyjnych odnalazł lecącą małą maszynę. - Czy byłeś o tym uprzedzony?

- Nie. Ale nic się nie martw, on jest w porządku. Przed chwilą rozmawialiśmy z nim. Wie wszystko o nas i o naszym ładunku. To stary "Mustang", wyposażony w dodatkowe zbiorniki paliwa na loty dalekiego zasięgu... myśliwiec odrzutowy nie utrzymałby się tyle czasu w powietrzu.

- Jasne! - To tylko ja, jak zawsze, martwię się na zapas. - Jakim lecicie kursem?

- Prościutko 040.

- Wasze położenie?

Odpowiedział coś, czego nie dosłyszałem. Odbiór stawał się coraz gorszy, zakłócenia atmosferyczne coraz głośniejsze.

- Powtórz, proszę.

- Barry dopiero stara się ustalić współrzędne. Za dużo miał roboty z naprawą radia, żeby się troszczyć o nawigację. - Znow zapadło milczenie. - Mówi, że za dwie minuty będzie je miał.

- Daj mi pogadać z Elżbietą.

- Mów.

Znow przerwa, a potem głos, który był mi droższy nad wszystko.

- Jak się masz, kochany? Przykro mi, że się o nas niepokoiłeś... - Oto właśnie Elżbieta! Przykro jej, że ja się niepokoiłem, ale ani słowa o sobie.

- Czy wszystko w porządku? To znaczy, czy jesteś pewna, że...

- Oczywiście! - Głos także dochodził słabo i jakby z oddali, ale jej pogodę, odwagę i uśmiech rozpoznałbym nawet z odległości dziesięciu tysięcy mil. - Zresztą, już się zbliżamy do celu. Widzę światła ziemi przed nami. - Przez chwilę panowała cisza, a potem doszedł mnie ledwie słyszalny szept: - Kocham cię, najdroższy!

- Naprawdę?

- Bardzo, bardzo...

Szczęśliwy osunąłem się na oparcie krzesła, nareszcie trochę uspokojony. Ale natychmiast poderwałem się na równe nogi i całym ciałem pochyliłem się nad odbiornikiem, gdyż nagle rozległ się krzyk Elżbiety, a potem zduszone, alarmujące wołanie Pete'a:

- Pikuje na nas! Ten skurczybyk pikuje na nas! Otwiera ogień ze wszystkich dział! Wali prosto na...

A potem już tylko nieartykułowany jęk, zagłuszony przez dojmujący krzyk śmiertelnie rannej kobiety. W tym samym momencie usłyszałem narastający grzmot eksplodujących pocisków. Słuchawki spadły mi z głowy. Wszystko razem nie trwało nawet dwóch sekund. Potem nie słyszałem już ani strzałów, ani jęków, ani krzyku. Nie słyszałem nic.

Dwie sekundy. Załedwie dwie sekundy. W ciągu dwóch sekund pozbawiono mnie wszystkiego, co miałem w życiu cennego. W ciągu dwóch sekund zostałem sam jeden, w pustym, bezludnym, bezsensownym świecie.

Moja czerwona róża nagle pobladła.

Był 3 maja 1958 roku.

Rozdział I

Nie bardzo wiem, jak wyobrażałem sobie mężczyznę siedzącego za wysokim stołem z błyszczącego mahoniu. Podświadomie spodziewałem się chyba, że dorówna tym fałszywym pojęciom, jakie wyrobiłem sobie na podstawie książek i filmów - w tych zamierzchłych czasach, kiedy jeszcze miałem czas na takie zajęcia - pojęciom równie przesadnym, co beznadziejnie uproszczonym. Niegdyś byłem przeświadczony, że jedyne dopuszczalne różnice w wyglądzie okręgowych sędziów pokoju w południowo-wschodniej części Stanów Zjednoczonych związane są z ich wagą - sędziowie bywali bądź wysuszeni, chudzi i żyłaści, bądź też mieli trzy podbródki i odpowiednią budowę ciała - ale poza tym jakiegokolwiek odchylenie od normy było wręcz nie do pomyślenia. Sędzia bywał nieodmiennie człowiekiem sędziwym, chodził w wygniecionym białym garniturze, koszuli, która była niegdyś biała, krawat miał wąski jak sznurowadło, a na głowie zsunięty do tyłu słomkowy kapelusz z kolorową wstążką; twarz była zazwyczaj rumiana, nos purpurowy, końce sumiastych wąsów a la Mark Twain poplamione kukurydzianą wódką, miętówką albo jakimś innym trunkiem, jaki pijano w tamtych stronach; wyraz twarzy z reguły wyniosły. Sposób bycia arystokratyczny, zasady moralne wysokie, ale za to inteligencja w najlepszym razie poniżej średniej.

Sędzia Mollison głęboko mnie rozczarował. Nie spełniał ani jednego ze wspomnianych warunków z jednym jedynym być może wyjątkiem, dotyczącym zasad moralnych - ale tego nie dało się zauważyć. Był młody, gładko wygolony, nienagannie ubrany w dobrze skrojony, jasnopopielaty garnitur z tropikalnej wełny czesankowej i wybitnie konserwatywny krawat. Jeśli zaś idzie o miętówkę, bardzo wątpię, czy kiedykolwiek w życiu spojrzął w kierunku barmana - chyba że z zamiarem odebrania mu prawa wyszynku. Sprawiał wrażenie dobrotliwego człowieka, ale dobrotliwy nie był; sprawiał wrażenie inteligentnego i był inteligentny. Był nawet wyjątkowo inteligentny i szczwany jak lis. Dzięki tej inteligencji przyszpilił mnie jak motyla i z obojętnym wyrazem twarzy przyglądał się, jak usiłuję wywinąć się z matni, co mnie z kolei nie bardzo przypadło do gustu.

- No więc, bardzo proszę... - pomrukiwał łagodnie. Nadal czekamy na pańską odpowiedź, panie... hm... Chrysler. - Nie powiedział wprawdzie wręcz, że nie wierzy, jakoby nosił nazwisko Chrysler, ale jeśli ktokolwiek z przysłuchujących się rozprawie nie pojął jego intencji, mógł z równym powodzeniem pozostać u siebie w domu i nie fatygować się do sądu. Z całą pewnością zrozumiała go dokładnie trzódka gimnazjalistek o oczach szeroko otwartych, zdobywająca właśnie zaliczenia kursu wychowania obywatelskiego, a odważnie zapuszczająca się w panującą na sali

sądowej atmosferę grzechu, rui i niegodziwości. Wcale nie gorzej zrozumiała go smutnooka, ciemna blondynka, spokojnie siedząca w pierwszej ławce. Intencje sędziego dotarły chyba nawet do podobnego do małpy, czarnego, potężnego typu, który siedział za nią o trzy ławki dalej. Zorientowałem się choćby po tym, że jak gdyby zmarszczył złamany nos, sterczący tuż pod wąziutką płaszczyną dzielącą brwi od linii włosów, ale może to była wina much. Much było zresztą w sądzie mnóstwo. Z goryczą pomyślałem, że jeśli wygląd zewnętrzny w najmniejszym choćby stopniu stanowi odbicie charakteru, ten typek powinien zasiadać na ławie oskarżonych, ja zaś - przypatrywać mu się z ław dla publiczności. Zwróciłem się ponownie do sędziego.

- Wysoki Sąd już po raz trzeci ma trudności z zapamiętaniem mojego nazwiska - zauważyłem z wyrzutem. - Jeszcze chwila, a co inteligentniejsi obecni tu obywatele pojmą, w czym rzecz. Powinien pan być ostrożniejszy, mój przyjacielu.

- Nie jestem pańskim przyjacielem - sędzia Mollison przemawiał tonem pedantycznym, jak przystało prawnikowi. Odnosiło się wrażenie, że myśli dokładnie to co mówi. - My też nie jesteśmy tu na rozprawie sądowej, nie chodzi o to, żeby zrobić wrażenie na ławie przysięgłych. To tylko wstępne przesłuchanie, panie... hm... Chrysler.

- Chrysler, a nie hm... Chrysler! Jeśli się nie mylę, Wysoki Sąd dołoży wszelkich starań, żeby doszło do formalnej rozprawy sądowej?

- Zdrowiej będzie dla pana, jeśli pohamuje pan swój język i zmieni sposób zachowania - ostro zareplikował mi sędzia. - Niech pan nie zapomina, że jestem w prawie nakazać aresztowanie pana i osadzenie w więzieniu bezterminowo. Pytam raz jeszcze: gdzie jest pański paszport?

- Nie wiem. Chyba zgubiłem.

- Gdzie?

- Gdybym wiedział gdzie, nie byłby zgubiony.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - oschle odparł sędzia. - Ale gdybyśmy mogli w przybliżeniu ustalić okolicę, powiadomilibyśmy odnośne komisariaty policji, w których ktoś mógł zgłosić o znalezieniu zguby. Gdzie się pan znajdował w momencie, kiedy spostrzegł pan, że nie ma paszportu?

- Trzy dni temu, a Wysoki Sąd wie równie dobrze, jak ja, gdzie się w tym momencie znajdowałem. Siedziałem w sali jadalnej motelu La Contessa, jadłem obiad i nie wścibiałem nosa w nieswoje sprawy, kiedy nagle rzucił się na mnie "Dziki Bill" Hickock i jego ludzie - wskazałem ręką mikrogo szeryfa w alpagowej marynarce, który rozsiadł się w wyściełanym trzcinowym fotelu przed stołem sędziowskim i najwidoczniej myślał, że dla funkcjonariuszy ładu i porządku w Marble Springs nie ma żadnych barier wzrostu: nawet w butach na bardzo wysokim obcasie szeryf z trudem osiągał metr sześćdziesiąt! Nie tylko sędzia, ale i szeryf głęboko mnie rozczarował. Nie

powiem, żebym się spodziewał postrachu złooczyńców Dzikiego Zachodu z nieodłącznym sześciostrzałowym Coltem za pasem, ale myślałem, że zobaczę przynajmniej albo gwiazdę szeryfa, albo pistolet. A tu ani gwiazdy, ani pistoletu! W każdym razie niczego w tym rodzaju nie dostrzegłem. Jedyna broń palna, jaką udało mi się zauważyć na sali sądowej, to krótki rewolwer marki Colt, zatknięty w kaburze funkcjonariusza policji, który stał za mną po prawej stronie w odległości około pół metra.

- Nikt się na pana nie rzucił - cierpliwie tłumaczył sędzia Mollison. - Poszukiwano więźnia zbiegłego z jednego z pobliskich obozów, gdzie przestępcy zatrudniani są przy budowie szos stanowych. Marble Springs to małe miasteczko, obcy więc łatwo wpada w oko. Pan jest człowiekiem obcym; było więc rzeczą naturalną...

- Naturalną! - przerwałem mu w pół słowa. - Wysoki Sądzie, rozmawiałem ze strażnikiem więziennym. Powiedział mi, że więzień zbiegł o szóstej po południu. Ci kowboje schwytali mnie o ósmej. Z tego by wynikało, że zdążyłem zbiec, przepiłować kajdany, wykapać się, umyć głowę, zrobić manicure, ogolić się, odbyć przymiarękę u krawca i dopasować sobie garnitur, kupić bieliznę, koszulę i obuwie...

- Takie rzeczy już się zdarzały - przerwał sędzia. - Człowiek zdesperowany, uzbrojony w pistolety czy pałkę...

- ...a także osiągnąć odrost włosów na dziesięć centymetrów! I to wszystko w ciągu zaledwie dwóch godzin! - skończyłem swoją kwestię.

- W sali jadalnej było ciemno, Wysoki Sądzie... - zaczął szeryf, ale Mollison ruchem ręki nakazał mu milczenie.

- Stawiał pan opór próbie przesłuchania i rewizji. Dlaczego?

- Jak już wspominałem, zajęty byłem swoimi sprawami. Siedziałem w przyzwoitej restauracji i nie wadziłem nikomu. W kraju, z którego pochodzę, nikt nie potrzebuje zezwolenia od państwa na oddychanie czy spacer.

- Podobnie zresztą jak u nas - cierpliwie tłumaczył sędzia. - Ale im chodziło tylko o prawo jazdy, polisę asekuracyjną, legitymację ubezpieczeniową, jakieś stare listy, cokolwiek, co pozwoliłoby ustalić pańską tożsamość. Mógł pan uczynić zadość ich prośbie.

- Byłem gotów tak zrobić.

- Więc skąd się to wzięło? - sędzia skinął w kierunku szeryfa. Poszedłem za jego spojrzeniem. Już kiedy ujrzałem go po raz pierwszy w motelu La Contessa, odniosłem wrażenie, że do przystojnych zaliczyć go nie sposób, teraz zaś, stwierdziłem, że z wielkimi plastrami na czole, podbródku i w kącie ust, wyglądał jeszcze mniej korzystnie.

- A cóż w tym dziwnego? - wzruszyłem ramionami. - Kiedy dorośli zaczynają się bawić, mali chłopcy powinni siedzieć u mamy w domu. - Szeryf poderwał się z miejsca, zmrużył oczy i zacisnął dłonie na poręczach trzcinowego fotela, ale zniecierpliwiony sędzia dał mu znak, żeby się nie ruszał. - Te dwa goryle, które z nim były, ostro się do mnie wzięły. Działalem we własnej obronie.

- Jeżeli to pan został napadnięty - kwaśno indagował mnie dalej sędzia - to jak wytłumaczy pan fakt, że jeden z funkcjonariuszy nadal przebywa w szpitalu z uszkodzonymi więzadłami kolana, drugi ma złamaną kość policzkową, pan natomiast nie nosi żadnych śladów pobicia?

- Brak wprawy, Wysoki Sądzie. Stan Floryda nie powinien skąpić pieniędzy na dokształcanie strażników prawa, tak by umieli się bronić. Może gdyby zjadali mniej kiełbasek i pili mniej piwa...

- Milczeń - Nastąpiła krótka przerwa, w trakcie której sędzia najwidoczniej starał się odzyskać panowanie nad sobą, a ja rozglądałem się po sali. Uczennice w dalszym ciągu siedziały z wybaluszonymi oczyma: tego się nie da porównać z niczym, czego ich dotąd uczono na kursach wychowania obywatelskiego! Ciemna blondynka z pierwszego rzędu przyglądała mi się z zaciekawieniem i niejakim zdziwieniem, jak gdyby usiłowała coś z tego zrozumieć. Siedzący za nią mężczyzna ze złamanym nosem wbił wzrok przed siebie, ale z regularnością automatu żuł niedopałek zgasłego cygara, protokolant sądowy sprawiał wrażenie, że śpi, a woźny przy drzwiach z olimpijskim spokojem lustrował salę. Za jego plecami dostrzec mogłem przez otwarte drzwi ostrą poświatę przedwieczornego słońca na białej, pokrytej kurzem ulicy, a dalej, zza młodego zagajnika karłowatych palm, przeświecały rozfalowane promienie słoneczne, przegładające się w zielonych wodach Zatoki Meksykańskiej... Sędzia powrócił wreszcie do równowagi psychicznej.

- Ustalono - powiedział z naciskiem - że jest pan zaczepny, uparty, bezczelny i gwałtowny. Ponadto miał pan przy sobie broń, małokalibrowy pistolet, zwany, jeśli się nie mylę, Liliputem. Mógłbym już teraz skazać pana za obrazę sądu, za napaść na funkcjonariuszy policji i przeszkadzanie im w wykonywaniu obowiązków służbowych oraz nielegalne posiadanie broni. Ale tego nie uczynię - przerwał na chwilę, a potem ciągnął dalej: - Będziemy mogli wysunąć przeciwko panu oskarżenia znacznie cięższego kalibru.

Protokolant na chwilę otworzył jedno oko, zamyślił się i chyba ponownie zapadł w sen. Mężczyzna ze złamanym nosem wyjął cygaro z ust, przyjrzał mu się, włożył z powrotem między wargi i zaczął je systematycznie ssać. Ja natomiast milczałem.

- Skąd pan tutaj przyjechał? - zapytał nagle sędzia.

- Z St. Catherine.

- Nie o to mi chodziło, ale niech będzie: jak się pan tu dostał z St. Catherine?

- Samochodem.

- Niech pan opisz wóz... i kierowcę.

- Zielona limuzyna, czterodrzwiowa, tak zwany sedan. Mężczyzna w średnim wieku, z żoną. On szpakowaty, ona blondynka.

- Tylko tyle pan zapamiętał? - uprzejmie zapytał Mollison.

- Tylko tyle.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że taki opis pasuje do miliona małżeństw i do miliona samochodów?

- Wie pan, jak to jest - wzruszyłem ramionami. - Jeżeli się człowiek nie spodziewa, że będzie przesłuchiwany z tego, co widział, nie zadaje sobie trudu...

- Rozumiem, rozumiem... - Ten sędzia potrafi być wyjątkowo uszczypliwy. - Wóz był oczywiście zarejestrowany poza granicami stanu?

- Tak, ale to nie takie oczywiste.

- Dopiero co pan przybył w nasze strony i już umie rozróżniać tablice rejestracyjne...

- Kierowca wspominał, że jest z Filadelfii. Jeśli się nie mylę, to miasto leży poza granicami stanu.

Protokolant chrząknął. Sędzia zgasił go jadowitym spojrzeniem, a potem znów zwrócił się do mnie.

- A do St. Catherine przybył pan z...?

- Miami.

- Oczywiście tym samym wozem?

- Nie. Autobusem.

Sędzia spojrzał na sekretarza sądu, który zrobił nieznaczny ruch głową, a potem znów popatrzył na mnie. Jego wzrok bynajmniej nie był przyjazny.

- Kłamiecie jak najęty i bezwstydnie, Chrysler - przestał już zwracać się do mnie per pan; doszedłem więc do wniosku, że skończyły się czasy uprzejmości - a w dodatku jeszcze i niezręcznie. Z Miami do St. Catherine nie ma połączenia autobusowego. Poprzednią noc spędziliście w Miami?

Skinąłem głową.

- W hotelu - ciągnął dalej. - Ale oczywiście nazwa tego hotelu wypadła wam z pamięci?

- No więc, prawdę mówiąc...

- Oszczędźcie nam tych bajek - sędzia uniósł dłoń. - Wasza bezczelność przekracza wszelkie granice, sąd nie pozwoli już dłużej robić z siebie pośmiewiska. Dosyć się nasłuchaliśmy.

Samochody, autobusy, St. Catherine, hotele, Miami... kłamstwa, nic tylko kłamstwa. Nigdy w życiu nie byliście w Miami. Jak wam się zdaje, po co trzymaliśmy was przez trzy dni w areszcie?

- Może Wysoki Sąd zechce mi to wytłumaczyć?

- Owszem. Żeby przeprowadzić odpowiednie dochodzenie. Dowiadaliśmy się u władz imigracyjnych, skontrolowaliśmy wszystkie linie lotnicze, obsługujące Miami. Waszego nazwiska nie ma na żadnej liście pasażerów ani cudzoziemców, a owego dnia nie dostrzeżono nikogo, odpowiadającego waszemu rysopisowi. Tak łatwo nie uszlubiście powszechnej uwagi.

Doskonale rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. Miałem najbardziej rude włosy i najbardziej czarne brwi, jakie można sobie wyobrazić, a było to połączenie raczej zaskakujące. Ja sam się do tego przyzwyczailem, ale muszę przyznać, że na takie przyzwyczajenie trzeba było czasu; A jeśli do tego dodać jeszcze, że utykałem na jedną nogę i miałem szramę biegnącą od końca prawej brwi do płatka prawego ucha - no cóż, jeśli idzie o ustalenie tożsamości, ja mogłem służyć jako przykład tego, o czym marzy każdy policjant.

- O ile udało się nam ustalić - oschle ciągnął dalej sędzia - prawdę powiedzieliście tylko raz. Jeden jedyny raz. - Przerwał i obrzucił wzrokiem młodego człowieka, który właśnie otworzył drzwi prowadzące z jakichś pomieszczeń na zaplecze. Przez mgnienie oka spoglądał nań pytająco. Ani śladu zniecierpliwienia, ani śladu irytacji! Wszystko odbywało się w całkowitym spokoju: sędzia Mollison to nie przelewki!

- Przed chwilą doręczono dla pana, sir - nerwowo odezwał się chłopiec, podając kopertę. - Radiogram. Sądziłem!

- Podaj - sędzia spojrzał na kopertę; pokiwał głową nie wiadomo pod czyim adresem, a potem zwrócił się do mnie.

- Jak już mówiłem, - prawdę powiedzieliście jeden jedyny raz: Zeznaliście, żeście przybyli tu z Hawany. W rzeczy samej.; Oto, co zostawiliście tam po sobie. W komisariacie policji,,: gdzie zostaliście zatrzymani w celu przesłuchania i postawienia przed sądem. - Sięgnął do szuflady i wyciągnął niewielką książeczkę, oprawioną w granat, złoto i biel. - Poznajecie?

- Brytyjski paszport? - zapytałem spokojnie. - Nie mam lunety, ale zakładam, że to chyba mój paszport, w przeciwnym bowiem wypadku Wysoki Sąd nie robiłby z tym takiego cyrku. Jeśli znajdował się przez cały czas w pańskim posiadaniu, to dlaczego...

- Staraliśmy się jedynie ustalić, do jakiego stopnia jesteście zakłamani... okazało się, że całkowicie... i w jakiej mierze zasługujecie na zaufanie... okazało się, że absolutnie nie zasługujecie! - Przyjrzał mi się z zainteresowaniem: - Chyba zdajecie sobie sprawę, co z tego wynika? Jeśli mamy wasz paszport, to musimy wiedzieć o was dużo więcej. Widać, że się tym

wcale nie przejmujecie. Twardy z was gość, Chrysler, albo bardzo niebezpieczny! A może po prostu głupi?

- A co, zdaniem Wysokiego Sądu, powinienem uczynić? - zapytałem. - Zemdleć?

- Tak się składa, że chwilowo przynajmniej nasza policja i władze imigracyjne pozostają w bardzo dobrych stosunkach z kubańskimi kolegami. - Zdawało się, że w ogóle nie zareagował, kiedy mu przerwałem: - Dzięki naszym depeszom do Hawany otrzymaliśmy nie tylko paszport, ale znacznie więcej: dostarczono nam mianowicie bardzo wielu bezcennych informacji... Wasze nazwisko brzmi nie Chrysler, lecz Ford. Dwa i pół roku spędziliście w Indiach Zachodnich, jesteście doskonale znani władzom wszystkich większych wysp.

- Co znaczy sława, Wysoki Sądzie! Kiedy się ma tylu przyjaciół...

- Rozgłos, nie sława. W ciągu dwóch lat trzykrotnie odsiadywaliście krótkoterminowe kary więzienia - sędzia Mollison przebiegł wzrokiem trzymaną w rękę kartkę. - Źródła utrzymania bliżej nie znane, jeśli nie liczyć trzech miesięcy pracy jako konsultant w hawańskim przedsiębiorstwie ratownictwa okrętowego i poszukiwań podwodnych. - Spojrzał mi prosto w oczy. - W jakim to... hm... charakterze służyliście temu przedsiębiorstwu?

- Mierzyłem głębokość wody.

Przyglądał mi się w zamyśleniu, potem znów zerknął w kartkę.

- Obracał się w towarzystwie przestępców i przemytników - czytał dalej. - Głównie przestępców parających się kradzieżą i przemytem drogocennych kamieni i kruszców. Podejrzany o podżeganie albo próbę podżegania robotników przeciwko pracodawcom w Nassau i Manzanillo, z pobudek chyba nic nie mających wspólnego z polityką. Deportowany z San Juan, Haiti i Wenezueli. Na Jamajce uznany za persona non grata, nie otrzymał zezwolenia na zejście na ląd w Nassau, na Bahamach. - Przerwał i spojrzał w moim kierunku. - Poddany brytyjski... ale niemile widziany nawet na terytorium brytyjskim!

- Zwyczajne uprzedzenie, Wysoki Sądzie!

- Do Stanów Zjednoczonych przybyliście, rzecz jasna, nielegalnie. - Sędzia Mollison nie należał do ludzi, których łatwo zbić z pantałyku. - Przyznaję, że nie mam pojęcia, jaką drogą, takie wypadki zdarzają się u nas zresztą nagminnie. Prawdopodobnie przez Key West: nocne lądowanie gdzieś między Port Charlotte a naszym miastem. Ale mniejsza o to. Nie dość więc, że dopuściliście się czynnej zniewagi funkcjonariusza prawa i nie zgłosiliście posiadania pistoletu, bez zezwolenia na broń: możemy teraz oskarżyć was jeszcze o nielegalne przekroczenie granicy. Człowiek z waszą przeszłością, Ford, mógłby zainkasować za to solidny wyrok!

Ale to wam nie grozi. Przynajmniej nie u nas. Zasięgnąłem opinii stanowych władz imigracyjnych, które zgodziły się ze mną, że w tym przypadku najlepszym rozwiązaniem będzie

deportacja: nie chcemy mieć do czynienia z osobą waszego pokroju... Dowiedzieliśmy się od władz kubańskich, że zbiegliście z aresztu, zatrzymany pod zarzutem podburzania robotników portowych do aktów przemocy, a także pod dodatkowym zarzutem usiłowania zabicia policjanta, który was zatrzymał. Na Kubie tego rodzaju przestępstwa pociągają za sobą surowe kary. Pierwszy zarzut nie upoważnia do wystąpienia o ekstradycję, w sprawie drugiego natomiast nie otrzymaliśmy wniosku odpowiednich władz. Ale jak już powiedziałem, zamierzamy skorzystać nie z ustawy o ekstradycji, lecz z ustawy o deportacji: deportujemy was do Hawany. Jutro rano przedstawiciele odnośnych władz znajdą się na miejscu, by powitać samolot, którym przybędziecie na Kubę.

Stałem spokojnie, bez słowa. Na sali rozpraw było bardzo ciepło. Po chwili odchrząknąłem i powiedziałem: - Wysoki Sądzie, w moim przekonaniu wielce to z pańskiej strony nieuprzejme!

- To zależy od punktu widzenia - odparł głosem obojętnym. Wstał, ale rzucił wzrokiem na kopertę przyniesioną uprzednio przez gońca i dodał: - Nie, zaczekajcie chwilę - po czym ponownie usiadł i przeciął kopertę. Wyjmując cieniutkie kartki papieru, uśmiechał się do mnie zimno.

- Uznaliśmy, że nie zaszkodzi zwrócić się do Interpolu i dowiedzieć, co o was wiadomo w waszym kraju ojczystym, choć w tej chwili nie sądzę, byśmy mieli otrzymać jeszcze jakieś dodatkowe informacje. Mamy właściwie wszystko, czego nam trzeba... Nie, nie, tak właśnie myślałem, nie notowany... w kartotece nie figuruje. Zaraz, zaraz, chwileczkę! - Tak dotąd spokojny i opanowany nagle zaczął krzyżeć, aż senny protokolant podskoczył jak nakręcona sprężyna i z całym rozpędem porwał notes i pióro, rozrzucając wszystko po podłodze. - Jedną chwileczkę!

Powrócił wzrokiem do pierwszej kartki radiotelegramu. - 37b Rue Paul-Valery, Paryż - czytał w pośpiechu. - W odpowiedzi na wasze zapytanie i tak dalej... Z przykrością komunikujemy, że w naszej kartotece nie figuruje żaden przestępca nazwiskiem John Chrysler. Może chodzi o jednego z czterech posługujących się tym pseudonimem, ale to mało prawdopodobne: identyfikacja niemożliwa bez pomiarów antropometrycznych i odcisków palców... Wasz rysopis zdumiewająco przypomina nie żyjącego już Johna Montague Talbota. Nie znamy waszych motywów prośby o pilne potraktowanie sprawy, ale uprzejmie przesyłamy w załączeniu odpis skróconego życiorysu Talbota. Żałujemy, że nie jesteśmy w stanie okazać się bardziej pomocni i tak dalej...

John Montague Talbot. Wzrost 1787cm, waga 907kg, włosy ciemnorude, z przedziałkiem po lewej stronie, oczy niebieskie, gęste ciemne brwi, nad prawym okiem szrama po ranie ciętej nożem, nos orli, zęby bardzo równe. Ponieważ silnie utyka na jedną nogę, lewe ramię ma znacznie wyższe od prawego.

Sędzia lustrował mnie wzrokiem; ja wpatrywałem się w drzwi: trzeba przyznać, że był to dobry rysopis.

- Data urodzenia nieznana, prawdopodobnie w początkach lat dwudziestych. Miejsce urodzenia nieznane. Brak szczegółów odnośnie służby wojskowej w latach wojny. W roku 1948 ukończył wydział mechaniczny politechniki w Manchesterze. Zatrudniony przez trzy lata w firmie Siebe, Gorman & Co. - przerwał i przyjrzał mi się badawczo. - Co to jest Siebe, Gorman & Co?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Jasne. Ale ja słyszałem. Powszechnie znana europejska firma, specjalizująca się między innymi w produkcji najrozmaitszego sprzętu do nurkowania. Doskonale pasuje do pańskiej pracy w hawańskim przedsiębiorstwie ratownictwa okrętowego i poszukiwań podwodnych, nieprawdaż? - Najwidoczniej nie spodziewał się żadnej odpowiedzi, bo natychmiast zabrał się do kontynuowania lektury.

- Specjalista w dziedzinie ratownictwa i poszukiwań na dużych głębokościach. Rzucił pracę u Siebe, Gorman, & Co, zatrudnił się w firmie holenderskiej, z której po osiemnastu miesiącach został zwolniony w związku z dochodzeniami w sprawie dwóch zaginionych czternastokilogramowych sztab złota, wartości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, które firma wydobyla w porcie bombajskim z wraku przewożącego amunicję i skarby statku "Fort Strikene", a zatopionego tam w wyniku eksplozji 14 kwietnia 1944 roku. Powrócił do Anglii, podjął pracę w przedsiębiorstwie ratownictwa i poszukiwań podmorskich w Portsmouth, nawiązał kontakt z niejakim Moranem alias Cornersem, notorycznym złodziejem biżuterii. Podczas robót poszukiwawczych przy wraku "Nantucket Light", zatopionego u brzegów Lizard w czerwcu 1955 roku w czasie transportowania cennego ładunku brylantów z Amsterdamu do Nowego Jorku, zaginęły, jak się okazało, wydobyte z dna morskiego drogocenne kamienie wartości osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Talbot i Moran zostali odnalezieni w Londynie i aresztowani, ale zbiegli z wozu policyjnego, ponieważ Talbot postrzelił eskortującego funkcjonariusza policji z małego, ukrytego pistoletu samopowtarzalnego. Policjant zmarł w szpitalu.

Stałem teraz pochylony do przodu, dłońmi lekko ściskając brzeg ławy oskarżonych. Wszystkie oczy wlepione były we mnie, ale ja widziałem tylko sędziego. W dusznej sali sądowej nie słyhać było żadnego dźwięku, prócz sennego bzyczenia much wysoko pod sufitem i głębokich westchnień wielkiego wiatraka, obracającego się nad głowami obecnych.

- Udało się wreszcie wytropić kryjówkę Talbota i Morana w nadbrzeżnym magazynie kauczuku - sędzia Mollison czytał teraz powoli, nawet z krótkimi przerwami, jak gdyby potrzebował czasu na uświadomienie sobie znaczenia czytanych słów. - Otoczeni, nie usłuchali wezwania, aby się poddali. Przez dwie godziny stawiali opór wszelkim wysiłkom policjantów, uzbrojonych w karabiny i granaty z gazem łzawiącym. Nastąpiła eksplozja, cały magazyn pochłonął pożar o niesłychanej sile ognia. Wszystkie wyjścia były strzeżone, ale nie zauważono

żadnych prób ucieczki. Obaj przestępcy zginęli. Po dwudziestu czterech godzinach strażakom nie udało się odnaleźć żadnych śladów Morana - przypuszcza się, że został całkowicie spopielony. Zwęglone szczątki Talbota zidentyfikowano ponad wszelką wątpliwość dzięki pierścieniowi z rubinem na palcu lewej dłoni, mosiężnym sprzączkom od butów oraz niemieckiemu pistoletowi samopowtarzalnemu kaliber 4,25, który nosił zawsze przy sobie...

Głos sędziego stopniowo opadał. Przez kilka chwil siedział w milczeniu. Przyglądał mi się ze zdumieniem, jak gdyby nie był w stanie uwierzyć własnym oczom, zamrugał powiekami, a potem wolniutko potoczył wzrokiem i utkwił go w niskim mężczyźnie siedzącym w trzcinowym fotelu.

- Pistolet kaliber 4,25, szeryfie? Czy wie pan coś...?

- Tak jest. - Szeryf miał wyraz twarzy zimny, złośliwy i bezlitosny, a głos o takich samych cechach. - My to nazywamy pistoletem samopowtarzalnym kaliber 0,21. O ile mi wiadomo, produkuje się tylko jeden rodzaj tego typu broni. Jest to niemiecki Liliput.

- To znaczy taki sam, jaki oskarżony miał przy sobie w chwili aresztowania. - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu. - No i nosi pierścień z rubinem na lewej ręce. - Sędzia znów pokiwał głową, potem przez długą chwilę mi się przyglądał: widać było, że niedowierzanie stopniowo ustępuje niewzruszonemu przeświadczeniu. - Lampart, drapieżny lampart, nie zmienia cętek. Poszukiwany za morderstwo; może nawet dwa morderstwa: któż może wiedzieć, co się w tym magazynie przydarzyło waszemu współnikowi? To jego zwłoki odnaleziono, nie wasze, prawda?

Sala sądowa milczała, wstrząśnięta i sparaliżowana. Gdyby w tej chwili ktoś upuścił na ziemię szpilkę, wszyscy obecni podskoczyliby chyba pod sam sufit.

- Morderca policjantów! - szeryf obliznął wargi, spojrział na Mollisona i powtórzył szeptem: - Morderca policjantów! W Anglii. Będzie za to dyndał, prawda, panie sędzio?

Sędzia odzyskał już równowagę ducha.

- Nie leży w jurysdykcji tutejszego trybunału...

- Wody! - głos był mój, ale nawet w moich własnych uszach zabrzmiał jak jęk. Stałem pochylony nad pulpitem ławy oskarżonych, chwiałem się lekko, jedną ręką podpierając się, a drugą ocierając chusteczką twarz. Miałem mnóstwo czasu na przemyślenie sytuacji i zdawało mi się, że wyglądam właśnie tak, jak powinienem był wyglądać. Na to przynajmniej liczyłem... - Ja... zdaje się, że tracę przytomność... Czy jest... czy mógłbym dostać wody?

- Wody? - w głosie sędziego brzmiało zniecierpliwienie; połączone ze współczuciem. - Obawiam się, że nie ma...

- A tam? - z trudem łapałem powietrze. Ledwie udało mi się wskazać ręką miejsce po drugiej stronie funkcjonariusza, który mnie pilnował. - Błagam!

Policjant odwrócił się - byłbym zdumiony, gdyby tego nie zrobił! W tej samej chwili obróciłem się błyskawicznie na obu piętach i z całej siły rąbnąłem go lewą ręką poniżej pasa - gdybym uderzył go parę centymetrów wyżej, musiałbym sobie zafundować nową parę pięści, bo nosił na brzuchu szeroki pas nabity ćwiekami i zaopatrzony w ciężkie mosiężne sprzączki. Jego rozdzierający jęk bólu rozlegał się jeszcze echem w ciszy zaszokowanej sali rozpraw, gdy chwyciłem go w pól, nim jeszcze upadł na ziemię, obróciłem do siebie, wyrwałem z kabury ciężkiego Colta i łagodnie wymachiwałem nim po sali. Dopiero wtedy policjant spadł na brzeg pulpitu, a potem z trudem chwytając powietrze i pokaszując, osunął się na podłogę.

Jednym błyskawicznym, wszechogarniającym rzutem oka zlustrowałem salę. Mężczyzna o złamanym nosie gapił się na mnie w najwyższym zdumieniu, na jakie stać było jego prymitywne rysy twarzy: usta szeroko otwarte, sponiewierany niedopałek cygara ciągle przyklepiony do kącika dolnej wargi. Ciemna blondynka pochyliła się do przodu i wybałuszywszy oczy podparła się dłonią, jednocześnie zasłaniając usta zgiętym palcem wskazującym. Sędzia przestał być sędzią, wyglądał jak woskowa kukła sędziego: tkwił w swym fotelu w bezruchu, jak gdyby dopiero co wyszedł spod ręki rzeźbiarza. Sekretarz, protokolant i woźny przy drzwiach zachowywali się równie sztywno jak sędzia, natomiast grupka uczennic i opiekująca się nimi leciwa stara panna ciągle wybałuszały oczy, ale z ich twarzy stopniowo znikало zainteresowanie, a pojawił się strach: siedząca najbliżej mnie nastolatka uniosła wysoko łuki brwi, wargi jej drżały, przyglądała mi się jak gdyby lada chwila miała wybuchnąć płaczem lub krzykiem. Żywiłem cichą nadzieję, że obejdzie się bez krzyku, ale już po chwili uświadomiłem sobie, że to nie ma najmniejszego znaczenia, bo tak czy owak w najbliższej przyszłości hałasu będzie co niemiara. Szeryf nie był tak bezbronny, jak mi się zdawało: właśnie sięgał po pistolet.

Ale ta próba sięgnięcia po broń w niczym nie przypominała błyskawicznej, bezwzględnej akcji, do której za moich młodych lat przyzwyczało mnie kino. Zbyt długie, zwisające poły alpagowej marynarki krępowały ruchy ręki, dodatkowo przeszkadzało mu oparcie fotela. Nim dotknął kolby pistoletu, minęły pełne cztery sekundy.

- Nie rób pan tego, szeryfie! - zawołałem szybko. - Ta armata w mojej dłoni wycelowana jest prosto w pana.

Ale odwaga albo może głupota tego niskiego mężczyzny pozostawały chyba w odwrotnym stosunku do jego rozmiarów. Sądząc po oczach i po wargach, zaciśniętych na pozółkłych od tytoniu zębach, nie ulegało wątpliwości, że nic go nie będzie w stanie powstrzymać. Z jednym tylko wyjątkiem. Wyprostowałem więc ramię i podniosłem rewolwer, tak, że lufa znalazła się na

poziomie jego oczu - te wszystkie historie o Sokolim Oku, strzelającym z biodra z idealną dokładnością, dobre są dla małych dzieci - a gdy dłoń szeryfa zbliżyła się do poły marynarki, pociągnąłem języczek spustowy. Odbijający się grzmot ciężkiego Colta, wielokrotnie wzmocniony przez ciasne mury malutkiej sali sądowej, bez reszty zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Nikt nie miał pojęcia, czy szeryf krzyknął ani czy pocisk ugodził go w dłoń, czy też odbił się od trzymanego w rękę pistoletu: każdy był pewny jedynie tego, co widział na własne oczy, a mianowicie, że prawe ramię i cały prawy bok szeryfa przebiegł konwulsyjny skurcz, pistolet zaś, obracając się wokół własnej osi, poleciał do tyłu i wylądował na stole, kilka centymetrów od notesu protokolanta sądowego.

Mój Colt był już wymierzony w stojącego przy drzwiach woźnego.

- Rusz się, przyjacielu, dołącz do nas - zaprosiłem go. - Wygląda mi na to, że chodzą ci po głowie różne pomysły ściągnięcia odsieczki. - Zaczekałem, aż minie połowę korytarza, ale słysząc za sobą odgłos szurania nogami, błyskawicznie obróciłem się na pięcie.

Pośpiech okazał się zbędny. Policjant wprawdzie podniósł się z podłogi, ale na nic więcej nie było go stać. Zgięty niemal w pół, jedną ręką trzymał się za brzuch, drugą zaś, zaciśniętą w pięść, jak gdyby omiatał podłogę; krztusił się gwałtownie, z trudem chwycił powietrze, aby zmniejszyć ból rozdzierający całe ciało. Powoli się wyprostował, a później przyjął pozycję człowieka skulonego i gotującego się do skoku; na twarzy nie było ani cienia strachu, tylko ból, gniew, wstyd i postanowienie: "umrę lub zwyciężę".

- Przywołaj do nogi swego psa łańcuchowego, szeryfie - powiedziałem krótko. - Następnym razem mogę mu naprawdę zrobić krzywdę.

Szeryf popatrzył na mnie wzrokiem jadowitym i wypluł jedno jedyne, niecenzuralne słowo. Skulił się w fotelu, lewą ręką ściskając z całych sił prawy nadgarstek; sprawiał wrażenie człowieka zbyt zaambarasowanego własną krzywdą, by mógł się martwić o cudze szkody.

- Dawaj ten pistolet! - ochryplym głosem rozkazał policjant. Gardło miał jakby ściśnięte, z trudem dobył z siebie nawet te parę słów. Chwiejąc się postąpił jeden krok do przodu, znajdował się teraz w odległości zaledwie dwóch metrów. Był to jeszcze smarkacz, najwyżej dwudziestoletni.

- Panie sędzio! - powiedziałem przynaglająco.

- Dajcie spokój, Donnelly! - sędzia Mollison otrząsnął się już z pierwszego obezwładniającego szoku. - Dajcie spokój! To morderca. Może zabić jeszcze raz. I tak nie ma nic do stracenia. Nie ruszajcie się z miejsca.

- Dawaj pistolet! - sądząc po skutkach, jakie odniosły jego polecenia, sędzia Mollison mógł z równym powodzeniem przemawiać do ściany. Donnelly mówił głosem drewnianym, wyzutym z

jakiegokolwiek uczucia, głosem człowieka, którego postanowienie zapadło tak dawno temu, że przestało być postanowieniem - i stało się tylko obsesją.

- Nie ruszaj się z miejsca, synku - powiedziałem spokojnie. - Posłuchaj sędziego. Nie mam nic do stracenia. Jeszcze jeden krok naprzód, a postrzelę cię w udo. Czy masz pojęcie, Donnelly, jakie jest działanie takiego spłaszczonego ołowianego pocisku o małej prędkości? Jeśli cię trafi w kość udową, rozbije ją tak paskudnie, że jak ja będziesz utykał do końca życia. Jeśli zaś dostaniesz w tętnicę udową, z równym powodzeniem możesz wykrwawić się na śmierć... ty idioto!

Po raz drugi sala sądowa zatrzęsała się od ostrego kłaśnięcia i głuchego echa wystrzału z Colta. Donnelly leżał na podłodze, oburącz ściskając podudzie i gapiąc się na mnie z miną człowieka bezdennie zdumionego, który niczego nie pojmuje i niczemu nie wierzy.

- Każdy musi kiedyś dostać nauczkę - oznajmiłem spokojnie. Zerknąłem ku drzwiom: strzały musiały przecież zwrócić czyjaś uwagę, ale mimo to nie widziałem żywej duszy. Co prawda pod tym względem byłem spokojny: dwaj posterunkowi, którzy rzucili się na mnie w motelu La Contessa, byli teraz chwilowo niezdolni do pełnienia służby, a więc tylko szeryf i Donnelly pozostali z pełnego stanu sił policyjnych w Marble Springs. Ale mimo to dalsza zwłoka mogła okazać się równie głupia, co niebezpieczna.

- Daleko nie ujdiesz, Talbot! - Wąskie wargi szeryfa ułożyły się w karykaturalny grymas, słowa cedził przez mocno zaciśnięte zęby. - W ciągu pięciu minut od twego wyjścia wszyscy funkcjonariusze prawa w całym powiecie zaczną cię poszukiwać, w ciągu kwadransa alarm obejmie cały stan. - Urwał, ból wykrzywił mu twarz, a kiedy spojrzał na mnie ponownie, miał wyjątkowo paskudną minę. - Roześlemy listy gończe za mordercą; Talbot, za uzbrojonym mordercą: każdy policjant otrzyma rozkaz strzelania na twój widok, i to strzelania ze skutkiem.

- Zaczekajcie, szeryfie... - zaczął sędzia, ale nic więcej powiedzieć nie zdążył.

- Przepraszam, panie sędzio. Teraz on już jest mój! - Szeryf spojrzał na policjanta, który leżał na podłodze, cicho pojękując. - Z chwilą gdy wyrwał policjantowi pistolet, przestał być pańską sprawą... Lepiej zmykaj, Talbot, i tak daleko nie ujdiesz.

- Strzelać ze skutkiem, powiadasz? - powtórzyłem w zamyśleniu i rozejrzałem się po sali. - Nie, nie, panowie nie wchodzą w rachubę: jeszcze mogą przyjść któremuś do głowy głupie myśli o chwale i śmierci albo o orderach przypinanych do piersi...

- O czym ty mówisz, do jasnej cholery? - zapytał szeryf.

- Panienki z gimnazjum też się nie nadają: histeryczki... - mruknąłem. Zrobiłem przeczący ruch głową, potem spojrzałem na dziewczynę o ciemnoblond włosach: - Bardzo załuję, panienko, ale właśnie na panią wypadło.

- Co... co chce pan przez to powiedzieć? - Może była przerażona, może tylko udawała przerażoną. - Czego pan chce ode mnie?

- Ciebie. Słyszałaś, co powiedział dzielny kowboj: jak tylko gliny mnie wypatrzą, zaczną strzelać do wszystkiego, co im się napatoczy. Ale nie będą strzelać do dziewczyny, zwłaszcza tak atrakcyjnej jak ty. Jestem w kropce, moja panno, potrzebuję więc ubezpieczenia na życie. Ty będziesz moją polisą. No, chodź.

- Niech cię diabli wezmą, Talbot, tego zrobić nie możesz! - sędzia Mollison mówił głosem ochryplym, pełnym przerażenia. - To niewinna dziewczyna! Narazisz ją na niebezpieczeństwo śmierci.

- Nie ja - poprawiłem go. - Jeżeli ktoś narazi ją na niebezpieczeństwo śmierci, to tylko przyjaciele tu obecnego szeryfa.

- Ależ... panna Ruthven jest przecież moim gościem! Ja... właśnie dziś zaprosiłem ją do..

- Rozumiem. Pogwałcenie zasad staroświeckiej gościnności południowców. Podręcznik dobrego wychowania miałby na ten temat niejedno do powiedzenia... - Chwyciłem dziewczynę za ramię, niezbyt łagodnie poderwałem ją na równe nogi i wyciągnąłem w przejście między ławkami.

- Niech no się panienka pośpieszy, nie mamy zbyt wiele czasu.

Puściłem jej ramię i postąpiłem jeden długi krok wzdłuż przejścia, wymachując odwróconym i ukrytym w dłoni pistoletem. Od jakiegoś już czasu nie spuszczałem z oka tego faceta ze złamanym nosem, który siedział trzy rzędy za dziewczyną. Widziałem, jak zmienia się wyraz jego poranej bruzdami twarzy neandertalczyka: najwidoczniej starał się podjąć jakąś decyzję i na koniec ją podjął. Wszystko było nie mniej oczywiste, niż gdyby swój zamiar sygnalizował przy pomocy bicia w dzwony i wielobarwnych reflektorów.

Kolba mojego Colta trafiła go w prawy łokieć, gdy znajdował się już niemal w pozycji pionowej, do połowy wysunięty w przejście między ławkami, ręką zaś sięgał głęboko pod klapę płaszcza. Siła uderzenia wstrząsnęła nawet moim ramieniem, mogę więc tylko domyślać się, co z nim się stało: niemało, sądząc po tym, jak zawył z bólu i nagle opadł z powrotem na ławkę. Może niewłaściwie oceniłem człowieka, może sięgał tylko po świeże cygaro, ale niech mu to będzie nauczka, że pudełko z cygarami nie trzyma się pod lewą pachą.

Nie czekając, aż przestanie hałasować, szybko pokuśtykałem przejściem między ławkami, wyciągnąłem dziewczynę na ganek, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem je na klucz. Mogłem zyskać dzięki temu tylko dziesięć, najwyżej piętnaście sekund, ale to mi wystarczało w zupełności. Chwyciłem dziewczynę za rękę i pobiegłem ścieżką w stronę ulicy.

Przy krawężniku stały zaparkowane dwa samochody. Jeden z nich, otwarty Chevrolet bez żadnych oficjalnych znaków rejestracyjnych, należał do policji: to nim właśnie szeryf, Donnelly i

ja przyjechaliśmy do sądu; drugi, nisko zawieszony Studebaker Hawk, był zapewne własnością sędziego Mollisona. Wyglądało na to, że wóz sędziego jest szybszy, ale większość tych amerykańskich samochodów miała automatyczną przekładnię skrzyni biegów, mnie zupełnie nie znaną: nie wiedziałem, jak prowadzić Studebakera, a czas stracony na naukę mógłby okazać się fatalny w skutkach. Znałem natomiast zautomatyzowaną skrzynię biegów Chevroleta. W drodze do gmachu sądu siedziałem na przednim siedzeniu obok szeryfa, który prowadził wóz, i nie przeoczyłem ani jednego jego ruchu.

- Wsiadaj! - skinąłem głową w kierunku wozu policyjnego. - Szybko!

Kątem oka widziałem, jak otwiera drzwiczki, a ja tymczasem kilka chwil poświęciłem Studebakerowi. Najszybszy i najskuteczniejszy sposób unieruchomienia każdego samochodu polega na rozbiciu rozdzielacza. Trzy czy cztery sekundy straciłem na szukanie zamka maski silnika, aż wreszcie dałem za wygraną, zwróciłem natomiast uwagę na znajdującą się bliżej mnie przednią oponę. Była to opona bezdętkowa i gdybym nosił, jak zwykle, mój samopowtarzalny pistolet, małokalibrowy pocisk w stalowym płaszczu wywierciłby w najlepszym razie tylko małą dziurkę, którą równie szybko można było załatać. Potężny pocisk Colta natomiast rozwaliał cały bok opony i Studebaker siadł z głośnym jękiem.

Dziewczyna zajęła już miejsce w Chevroletcie. Nie tracąc czasu na otwieranie drzwiczek, przeskoczyłem przez okno i siadłem za kierownicę, błyskawicznym spojrzeniem obrzuciłem deskę rozdzielczą i wyrwałem dziewczynie białą plastikową torebkę, którą trzymała na kolanach. Tak się śpieszyłem, żeby ją otworzyć, że wyłamałem zamek i rozerwałem podszewkę, a potem całą zawartość wysypałem na sąsiednie siedzenie. Kluczyki od wozu znalazły się na wierzchu, co znaczyło, że schowała je na samym spodzie torebki. Byłem gotów założyć się o każdą sumę, że miała porządnego stracha, ale jednocześnie byłem pewien, że łatwo nie uległa panice:

- Pewnie ci się zdaje, że jesteś taka cwana? - zapuściłem silnik, nacisnąłem pedał włączający automatycznie bieg, zwolniłem ręczny hamulec i z taką wściekłością dodałem gazu, że tylne opony, nim złapały przyczepność, zabuksowały gwałtownie po żwirze. - Spróbuj jeszcze raz, a pożałujesz. Masz to u mnie obiecać.

Jestem kierowcą raczej doświadczonym, ale jeśli idzie o trzymanie się szosy i prowadzenie wozu, nie należę do entuzjastów samochodów amerykańskich. Natomiast gdy mowa o zwykłym przyspieszeniu, przeciętne wozy brytyjskie czy europejskie ani się umywają do tych wielkich ośmiocylindrowych silników. Chevrolet wyskoczył do przodu, jak gdyby był wyposażony w rakietę startową - podejrzewam, że skoro był to wóz policyjny, silnik został specjalnie podrasowany. Kiedy wyszedłem na prostą i zdążyłem po raz ostatni zerknąć w lusterko wsteczne, od gmachu sądu odbiliśmy się już co najmniej sto metrów. Zdążyłem właśnie dostrzec, że sędzia i

szeryf wybiegli na szosę i gapią się w odjeżdżający Chevrolet, gdy nagle pojawił się ostry skręt w prawo. Szybko przekręciłem kierownicę w prawo, złapałem poślizg na wszystkich czterech kołach, tył wozu zarzucił w przeciwnym kierunku. Znow obróciłem kółkiem w lewo, potem, stale przyspieszając, pozostawiłem za nami granice miasta i pogałem w szczerze pole.

Rozdział II

Pruliśmy autostradą niemal dokładnie na północ, po białej, zakurzonej wstędze drogi, wybudowanej chyba z metr albo więcej nad poziomem przyległego terenu. Po lewej ręce iskrzyła się i lśniła Zatoka Meksykańska, jak szmaragd opalizująca w rozprężonym słońcu. Między szosą a morzem rozciągał się płaski, monotony pas nisko położonego brzegu, porośłego drzewami mangrowymi, po prawej zaś bagniste lasy nie palm czy boczni - jak można by się spodziewać w tej części świata - lecz sosen, i to na domiar złego przynębiająco karłowatych sosen.

Nie cieszyła mnie ta jazda. Wyciskałem z Chevroleta maksymalną szybkość, ale miękkie zawieszenie nie dawało mi najmniejszego nawet poczucia bezpieczeństwa. Nie miałem okularów przeciwsłonecznych, a choć słońce nie świeciło mi prosto w twarz, ostre odbicie podzwrotnikowego światła od nawierzchni szosy było przykre i bolesne dla oczu. Wóz był wprawdzie otwarty, ale przednia szyba tak wielka i wygięta, że prawie wcale nie odczuwaliśmy kojącego wiatru, który przy prędkości ponad 130 km na godzinę tylko szumiał nam w uszach. Tam, w sali sądowej, temperatura w cieniu zbliżała się do 30 stopni; nawet nie podjąłbym się zgadywać, ile wynosiła tu, pod gołym niebem. Ale było gorąco, gorąco jak w piecu. Nie, ta jazda nie sprawiała mi przyjemności.

Ani zresztą siedzącej przy mnie dziewczynie. Nie zadała sobie nawet trudu pozbierania maneli, które wyrzuciłem z jej torebki, po prostu siedziała z ciasno splecionymi rękoma. Raz po raz, ilekroć braliśmy ostry zakręt, chwytiała się górnej krawędzi drzwiczek, ale właściwie od czasu, jak wyjechaliśmy z Marble Springs, nie zrobiła żadnego ruchu, poprzestając jedynie na przewiązaniu włosów białą apaszką. Ani razu na mnie nie spojrzała, nie wiedziałem nawet, jakiego koloru ma oczy. A już z całą pewnością nie odezwała się do mnie. Raz czy dwa zerknąłem w jej stronę, ale za każdym razem gapiała się prosto przed siebie, zaciskając wargi; była blada, tylko na lewym policzku odcinała się czerwona plama. Nadal była przestraszona; może nawet jeszcze bardziej. Może zastanawiała się nad tym, co ją czeka? Ja sam się nad tym zastanawiałem.

W osiem minut po opuszczeniu Marble Springs i przejechaniu trzynastu kilometrów nastąpiło to, czego można się było spodziewać. Nie ulega wątpliwości, że znalazł się ktoś, kto myślał i działał jeszcze szybciej niż ja.

Ową niespodzianką okazała się zapora drogowa. Umieszczono ją w miejscu, gdzie jakaś przedsiębiorcza firma pokryła prawe pobocze szosy tłuczniem i różowym piaskowcem, wyasfaltowała parking i wybudowała stację benzynową. W poprzek szosy ustawiono w tym miejscu samochód, wielki, czarny, policyjny wóz - a gdyby mało było dwóch, obracających się

wokół własnej osi reflektorów i potężnego czerwonego światła "stop", wszelkie wątpliwości rozwiać musiało wymalowane białymi, wielkimi literami słowo "Policja". Po lewej, tuż przed przednim zderzakiem policyjnego wozu, pobocze miało stromy, chyba półtorametrowy spad, przechodzący w rów, który po przeciwnej stronie łagodnie wznosił się ku porośniętemu drzewami mangrowymi brzegowi morza: tędy nie było jak uciec. Po prawej, w miejscu, gdzie szosa się poszerzała tworząc podjazd stacji benzynowej, rząd ustawionych na sztorc dwustulitrowych beczek po benzynie z czarnej karbowanej blachy całkowicie blokował wolną przestrzeń między wozem policyjnym a pierwszą z równoległe do szosy ustawionych pomp paliwowych.

Wszystko to dostrzegłem w ciągu czterech czy pięciu sekund, potrzebnych, by wyhamować rozdygotanego, wpadającego w poślizg Chevroleta ze stu dziesięciu do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę; usłyszeliśmy głośny zgrzyt opon, a czarny, wlokący się za nami ogon topniejącej gumy był dowodem, że białą szosę pozostawiliśmy za sobą. Dostrzegłem także dwóch policjantów, jeden kucnął za maską policyjnego samochodu, głowa i prawe ramię drugiego ledwie wystawały zza bagażnika; obaj uzbrojeni byli w rewolwery. Trzeci policjant stał, ale prawie zupełnie schowany za najbliższą pompą paliwową, natomiast doskonale widoczny był jego pistolet, najniebezpieczniejsza broń bliskiego zasięgu, istny bicz boży: dubeltówka z obciętą lufą i rękojeścią, rażąca ołowianymi pociskami kaliber 20.

Wytraciłem już szybkość do trzydziestu kilometrów na godzinę i znajdowałem się około czterdziestu metrów od zapory. Policjanci, trzymając broń wycelowaną w moją głowę, właśnie się podnosili opuszczając swoje kryjówki, gdy nagle kącikiem oka dostrzegłem, że dziewczyna sięga do klamki drzwiczek i odwraca się ode mnie, szykując się do skoku. Nie odezwałem się ani słowem, pochyliłem się tylko, złapałem ją za rękę, przyciągnąłem do siebie z niepohamowaną siłą, że aż zawyla z bólu. W tej samej chwili chwyciłem ją za ramiona i umieściłem przed sobą, tak żeby policjanci nie wazyli się strzelać, a potem z całej siły docisnąłem stopą pedał gazu do dechy.

- Szaleniec! Zabijesz nas! - przez ułamek sekundy wpatrywała się w rząd dwustulitrowych beczek, na które wprost pędziliśmy. Przerazenie na jej twarzy było idealnym odbiciem przerażenia wyczuwalnego w jej głosie. Potem z jękiem odwróciła się i ukryła twarz w mojej marynarce, paznokciami obu rąk żłobiąc mi głębokie bruzdy w ramionach.

Samym środkiem zderzaka rąbnęliśmy w drugą beczkę. Podświadomie mocniej ścisnąłem dziewczynę i kółko kierownicy, gotując się do straszliwego wstrząsu, który musi pogruchotać wszystko. Czekałem na ogłuszające zderzenie, które musi mnie zmiażdżyć, gdy uderzę w kolumnę sterowniczą, albo przerzucić mnie przez przednią szybę, z chwilą gdy dwieście pięćdziesiąt kilogramów ciężaru własnego beczki zetnie sworznie wiążące podwozie; a silnik wtłoczy do wewnątrz wozu! Ale zamiast oczekiwanego wstrząsu usłyszałem tylko zgrzyt blachy i donośny,

głuchy szcęk metalu: zderzak uniósł beczkę z szosy. Jeszcze jedna szokująca chwila, gdy wydawało się, że beczka poturla się na maskę, rozwali przednią szybę i przygwoździ nas do siedzenia. Wolną ręką gwałtownie szarpnąłem kierownicę w lewo: beczka, młynkując, odbiła się od prawego błotnika i znikła mi z oczu, ja zaś wyprowadziłem wóz z powrotem na szosę, szarpnąłem kierownicę w przeciwną stronę i wyprostowałem samochód. Beczka po benzynie była pusta! I nikt nie oddał ani jednego strzału!

Dziewczyna powoli podniosła głowę, wpatrując się zza moich ramion w znikającą w dali zaporę drogową, a potem spojrzała na mnie. Oburącz kurczowo wczepiła się w moje ramiona, ale zupełnie chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Pan oszalał! - z trudem, ale dosłyszałem jej zduszony szept; mimo narastającego wycia silnika. - Pan oszalał, nic innego, tylko oszalał. Zupełny wariat! - Jeżeli nawet przedtem nie poddawała się panice, teraz była śmiertelnie przerażona.

- Niech no się paniusia posunie - poprosiłem. - Zasłania mi paniusia widoczność.

Posunęła się, może o jakieś piętnaście centymetrów, ale nadal nie spuszczała ze mnie oczu, w których znać było śmiertelne przerażenie. Trzęsła się na całym ciele.

- Pan oszalał! - powtórzyła. - Proszę, proszę mnie puścić.

- Wcale nie oszalałem - z równą uwagą śledziłem lusterko wsteczne i drogę przed nami. - Ja tylko trochę myślę, panno Ruthven, i jestem spostrzegawczy. Na przygotowanie tej zapory mieli najwyżej parę minut, a trzeba dużo więcej czasu, by wytoczyć z magazynu sześć pełnych beczek benzyny i postawić je na sztorc. Beczka, w którą uderzyłem, ustawiona była tak, że otwór wlewowy znajdował się na wprost nas, a szpuntu nie było! Musiała więc być pusta. Co się zaś tyczy puszczenia pani wolno... no cóż, obawiam się, że nie stać mnie na związaną z tym stratę czasu. Niech się pani obejrzy za siebie.

Obejrzała się.

- Oni... oni gonią za nami!

- A czego się pani spodziewała? Że pójdą do knajpy na filiżankę kawy?

Droga biegła teraz bliżej morza, wiła się kręto równoległe do zakosów linii brzegowej. Ruch był stosunkowo niewielki, ale dostatecznie duży, by powstrzymać mnie od wyprzedzania na ślepych zakrętach. Goniący nas samochód policyjny systematycznie zmniejszał dzielącą nas odległość; kierowca bardziej był oswojony ze swoim wozem niż ja z tym Chevroletem, drogę zaś najwidoczniej znał jak własne pięć palców. W dziesięć minut po sforsowaniu zapory drogowej dopadł nas na odległość stu pięćdziesięciu metrów.

Dziewczyna nie spuszczała z oczu zbliżającego się samochodu. Teraz odwróciła się i spojrzała na mnie. Wszelkimi siłami starała się zachować spokój w głosie - i to jej się prawie udawało.

- Co... co się teraz stanie?

- Wszystko jest możliwe - odparłem krótko. - Prawdopodobnie nie będą się cackać. Nie przypuszczam, by byli szczególnie zadowoleni z tego, co się niedawno stało. - Nie zdążyłem skończyć słowa, a już rozległy się dwa czy trzy szybko po sobie następujące kłaśnięcia jak z bicia, słyszalne wyraźnie mimo pisku opon i wycia silnika. Rzut oka na twarz dziewczyny upewnił mnie, że nie muszę jej tłumaczyć, co się dzieje. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- Schyl się! - rozkazałem. - Kładź się na podłogę! Głowę też. Obojętne, strzelanina czy zderzenie, tam jesteś najbezpieczniejsza.

Kiedy skuliła się tak nisko, że widzieć mogłem jedynie jej ramiona i włosy, wyciągnąłem z kieszeni rewolwer, raptownie zdjąłem nogę z pedału gazu, sięgnąłem po ręczny hamulec i z całych sił szarpnąłem go w górę.

Nie zapowiedziane wcześniej przez ostrzegawcze światełka nożnych hamulców wytracenie prędkości przez Chevroleta było równie nieoczekiwane jak raptowne, a pisk opon i gwałtowne młynkowanie pościgowego wozu policyjnego najdobitniej świadczyły o tym, że kierowca został całkowicie zaskoczony. Szybko oddałem strzał i w tej samej chwili rozprysnęła się moja przednia szyba, przeszła pociskiem w samym środku. Wystrzeliłem po raz drugi. Wóz policyjny wpadł w niepohamowany poślizg i zatrzymał się niemal całą długością w poprzek szosy, a przednie koło obsunęło się do rowu po prawej stronie drogi. Tego rodzaju niekontrolowany poślizg zdarza się często na skutek przebiccia opony przedniego koła.

Jasne było, że siedzącym w wozie policjantom nie stało się nic złego, bo w parę sekund po ześlizgnięciu się do rowu wszyscy trzej stali już na szosie, ostrzeliwując nas w tempie, na jakie pozwalało zwalnianie języczka spustowego. Ale my zdążyliśmy już oddalić się o jakieś sto metrów, a przy takiej odległości przydatność rewolwerów i innej broni używanej do tłumienia zamieszek jest tak znikoma, że z równym powodzeniem mogli nas obrzucać kamieniami. Po kilku sekundach wzięliśmy zakręt i straciliśmy ich z oczu.

- W porządku - powiedziałem. - Wojna skończona. Może się pani podnieść, panno Ruthven.

Wyprostowała się i rozparła na siedzeniu. Kosmyki ciemnoblond włosów opadały jej na twarz, więc zdjęła chustkę, poprawiła fryzurę i zawiązała ją na powrót. Ach, te baby! - pomyślałem - nawet lecąc w przepaść nie omieszkałyby poprawić fryzury, jeśliby tylko przypuszczały, że na samym dnie ktoś na nie czeka.

Kiedy skończyła wiązać supełek pod brodą, powiedziała zgaszonym głosem, nie patrząc w moją stronę: - Dziękuję, że mi się pan kazał położyć na podłodze. Tu... na tym siedzeniu mogłabym stracić życie.

- Zupełnie możliwe - zgodziłem się obojętnie. - Ale ja, moja panno, martwiłem się o siebie, nie o panią. Utrzymanie pani w dobrym zdrowiu wiąże się bardzo ściśle z moim samopoczuciem. Gdybym nie miał przy sobie prawdziwej, żywej polisy ubezpieczeniowej, nie zawahaliby się użyć wszystkiego, co mieli pod ręką, od ręcznych granatów aż po 14-calowe działo okrętowe, byle mnie tylko unieszkodliwić.

- Ale przecież oni chcieli w nas trafić, chcieli nas zabić - jej głos znów zaczął drżeć, gdy głową wskazywała dziurę w przedniej szybie. - Siedziałam na wprost tego...

- Fakt. Szansa jedna na tysiąc. Na pewno mieli rozkaz unikania chaotycznej strzelaniny, ale może tak byli wściekli z powodu tego, co się stało przy zaporze drogowej, że zapomnieli o tym rozkazie. Prawdopodobnie celowali w oponę tylnego koła. Z szybko pędzącego samochodu trudno trafić. A może w ogóle kiepsko strzelają...

Ruch w kierunku przeciwnym był nadal niewielki, na przestrzeni jednego kilometra mijaly nas ledwie dwa-trzy wozy, ale i tego było aż nadto jak na moje samopoczucie. W większości samochodów siedziały całe rodziny wczasowiczów spoza granic stanu. Jak wszyscy wczasowicze, nie tylko żywo interesowali się wszystkim, co widzieli, ale najwidoczniej mieli czas i ochotę, by dawać upust wrodzonej ciekawości. Co drugi samochód zbliżając się do nas wytracał szybkość, a w lusterku wstecznym zauważyłem światło "stop" trzech czy czterech takich wozów, w których kierowca naciskał pedał hamulca, a pasażerowie odwracali głowy, żeby nam się dobrze przyjrzeć. Dzięki Hollywoodowi i tysiącom filmów telewizyjnych, miliony ludzi potrafią bez trudu zidentyfikować przestreloną przednią szybę.

Samo to było już dość niepokojące. A jeszcze bardziej absolutna pewność, że lada minuta wszystkie miejscowe radiostacje w promieniu stukilkudziesięciu kilometrów zaczną nadawać komunikaty o tym, co się stało w gmachu sądu w Marble Springs, a ponadto dokładny opis Chevroleta oraz rysopis mój i siedzącej obok mnie blondynki. Według wszelkiego prawdopodobieństwa co najmniej połowa jadących naprzeciwko mnie samochodów miała radio nastawione na jedną z tych lokalnych stacji, nieprzerwanie nadających koncerty z płyt zapowiadane przez spikerów, zwariowanych na punkcie gitar elektrycznych i muzyki ludowej. Po nieuniknionej przerwie, w czasie której nadany zostanie najświeższy komunikat, wystarczy, by za kierownicą choćby jednego z tych wozów znalazł się jakiś półgłówek, który marzy o tym, aby żonie i dzieciom udowodnić, jaki to z niego bohater, choć nikt go nigdy o to nie podejrzewał.

Sięgnąłem po ciągle jeszcze pustą torebkę dziewczyny, włożyłem do niej prawą pięść i wypchnąłem środek drobnorozpryskowej szyby przedniej. Dziura była teraz znacznie większa niż przedtem, ale daleko mniej rzucała się w oczy: w obecnym okresie wygiętych i hartowanych przednich szyb w samochodach podobna dziura nie stanowiła aż takiej rzadkości, by wzbudzać ogólną ciekawość. Pęknięcie szyby mógł przecież spowodować odprysnięty kamyk, nagła zmiana temperatury, a nawet dostatecznie głośny hałas przy odpowiedniej częstotliwości.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zdawałem sobie z tego sprawę, toteż gdy tylko w zamontowanym w Chevrolecie radiodbiorniku podniesiony głos szybko mówiącego spikera przerwał nadawaną właśnie radioreklamę i przekazał zwięzłą, choć mocno przesadzoną relację o mojej ucieczce, wzywając wszystkich użytkowników autostrady do czujności i do natychmiastowego meldowania o Chevrolecie, wiedziałem już, że muszę samochód porzucić - i to natychmiast! Za bardzo rzucał się w oczy, a na tej jedynej głównej arterii północ-południe nie miałem żadnej szansy, aby ująć powszechnej uwagi. Jak najszybciej musiałem zdobyć nowy wóz.

Znalazłem go niemal natychmiast. Wysłuchałem komunikatu właśnie w momencie, gdy przejeżdżaliśmy przez jedno z tych nowych miast, jakich dziesiątki wyrastają na wybrzeżach Florydy jak grzyby po deszczu. Niespełna dwieście metrów poza granicami miasta natknęliśmy się na parking przy szosie, od strony morza. Stały tam trzy wozy, najwidoczniej odbywające podróż razem, bo przez szparę w okalających parking drzewach i krzewach zauważyłem grupę siedmiu czy ośmiu osób, kierujących się ku odległej o jakieś trzysta metrów plaży; taszczyli ze sobą przenośny rożen, piecyk i koszyki z jedzeniem, a więc wyglądało na to, że zamierzają tu dłużej popasać.

Wyskoczyłem z Chevroleta ciągnąc dziewczynę za sobą i błyskawicznie zlustrowałem wozy: dwa kabriolety, jeden sportowy, wszystkie otwarte. W żadnej stacyjce nie było kluczyka; ale właściciel samochodu sportowego, podobnie jak wielu kierowców, zapasowy kluczyk woził w skrytce przy kolumnie sterowniczej, przykryty jedynie złożonym kawałkiem irchy.

Mogłem po prostu odjechać, pozostawiając wóz policyjny na parkingu, ale byłoby to głupie posunięcie. Dopóki miejsce postoju Chevroleta pozostanie tajemnicą, pościg skoncentruje się na tym wozie, nikt zaś nie będzie zwracał uwagi na złodzieja samochodów, który przywłaszczył sobie inne auto; jeśli natomiast znajdą Chevroleta na parkingu, pogoń przerzuci się natychmiast na skradziony wóz sportowy.

Nie minęło trzydzieści sekund, a już Chevrolet zawracał w stronę miasta, zwalniając w miarę, jak zbliżaliśmy się do pierwszego z nowo wybudowanych domków na skarpie, po nadbrzeżnej stronie szosy. W pobliżu nie było żywej duszy, nie wahałem się więc ani chwili: skręciłem na wybetonowany podjazd pierwszego domu, podjechałem prosto pod - podnoszone wrota garażu, wjechałem do środka, zgasilem silnik i szybko zatrzaskałem drzwi.

Kiedy po dwóch czy trzech minutach wychodziliśmy z garażu, pierwszy lepszy napotkany przechodzień musiałby dokładnie nam się przyjrzeć, by powziąć jakiekolwiek podejrzenie. Dziwnym trafem dziewczyna miała na sobie zieloną bluzkę z krótkimi rękawami w dokładnie tym samym odcieniu co mój garnitur, który to fakt dwókrrotnie podkreślano w komunikacie radiowym. Łatwy do zauważenia zbieg okoliczności, który musiał natychmiast zdradzić. Ale teraz po bluzce nie było już śladu, a biały opalacz, który miała pod spodem, miało też na sobie wiele dziewcząt tego upalnego letniego popołudnia, nie odróżniała się więc w najmniejszym nawet stopniu od tysiąca innych kobiet. Bluzkę wsunąłem w marynarkę, marynarkę przewiesiłem sobie przez ramię, tak że widoczna była tylko szara podszewka, a krawat schowałem do kieszeni. Odebrałem jej chustkę i zawiązałem sobie na głowie, tak że luźne końce węzła zwisały mi po prawej stronie czoła, zasłaniając szramę. Mogły mnie jeszcze zdradzić widoczne na skroniach rude włosy, toteż, kiedy pomalowałem je zwilżonym pędzelkiem od jej tuszu do rzęs, nie przypominały wprawdzie żadnych innych włosów, jakie kiedykolwiek dane mi było widzieć, ale przynajmniej nie były rude.

Pod bluzką i marynarką trzymałem pistolet.

Idąc powoli, by moje kuśtykanie było jak najmniej widoczne w ciągu trzech minut dotarliśmy do sportowego samochodu. Podobnie jak wóz, który przed chwilą upchnąłem w cudzym garażu, był to także Chevrolet, o identycznym nawet silniku, ale na tym podobieństwo się kończyło. Takim samym dwuosobowym autem o plastikowym nadwoziu jeździłem swego czasu w Europie i wiedziałem, że zapewnienia prospektów reklamowych o możliwości wyduszenia zeń prędkości rzędu dwustu kilometrów na godzinę całkowicie odpowiadają prawdzie.

Przeczekałem, aż z północy nadciągnie wielka, załadowana zwirom ciężarówka i korzystając z hałasu spowodowanego jej przejazdem uruchomiłem silnik Corvetty - wprawdzie grupka, którą już uprzednio zauważyłem, znajdowała się nad samym brzegiem morza, ale nie można było wykluczyć, że ktoś usłyszy charakterystyczny odgłos zapuszczanego silnika i poweźmie jakieś podejrzenie. Potem szybko skręciłem, wyjechałem na szosę i ruszyłem w ślad za wielką ciężarówką. Gdy dziewczyna zauważyła, że kierujemy się w tę stronę, z której właśnie przyjechaliliśmy, dostrzegłem na jej twarzy błysk zaskoczenia.

- Wiem, wiem. Powiedz mi, że oszalałem. Ale wcale nie oszalałem. Następna zaporą drogową z całą pewnością znajduje się w bardzo niewielkiej odległości na północ; tylko że tym razem to już nie będzie improwizacja, a przeszkoda zdolna zatrzymać pięćdziesięcotonowy czołg. Może przyjdzie im do głowy, że się tego domyślę, może dojdą do wniosku, że zjadę z szosy i po stronie wschodniej będę szukał bocznych dróg i ścieżek wśród bagien. W każdym razie tak bym na ich miejscu kombinował. To jest dobra okolica, by zapaść się pod ziemię. Ale właśnie dlatego

pojedziemy prosto na południe. Tego nikt nie przewidzi. A dzięki temu będziemy mogli ukryć się przez kilka godzin.

- Ukryć się? Gdzie? Gdzie pan może się ukryć? - Nie odpowiedziałem na jej pytania, więc ciągnęła dalej: - Proszę, niech mnie pan puści! Pan... pan jest teraz zupełnie bezpieczny. Na pewno. Musi pan być bardzo pewny siebie, bo inaczej nie obrałby pan tego kierunku. Błagam!

- Nie wygłupiaj się! - powiedziałem znużonym głosem. - Puszczę cię... a w ciągu dziesięciu minut każdy policjant w całym stanie będzie wiedział, jakim jadę samochodem i dokąd! Nie sądzisz chyba, że całkiem straciłem rozum.

- Ale pan mi przecież nie może ufać - upierała się przy swoim. Od dziesięciu minut nie postrzeliłem nikogo, więc wyzbyła się dotychczasowego przerażenia, przynajmniej na tyle, by zacząć samodzielnie myśleć. - Skąd pan może wiedzieć, że nie dam komuś znaków albo nie zacznę krzyczeć w chwili, gdy pan nie będzie mógł nic na to poradzić, na przykład przed sygnalizacją świetlną, albo... albo nie rzucę się na pana, kiedy pańska uwaga będzie odwrócona? Skąd pan może wiedzieć...

- A ten policjant Donnelly - powiedziałem ni stąd, ni zowąd. - Ciekawe, czy lekarz dotarł do niego na czas.

Zrozumiała, co chciałem przez to powiedzieć. Jej twarz, która przedtem nabierała już rumieńców, teraz znów pobladła. Ale nie brakło jej odwagi, tej w najlepszym - albo w najgorszym - gatunku, która zawsze może przysporzyć człowiekowi kłopotów.

- Mój ojciec, panie Talbot, jest chory. - Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po nazwisku, a mojej uwagi nie uszło, że zrobiła to w formie nad wyraz uprzejmej. - Strasznie się boję, co się z nim stanie, kiedy się o tym dowie. On... no więc, ma bardzo słabe serce i...

- A ja mam żonę i czworo, wygłodniałych dzieci - przerwałem. - Możemy sobie wzajemnie ocierać łzy. Siedź spokojnie.

Nie odezwała się ani słowem, gdy po paru minutach podjechałem pod drogerię, wszedłem do środka i zadzwoniłem przez telefon. Stała obok mnie, dostatecznie daleko, by nie słyszeć, co mówię, ale dostatecznie blisko, by widzieć kształt pistoletu ukrytego pod marynarką. Na odchodnem kupiłem papierosy. Sprzedawca przyjrzał mi się, a potem zaparkowanej przed sklepem Corvetcie.

- Gorący dziś dzień na podróżowanie. Pan z daleka?

- Tylko znad jeziora Chilicoote. - Widziałem tę nazwę na drogowskazie, który mijaliśmy pięć czy sześć kilometrów stąd. Moje wysiłki naśladowania amerykańskiego akcentu przyprawiły mnie o skurcz twarzy. - Na rybach.

- Na rybach, co? - głos sprzedawcy brzmiał raczej neutralnie, czego nie dałoby się powiedzieć o uśmiešku w jego oczach, gdy przyglądał się stojącej u mego boku dziewczynie. Tego popołudnia postanowiłem jednak poskromić mój instynkt błędnego rycerza, więc nawet nie zareagowałem. - Złapał pan coś?

- Co nieco. - Nie miałem zielonego pojęcia, czy w miejscowych jeziorach jest w ogóle jakaś ryba, a jeżeli tak; to jaka, ale kiedy się zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że jest zupełnie nieprawdopodobne, by ktoś babrał się w tych płytkich bagnistych jeziorach mając pod samym nosem całą Zatokę Meksykańską. - Ale je straciłem - podniosłem głos, udając gniew na samo wspomnienie. - Na chwilę tylko zostawiłem siatkę na szosie, a jakiś wariat przeleciał koło mnie, pędząc chyba sto trzydzieści na godzinę. I siatkę, i rybę zgniótł na drobny mak. A na tych bocznych drogach tyle jest kurzu, że nawet nie udało mi się zanotować numeru rejestracyjnego.

- Wariatów nigdzie nie brak - jego wzrok nagle jak gdyby poszybował w siną dal, a potem prędko zapytał: - Panie, a jaki to był wóz?

- Granatowy Chevrolet. Rozbita przednia szyba. A bo co, czy coś się stało?

- Jeszcze się pyta, czy coś się stało! To znaczy, że pan nic nie wie? Zauważył pan tego faceta za kierownicą?

- Nie. Za szybko pruł. Tyle tylko, że miał bujne rude włosy, ale...

- Rude włosy. Jezioro Chilicoote. Chłopie! - odwrócił się i pobiegł do telefonu.

Wyszliśmy na słońce. Dziewczyna powiedziała: - Ale z pana bystry facet! Jak... jak pan może być tak opanowany? Mógł przecież pana rozpoznać...

- Wsiadaj do wozu. Rozpoznać mnie? Cały czas gapił się na ciebie. Coś mi się zdaje, że temu, kto szył ten opalacz, zabrakło nagle materiału, ale postanowił mimo wszystko dokończyć dzieła.

Wsiadliśmy i ruszyliśmy. Po przejechaniu sześciu czy siedmiu kilometrów znaleźliśmy się w miejscu, na które już przedtem zwróciłem uwagę. Był to parking ocieniony palmami, położony między szosą a brzegiem morza. Pod prowizorycznym drewnianym sklepieniem bramy wisiał ogromny szyld "Przedsiębiorstwo budowlane Codell", a poniżej jeszcze większymi literami "Nadzór budowy nabrzeża. Wjazd".

Wjechałem więc. W środku stało już kilkanaście samochodów. Część ludzi rozlokowała się na specjalnie ustawionych ławeczkach, ale większość nie opuszczała własnych wozów. Wszyscy przyglądali się zakładaniu fundamentów pod dalszą rozbudowę nowego miasta w kierunku morza. Na czterech wielkich linach bagrowych mechaniczne koparki na gąsienicach posuwały się powoli i dostojnie, odrywając z dna zatoki kawałki podwodnej skały koralowej, układały szerokie, solidne ławy fundamentową, a potem wspinały się na wybudowany falochron i zrywały następne kęsy

koralewej skały. Jedna z koparek budowała szerokie molo, biegnące prosto w morze: tu miała powstać nowa ulica osiedla. Dwie inne wznosiły mniejsze mola, ustawione prostopadle do głównego - tu miały być działki budowlane, każdy domek z własną przystanią. Czwarta koparka zataczała szeroki łuk w kierunku północnym, wrzynając się na powrót w głąb lądu: zapewne port jachtowy. To powstawanie nowego miasta z dna oceanu sprawiało wrażenie wręcz fascynujące, tylko że ja nie byłem w nastroju do fascynacji.

Zaparkowałem wóz między dwoma pustymi kabrioletami, otworzyłem zakupioną przed chwilą paczkę papierosów, zapaliłem. Dziewczyna obróciła się na siedzeniu i gapiła się na mnie z niedowierzaniem.

- Czy właśnie to miejsce miał pan na myśli mówiąc, że gdzieś się musimy ukryć?

- Właśnie to - upewniłem ją.

- I zamierza pan tu zostać?

- A co ty o tym sądzisz?

- Przecież kręci się tu tyle ludzi... Każdy może pana zobaczyć... Tu, dwadzieścia metrów od szosy, gdzie każdy przejeżdżający patrol policyjny...

- Wiesz, o co mi chodzi? Każdy będzie rozumował tak samo jak ty. To jest najmniej prawdopodobne miejsce, które człowiek ścigany wybrałby sobie na kryjówkę. I dlatego jest to miejsce idealne. I dlatego tu zostaniemy.

- Nie może pan zostać tu na zawsze - odparła ze spokojem.

- To prawda - zgodziłem się - byle do zmroku! Niech się pani przysunie do mnie bliżej, panno Ruthven, naprawdę bliżej. Człowiek ścigany, obawiający się o własne życie... jaki się obraz pani nasuwa? Człowieka wyczerpanego, o dzikim wzroku, przedzierającego się przez gęstwinę lasu lub zapadającego się po pachy w niedostępnych bagnach Florydy... Ale na pewno nie wygrzewającego się w słońcu, przytulonego do pięknej dziewczyny... Nic, co by budziło najmniejsze podejrzenia, prawda? Niech no się panienka przysunie!

- Żałuję, że nie ja trzymam ten pistolet w rękę - powiedziała cicho.

- Wcale w to nie wątpię. Przysuń się!

Przysunęła się. Kiedy mnie dotknęła gołym ramieniem, odczułem w niej niepohamowany dreszcz obrzydzenia. Próbowałem wyobrazić sobie, jak ja bym się czuł, gdybym był młodą, ładną dziewczyną w towarzystwie mordercy, ale to się okazało zbyt trudne. Nie jestem dziewczyną, nie jestem nawet specjalnie młody ani przystojny, więc dałem za wygraną. Pokazałem jej rewolwer schowany pod marynarką leżącą na moich kolanach i oparłem się na siedzeniu, radując się lekką bryzą od morza, łagodzącą działanie promieni słonecznych, przesączających się przez szeleszczące liście drzew palmowych. Ale wyglądało na to, że słońce już niedługo zajdzie. Ta morska bryza,

nadciągająca nad spalony żarem ład, przesycona była wilgocią, a przesuujące się po niebie malutkie, białe strzępy chmur już zaczynały się łączyć w gęste szare cumulusy. Wcale mnie to nie cieszyło. Potrzebowałem pretekstu, by nie zdejmować chustki z głowy.

Jakieś dziesięć minut po naszym przyjeździe pojawił się na szosie jadący od południa czarny samochód policyjny. W lusterku wstecznym widziałem, jak zwalnia: dwaj policjanci wychylili głowy, by szybko zlustrować cały parking. Ale była to lustracja równie szybka, co powierzchowna, widać było, że nie spodziewają się tu znaleźć nic ciekawego. Samochód odjechał, nim jeszcze zdążył wytracić szybkość.

Nadzieja w oczach dziewczyny - teraz dopiero mogłem się przekonać, że oczy miała szare, chłodne i czyste - zgasła jak zdmuchnięty płomień świecy. Świadczyły o tym jej opuszczone ramiona i zgarbione plecy.

Po upływie pół godziny nadzieja odżyła. Dwaj gliniarze na motorach, w skórzanych rękawicach, bardzo bojowi i bardzo sprawni, podjechali pod bramę idealnie zgrani, zatrzymali się idealnie razem, w jednej i tej samej chwili wygasili silniki. Przez kilka minut sterczeli bez ruchu, opuściwszy na ziemię nogi w wysokich lśniących butach, a potem zsiadli, kopnięciem nogi opuścili podpórki motocykli i zaczęli przechadzać się między samochodami. Jeden z nich trzymał w garści rewolwer.

Zaczęli od wozu zaparkowanego najbliżej wjazdu. Samochód obrzucili tylko krótkim spojrzeniem, ale długo i przenikliwie przyglądali się siedzącym w nim ludziom. Niczego nie tłumaczyli, za nic nie przepaszali: wyglądali dokładnie tak, jak powinni wyglądać gliniarze, którzy się właśnie dowiedzieli, że inny gliniarz został zastrzelony. I umierał. Albo już umarł.

Nagle przeskoczyli dwa lub trzy wozy i ruszyli prosto ku nam. Tak to przynajmniej wyglądało, ale minęli nas i skierowali się ku Fordowi, stojącemu przed nami, po lewej stronie. Kiedy nas mijali, poczułem, jak dziewczyna sztywnieje, widziałem, że robi głęboki wdech.

- Nie rób tego! - objąłem ją ramieniem i mocno przygarnąłem do siebie. Oddech, przeznaczony na ostrzegawczy krzyk, wydobył się w postaci jęku bólu. Bliższy nas policjant obejrzał się, ale zobaczywszy twarz dziewczyny wtuloną między moje ramię i szyję, odwrócił wzrok. Widząc to, co mu się zdawało, że widzi, rzucił parę słów swemu towarzyszowi, i to wcale nie po cichu; w normalnych okolicznościach byłby to wystarczający powód do jakiejś reakcji. Ale okoliczności nie były normalne, więc nie zareagowałem.

Kiedy puściłem dziewczynę, całą jej twarz pokrywał rumieniec, sięgający prawie po sam opalacz. Wtulona w moją szyję, miała mało świeżego powietrza, ale podejrzewam, że głównym powodem tego rumieńca były słowa policjanta. W jej oczach czaiła się złość. Po raz pierwszy wyzbyła się strachu, była po prostu wściekła.

- Mam zamiar wydać pana - mówiła głosem łagodnym, ale nieprzejednanym. - Niech się pan podda.

Policjant kontrolował Forda. Kierowca miał na sobie zieloną marynarkę w tym samym co moja odcieniu, a słomkowy kapelusz nasunął głęboko na oczy: zwróciłem na niego uwagę, kiedy wjeżdżał, włosy miał czarne, twarz opaloną, wąsatą i puciołowatą. Policjanci nie ruszali się z miejsca. Stali w odległości niespełna pięciu metrów od nas, ale zgrzytanie i warkot wielkich koparek zagłuszały naszą cichą rozmowę:

- Nie wygłupiaj się - powiedziałem spokojnie. - Mam pistolet.

- Ale tylko jeden pocisk.

Miała rację. Dwie pestki poszły na sali sądowej, jedną przestrelilem oponę w Studebakerze sędziego, a dwie zmarnowałem, kiedy nas ścigał policyjny samochód.

- Mocna jesteś w rachunkach, mała - burknąłem. - Będziesz miała mnóstwo czasu na liczenie w szpitalu, kiedy lekarze złożą cię do kupy. Jeżeli potrafią złożyć cię do kupy.

Spojrzała na mnie rozchylając wargi, ale nie odezwała się ani słowem.

- Jedna mała kulka, ale ile może wyrządzić szkody! - wysunąłem pistolet spod marynarki i przytknąłem do jej nogi. - Słyszałaś, jak mówiłem temu idiocie Donnelly'emu, co potrafi zdziałać pocisk z miękkiego ołowiu? Ta lufa opiera się o twoją kość biodrową. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? - mówiłem teraz głosem bardzo cichym, bardzo groźnym. - Będziesz miała kość zdruzgotaną, nie do naprawienia. To znaczy, że nigdy już nie będziesz mogła chodzić, panno Ruthven. Nigdy więcej nie będzie pani biegać ani tańczyć, ani pływać, ani jeździć konno. Przez całą resztę życia będzie pani zmuszona o kulach wlec to piękne ciało. Albo je wozić w fotelu na kółkach. W nieustających boleściach. Przez całe życie... No więc, będziesz wołała gliniarzy?

Początkowo nie odpowiedziała, cała krew spłynęła jej z twarzy, nawet wargi pobladły.

- Wierzysz mi? - zapytałem cicho.

- Wierzę.

- No więc?

- No więc i tak ich zawołam - odparła z prostotą. - Może pan zrobić ze mnie kalekę... ale oni na pewno pana dostaną w swoje ręce. A wówczas nie będzie pan zabijał nikogo. Muszę to zrobić.

- Taka szlachetność uczuć przynosi pani zaszczyt. - Ironiczny ton mego głosu bynajmniej nie harmonizował z myślami, jakie mi przebiegły po głowie. Miała zamiar zrobić to, czego ja nigdy bym nie zrobił. - Może sobie pani wołać. Przynajmniej będzie pani świadkiem ich śmierci.

Popatrzyła na mnie. - Co... co chce pan przez to powiedzieć? Ma pan tylko jeden pocisk...

- Ale teraz już nie dla pani. Niech no panienka tylko piśnie słówko, a ten gliniarz z rewolwerem dostanie za swoje. Dostanie prosto w sam środek klatki piersiowej. Radzę sobie nie najgorzej z tymi Coltami, widziała pani, jak jednym strzałem wytrąciłem szeryfowi pistolet z dłoni. Ale nie mam zamiaru ryzykować. Prosto w środek klatki piersiowej, potem unieszkodliwię drugiego gliniarza, żadnych kłopotów z tym nie będzie, do tej pory nie rozpiął nawet kabury. Wie, że jestem mordercą, ale nie wie, że będę trzymał pusty pistolet. Odbiorę mu broń, postrzelę go i zmiatam. - Uśmiechnąłem się. - Nie sądzę, by ktokolwiek próbował mnie zatrzymać...

- Ale... ale ja mu powiem, że pański pistolet jest pusty. Powiem...

- Panienka jest pierwsza w kolejności. Raz wyrznię łokciem w dołek i przez następne pięć minut nic nikomu nie będziesz w stanie powiedzieć.

Zapadło długie milczenie, gliniarze ciągle jeszcze tam stali. Potem powiedziała cichutko: - Zrobiłby pan to, prawda?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

- Nienawidzę pana! - Głos był pozbawiony wyrazu, jasne szczere oczy pociemniały z rozpaczy i bezsilności. - Nigdy nie przypuszczałam, że można kogoś tak nienawidzić. To... to mnie przeraża.

- Lepsza przerażona, ale żywa. - Przyglądałem się, jak policjanci kończyli obchód parkingu, wolno poszli do swoich motocykli i odjechali.

Późne popołudnie dobiegało końca. Koparki ze skrzypieniem i zgrzytem pełzały nieubłaganie w głąb morza. Kierownicy budowy przyjeżdżali i odjeżdżali, ale przeważnie odjeżdżali, tak że niebawem na parkingu zostały tylko dwa wozy: nasz i Ford prowadzony przez mężczyznę w zielonej marynarce. A potem niebo, zasnuwające się coraz ciemniejszymi cumulusami, osiągnęło wreszcie złowieszczy kolor granatu i spadł deszcz.

Spadł gwałtownie, jak wszystkie podzwrotnikowe burze. Nim zdążyłem uruchomić nie znany mi mechanizm i zaciągnąć rozsuwany dach, moja cienka, bawełniana koszula była tak mokra, jak gdybym wyszedł z morza. Kiedy zakręciłem boczne szyby i spojrzałem w lusterko, przekonałem się, że po twarzy, od skroni po brodę, spływają mi czarne smugi - tusz, którym przyciemniłem włosy, zmył się prawie całkowicie. Otarłem się chusteczką od nosa, jak mogłem najstaranniej, a potem zerknąłem na zegarek. Ciemne chmury przesłaniały niebo od widnokrzęgu po widnokrzęg: wieczór zapadł przed czasem. Samochody gnające po autostradzie miały już włączone światła postojowe, choć był to jeszcze raczej dzień niż noc. Zapaściłem silnik.

- Miał pan czekać, aż się ściemni - dziewczyna sprawiała wrażenie zaskoczonej. Może spodziewała się, że pojawi się więcej glin, bardziej spostrzegawczych.

- Owszem, miałem - przyznałem. - Ale o tej porze pan Chas Brooks już odstawia swój numer wokarno-taneczny na autostradzie, w odległości zaledwie kilku kilometrów. Wyobrażam sobie, jakim barwnym posługuje się językiem...

- Pan Chas Brooks? - sądząc po głosie, musiała chyba naprawdę dojść do wniosku, że oszalałem.

- Z Pittsburga, w stanie Kalifornia - postukałem palcem w tabliczkę rejestracyjną przy kolumnie sterowniczej. - Z daleka przyjechał, żeby stracić swój samochód. - Uniosłem głowę i nasłuchiwałem, jak wielkie krople deszczu w rytmie karabinu maszynowego bębnią o brezentowy dach. - Nie sądzi pani chyba, że w tej chwili pieką mięso na rożnie, a piknik nad brzegiem morza jeszcze trwa?

Wyjechałem pod prowizorycznym sklepieniem bramy i na autostradzie skręciłem w prawo. Kiedy się teraz odezwała, nie miałem już wątpliwości, że rzeczywiście uważa mnie za wariata.

- Marble Springs. - Przerwała, a potem dodała: - Pan tam wraca? - To było jednocześnie pytanie i stwierdzenie faktu.

- Zgadza się. Do motelu La Contessa. Skąd gliniarze mnie zwinęli. Zostawiłem tam różne drobiazgi, a chciałbym je odebrać.

Tym razem wcale się nie odezwała. Może pomyślała, że "wariat" to zupełnie nieadekwatne określenie.

Ściągnąłem chustkę z głowy - w narastającym mroku ten biały odblask na czole rzucał się w oczy bardziej niż moje rude włosy - ciągnąłem dalej: - Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby tam mnie szukać. Mam więc zamiar spędzić tam noc, może nawet kilka nocy, aż znajdę statek, którym uda mi się zwiać. A pani zostanie ze mną. - Zignorowałem okrzyk, który jej się bezwiednie wyrwał. - To właśnie w tej sprawie telefonowałem przedtem z drogerii. Zapytałem, czy domek numer 14 jest jeszcze wolny, odpowiedziano mi, że tak, więc powiedziałem, że go zamawiam, bo polecali go przejeżdżający przyjaciele jako najbardziej intymny, na końcu długiego szeregu domków od strony morza, tuż obok schowka, w którym, nim gliny mnie zgarnęły, złożyłem walizkę. Jest tam także śliczny prywatny garaż, gdzie mogę schować ten wóz i nikt nie będzie wścibiał nosa w nasze sprawy.

Przejechaliśmy kilometr, dwa, trzy, a ona nie odezwała się słowem. Założyła z powrotem zieloną bluzkę, ale była to tylko koronkowa szmatka, więc zmokła zupełnie tak samo jak ja, kiedy próbowałem zaciągnąć dach, toteż raz po raz wstrząsały nią dreszcze. Z powodu deszczu wyraźnie się ochłodziło. Zbliżaliśmy się już do granic Marble Springs, kiedy wreszcie przemówiła.

- Nie może pan tego zrobić. Musi się pan zameldować albo wpisać do rejestru hotelowego, albo wziąć klucze, albo pójść do restauracji. Nie może pan tak po prostu...

- Owszem, mogę. Prosiłem, aby domek był przygotowany i otwarty na nasz przyjazd, a klucze w drzwiach garażu i pokoju... Zameldujemy się później. Powiedziałem, że od świtu przejechaliśmy kawał drogi, że jesteśmy wypompowani i że będziemy zobowiązani, jeśli posiłki podadzą nam do pokoju i uszanują nasz intymny spokój. - Odchrząknąłem: - Powiedziałem recepcjonistce, że jesteśmy w podróży poślubnej. Miałem wrażenie, że zrozumiała naszą prośbę o uszanowanie spokoju.

Nim zdążyła znaleźć odpowiedź, byliśmy już na miejscu. Wjechałem przez ozdobną pomalowaną na liliowo bramę i zatrzymałem się przed recepcją, parkując wóz dokładnie pod potężnym reflektorem, który rzucał cień tak głęboki, że moje pod dachem samochodu rude włosy były praktycznie niewidoczne. Przy wejściu stał Murzyn w liliowo-błękitnym uniformie ze złotymi guzikami, zaprojektowanym przez daltonistę, noszącego na domiar przyćmione szkła. Zawołałem go.

- Domek numer 14. Którędy? - zapytałem.

- Pan Brooks? - Skinąłem głową, on zaś dodał: - Przygotowałem wszystkie klucze. W tę stronę, proszę.

- Dziękuję. - Przyjrzałem mu się. Był siwy, skulony, chudy, wyblakłe oczy stanowiły zamglone zwierciadło tysięcy smutków i niepowodzeń. - Jak się nazywacie?

- Charles, proszę pana.

- Prosiłbym o whisky, Charles - podałem mu pieniądze. - Szkocka, nie Burbon. I koniak. Zrobi się?

- Natychmiast, proszę pana.

- Dziękuję. - Wrzuciłem bieg i podjechałem pod numer 14. Stał na samym końcu długiego cypla, między zatoką po lewej stronie a basenem kąpielowym w kształcie nerki po prawej. Drzwi garażu były otwarte, więc wjechałem do środka, zgasilem światła wozu, w półnroku zamknąłem opuszczane wrota, a potem zapaliłem górną lampę.

Po lewej stronie, przy samym końcu ściany, znajdowały się pojedyncze drzwi, prowadzące z garażu. Minęliśmy je i znaleźliśmy się w kuchence, czyściutkiej i wspaniale wyposażonej. Stąd drzwi prowadziły do pokoju, który służył jednocześnie jako sypialnia i salonik. Liliowy chodnik, liliowe story, liliowa kapa na łóżko, liliowe abażury, liliowe pokrycie foteli; gdziekolwiek spojrzeć, ten sam kołący w oczy odcień. Ktoś widocznie lubił kolor lila. Pokój miał jeszcze drzwi: te po lewej, w tej samej ścianie co drzwi kuchni, prowadziły do łazienki, w przeciwnym zaś końcu na korytarz.

W mig znalazłem się na korytarzu, pociągnąwszy dziewczynę za sobą. Schowek w ścianie znajdował się w odległości zaledwie dwóch metrów, nie był zamknięty na klucz, a moja walizka

leżała jeszcze w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłem. Przeniosłem ją do pokoju, otworzyłem i właśnie miałem zamiar wyrzucić część rzeczy na łóżko, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- To pewnie Charles - mruknąłem. - Otwórz drzwi, stań w odpowiedniej odległości, odbierz butelki, powiedz mu, że reszty nie trzeba. Nie próbuj nic szeptać, dawać znaków czy wykonywać jakichś zręcznych skoków na korytarz. Będę cię pilnował przez uchylone drzwi łazienki z pistoletem wycelowanym w twoje plecy.

Nie próbowała nic z tych rzeczy. Myślę, że była za bardzo zziębnięta, nieszczęśliwa, wyczerpana narastającym w ciągu dnia napięciem, by pokusić się o cokolwiek. Staruszek wręczył jej butelki, ze zdziwieniem przyjął resztę mamrocząc słowa podziękowania i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

- Zmarzłaś i trzęsiesz się cała - powiedziałem nagle. - Nie życzę sobie, żeby moja polisa ubezpieczeniowa nabawiła się zapalenia płuc. - Przyniosłem dwie szklanki. - Pozwoli pani nieco koniaku, panno Ruthven? A potem gorącą kąpiel. Może w mojej walizce znajdzie się coś suchego.

- Bardzo pan uprzejmy - odparła z rozgoryczeniem. - Ale koniaku się napiję.

- Bez kąpeli?

- Bez - urwała z wahaniem. Błysk w jej oku, którego mogłem się raczej domyślać niż zobaczyć, przekonał mnie, że byłem w błędzie przypuszczając, że jest zbyt wyczerpana, by cokolwiek przedsięwziąć. - Dobrze, kąpiel też.

- W porządku. - Zaczekałem, aż skończy pić, cisnąłem walizkę na podłogę w łazience i cofnąłem się, by dać jej przejście. - Nie marudź całą noc. Jestem głodny.

Drzwi zamknęły się, w zamku zgrzytnął klucz. Doszedł mnie odgłos wody napełniającej wannę, potem różne odgłosy mydlenia i chlapania, bezspornie świadczące o tym, że ktoś się kąpie. Wszystko było obliczone na uspienie mojej czujności. Usłyszałem więc z kolei, że ktoś wyciera się ręcznikiem, a kiedy w minutę czy dwie później rozległo się bulgotanie wody spływającej z wanny, wyszedłem z pokoju i minąwszy dwoje drzwi kuchennych i zewnętrzne drzwi garażu, zdążyłem tylko dostrzec otwarte okno łazienki, z którego wydobywał się niewielki obłok pary. Złapałem ją za ramię, kiedy zeskakiwała na ziemię, drugą ręką zdusiłem jęk przestachu i zaprowadziłem z powrotem do pokoju.

Zamknąłem drzwi kuchni i przyjrzałem się dziewczynie. Sprawiała wrażenie świeżej, wmytej i czystej; w pasie miała przewiązaną jedną z moich białych koszul. Do oczu napłynęły jej łzy rozpacz, na twarzy malowała się klęska, ale mimo wszystko na taką twarz przyjemnie było patrzeć. Wprawdzie spędziliśmy w samochodzie wiele godzin, ale dopiero teraz po raz pierwszy przyjrzałem jej się naprawdę.

Miała wspaniałe włosy, gęste i błyszczące, przedzielone pośrodku, w takim samym pszenicznym kolorze i tak samo uplecione w warkocze, jak to się często widzi u dziewcząt z krajów nadbałtyckich. Ale nigdy nie mogłaby wygrać konkursu na Miss Ameryki, na to jej twarz miała zbyt wiele charakteru; nie mogłaby nawet stawać do konkursu o tytuł Miss Marble Springs. Była to twarz trochę słowiańska, o szerokich kościach policzkowych, wysoko zaznaczonych, usta zbyt pełne, spokojne, szare oczy, rozstawione szeroko, a nos lekko zadarty. Twarz żywa i inteligentna, podatna, jak się domyślałem, na współczucie i dobroć, radość i uśmiech - kiedy zniknie znużenie i przeminie strach. W czasach, gdy jeszcze nie zrezygnowałem z marzenia o własnych kapciach i własnym kominku, taka twarz pasowałaby idealnie do moich marzeń. Należała do gatunku kobiet, które ładnie się starzeją, które do końca życia pozostają wiernymi towarzyszками mężczyzny.

Stałem więc tak po prostu, trochę się nad nią litując, a trochę litując się nad samym sobą, gdy nagle poczułem chłodny prąd powietrza, który musnął mnie po karku. Przeciąg dochodził od strony łazienki, jeszcze przed sekundą zamkniętej na klucz. Przed sekundą - ale już nie teraz.

Rozdział III

Nawet gdybym nie zobaczył rozszerzonych oczu dziewczyny, i tak wiedziałbym, że zimne ciarki, jakie przeszły mi po plecach, nie były wytworem mojej wyobraźni. Obłok pary z przegrzanej łazienki musnął mnie w prawe ucho; taka ilość nie mogła się ulotnić przez dziurkę od klucza. Odwróciłem się powoli, trzymając ręce z dala od ciała. Może później pokuszę się o jakąś chytrą sztuczkę. Teraz na pewno nie.

Najpierw zauważyłem pistolet w ręku, pistolet z gatunku tych, jakich nie używają początkujący. Ciężki, ponury, czarny niemiecki Mauzer kaliber 7,63. Bardzo oszczędna broń: każdy pocisk za jednym zamachem potrafi przeszyć trzy osoby.

Następnie zauważyłem, że drzwi łazienki jak gdyby się skurczyły, od czasu kiedy je widziałem po raz ostatni. Wprawdzie ramiona nieznanego niezupełnie sięgały od futryny do futryny, ale tylko dlatego, że były to naprawdę bardzo szerokie drzwi. Kapelusz ponad wszelką wątpliwość dotykał poprzeczki.

I wreszcie moją uwagę przykuł jego kapelusz, który miał na głowie, i kolor marynarki. Kapelusz słomkowy, marynarka zielona. Był to nasz sąsiad i przyjaciel z Forda, zaparkowanego tuż obok nas przed kilkoma godzinami.

Lewą ręką sięgnął do tyłu i delikatnie zamknął drzwi łazienki.

- Nie powinien pan zostawiać otwartych okien. Proszę pistolet. - Mówił głosem spokojnym i głębokim, ale bez cienia teatralności czy groźby. Widać było, że to jego normalny sposób mówienia.

- Pistolet? - próbowałem udawać zdziwienie.

- Słuchaj, Talbot - powiedział grzecznie - podejrzewam, że obaj jesteśmy tak zwanymi zawodowcami. Proponuję ograniczyć zbędne rozmowy. Pistolet. To, co nosisz tutaj, w prawej kieszeni marynarki: Wyciągnij go palcem i kciukiem lewej dłoni. Właśnie tak. A teraz rzuć na dywan. Dziękuję.

Nie czekając na dalsze polecenia, kopnąłem pistolet w jego kierunku, tak że przeleciał przez cały pokój. Nie chciałem, aby sobie pomyślał, że nie jestem zawodowcem.

- A teraz siadaj - rozkazał. Uśmiechnął się do mnie i wtedy przekonałem się, że jego twarz wcale nie jest pucołowata, chyba że pucołowatą można by nazwać bryłę kamienia. Była to po prostu twarz szeroka i nawet gdyby ją zwęzić o połowę, i tak nie osiągnęłoby się znaczących efektów. Wąski, czarny wąsik i cienki, niemal grecki nos nie bardzo do niej pasowały, były prawie równie niestosowne, jak zmarszczki śmiechu wokół oczu i w obu kącikach ust. Nie

przywiązywałem zbytnej wagi do tych zmarszczek, niewykluczone, że uśmiech ćwiczył jedynie wówczas, gdy walił kogoś w łeb kolbą pistoletu.

- Rozpoznałeś mnie na parkingu? - zapytałem.

- Nie. - Lewą ręką rozładował Colta, wyrzucił ostatni pocisk, złożył broń z powrotem i niedbale cisnął ją na odległość ponad trzech metrów, tak że wylądował prościutko w koszu na śmiecie. Wyglądało na to, że takie sztuczki udają mu się w dziewięciu wypadkach na dziesięć; o cokolwiek ten człowiek się pokusi, zawsze mu się uda, a jeśli taką miał sprawną lewą rękę, co dopiero mówić o prawej? - Nie widziałem cię ani nigdy o tobie nie słyszałem, aż dopiero dzisiaj po południu, kiedy to spotkaliśmy się na parkingu - ciągnął dalej. - Ale ze sto razy chyba widziałem i słyszałem o tej młodej damie. Gdybyś nie był Anglikiem; i ty słyszałbyś o niej. Może zresztą i słyszałeś, ale nie wiesz, kogo tu masz. Nie ty pierwszy zresztą dałeś się nabrać. Żadnego makijażu, żadnej ozdoby, włosy splecione w warkocze jak u małej dziewczynki. Tak może wyglądać kobieta, która albo zrezygnowała z wszelkiej rywalizacji, albo już nie ma z kim rywalizować. - Spojrzał na dziewczynę i znowu się uśmiechnął. - Mary Blair Ruthven nie ma żadnych rywalek. Kiedy osiąga się tak wysoki status społeczny i ma się takiego ojca, można się obejść bez uniwersyteckiego akcentu i bez fryzury od Antoine'a. Akcent i fryzura są dla tych, które ich potrzebują.

- A jej stary?

- Co za ignorancja! Blair Ruthven, generał Blair Ruthven. Chyba słyszałeś o Klubie Czterystu? Otóż właśnie on prowadzi rejestr członków. Chyba słyszałeś o statku "Mayflower": przodkowie starego Ruthvena udzielili pierwszym pielgrzymom zezwolenia na lądowanie! No i jest najbogatszy w Stanach Zjednoczonych po Paulu Gettym.

Nic nie odpowiedziałem, wydało mi się, że trudno znaleźć na to stosowną odpowiedź. Zastanowiłem się tylko, co on by powiedział, gdybym mu powtórzył moje marzenia na jawie o kapciach, o kominku i dziedzicze multimilionerce. Powiedziałem więc tylko:

- A tam na parkingu miałaś w samochodzie nastawione radio. Sam słyszałem. Nadawano wtedy komunikat specjalny.

- Otóż to - zgodził się radośnie.

- Kim pan jest? - odezwała się Mary Blair po raz pierwszy od chwili, gdy nieznajomy wszedł do pokoju. Tak to jest, kiedy się należy do szczytów elity Klubu Czterystu: nie omdlewa się, nie mamrocze złamanym głosem "dzięki Bogu!", nie wybucha się łzami i nie zarzuca rąk na szyję wybawcy; wystarczy ładnie się uśmiechnąć, żeby pokazać, że ów wybawca w niczym nie jest gorszy, choć doskonale wiadomo, że to nieprawda, i zapytać "Kim pan jest?"

- Jablonsky, panienko. Herman Jablonsky.

- Domyślam się, że pan też przyplłynął na statku "Mayflower" - powiedziałem z przekąsem. Obrzuciłem dziewczynę pytającym wzrokiem. - Miliony i dziesiątki milionów dolarów, co? Kupa forsy kręci się tu po mieście! W każdym razie, rozumiem teraz, skąd się wziął Valentino.

- Valentino? - widać było, że ciągle uważa mnie za wariata.

- Ten goryl ze złamanym nosem, który siedział za panią w sali sądowej. Jeśli stary kupuje szyby naftowe z takim samym znanstwem, z jakim córce straż przyboczną, to już niedługo zaczniesz się pani ubiegać o zasiłek. Dla nędzarzy.

- To nie był mój stały... - zagryzła wargi, a w jej jasnoszarych oczach przemknął jak gdyby cień bólu. - Jestem panu ogromnie zobowiązana - zwróciła się do Jablonsky'ego.

Jablonsky uśmiechnął się ponownie, ale nie powiedział ani słowa. Wyjął paczkę papierosów, stuknął w dno, jednego wyciągnął zębami, z płaskiego opakowania odgiął tekturową zapalną, potem przez cały pokój rzucił mi papierosy i zapalną. Tak sobie dziś poczynają faceci wysokiej klasy! Kulturalni, uprzejmi, w najdrobniejszych szczegółach przestrzegający dobrych form, wzbudziłiby w bandziarach z lat trzydziestych lekki niesmak. Ale też dlatego człowiek pokroju Jablonsky'ego był tym bardziej niebezpieczny, jak góra lodowa, w której siedem ósmym śmiertelnego zagrożenia pozostaje w ukryciu. Staroświecki bandziar nie wiedziałby nawet, jak się do takiego zabrać.

- Zakładam, że jest pan zdecydowany zrobić z tego pistoletu użytek - ciągnęła dalej Mary Blair. Nie była aż tak chłodna i opanowana, na jaką starała się wyglądać; widziałem, że jej żyła na szyi pulsuje jak samochód wyścigowy. - Czy to znaczy, że ten człowiek nic mi już teraz nie może zrobić?

- Nic a nic - zapewnił ją Jablonsky.

- Dziękuję panu - wyrwało się jej ciche westchnienie, jak gdyby dopiero w tej chwili naprawdę uwierzyła, że skończył się wielki strach, że nie ma się więcej czego bać. Przeszła na drugą stronę pokoju. - Zadzwoń po policję.

- Nie - spokojnie powiedział Jablonsky.

Zatrzymała się jak wryta. - Słucham?

- Powiedziałem "nie"! - mruknął Jablonsky. - Żadnych telefonów, żadnej policji. Uważam, że lepiej nie mieszać w to władzy.

- Co to, na Boga, ma znaczyć? - znów mogłem dostrzec, rumieńce wykwitające wysoko na obu policzkach. Poprzednio były rezultatem strachu, teraz - sprawiały wrażenie pierwszych zwiastunów gniewu. Jak się ma starego, który już zdążył zapomnieć, ilu szybów naftowych jest właścicielem, nie jest się przyzwyczajonym do jakichkolwiek sprzeciwów. - Musimy wezwać

policję - dodała mówiąc wolno i cierpliwie, jak dorosły, który coś tłumaczy dziecku. - Ten człowiek jest zbrodniarzem. I mordercą. W Londynie zabił człowieka.

- W Marble Springs zresztą też - spokojnie uzupełnił Jablonsky. - Posterunkowy Donnelly zmarł dziś po południu o godzinie piątej czterdzieści.

- Donnelly... nie żyje? - mówiła teraz szeptem. - Skąd pan wie?

- Z dziennika radiowego o szóstej. Wysłuchałem tuż przed wyjazdem z parkingu w ślad za wami. Lekarze, transfuzja krwi, wszystko, co tylko możliwe. Ale nie żyje.

- To straszne! - spojrzała na mnie, był to jednak tylko przelotny rzut oka, nie mogła znieść mojego widoku. - A pan... pan powiada "nie wzywać policji!". Co to ma znaczyć?

- To, co powiedziałem - olbrzym zachowywał równowagę ducha. - Obejdzie się bez policji.

- Pan Jablonsky ma własne koncepcje, panno Ruthven - wyjaśniłem oschłym tonem.

- Wynik twojego procesu jest z góry przesądzony - beznamiętnie powiedział mi Jablonsky. - Jak na faceta, któremu zostały trzy tygodnie życia, traktujesz sytuację z dużym opanowaniem. Niech no panienka nie dotyka tego telefonu!

- Do mnie nie będzie pan strzelał - znajdowała się już po drugiej stronie pokoju. - Przecież nie jest pan mordercą?

- Nie będę do pani strzelał - zgodził się. - Wcale nie muszę. - Dopadł jej w trzech długich susach, poruszając się szybko i zwinnie jak kot, wyrwał telefon, chwycił dziewczynę za ramię i pociągnął z powrotem na krzesło stojące obok mnie. Próbowła się oswobodzić, ale Jablonsky nie zwracał na to uwagi.

- Nie życzysz sobie policji, co? - spytałem w zamyśleniu. - Wygląda na to, że policja mogłaby się dla ciebie okazać krępująca, przyjacielu.

- Znaczy się, że nie życzę sobie towarzystwa? - mruknął. - Znaczy się, że może bardzo bym się wahał przed odpaleniem tego pistoletu?

- Znaczy się, właśnie tak.

- Nie liczyłbym zbyt na to - uśmiechnął się.

Ale ja zaryzykowałem. Nogi trzymałem podkulone pod siebie, dłonie na poręczach krzesła. Krzesło opierało się sztywno o ścianę. Zerwałem się z niego jednym susem, celując w miejsce o jakieś piętnaście centymetrów poniżej splotu słonecznego.

Ale nie dotarłem do celu. Przedtem zastanawiałem się tylko, co potrafi zrobić prawą ręką, teraz miałem się sam o tym przekonać. Potrafił szybciej niż ktokolwiek prawą przeczucić pistolet do lewej, z kieszeni marynarki wyciągnąć pałkę i zdzielić skaczącego przeciwnika przez łeb. Pewnie, czegoś takiego mógł się po mnie spodziewać, ale mimo to był to wyczyn nie lada.

Po jakimś czasie ktoś oblał mnie zimną wodą, siadłem więc pojękując i próbowałem pomacać czubek głowy. Ale kiedy obie ręce ma się związane na plecach, nie sposób tego dokonać. Pozostawiłem więc głowę jej własnemu losowi, podniosłem się chwiejnie, związane ręce przyciskając do ściany, przy której leżałem, i pokuśtykałem do najbliższego krzesła. Spojrzałem na Jablonsky'ego: zajęty był montowaniem na lufie Mauzera czarnego perforowanego cylindra z metalu. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się. Zawsze się tylko uśmiechał.

- Drugim razem mogę nie mieć tyle szczęścia - powiedział nieśmiało.

Warknąłem.

- Panno Ruthven - ciągnął dalej. - To ja skorzystam z telefonu.

- Po co pan mi o tym mówi? - zaczynała naśladować mój sposób bycia i wcale jej z tym nie było do twarzy.

- Mam zamiar zadzwonić do pani ojca. Chcę, żeby mi pani podała jego numer. Na pewno jest zastrzeżony.

- Po co chce pan dzwonić?

- Wyznaczono nagrodę za pani przyjaciela - Jablonsky odparł nie całkiem a propos. - Oznajmiono to zaraz po komunikacie o zgonie Donnelly'ego. Władze stanowe wypłacą pięć tysięcy dolarów za każdą informację, która przyczyni się do zatrzymania Johna Montague Talbota. - Uśmiechnął się do mnie: T Montague, Co? No cóż, chyba lepsze to niż Cecil.

- Jedź dalej - powiedziałem oschle.

- Najwidoczniej zniesiono czas ochronny na pana Talbota - powiedział Jablonsky. - Chcą go mieć żywego lub umarłego, wszystko jedno jak... A generał Ruthven obiecał podwoić tę nagrodę.

- Dziesięć tysięcy dolarów? - spytałem.

- Dziesięć tysięcy.

- Skąpiradło.

- Według ostatnich obliczeń stary Ruthven wart był dwieście osiemdziesiąt pięć milionów dolarów. Mógłby oferować trochę więcej. - Po namyśle Jablonsky przyznał mi rację. - W sumie piętnaście tysięcy. Co to jest piętnaście tysięcy?

- Słucham dalej - odezwała się dziewczyna. W jej szarych oczach czał się teraz błysk.

- Może córeczkę dostać z powrotem za pięćdziesiąt patoli - spokojnie oświadczył Jablonsky.

- Pięćdziesiąt tysięcy! - powiedziała to tak, jak gdyby ją zatkało ze zdumienia. Gdyby była tak biedna jak ja, na pewno by ją zatkało.

Jablonsky skinął głową: - Plus, rzecz jasna, piętnaście tysięcy, które otrzymam za ujęcie Talbota, co jest przecież obowiązkiem każdego porządnego obywatela.

- Kim pan jest? - drżącym głosem zapytała dziewczyna. Zapowiadało się na to, że niebawem straci panowanie nad sobą. - Czym pan jest?

- Jestem facetem, który chciałby dostać... zaraz; obliczmy... tak, sześćdziesiąt pięć patoli.

- Ależ to szantaż!

- Szantaż? - Jablonsky uniósł brew. - Powinnaś się trochę podszkolić w zakresie prawa, dziewczusko. W ściśle prawnym sensie szantaż to cena milczenia, danina wypłacana za bezkarność, pieniądze wymuszone za pomocą groźby powiadomienia całego świata, jaki to gagatek z tego szantażowanego. Czy generał Ruthven ma coś do ukrywania? Wątpię. Można by też powiedzieć, że szantaż polega na wymuszaniu pieniędzy za pomocą gróźb. Ale gdzie tu groźby? Ja pani niczym nie grożę. Jeżeli stary nie zapłaci, po prostu odejdę sobie i zostawię panią z obecnym tu Talbotem. Kto mi to weźmie za złe? Ja się Talbota boję. To człowiek niebezpieczny, to zabójca.

- Ależ... w takim wypadku nie dostanie pan nic.

- Dostanę - odparł bardzo z siebie zadowolony Jablonsky. Próbowałem wyobrazić sobie, w jaki sposób taki facet traci głowę lub pewność siebie, ale to chyba było niemożliwe. - Ja tylko straszę. Stary nie zaryzykuje, w obawie, że spełnię groźbę. Zapłaci, zapłaci.

- Porwanie jest przestępstwem federalnym... - wolno zaczęła mówić dziewczyna.

- W rzeczy samej - radośnie przyznał Jablonsky. - Fotel elektryczny albo komora gazowa. To dla Talbota. On panią porwał. Ja mówię tylko, że mógłbym sobie pójść. W tym wypadku nie ma żadnego porwania. W jakim hotelu mieszka pani ojciec? - zapytał twardo.

- W żadnym hotelu - głos miała bezbarwny i monotony, wyraźnie skapitulowała. - Jest na X 13.

- Gadaj z sensem! - szorstko przerwał jej Jablonsky.

- X 13 to jedna z jego instalacji wiertniczych. Znajduje się w zatoce, dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Nie wiem dokładnie.

- W zatoce? Ma pani na myśli pływającą wyspę poszukiwawczych wierceń nafty? Myślałem, że wszystkie znajdują się w zalewiskach u wybrzeży Luizjany.

- Teraz są już wszędzie, u wybrzeży Missisipi, Alabamy i Florydy. Tatuś ma jedną taką tuż koło Key West. I to nie są pływające... zresztą, nie o to chodzi. Jest na X 13.

- A tam nie ma telefonu?

- Owszem. Kabel podwodny. I radiotelefon z biura na lądzie stałym.

- Radio nie wchodzi w rachubę. Zbyt publiczne. A telefon... wystarczy poprosić centralę o X 13?

W milczeniu przytaknęła ruchem głowy, więc Jablonsky podszedł do telefonu, poprosił telefonistkę motelu o centralę, zamówił rozmowę z X 13 i czekał na stojąco, pogwizdując wyjątkowo niemelodyjnie. Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Jak się pani ojciec porusza między wyspą a lądem stałym?

- Motorówką lub śmigłowcem: Najczęściej śmigłowcem.

- A kiedy jest na lądzie, w jakim mieszka hotelu?

- W żadnym hotelu. W zwykłym jednorodzinym domu. Wynajmuje go na stałe w miejscowości odległej o trzy kilometry od Marble Springs.

Jablonsky pokiwał głową i znów zaczął pogwizdywać. Zdawało się, że patrzy w jakiś odległy punkt na suficie, ale kiedy dla próby przesunął nogę o kilka centymetrów, jego oczy błyskawicznie zwróciły się w moją stronę. Mary Ruthven zauważyła mój ruch nogą, jak i błyskawiczną reakcję Jablonsky'ego i przez moment jej wzrok skrzyżował się z moim. W jej oczach nie było współczucia, ale wysiliłem trochę wyobraźnię i pomyślałem, że odkryłem błysk poczucia wspólnoty losu. Siedzieliśmy w jednej łodzi, która szybko szła na dno.

Pogwizdywanie ustało. Udało mi się dosłyszeć nieartykułowane zgrzyty i dźwięki, a potem Jablonsky powiedział: - Chciałbym mówić z generałem Ruthvenem. Pilnie. W sprawie... mógłby pan powtórzyć? Rozumiem. Rozumiem.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Mary Ruthven.

- Ojciec pani opuścił X 13 o godzinie czwartej po południu i dotąd nie wrócił. Mówią, że nie wróci, dopóki pani nie odnajdzie. Okazuje się, że krew jest gęstsza od ropy. Tym lepiej dla mnie. - Dodzwonił się pod nowy numer, który mu podano na pływającej wyspie; i jeszcze raz do telefonu poprosił generała: Podszedł niemal natychmiast, a Jablonsky nie owijał słów w bawełnę.

- Generał Blair Ruthven?... Mam dla pana wiadomości, panie generale. Wiadomości dobre i złe. Pańska córka jest ze mną. To dobra wiadomość. A zła wiadomość, to że jej powrót będzie pana kosztował pięćdziesiąt patoli. - Jablonsky przerwał i słuchał. Jak zawsze uśmiechnięty. Mauzerem delikatnie kręcił młynka wokół wskazującego palca. - Nie, panie generale, to nie mówi John Talbot. Ale Talbot jest tu przy mnie. Udało mi się go przekonać, że dalsze przedłużanie rozłąki między ojcem a córką byłoby wręcz nieludzkie. Pan zna Talbota, generale, przynajmniej ze słyszenia. Musiałem się porządnie namęczyć, żeby go przekonać. Namęczyłem się za pięćdziesiąt patoli.

Uśmiech znikł nagle z twarzy Jablonsky'ego, teraz ponurej, zimnej i złej. Prawdziwy Jablonsky! Kiedy się odezwał, głos miał wyjątkowo miękki i głęboki, jak gdyby delikatnie upominał niegrzeczne dziecko.

- Więc pan co, generale? Przed chwilą usłyszałem jakiś dziwny trzask. Taki dziwny trzask, który słyszy się czasem na linii, kiedy włącza się jakiś cwaniaczek i zaczyna nadstawiać ucha albo kiedy ktoś uruchomi magnetofon. Nie życzę sobie żadnych podsłuchów. I żadnego nagrywania prywatnych rozmów. Pan też sobie tego nie życzy. Jeżeli, oczywiście, chce pan znów zobaczyć córkę... no, teraz lepiej. I jeszcze jedno, generale: Niech pan nie wpadnie na taką głupią myśl, żeby kazać komuś skontaktować się z innego aparatu z glinami i poprosić ich o wytropienie mojego telefonu. Dokładnie za dwie minuty i tak wynosimy się stąd. No więc, co pan powie? Tylko niech się pan spieszy.

Znów krótka przerwa, potem Jablonsky zaśmiał się serdecznie.

- Grożę, panu generale? Szantaż, generale? Porwanie, generale? Niechże się pan nie wygłupia, generale. Nie ma takiego prawa, które by zabraniało człowiekowi uciekać przed niebezpiecznym mordercą, prawda? Nawet w przypadku, jeśli ten niebezpieczny morderca ma przy sobie porwaną dziewczynę. Po prostu pójdę sobie i zostawię ich samych. Nie powie mi pan, generale, że się pan targuje o życie rodzonej córki? Czy ona nie jest dla pana warta więcej niż niespełna jedna pięćdziesiąta jednego procentu całego pańskiego majątku? Czy tylko taką przedstawia wartość w oczach kochającego ojca? Ona słucha tego wszystkiego, generale. Zastanawiam się właśnie, co sobie teraz o panu myśli! Gotów pan poświęcić jej życie za stary blaszany guzik... bo tylko tyle dla pana znaczy pięćdziesiąt patoli! Pewnie, pewnie, może pan sobie z nią porozmawiać - skinął na dziewczynę, która przebiegła przez pokój i wyrwała mu słuchawkę z ręki.

- Tatusiu? Tatusiu!... Tak, tak, to ja, oczywiście że to ja. Och, tatusiu, nigdy nie przypuszczałam...

- Dobra, starczy już - Jablonsky wielką kwadratową brązową łapą zakrył membranę i odebrał jej telefon. - Jest pan zadowolony; panie generale? Nie ma lipy, co? - Zapadło krótkie milczenie, a potem Jablonsky roześmiał się od ucha do ucha: - Dziękuję panu, panie generale. Nie martwię się o żadne gwarancje. Słowo generała Ruthvena zawsze było wystarczającą gwarancją. - Nasłuchiwał przez moment, a kiedy znów się odezwał, ironiczny błysk w oku, którym spoglądał na Mary Ruthven, zadawał kłam szczerości, jaka zabrzmiała w jego głosie. - A poza tym wie pan doskonale, że jeżeli pan z tą forszą nawali, a dom będzie pełen glin, pańska córka nigdy już nie odezwie się do pana ani jednym słowem... Nie musi się pan martwić, czy ja przyjadę. Mam wszelkie powody, żeby przyjechać. Ściśle mówiąc, pięćdziesiąt tysięcy powodów.

Odwiesił słuchawkę. - Ruszaj, Talbot. Jesteśmy umówieni z wyższą sferą.

- Tak - nie wstawałem z krzesła. - A potem wydasz mnie glinom i zainkasujesz swoje piętnaście tysięcy.

- Jasne. Dlaczegoż by nie?

- Mogłbym ci podać dwadzieścia tysięcy powodów.

- Hm? - przyjrzał mi się w zamyśleniu. - Masz je przy sobie?

- Nie wygłupiaj się. Daj mi tydzień czasu albo...

- Mnie, bracie, nazywają Jablonsky wróbel w garści. Ruszaj się. Wygląda na to, że mamy przed sobą pracowitą noc.

Przeciął mi więzy i wyszliśmy przez garaż. Jablonsky trzymał dziewczynę za rękę, a pistolet niespełna metr od moich pleców. Pistoletu nie widziałem, ale wcale to nie było konieczne. Wiedziałem, że tam jest.

Zapadła już noc. Od północnego zachodu wznagał się wiatr niosąc ostry zapach morza i zimny, zacinający deszcz, który bębnił głośno o zwisłe, szeleszczące liście palm, odbijające się pod naszymi stopami od asfaltowego chodnika. Niespełna sto metrów dzieliło nas od miejsca, gdzie przed centralnym blokiem motelu Jablonsky postawił swego Forda, ale na przestrzeni tych stu metrów przemokliśmy do suchej nitki: W taki deszcz na parkingu nie było żywej duszy, ale Jablonsky mimo to ustawił swój wóz w najciemniejszym kącie. To do niego podobne. Otworzył oboje drzwi Forda z prawej strony, po czym stanął przy tylnych drzwiach.

- Pani wsiada pierwsza. Z tamtej strony. Ty, Talbot, poprowadzisz. - Kiedy siadłem za kierownicą, zatrzasnął za mną drzwiczki, wśliznął się na tylne siedzenie i zamknął drzwiczki koło siebie. Na wypadek, gdyby mnie pamięć zawiodła, przycisnął mi lufę Mauzera z całej siły do karku:

- Na autostradzie skręć na południe.

Udało mi się wcisnąć odpowiednie guziki, przetoczyłem się przez opuszczony dziedziniec motelu i skręciłem w prawo. Jablonsky odezwał się do dziewczyny: - Dom pani starego stoi tuż przy głównej autostradzie, prawda?

- Tak.

- Czy można tam dojechać inną drogą? Boczny szosami? Drogami polnymi?

- Tak, można okrążyć miasto i...

- Aha. Pojedziemy prosto. Kombinuję tak samo jak Talbot, który wybrał motel La Contessa: w promieniu stu kilometrów od Marble Springs nikt go nie będzie szukał.

Przez miasto przejechaliśmy w milczeniu. Ulice były prawie zupełnie puste, minęliśmy zaledwie kilku przechodniów. Przy obu skrzyżowaniach z sygnalizacją świetlną, jedynych zresztą w Marble Springs, trafiłem na czerwone; w obu wypadkach lufa Mauzera spoczęła mi na potylicy. Niebawem wyjechaliśmy z miasta. Lało jak z cebra, istna nawałnica deszczu grzmociła w dach i maskę samochodu. Przypominało to jazdę pod wodospadem, z tym że wycieraczki przedniej szyby

nie były przystosowane do jazdy pod wodospadem. Musiałem zmniejszyć szybkość do trzydziestu kilometrów, ale i teraz byłem prawie zupełnie ślepy, ilekroć reflektory jadącego z przeciwka wozu trafiły na ociekającą wodą przednią szybę odbiciem rozproszonego blasku. Jeszcze mniej widziałem, gdy nadjeżdżające wozy mijały nas z sykiem mokrych gum trących o mokry asfalt, a ściana rozpryskującej się wody z całych sił waliła w szyby i blachę karoserii. Pokonywałem fale, z których dumny mógłby być kapitan niszczyciela.

Z czołem przyklejonym do przedniej szyby Mary Ruthven wpatrywała się w następujące po sobie na przemian światło i czerń nocy. Prawdopodobnie dobrze знаła drogę, ale tego wieczora nie mogła jej rozpoznać. Jadąca na północ ciężarówka minęła nas w nieodpowiednim momencie, przez co dziewczynaomalże nie przegapiła zakrętu.

- To tam! - złapała mnie za ramię tak mocno, że Ford wpadł na chwilę w poślizg i nim zdołałem opanować sytuację, zjechał na skarpę. Mimo deszczu po lewej zamigotała przybladła fosforyzująca poświata, a zanim się zatrzymałem, przebyliśmy jeszcze pięćdziesiąt metrów. Droga była zbyt wąska, by zawrócić, więc cofnąłem się i nawracałem, aż wóz stanął w przeciwnym kierunku, a potem bardzo wolno podjechałem do oświetlonego rozwidlenia i skręciłem w bok. Strach pomyśleć, co by było, gdyby mi przyszło brać ten zakręt z dużą prędkością! I tak udało mi się zahamować parę metrów za ledwie od żelaznej bramy z pomalowanych na biało sześciu grubych prętów, tak solidnej, że mogłaby zatrzymać buldożer.

Zdawało mi się, że brama zamyka tunel o niemal zupełnie płaskim dachu. Po lewej stał mur z białego wapienia, wysokości ponad dwóch metrów, a długości chyba siedmiu metrów. Po prawej biała portiernia z dębowymi drzwiami i wychodzącymi na tunel oknami, zasłoniętymi perkalem. Portiernię i mur łączył lekko wgięty dach: Nie mogłem rozróżnić, z czego był zrobiony. Zresztą nie interesowało mnie to: zanadto pochłaniał moją uwagę mężczyzna, który nim jeszcze zahamowałem i zatrzymałem wóz, wyszedł z drzwi portierni.

Oto ideał szofera, o jakim marzy bogata wdowa: był wręcz doskonały, bez zarzutu, istny poemat w kolorze kasztanowym. Nawet jego lśniące buty do konnej jazdy wydawały się kasztanowe. Jaskrawe sztruksowe bryczesy, bluza zapięta pod samą szyją, rękawice idealnie złożone pod jednym z naramienników, daszek kaszkietu - wszystko idealnie w tym samym odcieniu. Kiedy zdjął kaszkiet, okazało się, że jego włosy nie są kasztanowe, ale gęste i czarne, lśniące i zaczesane z przedziałką po prawej stronie. Miał smagłą, gładką twarz, szeroko osadzone ciemne oczy, szerokie bary. Poemat, bynajmniej jednak nie zniewieściały. Równie potężnie jak ja zbudowany, ale o całe niebo przystojniejszy.

Mary Ruthven opuściła okienko, a szofer pochylił się, aby jej się przyjrzeć, opierając muskularną brązową dłoń o krawędź drzwi. Kiedy przekonał się, kto jedzie, smagłą twarz rozjaśnił

szeroki uśmiech, a jeżeli ulga i radość w jego oczach nie były autentyczne, to był najlepszym aktorem, jakiego w życiu spotkałem wśród szoferów.

- To pani, panno Mary! - głos był głęboki, kulturalny i bez wątpienia należał do Anglika: jak się ma dwieście osiemdziesiąt pięć milionów dolarów, można parę groszy odżalować na wynajęcie pasterza rodzimego chowu, by doglądał trzódkki importowanych Rolls-Royce'ów. Szofer Anglik dodaje klasy. - Cieszę się, że panią widzę. Nic się pani nie stało?

- Cieszę się, że wróciłam, Simon - przez chwilę jej dłoń spoczęła na jego ręce. Zrobiła głęboki wdech; ni to jęknięcie, ni to westchnienie, po czym dodała: - U mnie wszystko w porządku. Jak się miewa tatuś?

- Generał był ogromnie zaniepokojony, panno Mary. Ale teraz już będzie w porządku. Powiedziano mi, że mam pani oczekiwać. Zaraz ich zawiadomię. - Zrobił pół obrotu, odwrócił się, pochylił do przodu i zajrzał na tylne siedzenie wozu. Widać było, jak cały zeszytniał.

- Tak, to pistolet - z tylnego siedzenia pogodnie odezwał się Jablonsky. - Po prostu trzymam go w ręku, synku, cholernie niewygodnie siedzieć z pistoletem w tylnej kieszeni spodni. Sam nigdy tego nie zauważyłeś? - Popatrzyłem na szofera i rzeczywiście dostrzegłem niewielkie wybrzuszenie na jego prawym biodrze. Prawda, że pasuje fason aksamitnego ubrania? - ciągnął dalej Jablonsky. - Więc wybij sobie z głowy głupie myśli o robieniu użytku z twojego pistoletu. Na to już za późno. Zresztą, mógłbyś postrzelić Talbota. To ten, co siedzi za kółkiem. Piętnaście tysięcy dolarów żywej wagi, chciałbym go dostawić w pierwszorzędnym stanie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, sir - twarz szofera pociemniała, ton głosu był lodowato grzeczny. - Zadzwońię do domu. - Odwrócił się, wszedł do niewielkiego przedsionka portierni, podniósł słuchawkę i nacisnął guzik, a jednocześnie ciężka brama cicho i gładko rozwarła się, jakby z własnej inicjatywy.

- Brakuje tylko fosy i zwodzonego mostu - mruknął Jablonsky, kiedy zaczęliśmy posuwać się do przodu. - Nie ma co, stary generał pilnuje swoich dwustu osiemdziesięciu pięciu milionów: Naelektryzowane ogrodzenie, patrole, psy, wszystko, co możliwe, prawda, panienko?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Jechaliśmy wzdłuż dobudowanego do portierni wielkiego garażu na cztery wozy. Był to garaż otwarty, bez drzwi, mogłem więc przekonać się, że w sprawie Rolls-Royce'ów miałem rację. Stały dwa, jeden piaskowobeżowy, drugi ciemnoszary. Poza tym jeszcze Cadillac. To na zakupy. Jablonsky znów się odezwał:

- Ten tam, w tych hecnych portkach, ten Anglik. Gdzieście wytrzasnęli takiego mięczaka?

- Chciałabym móc widzieć, jak mu pan to powtórzy bez pistoletu w ręku - spokojnie odparła dziewczyna. - Pracuje u nas już od trzech lat. Dziewięć miesięcy temu trzech zamaskowanych bandytów sprowokowało zderzenie z samochodem, w którym jechałam tylko z

Kennedym. Wszyscy byli uzbrojeni w pistolety. Jeden z nich nie żyje, dwaj jeszcze siedzą w więzieniu.

- Mięczak miał fart - mruknął Jablonsky i znów zapadło milczenie.

Asfaltowany podjazd pod dom był wąski, długi, kręty i po obu stronach gęsto zadrzewiony. Małe, wiecznie zielone liście południowych dębów i długie, zwisające, szare girlandy mszaków ocierały się o dach i boczne szyby samochodu. W świetle reflektorów nagle drzewa się oddaliły, a pojawiły się kępy palm rozmieszczonych tak jak trzeba: Dalej, za stromą granitową balustradą i wywyższonym tarasem, stał dom generała.

Zwykły domek jednorodzinny, mówiła dziewczyna. Tak, ale chyba dla pięćdziesięcioosobowej rodziny! Ogromny, stary, skrzypiący biały dom jeszcze sprzed wojny o niepodległość: rozległy, dwukondygnacyjny ganek, wsparty na filarach, niecodzienny, dwuspadowy dach, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, tak bogato oszklony, że pracownicy czyściciel szyb znalazłby tu zatrudnienie przez cały rok. Nad dolnym gankiem wisiały dwa dodatkowe źródła światła: wielkie staroświeckie latarnie powozowe, każda z wmontowaną w środek potężną żarówką elektryczną. Pod lampami ustawił się komitet powitalny.

Komitetu powitalnego się nie spodziewałem. Podświadomie chyba oczekiwałem tradycyjnego przyjęcia wysokiej klasy: powitania przez kamerdynera, który pełen szacunku i ceremonialnie zaprowadzi nas do biblioteki, gdzie przed kominkiem, na którym trzaskają sosnowe polana, generał będzie sęczył szkocką whisky. Jeśli się jednak dobrze zastanowić, były to nadzieje dość głupie. Kiedy ktoś oczekuje powrotu córki z krainy umarłych, a rozbrzmiewa dzwonek przy drzwiach, trudno, żeby siedział spokojnie i sęczył whisky. Przynajmniej jeśli zachował jeszcze jakieś ludzkie odruchy! Szofer uprzedził o naszym przybyciu: stąd też komitet powitalny.

Kamerdyner był także. Schodził z ganku, w ulewny deszcz niosąc wielki parasol, używany przez graczy w golfa. Nie przypominał żadnego znanego mi kamerdynera. Marynarkę miał ciasno opiętą, zgodnie z ulubioną modą gangsterów ery prohibicji, a twarz tylko potwierdzała to wrażenie. Wyglądał jak mleczny brat Valentina, tego "goryla" z sali rozpraw. Może pokrewieństwo było bliższe? Miał nawet taki sam złamany nos. Generał przejawiał zaiste dziwny gust w doborze kamerdynerów, zwłaszcza jeśli ich porównać z wytwornym szoferem.

Ale kamerdyner sprawiał dość przyjemne wrażenie. Tak mi się przynajmniej wydawało do chwili; kiedy zobaczył, kto siedzi za kierownicą. W tym momencie chyżo obrócił się na pięcie, obszedł maskę wozu i odprowadził na ganek Mary Ruthven, która podbiegła do generała i zarzuciła mu ramiona na szyję. Jablonsky i ja musieliśmy przejść o własnych siłach. Zmokliśmy, ale chyba nikt się tym specjalnie nie przejął.

Tymczasem dziewczyna oderwała się już od ojca, mogłem więc przyrzeć mu się dokładnie. Stary bałwan był niezmiernie wysoki, szczupły, ale nie chudy, ubrany w srebrzystobiały płócienny garnitur. Odcień garnituru idealnie harmonizował z kolorem włosów. Wydłużona, chuda i poorana twarz przypominała Lincolna, ale trudno było ocenić, jak bardzo ta twarz poorana jest bruzdami, gdyż prawie połowę zakrywały sumiaste siwe wąsy i broda. Nie przypominał żadnego ze znanych mi wielkich potentatów przemysłowych, ale jak się posiada dwieście osiemdziesiąt pięć milionów, nie jest to wcale konieczne. Generał wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażałem sędziego południowca, który z kolei wyglądał zupełnie inaczej.

- Wejdźcie, panowie - powiedział uprzejmie. Ciekaw byłem, czy i mnie ma na myśli, a nie tylko trzech innych mężczyzn, stojących w cieniu na ganku. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale wszedłem do środka. Nie miałem zresztą wyboru. Mauzer Jablonsky'ego uwierał mnie w krzyż, a do tego jeszcze jakiś mężczyzna, który właśnie wyłonił się z mroku, trzymał w garści pistolet. Ruszyliśmy więc całą gromadką przez rozległy, szeroki hall, oświetlony żyrandolami, z podłogą z kafłowej mozaiki, potem przez szeroką sień, aż znaleźliśmy się w sporym pokoju. Przynajmniej jeśli idzie o pokój, miałem rację. Była to rzeczywiście biblioteka, w kominku płonęły sosnowe szczapy, a lekko oleisty zapach wspaniale oprawnych w skórę ksiąg przyjemnie harmonizował z aromatem drogich hawańskich cygar i pierwszorzędnej szkockiej whisky. Zwróciłem uwagę, że nie było tam nikogo, kto by palił cygara. Ściany, które nie były zastawione regałami pełnymi książek, wyłożono boazerią z polerowanego wiązu. Krzesła i sofy obito ciemnozłocistą skórą i pluszem, stopy zaś mieniły się złotem. Brązowego koloru dywan rozciągał się na podłodze od ściany do ściany, a był tak puszysty, że gdyby zrobił się przeciąg, falowałby jak pole dojrzałego zboża na wietrze. W każdym razie nogi krzesel głęboko kryły się w dywanie.

- Szkockiej, panie... hm... - zapytał Jablonsky'ego generał.

- Jablonsky, panie generale. Chętnie się napiję. Póki jeszcze stoję. I póki czekam.

- Na co pan czeka, panie Jablonsky? - generał Ruthven mówił miłym, spokojnym głosem; prawie bez żadnej modulacji. Jak się ma dwieście osiemdziesiąt pięć milionów, nie trzeba podnosić głosu, żeby być wysłuchanym.

- No, no, prawdziwy z pana żartowniś. - Jablonsky był równie spokojny i nieporuszony jak generał. - Czekam, panie generale, na ten mały świstek papieru, podpisany pańskim nazwiskiem. Na pięćdziesiąt tysięcy dolców.

- Oczywiście - generał sprawiał wrażenie nieco zdziwionego, że Jablonsky uważa za konieczne przypominać mu o umowie. Podeszedł do kominka obramowanego ciosanym kamieniem, spod przycisku wyciągnął złoty czek bankowy. - Wszystko już przygotowane, wystarczy tylko wpisać nazwisko okaziciela. - Odniosłem wrażenie, że na ustach wykwitł mu lekki uśmiezek, ale

przy tak bujnym zaroście trudno było mieć pewność. - I nie musi się pan martwić, że zadzwonię do banku i wydam polecenie, aby nie honorowali tego czeku. To nie mój styl załatwiania interesów.

- Wiem o tym, panie generale.

- A moja córka jest dla mnie warta nieskończenie więcej. Winienem panu podziękowanie, że mi ją pan zwrócił, sir.

- Mowa! - Jablonsky wziął czek, zerknął nań od niechcienia, potem spojrzął na generała. W oczach miał błysk zastanowienia.

- Pióro musiało się panu obsunąć, panie generale - cedził słowa: - Ja prosiłem o pięćdziesiąt tysięcy. Pan tu wpisał siedemdziesiąt.

- Zgadza się - Ruthven pochylił głowę i obrzucił mnie wzrokiem. - Oferowałem dziesięć tysięcy za informację o tym tu obecnym osobniku. Poza tym uważam, że mam moralny obowiązek pokrycia pięciu tysięcy, przyrzeczonych przez władze. Chyba zgodzi się pan, że znacznie łatwiej wystawić jeden czek na całą sumę i na jednego okaziciela?

- A te ekstra pięć tysięcy?

- Za pańską fatygę i za przyjemność, jaką mi sprawi osobiste wydanie tego człowieka władzom. - Znów nie mogłem mieć pewności, czy się uśmiecha, czy nie. - Wie pan przecież, że stać mnie na dogadzanie własnym zachciankom.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie generale. No więc, będę uciekał. Pan z pewnością potrafi dać sobie z tym bubkiem radę? To twarziel, szybki i przebiegły.

- Mam ludzi, którzy potrafią się nim zająć. - Jasne było, że generał nie miał na myśli kamerdynera ani nawet drugiego służącego w liberii, który kręcił się na dalszym planie. Nacisnął guzik, a gdy w drzwiach pojawił się mężczyzna wyglądający na lokaja, zwrócił się do niego: - Fletcher, poproście tu pana Vylanda i pana Royale'a.

- Dlaczego sam ich pan nie poprosi, panie generale? - Moim zdaniem ja byłem w tym układzie główną osobistością, ale na razie nikt nawet nie prosił mnie, żebym się odezwał, więc doszedłem do wniosku, że czas się włączyć do rozmowy. Nachyliłem się nad stojącym na stole wazonem ze sztucznymi kwiatami i wyciągnąłem mikrofon o drobnych oczkach. - Cały pokój jest na podsłuchu. Założę się sto do jednego, że pańscy przyjaciele słyszeli każde wypowiedziane tu słowo. Jak na milionera i asa towarzyskiej śmietanki dziwne macie Ruthven obyczaje... - urwałem i popatrzyłem na trójcę, która właśnie wchodziła w drzwi: - I jeszcze dziwniejszych przyjaciół.

Było to stwierdzenie niezupełnie zgodne z prawdą. Pierwszy z wchodzących do pokoju sprawiał wrażenie człowieka, który w tym luksusowym otoczeniu czuje się jak ryba w wodzie. Średniego wzrostu, średniej budowy, miał na sobie idealnie skrojony smoking i palił cygaro długości mojego ramienia. To był właśnie ten kosztowny zapach, na który zwróciłem uwagę, gdy

tylko weszliśmy do biblioteki. Miał niewiele po pięćdziesiątce, czarne włosy na skroniach lekko posiwiałe, a starannie przycięty wąs był czarny jak heban. Twarz gładka, bez zmarszczek, mocno opalona. Ideał aktora hollywoodzkiego do ról na kierowniczym stanowisku; gładki, wykwinny i w pewnym stopniu znający się na rzeczy. Dopiero kiedy podszedł bliżej i przyjrzałem się jego oczom i twarzy, zdałem sobie sprawę, że jest to człowiek silny fizycznie i sprawny umysłowo, a przy tym surowy. Darmo by szukać tych cech na filmowym planie. Przed nim trzeba się było mieć na baczności.

Drugi mężczyzna sprawiał jeszcze bardziej niezwykle wrażenie: Trudno tak od razu określić, co się do tego przyczyniało. Miał na sobie jasnoszary garnitur flanelowy, białą koszulę i szary krawat w tym samym co garnitur odcieniu. Wzrostu nieco poniżej średniego, krępej budowy, o twarzy bladej i gładko ulizanych włosach, koloru prawie tego samego co włosy Mary Ruthven. Dopiero kiedy mu się przyjrzałem bliżej, zorientowałem się, na czym polega jego niezwykłość; nie wynikała z żadnej cechy, lecz raczej z braku wszelkich cech. Nigdy w życiu nie widziałem twarzy tak pozbawionej wyrazu ani oczu tak pustych.

Niezwykły - to określenie nie nadawało się natomiast do określenia tego, który zamykał pochod. Pasował do tej biblioteki jak Mozart do klubu rock and rolla. Miał zaledwie dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa lata, był wysoki, smukły, o trupiobladej twarzy i czarnych jak węgiel oczach. Te oczy ani na chwilę nie pozostawały w bezruchu, niespokojnie latały to tu, to tam, jak gdyby pozostawanie w bezruchu sprawiało im ból; jak błędny ogień jesiennym wieczorem, przeskakiwał wzrokiem z twarzy na twarz. Nię zwróciłem uwagi, jak był ubrany, widziałem tylko jego twarz. Twarz nałogowca, narkomana w mocno zaawansowanym stadium. Wystarczy choć na dwadzieścia cztery godziny pozbawić go białego proszku, a będzie wył, jak gdyby wstąpiły w niego wszystkie moce piekielne.

- Niech pan wejdzie, panie Vylant - generał zwrócił się do mężczyzny z cygarem, a ja znowu nie mogłem odżalować, że tak trudno odczytać wyraz jego twarzy. Skinął głową w moim kierunku: - To jest właśnie Talbot, ten ścigany. A to jest pan Jablonsky, który go tu doprowadził.

- Miło mi pana poznać, panie Jablonsky. - Vylant uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął dłoń. - Jestem naczelnym inżynierem i szefem produkcji u generała. - Jeżeli on był naczelnym inżynierem i szefem produkcji u generała, to ja byłem prezydentem Stanów Zjednoczonych! Vylant skinął na mężczyznę w szarym garniturze: - A to, panie Jablonsky, jest pan Royale.

- Panie Jablonsky! Panie Jablonsky! - nie tyle powiedział, co zasyczał młody, chudy człowiek o rozbieganych oczach. Sięgnął ręką pod połą marynarki: muszę przyznać, że ruchy miał szybkie. Pistolet dygotał mu w dłoni. Zaklął, wyrzucił z siebie trzy niecenzuralne słowa; oczy miał

szkliste, szalone. Dwa długie lata na to czekałem, ty... Niech cię diabli wezmą, Royale!
Dlaczego...?

- Larry, znajdujesz się w towarzystwie młodej damy! - Mógłbym przysiąc, że Royale nie sięgnął ręką pod marynarkę ani do tylnej kieszeni spodni, ale nie było najmniejszej wątpliwości, że w jego dłoni matowo błysnął metal, lufa trzasnęła o nadgarstek Larry'ego, a pistolet chłopca z łoskotem potoczył się po marmurowym blacie stołu. Nigdy u żadnego magika nie widziałem tak zręcznej kuglarskiej sztuczki.

- Znamy pana Jablonsky'ego - mówił dalej Royale. Głos miał dziwnie melodyjny, kojący i łagodny. - Przynajmniej Larry i ja go znamy. Prawda, Larry? Larry odsiedział kiedyś sześć miesięcy pod zarzutem narkomanii. To właśnie Jablonsky go zapuszkował.

- Jablonsky...? - zaczął mówić generał.

- Jablonsky. - Royale uśmiechnął się i głową wskazał olbrzyma. - Porucznik służby wywiadowczej Herman Jablonsky z wydziału zabójstw policji nowojorskiej.

Rozdział IV

Zapadło milczenie, które zdawało się trwać bez końca. Brzemienne milczenie, jak powiadają... Ja się tym specjalnie nie przejmowałem. Tak czy inaczej, to ja miałem zawisnąć na kalendarzu. Pierwszy odezwał się generał: kiedy spojrzał na mężczyznę w wieczorowym garniturze, w jego głosie jak i w twarzy wyczuwało się sztywność i chłód.

- Co ma znaczyć to skandaliczne zachowanie, Vyland? - zapytał. - Sprowadzasz mi do domu człowieka, który nie tylko jest nałogowym narkomanem i nosi przy sobie broń, ale na domiar złego odsiadywał karę więzienia. Jeśli zaś mowa o obecności funkcjonariusza policji, może ktoś raczy oświecić mnie, co...

- Spokojnie, generale. Może pan zrzucić maskę - tym razem przemówił Royale, głosem jak poprzednio cichym i łagodnym, dziwnie pozbawionym jakichkolwiek śladów zuchwalstwa. - Nie dość ściśle się wyraziłem. Powinienem być powiedzieć "były porucznik służby wywiadowczej". Swego czasu najzdolniejszy chłopak w całym urzędzie, najpierw w narkotykach, później w zabójstwach: ma na swoim koncie więcej aresztowań i więcej wyroków skazujących niż jakikolwiek inny funkcjonariusz policji we wszystkich stanach wschodniego wybrzeża. Ale noga ci się pośliznęła, Jablonsky, prawda?

Jablonsky nie odezwał się ani słowem, jego twarz niczego nie zdradzała, co wcale nie znaczyło, że przestał myśleć. Moja twarz także niczego nie zdradzała, ale myślałem bardzo intensywnie. Myślałem, w jaki sposób stąd zwać. Służba znikła na skinienie ręki generała i przez chwilę wszyscy chyba przestali się mną interesować. Ostrożnie odwróciłem głowę. Pomyliłem się, był tutaj ktoś, kto nie spuszczał ze mnie oka. Valentino, mój znajomy z sali sądowej, stał w przejściu, tuż przy otwartych na oścież drzwiach, a zainteresowanie, jakie mi okazywał, z nawiązką rekompensowało brak zainteresowania w całej bibliotece. Z przyjemnością zauważyłem, że prawą rękę trzyma na temblaku. Lewy kciuk zatknął w lewą boczną kieszeń marynarki, a choć potężny to był kciuk, przecież nie wystarczał, by usprawiedliwić wybrzuszenie tej kieszeni. Gdybym spróbował uciekać, przyjąłby to z największym zadowoleniem.

- Tu obecny Jablonsky był centralną postacią największej afery policyjnej, która od czasów wojny wstrząsnęła Nowym Jorkiem - mówił tymczasem Royale. - W jego parafii ni stąd, ni zowąd odnotowano istną epidemię zabójstw, poważnych zabójstw, a Jablonsky za każdym razem popełniał szkolne błędy. Wszyscy wiedzieli, że za tymi zabójstwami kryje się gang, wymuszający zapłatę, pod groźbą użycia siły. Wszyscy, z wyjątkiem Jablonsky'ego. Jablonsky wiedział tylko, że za każdego truposza dostaje dziesięć patyków, a w zamian tropił wszystkie inne ślady, oprócz

właściwego. Poza policją miał jeszcze więcej wrogów niż w samej policji, no i przyskrzynili go. Stało się to osiemnaście miesięcy temu, przez cały tydzień miał praktycznie monopol na czołówki pierwszych stron wszystkich dzienników. Nie przypomina pan sobie tego, panie Vyland?

- Teraz sobie przypominam - Vyland potaknął ruchem głowy. - Sześćdziesiąt tysięcy przypadło bez śladu, nikt nigdy nie ujrzał ani grosza z tych pieniędzy. Jeśli się nie mylę, dostał trzy lata.

- I wyszedł po osiemnastu miesiącach - dokończył Rogale. - Nawiałeś, Jablonsky?

- Warunkowo zwolniony za dobre sprawowanie - spokojnie odpowiedział Jablonsky. - Znow jestem porządnym obywatelem. Czego się nie da powiedzieć o was, Royale. Czy pan zatrudnia tego gościa, panie generale?

- Zupełnie nie rozumiem, co to...

- Bo jeśli tak, będzie to pana kosztowało sto dolców więcej; niż pan zaplanował. Sto dolców to cena; jakiej Royale z reguły żąda od swych pracodawców na wieniec dla ofiar. A może ceny wzrosły ostatnio, Royale? Na kogo tym razem wymierzyłeś lufę?

Nikt się nie odezwał. Jablonsky mówił w dalszym ciągu:

- Tu obecny Royale figuruje w kartotekach policyjnych połowy stanów, panie generale. Nikt nigdy dotąd nie złapał go za rękę, ale wiedzą o nim wszystko. Pierwszy likwidator w całych Stanach Zjednoczonych, likwidator ludzi, nie szkód... Ceni się wysoko, ale zna się na rzeczy i nigdy niema reklamacji. Wolny strzelec; ale na jego usługi jest ogromne zapotrzebowanie ze strony różnych osób, o jakich panu nigdy się nie śniło. Nie tylko dlatego, że nigdy nie nawala, ale i dlatego, że jeden z punktów kodeksu honorowego Royale'a głosi, iż nie wolno tknąć tego, który go zatrudniał. Mnóstwo ludzi, panie generale, sypia spokojnie, bo wiedzą, iż figurują u Royale'a na liście nietykalnych. - Jablonsky potarł szczeniastą twarz grzbietem dłoni wielkości szufli. - Tak się zastanawiam, panie generale, kogo on ma teraz na oku? Czy nie sądzi pan, że tym razem mogłoby chodzić nawet o pana?

Po raz pierwszy generał okazał, że coś go poruszyło. Mimo brody i wąsów można było zauważyć, jak zwężyły mu się oczy, zacisnęły wargi oraz nieznacznie, ale dostrzegalnie odpłynęły rumieńce z policzków. Zwilżył powolnym ruchem wargi i spojrzał na Vylanda.

- Czy pan coś o tym wiedział? Ile jest prawdy w...

- Jablonsky po prostu plecie, co mu ślina na język przyniesie - przymilnie przerwał Vyland.

- Niech pan ich każe odprowadzić do innego pokoju, generale. Musimy porozmawiać.

Ruthven, ciągle jeszcze pobladły na twarzy, skinął głową, a Vyland rzucił wzrokiem na Royale'a. Ten uśmiechnął się i tym samym głosem powiedział: - W porządku. Wy dwaj, wynoście się. Pistolet zostaw tutaj, Jablonsky.

- A jak nie?

- Jeszcześ nie zainkasował tego czeku - wymijająco odpowiedział Royale. Miałem rację, słyszeli każde słowo.

Jablonsky położył pistolet na stole. Sam Royale nie miał broni w ręku. Zresztą umiał poruszać się z taką szybkością, że to było właściwie zbędne. Narkoman Larry stanął za mną i z taką siłą dźgnął mnie lufą pistoletu w nerki, że jęknąłem z bólu. Nikt się nie odezwał, więc powiedziałem: - Zrób to jeszcze raz, czubku, a dentysta będzie potrzebował całego dnia, żeby ci gębę przefasonować. - Wobec tego dźgnął jeszcze raz, dwakroć boleśniej niż przedtem, a kiedy zrobiłem obrót na pięcie, okazał się dla mnie za prędko: lufą pistoletu trafił mnie w twarz i przeorał mi cały policzek. Potem cofnął się o jakiś metr, z pistoletem wycelowanym w moje podbrzusze; jego zwariowane oczy latały po całym pokoju, a złowieszczy uśmiech na twarzy zapraszał, bym spróbował rzucić się na niego. Otarłem trochę twarz z krwi, odwróciłem się i ruszyłem ku drzwiom.

Valentino czekał już na mnie z pistoletem w garści i w ciężkich buciorach na nogach, a nim Royale, wcale nie spiesząc się, zdążył wyjść z biblioteki, zamknąć za sobą drzwi i jednym słowem powstrzymać Valentina, ja już nie mogłem się poruszać. Moje ucho jest w porządku, przez ładne parę lat wiernie mi służyło, ale przecież nie jest zrobione z dębowego drzewa; a Valentino nosił żelazne żabki na nosach buta. Po prostu, to nie był mój fartowny wieczór! Jablonsky pomógł mi podnieść się z podłogi i pokuśtykać do przyległego pokoju. W drzwiach zatrzymałem się, obejrzałem się za uśmiechniętym Valentino, a potem za Larrym, i w myślach zanotowałem sobie ich obu w mojej małej czarnej książeczce.

W pokoju tym spędziliśmy jakieś dziesięć minut. Jablonsky i ja siedzieliśmy, czubek z pistoletem w garści kręcił się tam i z powrotem i pełen nadziei czekał, żeby chociaż zmarszczył brew, a Royale niedbale opierał się o stół. Nikt nic nie mówił, aż wreszcie pojawił się kamerdyner i oznajmił, że generał chce nas widzieć. Potulnie pomaszzerowaliśmy wszyscy z powrotem. Valentino ciągle jeszcze warował w przejściu, ale udało mi się bezpiecznie dotrzeć do biblioteki. Może zabolął go palec u nogi? Ale wiedziałem, że nie w tym rzecz: Royale powiedział mu, żeby się odzepił, a jak Royale coś komuś powie, to więcej powtarzać nie musi!

Po naszym wejściu atmosfera wyraźnie się zmieniła. Co prawda dziewczyna nadal siedziała na stołku przed kominkiem z pochyloną głową, a blask ognia odbijał się w jej pszenicznych warkoczach, ale Vyland i generał sprawiali wrażenie ludzi zrelaksowanych i pełnych ufności; generał nawet się uśmiechał. Na stole w biblioteczkę leżało parę gazet, a ja pomyślałem sobie z przekąsem, czy to nie one właśnie, z wielkimi czarnymi tytułami nad winietą: "Ścigany morderca zabija posterunkowego, rani szeryfa", oraz moimi zdjęciami, bynajmniej niepocholebnymi, były

przyczyną tej ufności. Dla podkreślenia zmiany nastroju wszedł lokaj z tacą, niosąc szklaneczki, karafkę i syfon wody sodowej. Lokaj był jeszcze młody, ale poruszał się sztywno, jak na ołowianych nogach, tacę zaś postawił na stole z takim mozołem i trudem, iż mogło się zdawać, że słyhać skrzypienie stawów. Na twarzy też był raczej mizerny. Przyjrzałem mu się raz jeszcze, po czym obojętnie odwróciłem się, w nadziei, że mój wyraz twarzy nie zdradzi tego, co do mnie nagle dotarło.

Najwidoczniej przestudiowali odpowiednie podręczniki dobrego wychowania, bo i lokaj, i kamerdyner wiedzieli dokładnie, co do nich należy. Lokaj przyniósł napoje, kamerdyner je roznosił. Dziewczynie podał wino, każdemu z czterech mężczyzn whisky - demonstracyjnie pomijając czubka - i ustawił się tuż przede mną. Mój wzrok przesunął się po jego owłosionych rękach, złamanym nosie, ku stojącemu na drugim planie generałowi, który skinął głową, więc zerknąłem znów na srebrną tacę. Duma kazała mi odmówić. Wspaniały aromat bursztynowego płynu, nalanego z trójkątnej butelki z karbowanego szkła, mówił "tak", ale ponieważ na niekorzyść dumy z całą siłą przemawiały głód, przemoczone ubranie i lanie, jakie przed chwilą dostałem, aromat odniósł całkowite zwycięstwo. Podniosłem szklaneczkę i zerknąłem znad niej na generała: - Ostatni kieliszek skazańca, co, panie generale?

- Jeszcze nie skazańca - generał uniósł szklankę. - Wasze zdrowie, Talbot.

- Bardzo dowcipnie - warknąłem. - Jaki jest tryb postępowania w stanie Floryda, panie generale? Umieszcza się przy naczyniu z cyjankiem w specjalnej komorze czy po prostu smaży się w elektrycznym fotelu?

- Wasze zdrowie - powtórzył. - Nie zostaliście jeszcze skazani, może nawet nigdy nie będziecie skazani. Mam wam coś do zaproponowania, Talbot.

Ostrożnie opadłem na fotel. Buciory Valentina musiały uszkodzić któryś z nerwów w mojej nodze, bo mięsień udowy skakał jak szalony. Wskazałem ręką gazety rozłożone na stole.

- Sądzę, że pan to czytał, panie generale. Sądzę, że wie pan dokładnie, co się dziś wydarzyło, i zna pan moją przeszłość. Jaką propozycję mógłby ewentualnie przedstawić człowiek pańskiego pokroju komuś takiemu jak ja?

- Bardzo atrakcyjną propozycję. - Odniosłem wrażenie, że jego wystające kości policzkowe lekko się zarumieniły, ale mówił głosem dość opanowanym. - Daruję panu życie w zamian za drobną przysługę, którą mi pan wyświadczy.

- Bardzo przyzwoita propozycja. A jakiego rodzaju miałyby być ta drobna przysługa, panie generale?

- Tego na razie nie mogę wyjawiać. Może za jakieś, powiedzmy... trzydzieści sześć godzin, nie sądzi pan, panie Vyland?

- Do tego czasu powinniśmy się wszystkiego dowiedzieć - zgodził się Vyland. Ilekroć mu się przyglądałem, za każdym razem coraz mniej przypominał mi inżyniera. Zaciągnął się cygarem i popatrzył na mnie: - A więc zgadzacie się na propozycję generała?

- Nie wygłupiaj się pan. Co mi innego pozostało? A jak zrobię swoje, co potem?

- Dostaniecie dokumenty i paszport, zostaniecie wyekspediowani do pewnego kraju południowoamerykańskiego, gdzie nic wam nie grozi - odpowiedział generał. - Mam swoje chody. - Guzik dostanę, a nie dokumenty i wycieczkę do Ameryki Południowej, pomyślałem: prędzej mi dadzą parę betonowych skarpet i przejażdżkę w pozycji pionowej na samo dno Zatoki Meksykańskiej.

- A jeżeli nie wyrażę zgody, to oczywiście...

- Jeżeli się nie zgodzisz, to, rzecz jasna, wszyscy uznają, że muszą spełnić obywatelski obowiązek, i wydadzą cię glinom - ironicznie wtrącił Jablonsky. - Cały ten układ cuchnie mi pod samo niebo. Do czego jesteś generałowi potrzebny?... Przecież w całym kraju może nająć praktycznie, kogo tylko zechce. Dlaczego potrzebny mu jest właśnie ścigany zabójca? Do czego, na Boga, możesz mu się przydać? Po co miałby pomagać w ujściu przed sprawiedliwością poszukiwanemu mordercy? - Z rozmysłem sączył swój napój. - Generał Blair Ruthven, moralna podpora społeczeństwa Nowej Anglii, najślawniejszy i najbardziej wspaniałomyślny, po Rockefellerach filantrop! Cuchnie mi to. Babrze się pan w mrocznych i brudnych wodach, generale. Bardzo mrocznych i bardzo brudnych. I pogrążył się pan w nich po samą szyję. Bóg jeden raczy wiedzieć, o jaką stawkę toczy pan swoją grę, ale to musi być fantastycznie wysoka stawka. - Potrząsnął głową. - Nigdy bym w to nie uwierzył!

- Przez całe życie nie uczyniłem nigdy, z rozmysłem czy też nieświadomie, nic nieuczciwego - spokojnie odparł generał.

- Chryste Panie! - zawołał Jablonsky. Przez chwilę milczał, a potem odezwał się nagle: - No cóż, dziękuję za kielicha, generale. Niech pan tylko nie zapomina o cnocie ostrożności. Ja pozwolę sobie zabrać kapelusz i czek i ruszam w drogę. Fundusz emerytalny Jablonsky'ego wyraża panu słowa najgłębszej wdzięczności.

Nie zauważyłem, kto dał znak. Prawdopodobnie Vyland. Nie zauważyłem też, w jaki sposób pistolet znalazł się w ręku Royale'a. Ale zauważyłem, że był. To samo zresztą zauważył Jablonsky. Był to malutki pistolet, bardzo płaski pistolet samopowtarzalny z krótką lufą, mniejszy nawet od Liliputa, którego odebrał mi szeryf. Ale Royale miał prawdopodobnie oko myśliwego, polującego na wiewiórki, i niczego więcej nie było mu trzeba: człowiek wcale nie umiera szybciej od wielkiej dziury wyrwanej w sercu Coltem niż od malutkiej dziurki z pistoletu kaliber 0,22.

Jablonsky zamyślony patrzył na pistolet: - Wolałby pan raczej, żebym tu dłużej popasał, generale?

- Schowaj tego cholernego gnata - warknął generał. - Jablonsky jest po naszej stronie. Przynajmniej taką mam nadzieję. Tak, wolałbym, żebyście zostali. Ale jeśli nie macie ochoty, nikt was nie będzie zmuszał.

- A skąd miałbym nabrać ochoty? - Jablonsky pytanie to skierował niejako do wszystkich obecnych. - Czyżby generał, który nigdy w życiu świadomie nie popełnił żadnego nieuczciwego czynu, zamierzał zapobiec realizacji czeku? Czy też może zamierza w ogóle go podrzeć?

Gdyby nawet generał nie odwrócił nagle wzroku, byłbym i tak pewien, że Jablonsky odgadł trafnie. Vyland wtrącił się gładko: - Tylko na dwa dni, Jablonsky, najwyżej na trzy. Bądź co bądź, dostajecie mnóstwo forsy właściwie za nic. Prosimy was jedynie, żebyście czuwali nad Talbotem, dopóki nie zrobi tego, czego się po nim spodziewamy.

Jablonsky wolno pokiwał głową: - Rozumiem. Royale nie poniży się do roli klawiszka, on załatwia ludzi w sposób raczej bardziej definitywny. Tego bandziora w przejściu, kamerdynera czy naszego małego Larry'ego, każdego z nich Talbot mógłby bez trudu skonsumować na pierwsze śniadanie. Talbot musi być wam cholernie potrzebny, co?

- Potrzebujemy go - grzecznie odpowiedział Vyland. - A z tego, co nam opowiadała panna Ruthven, a także z tego, co Royale o was wie, jesteśmy pewni, że potraficie dać sobie z nim radę. A wasze pieniądze są zupełnie bezpieczne.

- Mhm. Ale niech mi pan powie, czy jestem więźniem, który pilnuje więźnia, czy też jestem wolny i mogę wychodzić i przychodzić, jak mi się żywnie podoba?

- Słyszeliście, co mówił pan generał? - odparł Vyland. - Jesteście człowiekiem wolnym. Ale jeżeli będziecie mieli ochotę wyjść, musicie się upewnić, czy Talbot jest dobrze zamknięty pod kluczem albo związany tak, żeby nie mógł uciec.

- Klawiszowanie za siedemdziesiąt tysięcy dolców, co? - posępnie odezwał się Jablonsky. - Będzie u mnie bezpieczny jak złoto w federalnym skarbcu. - Zorientowałem się, że Royale i Vyland wymienili krótkie, porozumiewawcze spojrzenia, a Jablonsky dorzucił: - Ale jestem trochę niespokojny o te siedemdziesiąt tysięcy. To znaczy, jeżeli ktoś się dowie, że Talbot tu jest, nie dostanę siedemdziesięciu tysięcy. Przy mojej przeszłości grozi mi dziesięć lat za utrudnianie wymiaru sprawiedliwości oraz za okazywanie pomocy ściganemu mordercy. - Popatrzył w zamyśleniu na Vylanda i na generała; po czym dodał cichym głosem: - Jaką mam gwarancję, że nikt w tym domu nie piśnie słówka?

- Nikt nie piśnie słówka - kategorycznie oświadczył Vyland.

- Kierowca mieszka na portierni, prawda? - zapytał Jablonsky zupełnie nie a propos.

- Owszem, tak - Vyland mówił cicho, z namysłem. - Może to i dobra myśl, żeby się pozbyć...

- Nie! - gwałtownie przerwała dziewczyna. Skoczyła na równe nogi, ręce zacisnęła w pięści.

- Pod żadnym pozorem - spokojnie rozstrzygnął generał Ruthven. - Kennedy zostanie. Zbyt wiele mu zawdzięczamy.

Vyland na moment zmrużył oczy i przyjrzał się generałowi. Ale na jego nie wypowiedziane na głos pytanie odpowiedziała dziewczyna: - Simon się nie wygada - stwierdziła bezbarwnym głosem. Podeszła do drzwi. - Pójdę z nim porozmawiać.

- Simon? Hm... - Vyland paznokciem kciuka potarł wąsy i przyjrzał się dziewczynie. - Simon Kennedy, szofer i totumfacki.

Cofnęła się o parę kroków, zatrzymała przed Vylandem i obrzuciła go wzrokiem stanowczym, znużonym. Teraz wyczuwało się wyraźnie piętnaście pokoleń sięgających wstecz do pielgrzymów ze statku "Mayflower", a także każdy z dwustu osiemdziesięciu pięciu milionów doliczanych. Powiedziała cedząc słowo po słowie: - Moim zdaniem jest pan najobrzydliwszym człowiekiem, jakiego znam - po czym wyszła trzaskając drzwiami.

- Moja córka jest przewrażliwiona - pośpiesznie wtrącił generał. - Ona...

- Mniejsza o to, generale. - Głos Vylanda był jak zawsze uprzejmy, ale on sam wyglądał teraz na przewrażliwionego. - Royale, moglibyśmy pokazać Jablonskiemu i Talbotowi, gdzie będą dziś spać? Wschodni kraniec nowego skrzydła. Pokoje są już przygotowane.

Royale kiwnął głową, ale Jablonski uniósł rękę w górę:

- Ta robota, jaką Talbot ma dla was odwalić, czy to będzie tu, w tym domu?

Generał Ruthven zerknął na Vylanda, potem zaprzeczył ruchem głowy.

- A gdzie? - upierał się Jablonski. - Jeżeli tego faceta stąd wywieziemy, a w promieniu stu mil ktoś go zauważy, będziemy się mieli z pyszna. Ja w szczególności będę się musiał pożegnać z forsą. Zdaje mi się, generale, że mam prawo do jakichś gwarancji.

Generał i Vyland znów szybko wymienili spojrzenia, przy czym Vyland znów niemal niepostrzeżenie skinął głową.

- Sądzę, że tyle możemy wam powiedzieć - odezwał się generał. - Robota ma być wykonana na X 13, mojej pływającej wyspie w zatoce. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Dwadzieścia pięć kilometrów stąd, w samym sercu zatoki: Tam, panie Jablonski, nie ma żadnych przechodniów, którzy by go mogli rozpoznać.

Jablonsky pokiwał głową, jak gdyby chwilowo to mu wystarczyło, i nie odezwał się już więcej słowem. Ja gapiłem się w podłogę. Nie miałem odwagi podnieść wzroku. Royale powiedział cichutko: - Ruszamy!

Dopiłem whisky i podniosłem się. Ciężkie drzwi biblioteki otwierały się na zewnątrz, na korytarz, a Royale z pistoletem w ręku usunął się na bok, żeby przepuścić mnie przodem. Powinien był przewidzieć! Może moje kuśtykanie wprowadziło go w błąd? Wszyscy myśleli, że ruszam się wolniej, ponieważ utykam na nogę, ale wszyscy byli w błędzie.

Valentino gdzieś znikł. Minąłem drzwi, zwolniłem i za framugą skręciłem, jak gdyby czekając, aż Royale dogoni mnie i pokaże, dokąd iść. Potem obróciłem się na pięcie i z całą szybkością i całą siłą, jakie mogłem zmobilizować, piętą prawej nogi rąbnąłem w drzwi.

Drzwi przygwoździły Royale'a do framugi. Gdyby go tak trafiły w głowę, byłoby już po nim. W rzeczywistości w kleszcze dostały się ramiona, ale i tego starczyło, by zawył z bólu i wypuścił z ręki pistolet, który zatoczył koło i upadł na podłogę w odległości kilkudziesięciu centymetrów od drzwi. Skoczyłem po broń. Złapałem pistolet za lufę, odwróciłem się, ciągle jeszcze w przysiadzie, gdy nagle usłyszałem za sobą szybkie kroki. Rękojeść samopowtarzalnego pistoletu trafiła nurkującego Royale'a w twarz, nie miałem pewności gdzie, ale zabrzmiało to tak, jak gdyby dwukilowa siekiera zatopila się w sosnowym pniu. Zanim jeszcze mnie rąbnął, stracił przytomność - ale mimo to zdążył to zrobić. Siekiera nie jest w stanie powstrzymać padającej sosny. Wystarczyły mi dwie sekundy, żeby go odepchnąć i uchwycić pistolet za rękojeść, ale dwie sekundy wystarczyły też, a nawet z nawiązką, dla człowieka pokroju Jablonsky'ego.

Kopnął mnie w rękę, w której trzymałem pistolet, tak że broń wylądowała w odległości chyba siedmiu metrów. Próbowałem złapać go za kolana, ale uskoczył w bok z szybkością zawodnika wagi muszej, uniósł kolano i z całych sił rzucił mną w otwarte drzwi. A potem już było za późno, bo miał w ręku Mauzera, wycelowanego między moje oczy.

Powoli podniosłem się na nogi, nie próbując już żadnych sztuczek. Generał i Vyląd z pistoletami w dłoni przepchali się przez otwarte drzwi, ale uspokoili się na widok Jablonsky'ego z bronią wycelowaną we mnie. Vyląd pochylił się i pomógł nieustannie jęczącemu Royale'owi przybrać pozycję siedzącą. Royale nad lewym okiem miał podłużną, obficie krwawiącą ciętą ranę, jutro wyskoczy mu w tym miejscu siniak wielkości kaczego jaja. Po jakiejś pół minucie potrząsnął głową, jak gdyby chciał odzyskać jasność myśli, wierzchem dłoni otarł krew i powoli się rozejrzał, aż jego wzrok skrzyżował się z moim. Popelniłem błąd. Poprzednio myślałem, że są to najbardziej puste i całkowicie wyzute w wszelkiego wyrazu oczy, ale popelniłem błąd. Teraz zajrzałem w nie i odniosłem wrażenie, że nieomal czuję zapach wilgotnej, świeżo przekopanej ziemi nad otwartą mogiłą.

- Widzę, że moja obecność naprawdę jest panom bardzo potrzebna - zażartował Jablonsky. - Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś się pokusi o splątanie Royale'owi takiego numeru. Ale człowiek uczy się do samej śmierci. - Sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął cienkie stalowe kajdanki, które fachowo wsunął mi na ręce. - Pamiątka po starych, kiepskich czasach - wyjaśnił przeprasząc. - Nie znajdują się przypadkiem w tym domu jeszcze jedne, a także kawałek drutu lub łańcucha?

- To się da załatwić - Vyland odpowiedział prawie automatycznie. Ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co się przydarzyło niezawodnemu fachowcowi od mokrej roboty.

- Doskonale - Jablonsky uśmiechnął się do Royale'a. - Dziś w nocy nie musisz zamykać się na klucz, już ja przypilnuję Talbota, żeby ci nie zrobił krzywdy. - Royale przeniósł ponure złowieszcze spojrzenie z mojej twarzy na Jablonsky'ego, ale o ile mogłem się zorientować, wyrazu twarzy nie zmienił ani na jotę. Pomyślałem sobie, że może Royale zaczyna snuć marzenia o podwójnej mogile.

Kamerdyner zaprowadził nas na piętro, a potem wąskim korytarzem na tyły wielkiego domu. Z kieszeni wyjął klucz, otworzył drzwi i wprowadził nas do środka. Była to po prostu jeszcze jedna sypialnia, umeblowana skąpo, ale kosztownie, z umywalką w jednym rogu, a nowoczesnym mahoniowym łóżem pośrodku prawej ściany. Po lewej były drzwi prowadzące do drugiej sypialni. Kamerdyner wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył je także. Drugi pokój urządony był identycznie jak pierwszy, z tą różnicą, że łóżko było bardziej staroświeckie, z żelaznymi balaskami. Wyglądało tak, jak gdyby wykonano je z resztek dźwigarów, pozostawionych po budowie mostu w Key West. Sprawiało solidne wrażenie. Zanosilo się na to, że ma to być moje łóżko.

Wróciliśmy do pierwszego pokoju. Jablonsky wyciągnął rękę: - Klucze poproszę.

Kamerdyner zawahał się, przyjrzał mu się bacznie, wzruszył ramionami, po czym wręczył mu klucze i odwrócił się do wyjścia. Jablonsky odezwał się uprzejmie: - Ten Mauzer, przyjacielu, który trzymam w ręku... nie chciałbyś, żebym go dwa-trzy razy odbił od twojej łepetyny?

- Chyba niezbyt dobrze pana rozumiem, sir.

- "Sir", co? To ładnie. Nigdy bym się nie spodziewał, że w bibliotece więziennej w Alcatraz mają książki o zawodzie kamerdynera. Drugi klucz, przyjacielu. Od drzwi, które prowadzą z pokoju Talbota na korytarz.

Kamerdyner spojrzął spode łba, wręczył trzeci klucz i wyszedł. Bez względu na to, jakie studiował książki o zawodzie kamerdynera, najwidoczniej musiał przeoczyć rozdział o zamykaniu drzwi, ale były to drzwi solidne, więc wytrzymały trzaśnięcie. Jablonsky uśmiechnął się ironicznie, ostentacyjnie zamknął drzwi na klucz, zaciągnął story, szybko sprawdził, czy w ścianach nie ma

dziur do podglądania i podszedł do mnie. Pięć czy sześć razy pacnął potężną pięścią w nie mniej potężną dłoń, kopnął ścianę i przewrócił fotel z hałasem, od którego zatrzęsły się ściany. Potem powiedział niezbyt cicho, ale i nie za głośno: - Jak będziesz miał dość, przyjacielu, możesz się podnieść. To jest tylko drobne ostrzeżenie, żebyś ze mną nie próbował żadnych takich sztuczek jak z Royale'em. Rusz tylko paluszkami, a będzie ci się zdawało, że najwyższy nowojorski drapacz chmur zważył ci się na łeb.

Nie ruszyłem paluszkami. Jablonsky zresztą też nie. W pokoju panowała absolutna cisza. Nasłuchiwałem w napięciu. Na zewnątrz, w korytarzu, cisza nie była już tak absolutna. Kamerdyner na swoich platformach; adenoidalnie oddychający przez złamany nos, zupełnie się nie nadawał do roli "ostatniego Mohikanina", a gdy gruby dywan stłumił wreszcie odgłos kroków, zdążył już oddalić się o dobre siedem metrów.

Jablonsky wyjął klucz, delikatnie rozpiął kajdanki, schował je do kieszeni i uściśnął mi rękę, jak gdyby chciał mi połamać każdy palec z osobna. Tak też to i odczułem, ale mimo wszystko mój uśmiech był równie szeroki i pełen zachwytu, jak jego uśmiech. Zapaliliśmy papierosa i milimetr po milimetrze zaczęliśmy przeszukiwać oba pokoje, rozglądając się za ukrytymi mikrofonami i aparaturą podsłuchową.

W pokojach aż się od tego roiło.

`cp2

Dokładnie po upływie dwudziestu czterech godzin wsiadałem do samochodu sportowego, pustego, ale z kluczykiem w stacyjce, pozostawionego przy podjeździe domu generała w odległości czterystu metrów od portierni. Był to Chevrolet Corvette, ten sam wóz, który skradłem poprzedniego popołudnia, kiedy porwałem Mary Ruthven jako zakładniczkę.

Wczorajszy deszcz minął bez śladu. Przez cały dzień - dla mnie wyjątkowo długi - niebo było błękitne i bezchmurne. Leżałem kompletnie ubrany i przykuty do balasek żelaznego łóżka, a temperatura w szczelnie zamkniętym pokoju, którego okna wychodziły na południe, sięgała blisko czterdziestu stopni w cieniu. Taki upał i senna bezczynność odpowiadałyby, być może, żółwiom z wysp Galapagos, ale ja leżałem oklapły jak zdechły królik. Trzymali mnie tak przez cały dzień. Jablonsky przynosił mi jedzenie, a tuż przed kolacją zaprezentował mi generałowi, Vylandowi i Royale'owi, żeby się mogli naocznie przekonać, jaki to z niego wspaniały pies łańcuchowy, no i że jestem jeszcze względnie cały. Otóż to, względnie! Dla wzmożenia efektu utykałem jeszcze bardziej niż zazwyczaj, a policzki i podbródek zaklepiełem plastrem.

Royale nie potrzebował aż tak rzucających się w oczy dowodów, że ucierpiał od działań wojennych. Śmiem zresztą wątpić, czy produkuje się plastry takiej szerokości, które zakryłyby

potężny siniak, jaki wyrósł mu na czole. Prawe oko stało się też sinopurpurowe, a na domiar tego zapuchło. Rozpracowałem Royale'a dokładnie, toteż wiedziałem, że choć przybrał ponownie wyraz pusty i obojętny, i drugie oko ma zdrowe, nie spocznie, nim mi się nie odplaci pięknym za nadobne. Raz na zawsze.

Nocą powietrze było chłodne, przyjemne, przesycone zapachem słonego morza. Dach opuściłem, a ponieważ jechałem w kierunku południowym, usiadłem głęboko na siedzeniu, aby świeże powietrze przegnało z otumanionego mózgu resztki pajęczyny. Nie tylko upał był przyczyną mojej ospałości: tego znojnego popołudnia spałem tak długo, że nie mogłem się uwolnić od senności, a teraz ponosiłem tego konsekwencje; z kolei jednak nie spodziewałem się, że nadchodzącej nocy uda mi się pospać. Raz czy dwa myślałem o Jablonskim, tym potężnym, roześmianym brunecie o spalonej słońcem twarzy i ujmującym uśmiechu, który w tej chwili siedział w swym pokoju na piętrze, wytrwale i uroczyście pilnując mojej pustej sypialni, ze wszystkimi trzema kluczami do jej drzwi u siebie w kieszeni. Pomacałem własną kieszeń: leżały w niej wszystkie trzy duplikaty, które Jablonsky kazał sporządzić dziś rano, kiedy udał się na przejażdżkę w kierunku Marble Springs. Jablonsky spędził dziś bardzo pracowity ranek.

Przestałem myśleć o Jablonskim: potrafi dać sobie radę lepiej od wszystkich. Mnie natomiast czekało dosyć własnych kłopotów.

Nad leżącą po stronie zachodniej zatoką koloru ciemnego wina znikły właśnie ostatnie ślady jaskrawoczerwonego zachodu słońca, a na wysokim bezwietrznym niebie jasno lśniły gwiazdy, kiedy po prawej stronie drogi zauważyłem zielono przesłoniętą latarnię. Minąłem ją, potem drugą, przy trzeciej zaś skręciłem ostro w prawo i skierowałem Corvette w dół, na niewielkie kamienne nabrzeże. Przyhamowałem, po czym zatrzymałem się obok wysokiego, tęgiego mężczyzny, który trzymał w ręku małą latarkę w kształcie ołówka.

Ujął mnie pod ramię - było to konieczne, oślepił mnie bowiem blask białego snopu światła reflektorów mojej Corvetty - i bez słowa sprowadził drewnianymi schodami na pływaką przystań, a potem ku podłużnemu ciemnemu kształtowi, lekko kołyszącemu się na wodzie przy nabrzeżu. Teraz już widziałem nieco lepiej. Udało mi się uchwycić podpórkę i bez niczyjej pomocy zeskoczyć do łódki. Niski, krępy mężczyzna podniósł się na moje powitanie.

- Pan Talbot?

- Tak jest. Kapitan Zaimis, jeśli się nie mylę?

- John. - Niski mężczyzna zachichotał i wyjaśnił śpiewnym akcentem: - Chłopcy śmieliby się ze mnie. "Kapitanie Zaimis - mówiliby. - Co tam dziś słyhać na Queen Mary czy na United States?" I tak dalej... Dzisiejsza młodzież! - westchnął z udawanym smutkiem. - No cóż, moim zdaniem John zupełnie wystarczy jak na szypra małego "Matapanu".

Rzuciłem okiem za jego ramię i przyjrzałem się chłopcom. Jak na razie, stanowili tylko ciemną plamę na tle nieco jaśniejszego nieboskłonu, ale mimo to zdołałem się przekonać, że "chłopcy" liczą po metr osiemdziesiąt każdy, a zbudowani są proporcjonalnie do wzrostu. "Matapan" zresztą też nie był taki malutki: miał co najmniej trzynaście metrów długości, dwa maszty, na trawersie zaś, a także od dziobu do rufy, na wysokości nieco powyżej wzrostu wysokiego mężczyzny, ciągnęło się dziwne nadburcie. I statek, i załoga zdradzały greckie pochodzenie: marynarze byli bez wyjątku Grekami, jeśli zaś "Matapan" nie był w stu procentach helleński, to przynajmniej zbudowali go greccy cieśle okrętowi, którzy przybyli na Florydę i tam się osiedlili specjalnie po to, by budować właśnie takie płaskodenne statki. Dzięki ich wysmukłym, pełnym uroku łukom oraz wygiętym w górę kabłąkom, Homer bez najmniejszych trudności umiałby je zidentyfikować jako wywodzące się w linii prostej od galer, które przed niezliczonymi wiekami krążyły po słonecznym Lewancie i po Morzu Egejskim. - Przez moment ogarnęło mnie nagle poczucie bezpieczeństwa i wdzięczności, że znalazłem się na pokładzie takiego statku, w towarzystwie takich ludzi.

- Doskonała noc dla naszych celów - powiedziałem.

- Może. A może i nie. - Z jego głosu znikło poczucie humoru. - Wcale tak nie sędzę. Nie jest to noc, którą wybrałby John Zaimis.

Nie chciałem mu przypominać, że o żadnym wyborze nie mogło być mowy. Zapytałem tylko: - Za jasno? O to chodzi?

- Nie o to. - Odwrócił się na chwilę, wydał jakieś rozkazy, zapewne po grecku, a jego ludzie zaczęli kręcić się po pokładzie, odcumowując liny od pachołków przystani. Potem odwrócił się do mnie: - Przepraszam, że zwracam się do nich w ich ojczystym języku. Ci trzej chłopcy znajdują się w kraju od niespełna sześciu miesięcy. Moi synowie nie chcą nurkować. Ciężki zawód, powiadają, za ciężkie życie. No więc, muszę sprowadzać młodych ludzi z Grecji... Nie podoba mi się ta pogoda, panie Talbot. Za ładna noc.

- Właśnie to miałem na myśli.

- Nie o to chodzi - energicznie potrząsnął głową. - Za ładnie. Powietrze jest zbyt spokojne, a ta lekka bryza wieje z północnego zachodu, prawda? To niedobrze. Wieczorem słońce płonęło na niebie. To niedobrze. Czuje pan te lekkie fale, które kołyszą "Matapanem"? Kiedy pogoda jest dobra, małe fale odbijają się od kadłuba co trzy, może co cztery sekundy. A dziś? - Wzruszył ramionami. - Co dwanaście, może co piętnaście sekund. Od czterdziestu lat wychodzę w morze z Tarpon Springs. Znam tutejsze wody. Skłamałbym twierdząc, że jest ktoś, kto zna je lepiej ode mnie. Nadciąga wielka burza.

- Wielka burza? - Nie uważałem się za znawcę w tej dziedzinie. - Czy nadano komunikat ostrzegawczy o huraganie?

- Nie.

- Czy przed każdym huraganem występują podobne objawy? - Kapitan Zaimis nie miał zamiaru mnie pocieszać, ktoś więc musiał przynajmniej próbować.

- Nie zawsze, panie Talbot. Raz, chyba lat temu piętnaście, nadano ostrzeżenie przed burzą, ale nie było żadnych znaków. Ani jednego: Rybacy z - South Caicos wyszli więc w morze. Pięćdziesięciu utonęło. Ale kiedy we wrześniu są znaki, wielka burza nadciąga. Jest nieunikniona.

Nikt nie miał zamiaru pocieszać mnie tej nocy! - Kiedy nadejdzie? - spytałem.

- Za osiem godzin... za czterdzieści osiem... Nie wiem. - Wskazał prosto na zachód, tam gdzie zaczynało się burzyć oleiste morze. - Ale nadejdzie stamtąd... Gumowy kostium znajdzie pan pod pokładem, panie Talbot.

Minęły dwie godziny i przepłynęliśmy dwadzieścia kilometrów. Zbliżaliśmy się do ciągle jeszcze odległej burzy. Płynęliśmy pełną parą, ale nawet maksymalna prędkość "Matapana" nie była godna podziwu. Przed niespełna miesiącem dwóch cywilnych mechaników, zaprzysiężonych do zachowania tajemnicy, za pomocą dziwnie ustawionego systemu płaskich przegród połączyło rurę wydechową silnika "Matapana" z podwodnym cylindrem. Robotę wykonali na medal, wydmuch gazów spalinowych "Matapana" nie był głośniejszy od zduszonego szeptu, ale ciśnienie wsteczne o połowę zmniejszyło siłę ciągu. Mimo to statek był dostatecznie szybki. Do celu docierał. Jeśli o mnie idzie, docierał nawet zbyt prędko, bo im dalej zapuszczaliśmy się w rozgwieżdżoną zatokę, tym dłuższe i głębsze stawały się doliny przedzielające grzbiety fal, a ja nabierałem coraz mocniejszego przeświadczenia o beznadziejności zadania, które przyszło mi wykonać. Tylko że ktoś to zrobić musiał, ja zaś byłem tym, który wyciągnął Czarnego Piotrusia...

Księżyc tej nocy nie świecił. Z biegiem czasu nawet gwiazdy zaczęły przygasać. Niebo stopniowo pokrywało się cirrusami, przypominającymi długie, szare płachty. Potem spadł deszcz, nie gęsty, ale zimny i przejmujący, a John Zaimis dał mi brezent do nakrycia - na "Matapanie" była wprawdzie kabina, nie miałem jednak ochoty schodzić pod pokład.

Pod wpływem kołysania łodzi musiałem się chyba zdrzemnąć, bo kiedy się ocknąłem, deszcz przestał bębnić po brezencie, a ktoś szarpał mnie za ramię. To szyper mówił cichym głosem: - Panie Talbot, jesteście na miejscu. To jest właśnie X 13.

Wstałem przytrzymując się masztu - kołysanie było teraz naprawdę nieprzyjemne - i podążyłem wzrokiem w kierunku, który wskazywał mi ręką. Właściwie nie musiał nic wskazywać, nawet z odległości półtora kilometra X 13 wypełniała, zdawało się, całe niebo.

Przyjrzałem się jej, odwróciłem wzrok, potem znów popatrzyłem. Stała ciągle na swoim miejscu. Straciłem w życiu prawie wszystko, właściwie nie miałem po co żyć, ale trochę mi jeszcze zostało, więc tak stałem i myślałem, jakby to było dobrze, gdybym był o dziesięć tysięcy mil od tego miejsca!

Byłem przerażony. Jeśli to miał być kres podróży, byłbym wdzięczny Bogu, gdybym nigdy nie postawił stopy na jej progu.

Rozdział V

O tych przybrzeżnych instalacjach wiertniczych słyszałem już dawniej. Jedną z nich opisywał mi nawet człowiek, który je projektował, ale do tej pory nie widziałem żadnej na własne oczy, teraz zaś zdałem sobie sprawę, że wszystko, co słyszałem, tak się ma do rzeczywistości, jak zdolność tchnięcia życia w wysuszony szkielet faktów i statystyk.

Patrzyłem na X 13 i po prostu nie wierzyłem własnym oczom. To był istny kolos. Kanciasty i niezgrabny, jak żadna widziana przeze mnie dotychczas budowla. Nade wszystko zaś był nierzeczywisty, koszarne połączenie Juliusza Verne'a i co bardziej wymyślnych konstrukcji fikcyjnej kosmonautyki:

W migocących plamach nikłego światła gwiazd wyglądał na pierwszy rzut oka jak las wyrastających z morza ogromnych kominów fabrycznych. W połowie ich wysokości wszystkie kominy łączyła głęboka, masywna platforma. Na prawym skraju tej platformy ustawiono właściwy szyb wiertniczy, sięgający aż do nieba, tajemniczy i kruchy jak pajęczyna spleciona z cienkich dźwigarów, dwukrotnie wyższy od kominów, a na tle nocnego nieba odcinający się jak baśniowa girlanda białych i kolorowych świateł operacyjnych i ostrzegawczych dla samolotów.

Nie należę do ludzi, którzy zawsze muszą się uszczypnąć, aby przekonać samych siebie, że mają przed sobą przedmioty realne, ale gdybym taki miał zwyczaj, nigdy w życiu nie znalazłbym ku temu odpowiedniejszej niż w tej chwili okazji. Na widok koszarnej, marsjańskiej budowli, wyrastającej z samego środka morza, nawet najbardziej zatwardziali pijacy z krzykiem zaprzysięgliby dozgonną abstynencję.

Zdawałem sobie sprawę, że wspomniane uprzednio kominy były w rzeczywistości masywnymi metalowymi filarami o wręcz niewiarygodnej wytrzymałości: każdy z nich mógł utrzymać kilkaset ton obciążenia, a w tej konstrukcji doliczyłem się nie mniej niż czternastu takich filarów, po siedem z każdej strony, odległość zaś między skrajnymi filarami musiała wynosić około stu pięćdziesięciu metrów. Zdumiewał natomiast fakt, że cała ta rozległa platforma była przenośna: przyholowano ją na miejsce razem z platformą zatopioną głęboko w morzu i z filarami wyrastającymi w górę, prawie do poziomu wierzchołka szybu. Po przywiezieniu na wyznaczone miejsce filary opuszczono prosto na dno morza, a wówczas cała ogromna platforma i szyb wiertniczy, ważące w sumie chyba cztery lub pięć tysięcy ton i napędzane potężnymi silnikami, stopniowo wyłoniły się z wody do takiego poziomu, że przestały im zagrażać najwyższe nawet huraganowe fale Zatoki Meksykańskiej.

O tym wszystkim wiedziałem, ale wiedzieć, a widzieć - to wcale nie to samo!

Podskoczyłem, gdy czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Zupełnie zapomniałem, na jakim jestem świecie.

- Co pan o tym sądzi, panie Talbot? - zapytał szyper. - Podoba się panu?

- Tak, ładna sztuka. Ile kosztuje taka zabaweczka? Ma pan pojęcie?

- Cztery miliony dolarów. - Zaimis wzruszył ramionami. - Może cztery i pół.

- Nie byle jaki wydatek - przytaknąłem. - Cztery miliony dolarów...

- Osiem - poprawił mnie Zaimis. - Nie można, ot tak tylko, przystąpić do wierceń, panie Talbot. Najpierw trzeba kupić grunt podmorski, dwa tysiące hektarów, trzy miliony dolarów: Potem wywiercić otwór... tylko jeden, głębokości chyba trzech kilometrów. To kosztuje jakieś trzy czwarte miliona. Jeżeli ma się szczęście.

Osiem milionów dolarów. To nawet nie jest inwestycja. To hazard. Geologowie mogą się mylić, częściej są w błędzie, niż mają rację. Generał Blair Ruthven, człowiek, którego stać na wyrzucenie w błoto ośmiu milionów dolarów: o jaką stawkę musi walczyć taki człowiek, o takiej jak on reputacji, jeśli gotów jest - a dla mnie było rzeczą oczywistą, że jest gotów! - przekroczyć granice zakreślone przez prawo? Był tylko jeden sposób znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Wzdrygnąłem się i odwróciłem do Zaimisa.

- Czy możemy się zbliżyć?

- Do samego końca. - Wskazał ręką bliższą krawędź olbrzymiej konstrukcji. - Widzi pan przycumowany tam statek?

Do tej pory go nie zauważyłem, ale teraz widziałem: podłużny, ciemny kształt długości ponad osiemdziesiąt metrów, który ginał zupełnie w cieniu potężnej konstrukcji. Wierzchołki masztów z trudem sięgały na pół drogi do pokładu platformy z instalacją wiertniczą. Spojrzałem ponownie na Zaimisa.

- John, czy pokrzyżuje to nasze plany?

- Chce pan wiedzieć, czy wejdzie nam w drogę? Nie. Zatoczmy szeroki łuk i podejźmy od południa.

Poruszył sterem, a "Matapan" zrobił skręt w lewo, jakby chciał obejść X 13 od południa; gdybyśmy skierowali się w prawo, na północ, "Matapan" znalazłby się w blasku łukowych światła i potężnych reflektorów, oświetlających wysoką platformę roboczą wokół szybu. Nawet z odległości półtora kilometra widzieliśmy wyraźnie ludzi kręcących się wokół szybu, a stłumiony warkot potężnej maszynerii, przypominającej odgłosy pracy dieslowskich kompresorów, niósł się wyraźnie po powierzchni ciemnej wody. Przynajmniej to nam sprzyjało: nie przyszło mi nawet do głowy, że praca na tych pływających instalacjach wiertniczych może trwać dwadzieścia cztery

godziny na dobę, ale łoskot towarzyszący wierceniom zagłuszał przynajmniej ochryply szept silników "Matapana".

Nasza łódź zaczęła teraz raptownie wpadać w korkociąg. Zeszliśmy w bok w kierunku południowo-zachodnim biorąc od sterbortu długą, pogłębiającą się falę, a woda zaczynała przelewać się przez burty łodzi. Byłem już cały przemoczony. Skuliłem się przy sterze pod brezentem, pod taką osłoną zapaliłem ostatniego papierosa i spojrzałem na szypra.

- John, a co z tym statkiem? Czy są szanse, że odpłynie?

- Nie wiem. Myślę, że raczej nie. To tender zaopatrzeniowy i paliwowy. Przewożą nim jedzenie, napoje, "błoto" dla wiertel i dziesiątki tysięcy beczek benzyny. Niech się pan przyjrzy dokładnie, panie Talbot. To coś w rodzaju małego zbiornikowca. Na razie przewozi ropę dla wielkich maszyn, a może także dostarcza energii elektrycznej ze swoich generatorów. Później, kiedy odwiercą złożę, będzie przewoził ropę na ląd.

Zerknąłem spod skraju brezentu. John miał rację: statek wyglądał jak mały zbiornikowiec. Podobne statki widywałem przed laty, w czasie wojny: wysoki, wzniesiony, pusty międzypokład, ładownia tylna i hala maszyn zbiornikowca floty śródlądowej. Ale mnie w tej chwili bardziej interesowało stwierdzenie Johna, że statek spędza tu większość czasu.

- John, chciałbym wejść na pokład tego statku. Da się zrobić? - Właściwie nie miałem na to najmniejszej ochoty, ale wiedziałem, że muszę to zrobić. Nigdy mi nawet do głowy nie przyszła myśl o statku mniej lub bardziej trwale przycumowanym do platformy; teraz skoro już wiedziałem, że tak się rzeczy mają, fakt ten stał się nagle najistotniejszym elementem moich rozważań.

- Ależ... ale mnie powiedziano, że pan chce dostać się tylko na platformę wiertniczą.

- Tak. Możliwe. Ale to później. Poradzi pan sobie ze statkiem?

- Spróbuję - głos kapitana Zaimisa zabrzmiał złowieszczo. - To kiepska noc.

Mnie to mówił! Dla mnie to była straszna noc. Ale nic nie odpowiedziałem. Kierując się ciągle ku południowemu zachodowi, przechodziliśmy teraz dokładnie na wprost samego środka jednego z dłuższych boków platformy, zobaczyłem więc, że masywne stalowe filary, podtrzymujące podstawę szybu wiertniczego, wcale nie są rozmieszczone tak symetrycznie, jak mi się poprzednio wydało. Po obu stronach, między czwartym a piątym potężnym słupem, znajdowała się luka długości jakichś pięćdziesięciu metrów, platforma zaś w tych miejscach była pochylona i znajdowała się na poziomie znacznie niższym niż główny pokład. Na tym niższym poziomie cienka wrzecionowata sylwetka żurawia w kształcie cygara sięgała aż do najwyższego wierzchołka filarów: tender przycumowany był dokładnie pod tym wykrojonym pokładem studniowym, zasłaniając całą lukę i parę stalowych filarów po obu jej stronach.

W pięć minut później szyper zmienił kurs, tak że skierowaliśmy się ponownie prosto na zachód, aby podejść wprost od południowej strony pływającej wyspy. Nie zdążyliśmy jeszcze przyzwycząć się do względnego komfortu płynięcia pod falę; kiedy znów przełożył ster i ruszył na północny zachód. Wydawało się, że celujemy prosto w najbardziej na południe wysunięty filar platformy, po stronie stałego lądu, przechodząc w odległości jakichś piętnaście metrów od dziobu zacumowanego przy niej tendra, otarliśmy się prawie o ten filar z tolerancją kilkudziesięciu centymetrów i w ten sposób znaleźliśmy się tuż pod masywną platformą pływającej wyspy.

Jeden z młodych Greków, mocno opalony brunet imieniem Andrew, zajęty był czymś na dziobie, a kiedy przechodziliśmy pod samą platformą i zrównaliśmy się z drugim od południa filarem od strony pełnego morza, cicho zawołał do Johna, a koło ratunkowe, przywiązane do cienkiej linki, rzucił jak tylko mógł najdalej. W tej samej chwili John zdławił silnik do ledwie słyszalnego szeptu. "Matapan", popychany falą, wolniutko zdryfował wzdłuż jednego boku filara, koło ratunkowe natomiast opadło na wodę po jego drugiej stronie, obwiązując dzięki temu linkę dookoła filara. Andrew bosakiem wyłowił koło i zaczął wciągać nie tonącą linę z kokosowego włókna, przywiązaną do cięższej liny manilowej. Nie minęła minuta a "Matapan" przycumowany był bezpiecznie do filara, silnik zaś pykał leciutko, na tyle tylko, by zmniejszyć napięcie lin, żeby statek, przy stale narastającej fali zbyt ciężko nie odbijał się od podwodnych przeszkód. Nikt nas nie słyszał, nikt nas nie widział - przynajmniej takie odnieśliśmy wrażenie.

- Musi się pan bardzo śpieszyć - powiedział John cichym głosem, w którym znać było zaniepokojenie. - Nie wiem, jak długo będziemy mogli czekać. W powietrzu czuję burzę.

Był zaniepokojony. Ja też byłem zaniepokojony. Wszyscy byliśmy zaniepokojeni. On jednak miał tylko siedzieć w swojej łodzi. Nikt mu głowy nie rozwali ani nie uwiąże mu kamieni do nóg i nie wrzuci do Zatoki Meksykańskiej.

- Nie ma się o co martwić - powiedziałem, żeby mu dodać otuchy. W porównaniu ze mną zresztą naprawdę nie miał się o co martwić. - Raptem pół godziny. - Zrzuciłem płaszcz, zapiąłem twarde, gumowy kołnierz i mankiety brązowego kostiumu z tkaniny i gumy, który miałem pod płaszczem, na ramiona założyłem butlę z tlenem, pod jedno ramię wsunąłem maskę zakrywającą nos i oczy, pod drugie zaś marynarkę, spodnie i nakrycie głowy, po czym ostrożnie zszedłem po schodkach przez burtę do gumowego bączka, który załoga zdążyła już spuścić na wodę.

Andrew siedział w części rufowej tej wątej łupinki, trzymając w rękę linkę, a gdy tylko zająłem miejsce, puścił górną część burty "Matapana". Dryfująca fala szybko zniosła nas pod mroczną masę platformy. Andrew zaś, w miarę jak się oddalaliśmy, popuszczał linkę. Wiosłowanie w gumowym, nadmuchiwany bączku, przy mocnej fali, jest rzeczą raczej trudną, wiosłowanie zaś

w określonym kierunku pod falę praktycznie niemożliwe: stokroć łatwiej będzie wrócić na "Matapan", podciągając się rękoma wzdłuż linki cumowniczej.

Na moje wypowiedziane szeptem polecenie Andrew zatrzymał linę i zmienił kierunek. Znajdowaliśmy się teraz przy samej burcie zbiornikowca, ale ciągle jeszcze w głębokim cieniu: tender był przycumowany do potężnych filarów, lecz platforma wystawała nad te filary, a więc i ponad nami o dobre cztery metry. W rezultacie padające pod kątem światło reflektorów przy żurawiu na pokładzie studniowym nad nami ledwie było w stanie objąć przeciwległą - lewą - burtę górnego pokładu zbiornikowca. Cała reszta statku była spowita w głębokich ciemnościach, z wyjątkiem jasnej plamy padającej na pokład dziobowy z prostokątnej luki wysoko na okapie platformy. Przez tę dziurę spuszczone pionowy trap burtowy, zygzakowaty systemem wbudowanych metalowych stopni, przypominający drabinkę przeciwpożarową, który, jak sądziłem, można było podnosić i opuszczać odpowiednio do przyływu i odpływu fal.

Były to warunki, jak gdyby dla mnie specjalnie stworzone.

Tender był głęboko zanurzony, ożebrowane zbiorniki paliwa wystawały wysoko, ale górna część burty znajdowała się zaledwie na wysokości talii. Wyjąłem z płaszcza małą latarkę i wdrapałem się na pokład.

W ciemności posuwałem się prosto w kierunku dziobu. Na pokładzie było całkiem ciemno, tylko w pomieszczeniu rufowym migotało słabe światełko. Nie paliły się nawet światła nawigacyjne ani kotwiczne: były zbędne ze względu na oświetlenie szybu wiertniczego, przypominające świąteczną choinkę.

Przesuwane na rolkach pionowe drzwi prowadziły do wzniesionego kubryku. Odsunąłem w jednych górne i dolne rygle, zczekałem, aż lekkie kołysanie statku pomoże mi zrobić w drzwiach szparę, w której zmieściłaby się moja głowa, ramię i latarka. Beczki, bębny z farbą, olinowanie, drewno, ciężkie łańcuchy - miałem przed sobą coś w rodzaju bosmańskiego magazynku. Nic tu nie znalazłem dla siebie. Powoli przesunąłem drzwi z powrotem, zasunąłem rygle i odszedłem.

Po zbiornikach przeszedłem na rufę. Zobaczyłem podnoszone drzwi z wielkimi uchwyty, wystającymi pod najrozmaitszym kątem, zobaczyłem biegnące od dziobu do rufy i od burty do burty rury wszelkich możliwych przekrojów, rozmieszczone na wszelkich możliwych poziomach, zobaczyłem zawory, wielkie koła do otwierania i zamykania tych zaworów oraz paskudnie wyrzuczone nawiewniki: miałem wrażenie, że w drodze na rufę zawadzałem o każdy z nich po kolei głową, ręką kolanową albo podbródkiem. Przypominało to zupełnie torowanie sobie drogi w dziewiczej dżungli. W dziewiczej dżungli z metalu. Ale dotarłem do celu, dotarłem w niezachwianym przeświadczeniu, że na tym pokładzie nie było żadnego otworu i żadnego luku, przez który można by precyzyjnie przycisnąć kształt większy od człowieka.

Na rufie też nic dla siebie nie znalazłem. Większość powierzchni pokładu i nadbudówki zajmowały kajuty: jeden wielki luk w kształcie dachu kabiny był oszklony, parę świetlików stało otworem. Zapaliłem latarkę. Silniki. A więc i ten luk nie wchodził w rachubę. Tak samo zresztą, jak cały górny pokład.

Andrew cierpliwie czekał w gumowym bączku. Nie tyle widziałem, co czułem jego pytające spojrzenie, więc przecząco potrząsnąłem głową. To zresztą wcale nie było potrzebne. Widząc, jak naciągam gumową mykę i maskę tlenową, dostał wyczerpującą odpowiedź na swoje pytanie. Pomógł mi opasać się linką ratunkową, co zajęło nam obu całą minutę: fala tak kołysała i rzucała gumową tratwą, że jedną ręką musieliśmy się przytrzymywać, a tylko jedną mogliśmy się posłużyć do wykonania stojącego przed nami zadania.

Przy zamkniętym obwodzie tlenowym maksymalna głębokość, na jaką mogłem się opuścić, wynosiła około ośmiu metrów. Tender miał jakieś pięć metrów zanurzenia, więc rezerwa była spora. Podwodne poszukiwania drutu albo czegoś zawieszzonego na drucie okazało się znacznie łatwiejsze, niż przewidywałem, bo nawet na głębokości pięciu metrów działanie ruchu fal na powierzchni morza jest praktycznie znikome. Andrew popuszczał i podciągał linkę ratunkową, dostosowując się do każdego mojego podwodnego ruchu, jak gdyby przez całe życie nic innego nie robił, co zresztą odpowiadało prawdzie. Dwukrotnie przeszukałem zanurzoną część zbiornikowca wzdłuż całej jego długości, trzymając się po obu stronach jak najbliżej stępek obłowych i przy świetle potężnej podwodnej latarki badałem centymetr po centymetrze. Za drugim nawrotem zauważyłem w połowie drogi wielką morenę z gatunku węgorzowatych: ryba wychynęła z ciemności poza zasięgiem mojej latarki i łbem opatrzonym złowrogimi, wytrzeszczonymi ślepiami i groźnie jadowitymi zębami rąbnęła prosto w szkło reflektora. Po parokrotnym gaszeniu i zapalaniu latarki odpłynęła. Ale to było wszystko, co udało mi się zobaczyć.

Kiedy wróciłem do gumowego bączka i wdrapałem się na pokład, poczułem się bardzo znużony. Byłem wyczerpany, bo piętnaście minut intensywnego pływania w aparacie tlenowym może zmęczyć każdego, dobrze jednak zdawałem sobie sprawę, że gdybym znalazł to, czego szukałem, nie odczuwałbym żadnego zmęczenia. Byłem głęboko przeświadczony, że to, czego szukałem, znajdę albo na statku, albo pod statkiem. Teraz czułem się zawiedziony.

Byłem znużony, w depresji, przygnębiony i zziębnięty. Żałowałem, że nie mogę zapalić. Marzyłem o trzaskającym w kominku drzewie, o dymiącej kawie i o wielkiej szklanicy na dobranoc. Przypomniałem sobie Hermana Jablonsky'ego, spokojnie śpiącego w szerokim mahoniowym łożu hen, tam, w domu generała. Ściągnąłem maskę i butlę, kopnięciem zrzuciłem płetwy z nóg, zgrabiętymi, niezdarnymi palcami naciągnąłem pantofle, spodnie, zaś marynarkę i czapkę rzuciłem na pokład tendra, po czym sam też się tam wdrapałem. W trzy minuty później,

ubrany, ale ociekający wodą jak koc, który właśnie wyciągnięto z kotła do gotowania bielizny, znajdowałem się już na zacumowanym trapie w drodze na pokład studniowy platformy wiertniczej, przeszło trzydzieści metrów nad moją głową.

Niesione przez wiatr szare chmury omiotły niebo z resztek światła gwiazd; ale to w niczym mi nie pomagało. Zdawało mi się, że oświetlająca trap górna lampa rzuca słabe światło, ale okazało się, że wcale nie: znajdowała się tylko bardzo wysoko. Kiedy znalazłem się o trzy metry poniżej platformy, świeciła jak potężny reflektor. A jeśli na trapie stał wartownik? Czy mam mu wmawiać, że jestem drugim mechanikiem ze zbiornikowca i że cierpię na bezsenność? Czy mam tak stać i nawijać mniej lub bardziej wiarygodną opowieść, podczas gdy woda ściekająca przez nogawki spodni z gumowego kostiumu zamieni się w istną kałużę u moich stóp, a mój rozmówca z zainteresowaniem przyjrzy się lśniącej gumowej krezie pod samą szyją, w miejscu, gdzie powinien znajdować się kołnierzyk i krawat? Pistoletu nie miałem, a gotów byłem uwierzyć, że każdy, kto w jakimkolwiek stopniu ma coś do czynienia z generałem Ruthvenem i z Vylandem, wstając rano, nim jeszcze naciągnie skarpetki, zapina kaburę na szelki: nie ulega wątpliwości, że każdy, z kim zetknąłem się do tej pory, wyglądał jak chodząca zbrojownia. A jeżeli zagrozą mi pistoletem? Czy mam rzucić się do ucieczki w dół po stu trzydziestu stopniach trapu, aż ten ktoś nie spiesząc się weźmie mnie na muszkę? Oczywiście, uciekać nie muszę, przypominający drabinę przeciwpożarową trap zabudowany był tylko z trzech stron, ale czwarta strona wychodziła na pełne morze, a daleko się od tej płataniny zaworów i rur na trendzie i tak nie odbiję. Doszedłem do wniosku, że każdy, kto ma choć odrobinę inteligencji, w tych warunkach od razu zszedłby na dół.

Ja zaś poszedłem prosto w górę.

Nie było tam żywej duszy. Trap kończył się niszą z trzech stron obudowaną - z jednej strony przez ogrodzony skraj platformy, z pozostałych dwóch przez wysokie stalowe grodzie. Czwarta strona wychodziła wprost na pokład studniowy, gdzie stał żuraw. Niewiele z tego żurawia widziałem, ale to, co widziałem, było jaskrawo oświetlone, słyszałem też łoskot maszyn i głosy ludzkie w odległości niespełna dziesięciu metrów. Wejść prosto między nich nie byłoby chyba najmądrzejszym pomysłem, rozejrzałem się więc za innym wyjściem. Znalazłem je od razu: stalowe szczeble, wbudowane w jedną z bocznych stalowych grodzi, wysokości czterech metrów.

Wdrapałem się więc, dosłownie rozplaszczając się przy przełazeniu przez wierzchołek, przeczołgałem się kilka metrów, a potem stanąłem pod osłoną jednego z potężnych filarów. Teraz miałem przed oczyma całą panoramę pływającej wyspy.

W odległości stu metrów, na większej, wzniesionej platformie po stronie północnej, stał właściwy szyb wiertniczy, sprawiający jeszcze bardziej imponujące wrażenie. U jego podstawy, gdzie mieściły się kabiny sterownicze, kręcili się ludzie: domyślałem się, że pod powierzchnią tej

platformy znajdują się aparatura prądoworcza i pomieszczenia mieszkalne. Mniejsza platforma po stronie południowej, ta, na której stałem, była prawie zupełnie pusta, a jej półkoliste przedłużenie wystawało w kierunku południowym nad powierzchnię morza. Przez chwilę intrygowało mnie przeznaczenie tej rozległej, pustej powierzchni, ale potem coś mi w pamięci zaskoczyło: Mary Ruthven powiedziała, że między pływającą wyspą a lądem stałym generał zazwyczaj podróżuje śmigłowcem. Śmigłowiec musi mieć lądowisko. A więc było to lądowisko.

Na pokładzie studniowym, między obiema platformami, niemal u moich stóp, jacyś ludzie za pomocą żurawia gąsienicowego przesuwali wielkie beczki, tocząc je do jaskrawo oświetlonego otworu znajdującego się w pół drogi wzdłuż wysokiej grodzi na platformie północnej. Ropę z pewnością pompuje się na pokład, więc te beczki zawierać mogły jedynie "błoto", chemiczną mieszankę barytów, służącą do tłoczenia pod ciśnieniem cementu, stanowiącego zewnętrzne ocembrowanie odwiertu. Wzdłuż całej szerokości wyspy znajdowała się seria takich wielkich szop czy naw składowych; większość stała otworem. Jeśli w ogóle, to tam właśnie znajdzie się to, czego szukam. Przeszedłem na przeciwległą stronę platformy południowej, znalazłem drugą drabinę szczeblową i opuściłem się na pokład studniowy. Teraz ostrożność, czyli posuwanie się ukradkiem, nic by mi nie dały. Mógłbym również wzbudzić podejrzenie. Tutaj decydujące znaczenie miał czas. Pogoda pogarszała się stale, odnosiłem wrażenie, że wiatr jest teraz dwakroć silniejszy niż przed półgodziną, różnica taka zaś nie mogła wynikać z samej tylko wysokości, więc kapitan Zaimis pewnie już się drapie po masztach. Niewykluczone, że będzie nawet musiał odplłynąć beze mnie. Ale taka myśl nic dobrego na przyszłość nie rokowała, w każdym razie nic dobrego dla mnie. Wymazałem ją więc ze świadomości i zbliżyłem się do pierwszej nawy składowej.

Przy drzwiach był ciężki stalowy zamek, ale nie zamknięty na klucz: Otworzyłem go, pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Ciemno było, choć oko wykol, ale dzięki latarce znalazłem natychmiast przełącznik światła. Pstryknąłem i rozejrzałem się wokół.

Nawa miała ze trzydzieści parę metrów długości: Po obu stronach, na prawie pustych półkach, ułożono trzy czy cztery tuziny gwintowanych rur, prawie tej samej długości co cała nawa. Wokół każdej rury, w pobliżu zakończenia, widniały głęboko wyżłobione znaki, jak gdyby wpiły się w nie jakieś ciężkie metalowe kleszcze. Segmenty rury wiertniczej. I nic więcej. Zgasilem światło i wyszedłem, zatrzaskawszy drzwi. Nagle poczułem czyjaś ciężką dłoń na ramieniu.

- Czyżbyś czegoś szukał, przyjacielu? - głos był basowy, szorstki, rzeczowy, akcent równie irlandzki jak emblemat białej koniczyny.

Odwróciłem się powoli, oburącz ściągając poły płaszcza, jak gdyby dla osłony przed wiatrem i przejmującym zimnym deszczem, który właśnie zaczął przesączać się przez pokład, lśnić blade w promieniach lamp łukowych i znikając potem w ciemności. Miałem przed sobą

niskiego, krępego mężczyznę w średnim wieku o steranej twarzy, która odpowiednio do potrzeb chwili może być miła lub niemiła. W tym momencie szala przechylała się na tę drugą stronę. Ale nie tak bardzo. Postanowiłem zaryzykować.

- Prawdę mówiąc, to tak. - Nie tylko nie starałem się zatuszować mojego brytyjskiego akcentu, ale przeciwnie, specjalnie go podkreślałem. W Stanach Zjednoczonych akcent charakterystyczny dla brytyjskich wyższych sfer nie budzi podejrzeń, tylko dobroduszne przypuszczenie, że człowiek ma nie wszystkie klepki w porządku. - Brygadzysta polecił mi dowiedzieć się o... hm... brygadzystę portowego. Czy to pan właśnie?

- Jezusie! - powiedział. W moim odczuciu bardziej pasowałby jakiś typowo irlandzki wykrzyknik w rodzaju begorrah, ale widocznie mój poprawny sposób wysławiania się zbił go z pantafelku. Widziałem, jak stara się znów odzyskać panowanie. - Pan Jarrold was przysłał, żebyście mnie odszukali?

- Tak, w rzeczy samej. Obrzydliwa noc, nieprawdaż? - naciągnąłem niżej na czoło rondo kapelusza. - Zaiste nie zazdrozczę wam, ludziom...

- Jeżeli mnie szukaliście, to po co wścibialiście tam nos? - przerwał mi w pół zdania.

- No, tak. No więc zauważyłem, że pan jest zajęty, a skoro jemu się zdawało, że tu właśnie zgubił, więc pomyślałem sobie, że może mógłbym...

- Kto, co, gdzie zgubił? - wykonał głęboki wdech. Jego cierpliwość zaiste godna była pomnika.

- Pan generał. Generał Ruthven. Aktówkę z bardzo cennymi osobistymi dokumentami... pilnie potrzebne. Wczoraj był tu na inspekcji... jeśli się nie mylę, tak, wczesnym popołudniem... kiedy nadeszła ta straszna wiadomość...

- Że co?

- Kiedy się dowiedział, że córka została porwana. Udał się od razu do śmigłowca i zupełnie zapomniał o aktówce, no i ...

- Rozumiem. To ważne, co?

- Nad wyraz. Generał Ruthven powiedział, że ją położył gdzieś w jakimś wejściu. Jest to duża skórzana teczka ze złotym monogramem C.C.F.

- C.C.F.? Zdawało mi się, że to miała być aktówka generała?

- Dokumenty generała. On sobie pożyczył moją aktówkę. Nazywam się Farnborough, jestem jego osobistym, poufnym sekretarzem. - To naprawdę nie było aż tak wielkie ryzyko, mało wydawało się prawdopodobne, że jeden z dziesiątków zatrudnionych przez generała brygadzystów portowych będzie znał prawdziwe nazwisko jego sekretarza, C. C. Farnborough.

- C. C., hm... - na jego twarzy nie było już ani śladu podejrzliwości, ani zaczepności. Roześmiał się od ucha do ucha. - Czy aby nie przypadkiem Claude Cecil?

- Tak się składa, że jedno z moich imion w rzeczy samej brzmi Claude - odpowiedziałem spokojnie. - Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Prawidłowo oceniłem mojego Irlandczyka. Natychmiast był pełen skruchy.

- Przepraszam pana, panie Farnborough. Gadam, co mi ślina na język przyniesie. Nie chciałem pana obrazić. Czy chce pan, żebym razem z moimi ludźmi pomógł panu w poszukiwaniach?

- Byłbym ogromnie zobowiązany.

- Jeśli ta teczka tu jest, znajdziemy ją w ciągu pięciu minut.

Oddalił się, wydał jakieś polecenia swojej brygadzie. Ale mnie nie interesowały wyniki tych poszukiwań, chciałem się tylko ulotnić z tej platformy z maksymalną szybkością. Nie znajdą tu żadnej aktówki ani niczego w tym rodzaju. Brygada rozsuwała drzwi z zapamiętaniem ludzi, którzy nie mają nic do ukrywania. Nie zadałem sobie nawet trudu, aby zajrzeć do którejś z naw, bo fakt, że drzwi można otwierać bez użycia klucza i że otwierano je bez chwili namysłu w obecności człowieka najzupełniej obcego, był dla mnie dostatecznym dowodem, że nie mieli tam nic do ukrywania. Kręciło się tam też zbyt wielu ludzi, których trzeba by zobowiązać do przestrzegania najściślejszej tajemnicy, a poza tym jasne było jak dzień, że poczciwy Irlandczyk należy do ludzi, których nie sposób wplątać w jakąkolwiek działalność przestępczą. Są takie typy, to się wyczuwa już od pierwszego wejrzenia. Brygadzysta portowy należał właśnie do tego typu ludzi.

W czasie trwania poszukiwań mogłem się wymknąć i zejść po trapie, ale nie byłoby to rozsądne. Poszukiwania zagubionej aktówki ani by się nie umywały do generalnego pościgu, jaki zarządzono by, w takim wypadku za C.C. Farnboroughem. Mogliby przypuszczać, że wypadłem za burtę. Potężne reflektory w ciągu paru minut przygwoździłyby "Matapana". A gdybym nawet znalazł się na pokładzie "Matapana" i tak nie miałbym najmniejszego zamiaru oddalać się od pływającej wyspy. Przynajmniej na razie. Nade wszystko zaś nie chciałem, by na lądzie stałym dowiedziano się, że jakiś intruz, przebrany za sekretarza generała albo przynajmniej podający się za takiego, szwendał się po X 13.

Co zrobić, kiedy poszukiwania się skończą? Brygadzysta będzie się spodziewał, że wrócę na stronę szybu wiertniczego, gdzie znajdują się mieszkania i biura, aby zameldować panu Jarroldowi o niepowodzeniu. Ale jeśli tylko tam się udam, odcięta zostanie moja droga odwrotu na trap. Do tej pory brygadziście nie przyszło nawet do głowy zapytać o to, w jaki sposób znalazłem się na pokładzie pływającej wyspy. Musi przecież wiedzieć, że od wielu godzin nie wylądował żaden śmigłowiec i nie przybiła żadna łódź, co świadczyłoby, że na pokładzie muszę znajdować się od

wielu godzin. A jeśli od wielu godzin przebywałem na pokładzie, dlaczego aż tyle czasu zwlekałem z rozpoczęciem tak bardzo naglących poszukiwań zaginionej aktówki?

O ile mogłem się zorientować, poszukiwania dobiegały końca. Zatrzaszkiwano już drzwi, a brygadzysta kierował się ku mnie, gdy nagle zadzwonił telefon, zamontowany na grodzi. Podeszedł do aparatu. Ja przesunąłem się w najciemniejszy kąt, jaki mogłem wypatrzeć, i zapiąłem płaszcz pod samą szyję. To przynajmniej nie będzie wzbudzało podejrzeń: wiatr był teraz silny, zimny deszcz zaczął o pokład studniowy pod kątem prawie 45 stopni.

Brygadzysta odłożył słuchawkę i podeszedł do mnie: - Przykro mi, panie Farnborough, nie mamy szczęścia. A dłużej szukać nie możemy. - Otulił się jeszcze mocniej czarnym lśniącym płaszczem sztormowym. - Musimy zacząć wyciągać tę cholerną rurę.

- Aha - odparłem uprzejmie.

Uśmiechnął się i wyjaśnił: - Wiertło. Musimy je wyciągnąć i wymienić.

- W taką noc i przy takim wietrze? To wam zajmie chyba sporo czasu?

- Trochę czasu zajmie. Sześć godzin, jak szczęście dopisze. To cholerne wiertło, panie Farnborough, zakopane jest na głębokości prawie czterech kilometrów w linii prostej!

Zamiast okazać ulgę, jaką naprawdę odczuwałem, wymamrotałem coś, co miało świadczyć o zdumieniu: Jeżeli pan Curran w taką pogodę musi przez sześć godzin pracować przy szybie wiertniczym, będzie miał zupełnie inne zmartwienia niż zagubiona aktówka:

Zrobił ruch, jak gdyby chciał odejść. Jego ludzie już mijali nas gęsiego i wspinali się po zejściówce na północną platformę. - Pójdzie pan z nami?

- Na razie nie - uśmiechnąłem się blado. - Chyba siądę sobie na parę minut pod osłoną trapu i zastanowię się, co powiedzieć generałowi. - Nagle miałem chwilę natchnienia:

- Widzi pan, telefonował jakieś pięć minut temu. Chyba wie pan, co to za człowiek. Bóg raczy wiedzieć, co mam mu zameldować.

- Taaak, trudna sprawa. - Słowa nie znaczyły nic, całą jego uwagę przykuwała już sprawa wydobycia wiertła. - No, to na razie.

- Tak, dziękuję. - Patrzyłem za nim, aż znikł mi z oczu, a w dwie minuty później byłem już na pokładzie gumowego bączka, po dalszych zaś dwóch minutach wciągnięto nas z powrotem na "Matapana".

- Zmitrzążył pan o wiele za długo - zląkał mnie kapitan Zaimis: Jego nieduża sylwetka sprawiała wrażenie, że w ciemnościach kręci się w kółko podskakując, choć skakać po tym coraz ciężej zanurzającym się statku do połowów gąbki i nie wypaść przy tym za burtę już przy pierwszym podskoku mogłaby tylko małpa. Silnik pracował teraz znacznie głośniejszy. Szyper zmuszony był zwiększyć obroty silnika, żeby utrzymać jakiś luz w linie cumującej "Matapana" do

filaru, a do tego rzucało teraz statkiem tak wściekle, że za każdym niemal razem, gdy dziób zanurzał się głęboko w morze, zamontowana pod rufą podwodna rura wydechowa wylaniała się na powierzchnię z krótkim, ale donośnym trzaskiem.

- Powiodło się panu, co? - kapitan Zaimis wykrzykiwał mi do ucha.

- Nie.

- Aha. Szkoda. Ale mniejsza o to. Musimy odpłynąć natychmiast.

- Za dziesięć minut, John... Jeszcze tylko dziesięć minut. To ogromnie ważne.

- Nie. Musimy odpływać natychmiast. - Pod adresem młodego Greka siedzącego na dziobie zaczął wykrzykiwać rozkaz odbijania, ale złapałem go za ramię.

- Strach pana obleciał, kapitanie? - Podłość, ale byłem doprowadzony do ostateczności.

- Zaczynam odczuwać strach - odparł z godnością. - Każdy mądry człowiek wie, kiedy należy się bać, a ja, panie Talbot, nie jestem, mam nadzieję, głupcem. Bywa, że człowiek, który się nie boi, okazuje się egoistą. Ja mam sześcioro dzieci.

- A ja troje. - Nie miałem ani jednego, teraz już nikogo. Nie byłem nawet żonaty, teraz już nie. Przez dłuższą chwilę staliśmy tak trzymając się masztu, "Matapan" zaś w nieprzeniknionych ciemnościach, w otchłannym cieniu pływającej wyspy wściekle podskakiwał i kręcił się jak bączek. Jeśli nie liczyć cienkiego pogwizdywania brzemiennego w deszcz wichru, była to długa chwila milczenia. Zmieniłem taktykę: - Kapitanie Zaimis, niech mnie pan nie pyta, skąd wiem, ale wiem. Czy chce pan, by mówiono, że ludzie zginęli, ponieważ kapitan Zaimis nie chciał odczekać dziesięciu minut?

Zapadła długa przerwa, w mroku morza u naszych stóp gwizdał deszcz. Nagle kapitan powiedział: - Dziesięć minut. Ani chwili dłużej.

Zsunąłem pantofle i zwierzchnie odzienie, upewniłem się, że linka ratunkowa umocowana jest bezpiecznie w talii tuż nad ciężarkami, nałożyłem maskę tlenową i pokuśtykałem na dziób, znów, bez najmniejszego powodu, myśląc o Hermanie Jablonskim, o olbrzymie, który spał snem sprawiedliwych w swym mahoniowym łożu. Wypatrywałem, aż podejdzie szczególnie potężna fala, odczekałem, aż nas minie, a dziób pogrąży się głęboko w wodzie, i wtedy opuściłem się w morze chwyciwszy się liny cumującej "Matapan" do filara.

Zbliżałem się do filara, oburącz trzymając się liny i przekładając dłoń za dłonią - odległość nie mogła być większa niż siedem metrów - ale mimo wspomaganie się liną wymłóciło mnie porządnie, a gdyby nie maska tlenowa, nie wiem, ile bym opił się wody. Nim jeszcze zdałem sobie sprawę, że zbliżyłem się do filara, zderzyłem się z nim. Puściłem więc linkę i starałem się uchwycić filara. Po co? Nie wiem. Z równym powodzeniem mogłem próbować ramionami objąć kolejowy wagon do przewożenia ropy; jako że średnica była mniej więcej podobna. Nim zdążyła

mnie zmyć fala, złapałem linkę i utorowałem sobie drogę wokół filara w lewo, w stronę potężnej stalowej podpory, która wychodziła na morze. To wcale nie było łatwe. Ilekroć dziób "Matapana" unosił się na fali, lina naciągała się, przygważdżając do metalu dłoń, którą się właśnie przytrzymywałem. W rezultacie nie mogłem nią nawet poruszać, ale jak długo nie zmiażdżyło mi palców, nie zwracałem na nic uwagi.

Odwrócony tyłem do fali, puściłem linę, rozłożyłem ramiona i nogi, znurkowałem pod wodę i wzdłuż filara zacząłem opuszczać się jak cejloński chłopak, zlączy z ogromnego drzewa palmowego. Andrew zwalniał linkę równie zręcznie jak poprzednio. Trzy metry, sześć: nic; dziesięć: nic; dwanaście: nic. Serce zaczęło mi nieregularnie łomotać w piersiach, w głowie zawirowało: zszedłem poniżej bezpiecznego zasięgu działania mojego aparatu tlenowego. Prędko wspiąłem się w górę i na głębokości około pięciu metrów pod powierzchnią zażyłem chwili odpoczynku, uczepiony tego ogromnego filara jak kot, który, wspinając się na drzewo, utknął w pół drogi i nie może zleźć.

Minęło pięć z dziesięciu minut, jakie mi wyznaczył kapitan Zaimis. Mój czas już prawie minął. A jednak to musiała być ta pływająca wyspa, po prostu nie było innego wyjścia! Generał przyznał to sam, a przecież nie musiał okłamywać człowieka, który nie miał żadnej możliwości ucieczki. Jeśliby i tego było mało, całkowitej pewności dodawało mi wspomnienie sztywnego, skrzypiącego lokaja o ołowianych nogach, który do biblioteki generała wniósł tacę z napojami.

Ale na przycumowanym obok tendrze, ani pod nim, niczego nie znalazłem. Na to gotów byłem przysiąc. Nie było też nic na samej pływającej wyspie - na to też gotów byłem przysiąc. Jeżeli więc nie na platformie, musiało znajdować się pod nią, jeśli zaś było pod platformą, musiało być przymocowane drutem lub łańcuchem. A ten drut albo łańcuch musiał być pod wodą przywiązany do jednego z filarów podtrzymujących platformę.

Próbowałem jak najszybciej skupić myśli i odzyskać jasność umysłu. Który z czternastu filarów posłużył do tego? Od samego początku z całkowitą prawie pewnością wyeliminowałem te osiem filarów, które podtrzymywały platformę z szybem wiertniczym: Za dużo tam było ruchu, za wiele światła, zbyt wiele oczu, za dużo zwisających sieci do łowienia setek ryb, zwabionych potężnymi reflektorami, w ogóle zbyt wielkie niebezpieczeństwo. A więc pozostawała platforma służąca jako lądowisko śmigłowca, ta, pod którą kołysał się i zanurzał "Matapan", uczepiony końca liny cumowniczej. Aby jeszcze bardziej zawęzić pole poszukiwań - a zawęzić je musiałem, bo na lokalizację miejsca poszukiwań, stawiając na prawdopodobne i ignorując możliwe i niemal równie prawdopodobne, pozostało mi tylko kilka minut - uznałem, że najprawdopodobniej cel moich poszukiwań znajduje się od strony pełnego morza, tam gdzie się w tej chwili znajdowałem, a nie od strony lądu, gdzie zawsze pozostawało zagrożenie ze strony cumujących tam statków.

Środkowy z trzech filarów znajdujących się od strony morza, ten, do którego przycumowany był "Matapan", już zdążyłem zbadać. Do którego z dwóch pozostałych zabrać się przede wszystkim? Rozstrzygnięcie zapadło natychmiast, ponieważ moja linka ratunkowa opasywała lewą stronę filara. Zbyt wiele czasu zajęłoby mi przedzieranie się przez trzy czwarte całego obwodu. Wynurzyłem się więc na powierzchnię, pociągnąłem dwa razy za linkę, aby zasygnalizować, że potrzebuję więcej luzu, oparłem się obiema stopami o metalowy filar i mocno się odepchnąwszy, skoczyłem ku narożnemu filarowi.

O mały włos byłbym nie trafił. Teraz zrozumiałem, dlaczego kapitan Zaimis był tak zaniepokojony - a przecież on miał do dyspozycji łódź długości blisko piętnastu metrów i czterdziestu koni mechanicznych, by stawić czoło sile wiatru, morza i stale narastającej, pogłębiającej się fali, której grzbiety zaczynały już pokrywać się białą grzywą. Ja miałem tylko siebie, a przydałoby mi się dużo więcej. Wcale mi nie pomagały ciężarki zawieszane w pasie, musiałem ze sto metrów wściekle młócić wodę i chwytać oddech, by pokonać piętnaście metrów dzielących oba filary. Aparaty tlenowe o zamkniętym obiegu nie zostały zaprojektowane z myślą o takim chwytaniu powietrza! Ale udało mi się.

Skoro tylko znalazłem się znów po stronie pełnego morza, naporem fali przygwożdżony do filara, zacząłem mozolnie windować się w dół, pod powierzchnię wody. Tym razem poszło mi łatwo, bo prawie natychmiast moja dłoń przez czysty przypadek natrafiła na szeroką, głęboką i ostro naciętą drabinkę lekko wygiętych wyżłobień w metalu, ciągnących się pionowo w dół. Nie jestem inżynierem, ale wiedziałem, że to musi być ślimak, o który zahacza się wielki, mechanicznie napędzany wałek zębaty, potrzebny do podnoszenia i opuszczania tych filarów. Taki sam ślimak musiał znajdować się także na poprzednim filarze, ale widocznie go przegapiłem.

Przypominało to schodzenie po urwisku za pomocą klamer wbijanych w skalną ścianę. Po przebyciu kilku szczebli odpoczywałem obmacując obie strony filara, ale nie znalazłem nic, żadnego występu, żadnego drutu, tylko gładką, nieco oślizłą powierzchnię. Zmuszałem się do dalszego mozolnego zanurzania, choć coraz bardziej zdawałem sobie sprawę z rosnącego ciśnienia wody, i z trudności w oddychaniu. Gdzieś w pobliżu piętnastego metra głębokości dałem za wygraną. Uszkodzenie bębenków usznych czy płuc albo wprowadzenie azotu do krwiobiegu nie mogło nikomu przynieść nic dobrego. Zrezygnowałem. Zacząłem wspinać się w górę.

Tuż pod powierzchnią zatrzymałem się, żeby odpocząć i odzyskać jasność umysłu. Byłem gorzko zawiedziony, do tej ostatniej szansy przywiązywałem wagę jeszcze większą, niż sobie uświadamiałem. Znużony, oparłem głowę o filar i z ponurą beznadziejnością pomyślałem, że będę musiał wszystko zaczynać od początku. Ale nie miałem najmniejszego pojęcia, od czego zacząć.

Czułem zmęczenie, śmiertelne zmęczenie. A potem w jednej chwili zmęczenie pierzchło, jak gdybym nigdy go nie odczuwał.

Wielki stalowy filar ożył i rozbrzmiewał jakimś dźwiękiem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: rozbrzmiewał dźwiękiem, choć powinien być milczący, martwy, wypełniony wodą!

Zerwałem gumowy hełm, zakrztusiłem się, zakaszlałem i wyplułem wodę, która dostała się pod maskę tlenową, a potem z całych sił przytknąłem ucho do zimnej stali.

Filar rozbrzmiewał echem basowych, donośnych drgań, które wstrząsały moją głową. Filary wypełnione wodą nie rozbrzmiewają echem drgań ani żadnymi innymi dźwiękami. Ale ten rozbrzmiewał, nie było cienia wątpliwości. To nie woda znajdowała się w tym filarze, tylko powietrze. Powietrze! Prawie natychmiast zidentyfikowałem ten szczególny dźwięk, jaki teraz słyszałem; powinienem był zidentyfikować go natychmiast! To rytmiczne wznoszenie się i opadanie dźwięku, w miarę jak silnik przyspieszał i zwalniał, przyspieszał i zwalniał, przez wiele lat stanowiło nieodłączną część mojej pracy zawodowej. Tak drga pneumatyczny kompresor, i to w dodatku wielki kompresor, pełną parą pracujący wewnątrz filara. Kompresor pneumatyczny głęboko pod poziomem wody, wewnątrz jednego z filarów podtrzymujących pływającą wyspę do wierceń naftowych, zainstalowaną w samym sercu Zatoki Meksykańskiej? To nie miało sensu, najmniejszego sensu. Oparłem czoło o metalowy filar i odniosłem wrażenie, że dygocące, wstrząsające drgania to donośny, natarczywy głos, który stara się coś mi przekazać, coś pilnego i niezmiernie ważnego, gdybym tylko umiał się weń wsłuchać. Wsłuchiwałem się więc. Słuchałem przez pół minuty, może przez minutę i nagle okazało się, że to wszystko ma sens! Oto była odpowiedź, o jakiej mi się nawet nie śniło, rozwiązanie całego mnóstwa problemów. Zajęło mi trochę czasu, nim odgadłem, że to właśnie może być odpowiedź, ale kiedy to wreszcie do mnie dotarło, nie miałem już ani cienia wątpliwości!

Trzy razy pociągnąłem z całych sił za linkę i w ciągu minuty już byłem z powrotem na pokładzie "Matapana". Wciągnięto mnie na pokład tak szybko i bez ceregieli, jak gdybym był workiem węgla. Nie zdążyłem jeszcze odpiąć butlę z tlenem, a już kapitan Zaimis warknął rozkaz zwolnienia liny cumowniczej, podrasował silnik, otarł się o filar, do którego byliśmy przycumowani i z całych sił przełożył ster. "Matapan" całą długością burty odbił się od doliny fali, zboczył i zahuśtał się jak wściekły, potem wziął potężną falę i fruujące bryzgi na prawą burtę, by wreszcie, odwrócony rufą do wiatru, ruszyć w kierunku lądu trzymając stały kurs.

W dziesięć minut później, kiedy już zrzuciłem kostium nurka, obeschłem, przebrałem się w normalne ubranie i właśnie kończyłem drugą szklankę koniaku, kapitan Zaimis zszedł do kajuty. Uśmiechał się, nie mam pojęcia czy z zadowolenia, czy z ulgi, ale sprawiał wrażenie, że jego zdaniem wszelkie niebezpieczeństwo już minęło; i rzeczywiście "Matapan" pokonując fale szedł

teraz równo i prosto. Nalał sobie naparstek koniaku i po raz pierwszy od chwili, kiedy mnie wyciągnięto na pokład, odezwał się.

- Udało się, nie?

- Tak. - Doszedłem do wniosku, że takie krótkie potwierdzenie świadczy raczej o niewdzięczności. - Dzięki panu, kapitanie Zaimis.

Rozpromienił się. - Bardzo pan uprzejmy, panie Talbot, a mnie jest niezmiernie miło. Ale to nie dzięki mnie, lecz dzięki naszemu dobremu przyjacielowi, który czuwa nad nami wszystkimi łowiącymi gąbkę, nad wszystkimi wychodzącymi w morze. - Potarł zapałkę i zapalił knot w wypełnionym olejem porcelanowym naczyniu w kształcie łódki, stojącym przed oszkloną ikoną świętego Mikołaja.

Popatrzyłem na niego kwaśno. Szanowałem jego pobożność i doceniałem jego uczucie, ale pomyślałem, że trochę się spóźnił z zapaleniem zapałki.

`nv

Rozdział VI

Dokładnie o drugiej nad ranem kapitan Zaimis zręcznie przycumował "Matapana" przy drewnianym molo, z którego odpłynęliśmy poprzedniego wieczora. Niebo było teraz czarne, noc tak ciemna, że z trudem przyszło rozróżnić ląd od morza, deszcz zaś głośno bębnił po dachu kajuty. Ale ja musiałem zmykać, i to zmykać natychmiast. Musiałem przez nikogo nie zauważony wkraść się z powrotem do domu, musiałem odbyć długą naradę z Jablonskym, musiałem wreszcie wysuszyć ubranie, i to wysuszyć jeszcze, nim nastanie ranek. Nie mogłem liczyć na to, że - podobnie jak poprzedniego dnia - przed wieczorem nie będę się z nikim widział. Generał zapowiedział, że przed upływem trzydziestu sześciu godzin powiadomi mnie, jaką ma dla mnie robotę: trzydzieści sześć godzin kończyło się dziś rano o ósmej. Pożyczyłem długą, nieprzemakalną olejówkę, żeby się choć częściowo osłonić przed deszczem i naciągnąłem ją na mój własny płaszcz nieprzemakalny - olejówka była o parę numerów za mała, czułem się w niej, jakbym miał na sobie kaftan bezpieczeństwa. Potem uściśnąłem dłonie wszystkich obecnych, podziękowałem im za to, co dla mnie zrobili, i ruszyłem w drogę.

Kwadrans po drugiej, po krótkim postoju przy kabinie telefonicznej, zaparkowałem Corvette w tej samej przecznicy, gdzie ją znalazłem, i wzdłuż szosy zacząłem brodzić w wodzie w kierunku podjazdu prowadzącego do domu generała. Przy drodze nie było chodników, ci, którzy mieszkali na tym ekskluzywnym odcinku nadmorskiego bulwaru, nie potrzebowali żadnych chodników, rynsztoki więc zamieniły się w rwące potoki, a mętna woda przelewała mi się przez wierzch butów. Zastanawiałem się, w jaki sposób zdążę wysuszyć pantofle do rana...

Minąłem portiernię, w której mieszkał (albo przynajmniej mnie się zdawało, że mieszkał) szofer, minąłem też podjazd. Kryty tunel był jaskrawo oświetlony, a w oślepiającym blasku tych lamp przełazenie górą przez wysoką bramę nie byłoby chyba pomysłem najmądrzejszym. Nie miałem zresztą pojęcia, czy przypadkiem szósta, najwyższa, poprzeczka nie jest ustawiona tak, że pod wpływem odpowiedniego obciążenia uruchamia jakiś elektryczny dzwonek alarmowy. Jeśli idzie o towarzystwo mieszkające w tym domu, wszystko było możliwe.

W odległości trzydziestu metrów od podjazdu precyzyjnie przecisnąłem się przez prawie niewidoczną dziurę we wspinałym żywopłocie wysokości blisko trzech metrów, biegnącym wzdłuż frontonu posiadłości generała. Niespełna dwa metry za żywopłotem stał nie mniej imponujący, prawie trzymetrowy mur, u góry gościnnie pokryty wmurowanymi w beton ostrymi odłamkami szkła. Od Jablonsky'ego dowiedziałem się, że ani żywopłot przesłaniający mur, ani sam mur, pomyślany jako środek odstraszenia gości zbyt nieśmiałych, by skorzystać z głównego wejścia, nie były w

posiadłości generała niczym wyjątkowym. Również pozostali sąsiedzi dysponowali dostateczną ilością pieniędzy i wystarczającymi wpływami, by poświęcić szczególną uwagę zapewnieniu sobie niczym nie zakłóconego prywatnego życia, toteż podobne instalacje były tu zjawiskiem dość powszechnym. Lina zwisająca z sękatej gałęzi wielkiego dębu, rosnącego po tamtej stronie muru, znajdowała się w tym samym miejscu, gdzie ją przywiązałem. Paskudnie skrępowany ciasną olejówką ograniczającą swobodę ruchów, nie tyle wdrapałem się, co wczołgałem na ten mur, zeskoczyłem na drugą stronę i wlałem na dąb, gdzie odwiązałem linkę i ukryłem ją pod jednym z wystających z ziemi korzeni. Nie liczyłem się z możliwością ponownego korzystania z tej liny, ale nigdy nic nie wiadomo: wiedziałem natomiast, że nie miałem ochoty, by znalazł ją któryś z kolesiów Vylanda.

Cechą szczególną posiadłości generała było natomiast ogrodzenie, znajdujące się jakieś siedem metrów za murem. Była to konstrukcja pięciopasmowa, trzy górne poprzeczki owinięto drutem kolczastym. Człowiek rozsądny, rzecz jasna, podnosił w górę drugi od dołu gładki drut, opuszczał najniższy, schylał się i przelał przez ogrodzenie. Ale ja dzięki Jablonsky'emu wiedziałem to, o czym człowiek rozsądny nie miał pojęcia, a mianowicie, że każdy nacisk na jeden z dolnych drutów wprawiał w ruch dzwonek alarmowy, więc mozolnie, przy akompaniamencie prucia i darcia ubrania przelałem przez trzy górne druty kolczaste, po czym zeskoczyłem na ziemię po drugiej stronie. Kiedy Andrew otrzyma z powrotem swoją nieprzemakalną olejówkę, niewiele będzie miał z niej pociechy. Jeśli ją w ogóle kiedykolwiek jeszcze otrzyma...

Pod gęstymi drzewami panowała prawie nieprzenikniona ciemność. Miałem małą latarkę, ale bałem się z niej korzystać. Chcąc okrążyć spory ogród kuchenny, położony po lewej stronie domu, i dotrzeć do drabinki przeciwpożarowej na jego tyłach, musiałem zaufać szczęściu i wyczuciu. Do pokonania miałem odległość około dwustu metrów, spodziewałem się więc, że mi to zajmie co najmniej kwadrans.

Poruszałem się tak, jak kamerdyner Złamany Nos wyobrażał sobie, że się porusza, kiedy na koniuszkach palców oddalał się spod drzwi naszej sypialni. Moja przewaga polegała na tym, że nie miałem ani platfusa, ani żadnych znaczniejszych polipów w nosie. Poruszałem się, obie ręce trzymając przed sobą, ale dopiero kiedy twarzą rąbnąłem w pień drzewa, nauczyłem się chodzić z rękoma nie rozcapierzonymi, lecz wyciągniętymi prosto przed siebie. Nic nie mogłem poradzić na ociekające i oślizłe gałęzie mszaków, nieustannie oplatające mi twarz, ale znalazłem radę na setki walających się po ziemi gałązek i połamanych gałęzi. Nie chodziłem więc, lecz powłóczyłem nogami, nie odrywając stóp od ziemi. Jedną nogę przesuwalem powolutku do przodu, starannie zmiatając wszystko, co znajdowało się na drodze, i nie pozwalając, by cały ciężar spoczął na

wysuniętej do przodu stopie, dopóki się nie upewnię, że nie ma pod nią nic takiego, co mogłoby pod uciskiem trzasnąć lub huknąć. Nie chcę się chwalić, ale posuwałem się bardzo cichutko.

Całe szczęście! W dziesięć minut po sforsowaniu ogrodzenia, kiedy już zacząłem poważnie się martwić, czy aby nie skręciłem w niewłaściwym kierunku, odniosłem nagle wrażenie, że spoza drzew i kurtyny deszczu, nieustannie opadającego z drzew, dostrzegłem nikły odbłask światła. Iskierka, która natychmiast zgasła. Mógł być to tylko owoc mojej wyobraźni, gdyby nie fakt, że nie mam takiej wyobraźni. Wiedziałem, że nie mam, więc zwolniłem jeszcze bardziej, niżej naciągając na oczy rondo kapelusza i podnosząc kołnierz płaszcza, by najlżejszy nawet błysk nie zdradził bieli mojej twarzy. Nawet z metrowej odległości nie sposób było dosłyszeć szelestu ciężkiej nieprzemakalnej olejówki.

Przeklinałem w duchu mszaki. Ich długie, lepkie wici okręcały mi się dokoła twarzy, musiałem mrużyć i przymykać oczy właśnie wtedy, kiedy łatwo mogło się to stać moją ostatnią czynnością na tym bożym świecie, a co więcej, do takiego stopnia przesłaniały mi widoczność, że miałem ochotę paść na ziemię i czołgać się na czworakach. Może nawet byłbym to zrobił, ale wiedziałem, że zdradzi mnie szelest olejówki.

A potem znów zobaczyłem błysk światła. Odległość wynosiła dziesięć metrów, nie więcej, a światło nie było wymierzone w moim kierunku, lecz oświetlało coś na ziemi. Szybko i gładko postąpiłem dwa kroki do przodu w nadziei, że zlokalizuję źródło światła i poznam jego przyczynę, a potem przekonałem się, że mój zmysł nawigacyjny w ciemności okazał się idealnie dokładny. Kuchenny ogród był okolony drewnianym płotem, powiązany drucianą siatką, i na nią właśnie nadziałem się stawiając drugi krok. Górna poprzeczka zaskrzypiała jak drzwi do opuszczonego lochu.

Nagle rozległ się krzyk, światło zgasło, zapanowało krótkie milczenie, a potem latarka znów zabłysła, ale snop światła skierowany był już nie na ziemię, lecz przesuwiał się i przeszukiwał centymetr po centymetrze kuchenny ogród. Ktokolwiek trzymał tę latarkę, był nerwowy jak nowo narodzony kociak, bo zdawał sobie sprawę, skąd dobiegał hałas, a systematyczny i zamaszty ruch ręki musiałby mnie zdradzić w ciągu kilku sekund. Tymczasem poszukiwania polegały na całej serii nerwowych prób, dokonywanych na oślep, na targaniu i szarpaniu snopem światła, zdążyłem więc lekko odskoczyć w tył. Wykonałem tylko jeden krok: na więcej nie miałem już czasu. Wtopiłem się w pień pobliskiego dębu, jeśli w ogóle wolno mówić o możliwości wtopienia się w pień dębu. Przyciskałem się do niego, jak gdybym usiłował odepchnąć go w tył, i modliłem się jak nigdy dotąd: modliłem się; żeby mieć przy sobie broń.

- Daj mi tę latarkę! - Spokojny głos należał bez wątpienia do Royale'a. Snop światła drgnął, znieruchomiał, potem znów skierował się na ziemię. - Rób dalej swoje. Ale już!

- Kiedy naprawdę coś słyszałem, panie Royale! - To mówił Larry, głosem przypominającym cienki, nerwowy szept. - Tam, tam! Jestem tego pewny.

- Tak, ja też. W porządku. - Kiedy ma się taki głos jak Royale, głos, w którym jest tyle ciepła, co w wiadrze do chłodzenia butelki szampana, trudno oddziaływać na kogoś kojąco, ale Royale starał się, jak mógł najlepiej. - Las w ciemności zawsze jest pełen takich hałasów. Upalny dzień, w nocy zimny deszcz, wszystko się kurczy, stąd najrozmaitsze hałasy: A teraz się pośpiesz. Chcesz całą noc tkwić na tym cholernym deszczu?

- Niech mnie pan posłucha, panie Royale! - W tym szepcie brzmiała już teraz nie tylko powaga, ale desperacja. - Ja się naprawdę nie pomyliłem, słowo daję, że nie! Słyszałem...

- Nie dostałeś dziś wieczór porcji białego proszku, co? - bezlitośnie przerwał mu Royale. Okazywanie choć przez chwilę uprzejmości okazało się ponad jego siły. - O Boże, dlaczego to właśnie ja muszę się użerać z takim narkomanem jak ty? Zamknij się i rób swoje.

Larry zamknął się. Zastanawiałem się nad tym, co Royale powiedział, bo ta sprawa od pierwszej chwili spotkania z Larrym nie dawała mi spokoju. Jego zachowanie, fakt, że dopuszczano go do współpracy z generałem i Vylandem, wszystko, na co sobie pozwalał, przede wszystkim sama jego obecność w tym domu... Wielkie organizacje przestępcze, grające o wysokie stawki - a jeśli to towarzystwo nie grało o wysoką stawkę, to sam już nie wiem, o kim to by się dało powiedzieć! - zazwyczaj dobierają członków tej organizacji równie starannie i przezornie, jak wielkie firmy czołową kadrę dyrektorów. Może nawet jeszcze bardziej. Nieostrożne potknięcie, chwilowa niedyskrecja jednego z dyrektorów nie zrujnuje wielkiej firmy, ale może zniszczyć organizację przestępczą. Zbrodnia na wielką skalę - to interes na wielką skalę, a wielcy przestępcy to ludzie wielkich interesów, którzy nielegalną działalność prowadzą, nie mniej troskliwie i przezornie, z nie mniejszą precyzją w zarządzaniu niż ich praworządni koledzy po fachu. Jeśli z największą niechęcią dochodzą do wniosku, że należy zlikwidować konkurentów lub ludzi zagrażających ich bezpieczeństwu, likwidację powierzają osobom spokojnym, uprzejmym, takim jak Royale. Larry natomiast mógł być im równie przydatny co zapalka w składzie prochu.

W tym zakątku kuchennego ogrodu było ich trzech: Royale, Larry i kamerdyner, którego zakres obowiązków był chyba znacznie szerszy od tego, czego zazwyczaj się wymaga od jego kolegów po fachu w wiejskich dworach angielskiej śmietanki towarzyskiej. Larry i kamerdyner pracowali łopatami. Kopia, pomyślałem początkowo, jako że Royale przesłonił światło, a w tym deszczu nawet z odległości dziesięciu metrów trudno było cokolwiek dostrzec. Stopniowo jednak, kierując się uchem raczej niż okiem, domyśliłem się, że przeciwnie - zasypują dół w ziemi. W ciemności uśmiechnąłem się do siebie. Mógłbym się założyć o duże pieniądze, że zakopują coś

wyjątkowo wartościowego, coś - co długo w tym miejscu nie poleży: Ogród kuchenny trudno bowiem uznać za idealne miejsce trwałego ukrycia skarbu.

Po upływie trzech minut skończyli. Ktoś grabiami przeciągnął tam i z powrotem - przypuszczałem, że musieli kopać w świeżo przygotowanej grządce warzywnej i że chcieli ukryć ślady tej operacji. Potem wszyscy trzej oddalili się do odległej o parę metrów szopy ogrodnika i tam zostawili łopaty i grabie.

Kiedy wyszli z powrotem, cicho ze sobą rozmawiając, Royale szedł przodem z latarką w rękę. W odległości niespełna pięciu metrów ode mnie minęli bramę z wikliny, ale ja już zdążyłem tymczasem cofnąć się o kilka metrów w głąb lasu, osłoniony grubym pniem dębu. We trójkę ruszyli ścieżką prowadzącą przed fronton domu, cichy szmer głosów stopniowo zanikał, wreszcie umilkł zupełnie. Kiedy otworzyły się frontowe drzwi, snop światła padł na ganek, a potem doszedł mnie donośny brzęk ciężkich drzwi, zamykanych na zatrask. Cisza.

Nie poruszyłem się. Pozostałem dokładnie w tym samym miejscu, cichutko, płytko oddychając, nie przesuwając się ani o centymetr. Deszcz lał teraz ze zdwojoną siłą, gęste listowie dębu było równie przydatne jako osłona przed ulewą, co skrawek gazy, ale nie ruszałem się z miejsca. Przesiąkła mi sztormowa olejówka, a także nieprzemakalny płaszcz; a strumienie wody ściekały mi po plecach i nogach. Ale nie ruszałem się z miejsca. Woda kapiała mi po twarzy i wdzieriała się do butów, ale nie ruszałem się z miejsca. Czułem, jak fala sięga mi kostek, ale nie ruszałem się z miejsca. Stałem w miejscu jak posąg człowieka wykuty z lodu, tyle że jeszcze zimniejszy. Ręce mi zdrętwiały, nogi przemarzły, co parę sekund całym ciałem wstrząsały niepoohamowane dreszcze. Oddałbym pół życia, by móc się poruszyć. Ale się nie ruszałem. Poruszały się tylko oczy.

Śluch nie na wiele mi się teraz zdawał. Przy donośnym wyciu stale nasilającej się wichury w rozkołysanych gałęziach wierzchołków drzew, przy głośnym, szalonym łaskocie ulewy, torującej sobie drogę wśród listowia; nawet nie sposób było dosłyszeć z odległości trzech metrów odgłosu nieostrożnych kroków. Ale po trzech kwadransach takiego bezruchu oczy idealnie przystosowały się do panującego mroku i nawet z odległości dziesięciu metrów można było dostrzec nieostrożne poruszenie. I tak się też stało: dostrzegłem. Poruszenie, ale bynajmniej nie nieostrożne. Świadome. Myślę, że to nagły, wściekły podmuch wiatru i deszczu wyczerpał wreszcie cierpliwość cienia, który teraz oderwał się spod osłony pobliskiego drzewa i w całkowitej ciszy ruszył w kierunku domu. Gdybym nie był tak czujny, gdybym nie wbijał w ciemność oczu napiętych i obolałych od patrzenia, przegapiłbym ten ruch, bo na pewno nie mógłbym go usłyszeć. Ale nie przegapiłem. Cień poruszał się bezgłośnie jak cień. Cichy, śmiertelnie cichy człowiek. Royale. Słowa skierowane do Larry'ego - to był po prostu bluff na użytek ewentualnego słuchacza.

Royale doskonale usłyszał jakiś hałas, a dźwięk musiał wydać mu się dostatecznie nietypowy, by wzbudzić podejrzenie czyjejs obecności. Ale tylko podejrzenie. Gdyby Royale był tego pewien, tkwiłby tam całą noc, wyczekując odpowiedniej chwili do zadania ciosu. Jak wielki, tropikalny wąż! Pomyślałem sobie, co by było, gdybym wszedł do kuchennego ogrodu zaraz po odejściu tej trójki, gdybym wziął łopatę i zaczął dochodzić prawdy - i poczułem, że robi mi się jeszcze zimniej. Wyobraziłem sobie, jak się pochylam nad wykopem, tuż za mną niedosłyszalnie skrada się Royale, a wreszcie pocisk, jeden jedyny, w płaszczu ze stopu miedzi i niklu, kaliber 0,22, tkwiący w nasadzie mojej czaszki.

Ale i tak kiedyś musiałem pójść po łopatę i zacząć dochodzić prawdy, a trudno było o lepszą porę. Lało jak z cebra, noc była ciemna jak grób. W tych warunkach mało było prawdopodobne, że Royale jeszcze tu wróci, choć jeśli mowa o tym przebiegłym i chytrym umyśle, nic nie byłoby mnie w stanie zadziwić. Gdyby nawet wrócił, byłby oślepiiony jaskrawym światłem wewnątrz domu, a nim odważyłby się zrobić jakiś ruch w moim kierunku, potrzebowałby co najmniej dziesięciu minut na przystosowanie wzroku do niemal absolutnej ciemności. Pewne było, że nie będzie się poruszał przy świetle latarki: jeżeli sądził, że na tym terenie ciągle jeszcze znajduje się jakiś intruz, to doszedł do wniosku, że ów intruz zauważył pewnie działalność kopiących, ale mimo to nie zareagował: jeśli zaś podejrzewał, że taki człowiek był, na pewno zakładał, że jest to osobnik ostrożny i niebezpieczny, poszukiwanie którego z latarką w ręku było zaproszeniem do zainkasowania kulki w plecy. Royale nie mógł przecież wiedzieć, że intruz nie ma broni.

Doszedłem do wniosku, że dziesięć minut wystarczy na sprawdzenie tego, czego się chciałem dowiedzieć, zarówno dlatego, że cokolwiek w tym ogrodzie zakopano, zrobiono to prowizorycznie, jak i dlatego, że ani Larry, ani kamerdyner nie wyglądali na ludzi, którym machanie łopatą sprawiałoby najmniejszą przyjemność i którzy kopaliby choć na jeden centymetr głębiej, niż to było bezwzględnie konieczne. I miałem rację. W szopie znalazłem łopatę, za pomocą wąskiego jak igła snopu światła mojej malutkiej latarki odszukałem świeżo zgrabioną ziemię, a od czasu, kiedy minąłem wiklinową bramę, do usunięcia pięcio- czy ośmiocentymetrowej warstwy ziemi pokrywającej coś w rodzaju białej sosnowej skrzynki do pakowania, minęło nie więcej niż pięć minut.

Skrzynka spoczywała w ziemi pod niewielkim kątem, a deszcz bębniący po moich pochylonych plecach i po pokrywie skrzynki był tak ulewny, że w ciągu minuty obmył do czysta białą pokrywę i pozbawił najmniejszej grudki ziemi, błotnista woda zaś spłynęła w bok. Ostrożnie zapaliłem latarkę: żadnego nazwiska, żadnych znaków szczególnych, nic, co mogłoby stanowić najmniejszy choćby ślad zawartości skrzynki.

Po obu stronach skrzynki znajdowały się drewniane uchwyty i sznur. Złapałem jeden z nich, ująłem go oburącz i szarpnąłem w górę, ale skrzynia miała ponad półtora metra długości i chyba załadowana była ceglami; mimo to udałooby mi się, być może, ją poruszyć, ale ziemia wokół wykopu tak przesiąkła wodą i była tak miękka, że ją wyłobiłem obcasami i zacząłem obsuwać się w dół.

Ponownie wyjąłem latarkę, osłoniłem tak, by jej światło było jak najmniej widoczne, i przystąpiłem do rozbijania pokrywy skrzynki. Żadnych metalowych klamer. Żadnych grubych śrub. O ile się mogłem zorientować, umocowana była jedynie paroma gwoździami. Podniosłem łopatę, podważyłem z jednej strony. Wyciągane z deski gwoździe zatrzeszczały i zaskowyczały na znak protestu, ale nie zważałem na to. Z jednej strony odchyliłem pokrywę. Uniosłem ją o kilka centymetrów w górę i skierowałem snop światła do środka.

Nawet po śmierci Jablonsky nie przestawał się uśmiechać. Był to uśmiech zniekształcony, harmonizujący ze zwłokami Jablonsky'ego, które zwinęto, aby upchnąć je w za ciasnej skrzyni. Twarz była spokojna i swobodna, zwykłym ołówkiem można było zakryć małą dziurkę między oczami. Taką właśnie dziurkę pozostawia pocisk w płaszczu ze stopu miedzi i niklu, wystrzelony z pistoletu samopowtarzalnego kaliber 0,22.

Dwukroć tej nocy, gdzieś w głębinach zatoki, myślałem o tym, że Jablonsky w tym czasie spokojnie śpi. Spał, to nie ulegało wątpliwości. Spał od wielu godzin, ciało było zimne jak marmur.

Nie zadałem sobie trudu przeszukania kieszeni nieboszczyka. Royale i Vyland na pewno już to zrobili przede mną. Zresztą wiedziałem, że Jablonsky nie nosił przy sobie nic obciążającego, nic takiego, co mogłoby zdradzić prawdziwe powody jego obecności w tym domu, nic takiego, co mogłoby mnie skompromitować.

Otarłem jego twarz z deszczu, zamknąłem wieko i rękojeścią łopaty delikatnie wbiłem gwoździe na miejsce. Odkryłem wykop w ziemi, teraz więc przystąpiłem do zasypywania. Royale miał szczęście, że go wówczas nie spotkałem.

Łopatę i grabie odniosłem do szopy i opuściłem kuchenny ogród.

Na tyłach portierni, przy wjeździe, nie było żadnych świateł. Odszukałem jedne drzwi i dwa parterowe okna - budynek był jednokondygnacyjny - ale wszystkie okazały się zamknięte na klucz. Można się tego było spodziewać. W tym domu wszystko zawsze będzie zamknięte na klucz.

Z wyjątkiem garażu. Nie ma takich szaleńców, którzy by chcieli porwać dwa Rolls-Royce'y, nawet gdyby się im udało przeniknąć przez automatycznie otwieraną i zamykaną bramę, co zresztą nie było możliwe. Garaż był godny stojących w nim samochodów: półka z narzędziami i całe wyposażenie mogły zaspokoić najskrytsze marzenia zapalonego majsterkowicza.

Zmarnowałem dwa zupełnie dobre dłuta do drewna, ale jedno z okien otworzyłem w ciągu niespełna minuty. Mało zdawało się prawdopodobne, by portiernia była wyposażona w instalację alarmową, tym bardziej że na skrzydłach okien nie dostrzegłem nawet śladu zabezpieczających przed włamaniem półkolistych klamek. Ale nie chciałem ryzykować, opuściłem więc górną połówkę okna i wlałem do środka. Ci, którzy montują instalację alarmową w oknach, zakładają zazwyczaj, że włamywacz unosi zwykle dolną połówkę okna w górę i czołga się pod nią. Przeciętny elektryk uważa, że znacznie wygodniej i łatwiej przeprowadzać drut na poziomie talii niż wysoko nad głową. W tym przypadku, jak się przekonałem, rzeczywiście działał przeciętny elektryk. Portiernia miała instalację alarmową.

Wybrałem pokój o oknach z mlecznego szkła, mogłem więc z góry założyć, że to łazienka. I tak też było w istocie. Dlatego nie zeskoczyłem na głowę nikomu, kto pogrążony byłby we śnie w sypialni, ani nie potknąłem się o stos garnków i rondli w kuchni.

W korytarzu omiotłem ściany małą latarką. Portiernia została zaprojektowana - jeśli to jest właściwe określenie - z prostotą. W korytarzu było dwoje drzwi: frontową i od tyłu. Po obu stronach korytarza znajdowały się małe pokoiki. To było wszystko.

Naprzeciwko łazienki znajdowała się kuchnia. Nie było tam nic. Wąskim korytarzykiem posuwałem się tak cicho, na ile pozwalało skrzywienie butów. Zdecydowałem się na drzwi po lewej stronie, z zegarmistrzowską precyzją nacisnąłem klamkę i bezszmerowo wsunąłem się do środka.

To było to! Zamknąłem drzwi za sobą i cicho stąpałem w stronę ściany po mojej lewej ręce, skąd dochodziły odgłosy głębokiego, regularnego oddechu. Kiedy znalazłem się w odległości około metra, zapaliłem latarkę, i snop światła skierowałem prosto w zamknięte oczy śpiącego.

Dłużej spać nie mógł, światło padało wprost na niego. Obudził się jak za dotknięciem prądu i uniósł na łokciu, drugą ręką zaś usiłował osłonić oczy od światła. Zauważyłem, że nawet obudzony w środku nocy wyglądał, jak gdyby dziesięć sekund temu skończył właśnie szciotkować lśniące czarne włosy: kiedy ja się budziłem, moje włosy wyglądały zawsze jak nie dosuszona szmata i przypominały uczesanie kobiet wykonane przez zwariowanego krótkowidza, uzbrojonego w ogrodowy sekator.

Nie próbował żadnych sztuczek. Sprawiał wrażenie faceta twardego, zaradnego i rozsądnego, który wiedział, kiedy można próbować, a kiedy nie. Wiedział, że teraz nie pora. Na pewno nie wtedy, kiedy się jest oślepionym światłem.

- Za tą latarką, Kennedy, jest wycelowany pistolet kaliber 0,32 - powiedziałem. - Gdzie trzymasz broń?

- Jaką broń? - Nie wydawał się przestraszony, ale też i nie był.

- Wstawaj! - rozkazałem. Z satysfakcją zauważyłem, że piżama jego nie była w kolorze kasztanowym. Sam mógłbym sobie taką wybrać. - Stań przy drzwiach.

Staął. Sięgnąłem pod poduszkę:

- Właśnie tę - powiedziałem. Mały, szary pistolet samopowtarzalny. Marki nie znałem. - Wracaj na łóżko i siadaj.

Przełożywszy latarkę do lewej ręki, a pistolet do prawej, szybko zlustrowałem pokój. Tylko jedno okno, całe zasłonięte grubymi, aksamitnymi storami koloru wina. Podeszedłem do drzwi, zapaliłem górną lampę, rzuciłem okiem na pistolet i odciągnąłem bezpiecznik. Rozległ się głośny, niedwuznaczny trzask, świadczący, że nie zamierzam żartować. Kennedy powiedział: - To znaczy, że nie miałeś broni!

- Ale teraz mam.

- Nie nabitą, przyjacielu.

- Nie opowiadaj bajek - odparłem znużony. - Po to tylko trzymasz ją pod poduszką, żeby całą pościel poplamić oliwą? Gdyby ten pistolet był nie nabity, rzuciłbyś się na mnie jak ryś, jakiegokolwiek by były tego konsekwencje...

Rozejrzałem się po pokoju. Przytulne, męskie pomieszczenie, nie przeładowane, ale wygodne, porządny dywan, choć nie tej samej klasy, co dywan w bibliotece generała, dwa fotele, stół pokryty adamaszkiem, mała kozetka i oszklony kredens pod ścianą. Podeszedłem do kredensu, otworzyłem, wyciągnąłem butelkę whisky i dwie szklaneczki. - Jeśli pozwolisz, rzecz jasna.

- Żartowniś - zauważył oschle.

Nie zniechęciłem się i mimo to nalałem sobie kielicha. Dużego. Musiałem. Smakował tak, jak smakować powinien; choć rzadko się to zdarza. Przyglądałem się Kennedy'emu, a on mnie się przyglądał.

- Kim jesteś, przyjacielu? - zapytał.

Zapomniałem, że tylko część mojej twarzy była widoczna. Opuściłem kołnierz olejówki i nieprzemakalnego płaszcza, zdjąłem kapelusz, który bardziej przypominał nasiąkniętą gąbkę. Włosy miałem mokre i zlepione na głowie, ale mimo to nie sądzę, by stały się choć trochę mniej rude. Skurcz warg Kennedy'ego, jego oczy, które nagle znieruchomiały i straciły wyraz, mówiły same za siebie.

- Talbot - powiedział powoli. - John Talbot. Morderca.

- To właśnie ja - przytaknąłem. - Morderca.

Siedział bardzo spokojnie, przyglądając mi się uważnie. Przypuszczam, że w głowie musiały mu się kłębić dziesiątki różnych pomysłów, ale nic z tego po sobie nie okazywał, jego

twarz przypominała indiańską maskę z drzewa. Zdradzały go tylko brązowe inteligentne oczy, nie mógł tak zupełnie ukryć nienawiści, zimnej wściekłości, która w ich głębi się czaiła.

- Czego chcesz, Talbot? Czego tu szukasz?

- Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem brać przymiarkę do szubienicznego słupa?

- Po coś wrócił? Od wtorku wieczór trzymali cię pod kluczem, Bóg jeden wie, po co. Udało ci się uciec, ale żeby uciec, nie musiałeś nikogo wykosić, bobym o tym słyszał. Prawdopodobnie jeszcze nawet nie wiedzą, żeś zwiął, bo i o tym musiałbym słyszeć. Ale zwiąłeś. Byłeś gdzieś na statku, czuć od ciebie zapach morza, zresztą masz na sobie żeglarski płaszcz sztormowy. Nie było cię już kawał czasu, nie mógłbyś już bardziej przemoknąć, nawet gdybyś pół godziny stał pod wodospadem. Ale teraz wracasz. Morderca, ścigany. Cały ten układ cuchnie mi jak cholera.

- Cuchnie jak cholera - przytaknałem. Whisky była dobra. Po raz pierwszy od wielu godzin poczułem się jak człowiek. Cwany facet z tego szofera, facet, który umie myśleć, i to szybko. Po chwili dodałem: - Układ prawie równie smrodliwy, jak ta nieziemską sytuacja, dla której ty tu pracujesz.

Nic nie odpowiedział, nie widziałem zresztą żadnego powodu, dla którego miałby odpowiadać. Nie sądzę, bym na jego miejscu chciał z byle przypadkowym mordercą dyskutować o swoich pracodawcach, choćby tylko dla spędzenia czasu. Spróbowałem z innej beczki:

- Córka generała, panna Mary. To musi być nie byle jaka dziwka, no nie?

To go ruszyło. Zerwał się z łóżka z obłędem w oczach; pięści zacisnął w twarde kulaki i już był w pół drogi do mnie, kiedy sobie przypomniał o pistolecie, wycelowanym prosto w jego pierś. Powiedział cicho, szeptem: - Chciałbym, żebyś to jeszcze raz powtórzył... bez tego pistoletu w garści.

- No, teraz już lepiej - wyraziłem uznanie. - Nareszcie zdradzasz oznaki życia. Okazujesz własne zdanie. Znasz stare porzekadło o czynach, które przemawiają dobitniej niż słowa? Gdybym cię po prostu zapytał, jaka jest panna Ruthven, tobyś się tylko zaparł w sobie albo powiedział, żebym się wypchał. Ja też jej nie uważam za dziwkę. Wiem, że nią nie jest. Myślę, że to miłe dziecko, naprawdę bardzo dobra dziewczyna.

- Pewnie, pewnie. - W jego głosie brzmiało rozgoryczenie, ale w oczach dostrzec mogłem pierwszy ślad zdziwienia. - Pewnie dlatego napędziłeś jej tego popołudnia takiego strachu.

- Przykro mi z tego powodu, naprawdę przykro. Ale musiałem tak zrobić Kennedy, choć nie z tych powodów, o jakie mnie wraz z całą bandą morderców w domu generała podejrzewasz. - Wychyliłem resztę nie dopitej whisky, przez dłuższą chwilę przyglądałem mu się w zamyśleniu, a potem rzuciłem mu pistolet. - Może byśmy tak sobie pogadali?

To go zaskoczyło, ale był szybki, bardzo szybki. Zręcznie złapał pistolet, obejrzał go, spojrzał na mnie, zawahał się, wzruszył ramionami, potem uśmiechnął się nieznacznie: - Nie sądzę, by parę dodatkowych plam po oliwie miało specjalnie tej pościeli zaszkodzić. - Wepchnął pistolet pod poduszkę, podszedł do stołu, nalał sobie whisky, a także i do mojej szklaneczki, i czekał.

- Wcale nie ryzykuję tak wiele, jak ci się wydaje - zagaiłem. - Słyszałem, jak Vyland próbował przekonać generała i Mary, żeby się ciebie pozbyli. Domyślam się, że stanowisz potencjalne zagrożenie dla generała, dla Vylanda i dla innych, których mogę nie znać. Zorientowałem się, że nie jesteś wtajemniczony w to, co się tu dzieje. A przecież musisz wiedzieć, że dzieją się tu bardzo dziwne rzeczy.

Pokiwał głową: - Jestem tylko szoferem. A co odpowiedzieli Vylandowi? - Z tonu, jakim wymówił to nazwisko, wywnioskowałem, że nie darzy Vylanda szczególną sympatią.

- Zaparli się i stanowczo odmówili.

To mu sprawiło przyjemność. Próbował tego po sobie nie okazywać, ale był zadowolony.

- Ponoć wyrządziłeś nie tak dawno rodzinie Ruthvenów wielką przysługę - mówiłem dalej.
- Zastrześliłeś kilku bandziorów, którzy próbowali porwać Mary.

- Miałem szczęście. - Myślę, że tam, gdzie w grę wchodzi szybkość i siła, zawsze będę miał szczęście. - Przede wszystkim jestem strażą przyboczną, nie szoferem. Panna Mary to łakomy kąsek dla każdego łobuza w całym kraju, któremu uśmiecha się szybkie zdobycie miliona. Ale teraz przestałem być strażą przyboczną - urwał raptownie.

- Poznałem twój następcę - skinąłem głową. - Valentino. Nie potrafiłby upilnować pustego żłobka.

- Valentino? - uśmiechnął się. - Al Gunther. Ale Valentino do niego pasuje. Słyszałem, że uszkodziłeś mu ramię?

- On mi uszkodził nogę. Jest cała czarna i sinofioletowa. - Przyglądałem mu się w zamyśleniu. - Zapomniałeś, że rozmawiasz z mordercą, Kennedy?

- Jaki tam z ciebie morderca! - powiedział wręcz. Nastąpiła dłuższa przerwa, potem oderwał ode mnie wzrok i wbił go w podłogę.

- A posterunkowy Donnelly? - spytałem.

Bez słowa pokiwał głową.

- Donnelly jest cały i zdrowy, tak samo jak ty - powiedziałem. - Może straci trochę czasu na wywabienie z portek plam od prochu, ale poza tym żadna krzywda mu się nie stała.

- Lipa? - spytał cicho.

- Czytałeś o mnie w gazetach - wskazałem ręką stojak z czasopismami w kącie pokoju. Ciągle jeszcze nie schodziłem z tytułowych stron, a moje zdjęcie było nawet gorsze od

poprzedniego. - Resztę słyszałeś od Mary. Część tego, co czytałeś i słyszałeś, to prawda, reszta zaś to czysty wymysł... Nazywam się naprawdę John Talbot i jestem, jak stwierdzono w sądzie, specjalistą od ratownictwa okrętowego. Bywałem we wszystkich wspomnianych przy tej okazji miejscowościach, z wyjątkiem Bombaju, i to mniej więcej we wspomnianych terminach. Ale nigdy nie uprawiałem żadnej działalności przestępczej. Co więcej, Vyland albo generał, albo nawet obaj, to bardzo szczerwane lisy. Zadepeszowali do swoich współpracowników w Holandii, Anglii i Wenezueli... generał oczywiście ma tam wszędzie udział w interesach naftowych... żeby sprawdzić moje referencje. To ich zadowoli. Dużo czasu poświęciłem na przygotowanie tego wszystkiego.

- Skąd wiesz, że depeszowali?

- Od dwóch miesięcy wszystkie zagraniczne depesze wysyłane z Marble Springs podlegają kontroli. Generał, bo to w jego imieniu wysłano wszystkie depesze, posługiwał się oczywiście szyfrem. To jest zresztą zgodne z prawem. W Waszyngtonie żyje taki niepozorny staruszek, mieszka nawet niedaleko poczty. Prawdziwy geniusz od szyfrów: mówi, że kod generała to dziecinna zabawka. Oczywiście dla niego.

Wstałem i zacząłem kręcić się po pokoju. Whisky stopniowo przestawała działać. Czuję się jak zmarznięty, przemoczony kundel.

- Musiałem znaleźć dojscie. Do tej pory pracowaliśmy niemal zupełnie na ślepo, ale z przyczyn, o których zbyt długo by teraz opowiadać, wiedzieliśmy, że generał oburącz uchwyci się okazji i skorzysta z usług specjalisty od ratownictwa okrętowego i poszukiwań podwodnych. Co się też stało.

- Pracowaliśmy? Wiedzieliśmy? - Kennedy nie wyzbył się jeszcze podejrzeń w stosunku do mnie.

- Moi przyjaciele. Nie martw się, Kennedy, za mną stoją wszystkie instytucje strzegące prawa na całym świecie. Ja nie działam na własną rękę. Żeby generał połknął haczyk, musieliśmy posłużyć się generalską córką. Ona nie ma pojęcia o tym, co się naprawdę stało. Sędzia Mollison jest zaprzyjaźniony z rodziną, więc skłoniłem go, żeby zaprosił Mary na obiad, proponując, by przedtem wpadła na salę sądową i tam zaczekała, aż on się upora z ostatnią rozprawą.

- Sędzia Mollison jest w to wtajemniczony?

- Tak jest. Masz tu telefon i książkę telefoniczną. Chcesz do niego zadzwonić?

Zrobił przeczący ruch głową.

- Mollison wie - ciągnąłem dalej - a poza tym z tuzin glin. Wszyscy zostali zaprzysiężeni, że dochowają tajemnicy. Wiedzą, że jedno nie w porę wypowiedziane słowo, a mogą szukać nowej posady. Jedyńą poza funkcjonariuszami osobą, która coś o tym wie, jest chirurg, który rzekomo

miał operować Donnelly'ego, a potem podpisał akt zejścia. Miał nieco trudności z własnym sumieniem, ale w końcu udało mi się go namówić.

- Wszystko lipa - mruknął. - A tu masz przed sobą jeszcze jednego, który też dał się nabrać.

- Wszyscy się dali nabrać. Po to był ten cały cyrk. Lipne meldunki z Interpolu i z Kuby za wiedzą i zgodą zainteresowanej policji, dwa ślepe naboje w magazynku Colta Donnelly'ego, lipne zapory drogowe, lipny pościg policyjny, lipny...

- Ale... a przestrelona przednia szyba?

- Kazałem jej schylić głowę. Sam tę szybę przestrelilem. Samochód i pusty garaż przygotowane z góry, nawet Jablonsky przygotowany z góry.

- Mary opowiadała mi o Jablonskim - powiedział wolno. "Mary", pomyślałem, już nie "panna Mary"... Może to było bez znaczenia, może świadczyło, że tak zazwyczaj o niej myśli. - "Sprzedajna glina" mówiła o nim. To też lipa?

- Jeszcze jaka lipa! Przygotowywaliśmy to przez dwa lata. Od początku szukaliśmy człowieka, który zna Karaiby jak własną kieszeń. Był nim Jablonsky. Urodzony i wychowany na Kubie. Dwa lata temu był gliniarzem w Nowym Jorku. To Jablonsky wpadł na pomysł sfabrykowania przeciwko sobie fałszywych oskarżeń. Bardzo sprytnie, co nie tylko wyjaśniało nagłe zniknięcie jednego z najlepszych gliniarzy w kraju, ale w razie potrzeby otwierało mu drzwi do każdej lewej ferajny. Przez ostatnie osiemnaście miesięcy pracował ze mną na Karaibach.

- Cholernie dużo ryzykował, no nie? Chciałem powiedzieć, że Kuba była ongiś przybraną ojczyzną połowy przestępców w kraju, a ryzyko...

- Był świetnie ucharakteryzowany - wyjaśniałem cierpliwie. - Broda i wąsy własnego chowu, włosy ufarbowane, okulary... Rodzona matka by go nie poznała.

Zapadło długie milczenie, potem Kennedy odstawił swoją szklankę i przyjrzał mi się bez mrugnięcia oka: - Talbot, powiedz, co jest grane?

- Bardzo mi przykro. Musisz mi uwierzyć na słowo. Im mniej się wie, tym zdrowiej. Mollison nie wie, żaden ze stróżów porządku nie wie. Po prostu wykonują rozkazy.

- To aż tak poważne? - zapytał wolno.

- Wystarczająco. Słuchaj, Kennedy, nie zadawaj pytań. Proszę cię, żebyś mi pomógł. Jeżeli dotąd nie obawiasz się o zdrowie Mary, to czas najwyższy, żebyś zaczął się bać. Nie sądzę, by wiedziała coś więcej od ciebie o układach między Vylandem a generałem, ale jestem przeświadczony, że grozi jej niebezpieczeństwo. Wielkie niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo utraty życia. Mam przeciwko sobie wielkich chojraków, grających o wysoką stawkę. Żeby tę stawkę wygrać, popełnili już osiem zabójstw. Przynajmniej o ośmiu ja wiem dokładnie. Jeśli

wplącesz się w tę historię, niewątpliwie skończysz z kulką w plecach. Ale ja cię proszę, żebyś się wplątał. Nie mam do tego prawa, ale proszę. Co ty na to?

Jego smągła twarz lekko pobladła. Nie spodobało mu się to, co przed chwilą powiedziałem, ale jeżeli dygotały mu dłonie, ja tego nie zauważyłem.

- Sprytny jesteś, Talbot - powiedział wolno. - Nie wiem, może nawet za sprytny. Ale dostatecznie sprytny, żeby nie powiedzieć mi wszystkiego, zanim się nie upewnisz, że wchodzę do gry. O wielką stawkę, powiadasz? No to myślę, że wejdę do puli.

Nie marnowałem czasu na podziękowanie ani gratulacje. Wkładanie głowy w pętlę nie jest zresztą powodem do składania gratulacji. Zamiast tego powiedziałem: - Chcę, żebyś był z Mary. Gdziekolwiek ona się uda, chcę, żebyś był przy niej. Jestem prawie pewny, że jutro rano, a raczej dziś rano, wyjedziemy wszyscy na pływającą wyspę. Mary prawie na pewno pojedzie z nami. Nie będzie miała wyjścia. Ty będziesz z nią.

Zrobił ruch, jak gdyby chciał mi przerwać, ale go powstrzymałem: - Wiem, wiem, zdjęto cię z tej roboty. Znajdź jakiś pretekst, żeby jutro z samego rana wejść do domu generała. Zobacz się z Mary. Powiedz jej, że Valentino będzie miał przed południem drobny wypadek i żeby ona...

- Co to ma znaczyć "drobny wypadek"?

- Nic się nie martw - odparłem ponuro. - Będzie wypadek. W najbliższym czasie nie będzie w stanie pilnować nawet samego siebie, nie mówiąc już o innych. Powiedz jej, żeby się uparła, że musisz wrócić. Jeżeli się zaprze i postawi sprawę na ostrzu noża, musi wygrać. Generał nie będzie miał zastrzeżeń, a jestem prawie pewny, że Vyland też nie: chodzi tylko o jeden dzień, pojutrze problem, kto się nią będzie opiekował, już nie będzie dla niego taki istotny. Nie pytaj mnie, skąd ta pewność, bo sam nie wiem. Ale daję za to głowę. - Przerwałem. - Tak czy inaczej, Vyland pomyśli, że ona się upiera, ponieważ ma, jak to się mówi, słabość do ciebie. - Jego twarz, przypominająca indiańską drewnianą maskę, nie zmieniła się ani na jotę, więc mówiłem dalej: - Nie wiem, czy tak jest w istocie i nic mnie to nie obchodzi. Mówię ci tylko, co, moim zdaniem, myśli Vyland i dlaczego to go skłoni do zgody na jej propozycję... to, a także fakt, że on ci nie ufa i będzie wołał, żebyś był na wyspie, gdzie może mieć cię na oku.

- Doskonale. - Można by pomyśleć, że proponowałem mu pójście na przechadzkę! Flegmatyczny facet, ani słowa. - Powiem jej i ustawię się tak, jak sobie życzysz. - Zastanowił się chwilę, a potem dodał: - Mówisz, że nadstawiam karku. Możliwe. Może to robię z własnej, nieprzymuszonej woli. Ale jednocześnie wydaje mi się, że sam fakt, że się na to zdecydowałem, upoważnia mnie do nieco większej szczerości z twojej strony.

- Czy byłem nieszczerzy? - Nie byłem nawet poirytowany, zaczynałem tylko naprawdę odczuwać ogromne zmęczenie.

- Tylko jeśli idzie o to, czego nie powiedziałeś. Mówisz, że ci jestem potrzebny, żeby czuwać nad córką generała. W porównaniu z tym, o co ty, Talbot, wojujesz, bezpieczeństwo Mary nie może cię obchodzić nawet tyle co zeszłoroczny śnieg. Gdyby cię obchodziło, mógłbyś ją gdzieś ukryć, kiedy z nią byłeś przedwczoraj. Ale tego nie zrobiłeś. Sprowadziłeś ją z powrotem. Powiadasz, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. To ty właśnie, Talbot, ją w to wplątałeś. Dobra, no więc chcesz, żebym ją miał na oku. Ale jestem ci potrzebny jeszcze do czegoś więcej.

Kiwnąłem głową: - Owszem. Ja w to włożę ze związanymi rękami. Dosłownie. Idę jak więzień. Muszę mieć kogoś, komu mogę ufać. Zaufam tobie.

- Możesz ufać Jablonsky'emu - powiedział spokojnie.

- Jablonsky nie żyje.

Patrzył na mnie bez słowa. Po paru chwilach sięgnął po butelkę i nalał whisky do obu szklanek. Jego usta wyglądały jak biała cienka kreska pośrodku smagłej twarzy.

- Widzisz? - wskazałem moje przemoczone buty. - To jest ziemia z grobu Jablonsky'ego. Zasypałem go, nim tu przyszedłem, niespełna kwadrans temu. Trafili go w głowę z samopowtarzalnego pistoletu małokalibrowego. Między oczy. On się uśmiechał, Kennedy. Człowiek się nie uśmiecha, kiedy widzi, że nadciąga śmierć. Jablonsky tego nie wiedział. Zamordowano go podczas snu.

Zrelacjonowałem mu pokrótce, co się zdarzyło od czasu, kiedy wyszedłem z domu, nie omijając wycieczki łodzią do połowu gąbki z Tarpon Springs na X 13, aż do chwili, kiedy wszedłem do portierni. Kiedy skończyłem, zapytał: - Rogaye?

- Rogaye.

- Nigdy tego nie udowodnisz.

- Wcale nie muszę - odpowiedziałem, nawet nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówię. - Niewykluczone, że Royale nigdy nie stanie przed sądem. Jablonsky był moim najlepszym przyjacielem.

Zrozumiał, co miałem na myśli, to jasne. Cicho powiedział:

- Wolałbym raczej nie mieć ciebie na karku, Talbot.

Wypiłem whisky, ale teraz już alkohol zupełnie nie działał. Czuję się stary, zmęczony, pusty, nieżywy. Kennedy znów się odezwał: - A teraz, co zrobisz?

- Zrobię? Mam zamiar pożyczyć od ciebie jakieś suche pantofle, skarpetki i bieliznę. Potem wrócę do domu generała, pójdę do mojego pokoju, wysuszę ubranie, przykuję się do łóżka i wyrzucę kluczyki. Rano po mnie przyjdą.

- Oszalałeś! - wyszeptał. - Dlaczego, twoim zdaniem, zamordowali Jablonsky'ego?

- Nie mam pojęcia - odparłem znużony.

- Musisz wiedzieć - nalegał. - Po co mieliby go zabijać, jeśli nie wykryli, kim był i co robił naprawdę? Zabili go, bo wykryli jego podwójną grę. A jeżeli dowiedzieli się o nim, musieli się też dowiedzieć o tobie. Będą na ciebie czekać w twoim pokoju, Talbot. Będą wiedzieli, że wrócisz, bo nie wiedzą, żeś znalazł Jablonsky'ego. Jak tylko przekroczysz próg, dostaniesz kulę w łeb. Czy nie możesz tego zrozumieć, Talbot? Na miłość boską, człowieku, czy ty naprawdę tego nie rozumiesz?

- Dawno już to rozumiałem. Może wiedzą o mnie wszystko. Może nie. Ja sam nie wiem o bardzo wielu rzeczach, Kennedy. Ale może mnie nie zabijają. Może na razie jeszcze nie. - Podniosłem się. - A teraz wracam na górę.

Przez chwilę myślałem, że użyje siły fizycznej, żeby mnie powstrzymać, ale pewnie wyraz mojej twarzy sprawił, że zmienił zdanie. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Ile ci za to płacą, Talbot?

- Grosze.

- Premia?

- Żadna.

- Więc, na miłość boską, z jakiego powodu może się człowiek tak idiotycznie narażać, jak ty? - Jego przystojną, smagłą twarz wykrzywił teraz grymas niepokoju i zakłopotania. Nie potrafił mnie zrozumieć.

Ja sam siebie nie rozumiałem. Powiedziałem. - Nie wiem... Chociaż nie, ja wiem. Kiedyś ci wytłumaczę.

- Nigdy nie będziesz miał okazji, by to wytłumaczyć - odpowiedział posępnie.

Zabrałem suche pantofle i ubranie, powiedziałem mu dobranoc i wyszedłem.

Rozdział VII

W moim pokoju nikt na mnie nie czekał. Drzwi od korytarza otworzyłem podrobionym kluczem, który otrzymałem od Jablonsky'ego, prawie bezszmerowo rozwarłem je na oścież i wśliznąłem się do środka. Nikt mi głowy nie rozwalił. Pokój był pusty.

Ciężkie story ciągle jeszcze były zasunięte, tak jak je pozostawiłem wychodząc, ale przełącznika światła wolałem nie ruszać. Nie mogłem wykluczyć możliwości, że nie wiedzieli o tym, że tej nocy opuściłem pokój, ale gdyby ktoś dostrzegł światło w pokoju człowieka przykutego za ręce do poręczy łóżka, w mgnieniu oka przybiegłby sprawdzić, co się dzieje. Tylko Jablonsky mógłby zapalić światło, ale Jablonsky już nie żył.

Latarką omiotłem każdy centymetr kwadratowy podłogi i ścian. Nie brakowało niczego, nic się nie zmieniło. Jeżeli ktoś tu wchodził, nie zostawił najmniejszych śladów swoich odwiedzin. Ale jeśli ktoś tu wchodził, trudno spodziewać się, że zostawiłby jakieś ślady.

Obok drzwi łączących moją sypialnię z pokojem Jablonsky'ego był wbudowany w ścianę wielki kaloryfer. Włączyłem go na pełny regulator, rozebrałem się w jego czerwonym blasku, ręcznikiem wytarłem się do sucha, a spodnie i marynarkę rozwiesiłem na poręczy krzesła, żeby wyschły. Naciągnąłem pożyczoną od Kennedy'ego bieliznę i skarpetki, moją własną przemoczoną bieliznę i skarpetki wepchnąłem do mokrych butów, odsłoniłem story, otworzyłem okno i cisnąłem je, jak mogłem najdalej w okalające dom gęste poszycie, gdzie już uprzednio, nim wdrapałem się na drabinkę przeciwpożarową, ukryłem olejówkę i płaszcz. Nadstawiłem uszu, ale nie zdołałem dosłyszeć nawet odgłosu upadku butów na ziemię. Byłem więc praktycznie pewny, że nikt inny także nic dosłyszeć nie mógł. Zawodzenie wichru i bębnienie ulewnego deszczu skutecznie tłumili każdy hałas.

Wyjąłem klucze z kieszeni marynarki, która już zaczęła parować, i podszedłem do drzwi prowadzących do pokoju Jablonsky'ego. Może tam czekał na mnie komitet powitalny? Było mi wszystko jedno.

Ale żadnego komitetu nie zastałem. Pokój był równie pusty jak mój. Poszedłem do drzwi prowadzących na korytarz i nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Jak się spodziewałem, łóżko było rozścielone. Prześcieradła i koce ściągnięte, pościel leżała na podłodze. Nie zauważyłem żadnych śladów walki. Nie było nawet śladów przemocy, przynajmniej dopóty, dopóki nie odwróciłem poduszki.

Była w opłakanym stanie, ale musiałyby wyglądać bez porównania gorzej, gdyby śmierć nie nastąpiła błyskawicznie. Pocisk na pewno przebił czaszkę na wylot, czego trudno byłoby wymagać

od kalibru 0,22, ale nie należy zapominać, że pan Royale posługiwał się wielce wymyślną amunicją. Łuskę znalazłem w pierzu w poduszce. Płaszcz ze stopu miedzi i niklu. Taka beztroška zupełnie do Royale'a nie pasowała. Postanowiłem dopilnować tego odłamka metalu, hołubić go jak brylant najczystszej wody. W szufladzie znalazłem kawałek plastra, ściągnąłem skarpetkę, przykleiłem wystrzeloną łuskę między drugim a trzecim palcem u nogi, w miejscu, gdzie nie działa na nią żaden bezpośredni ucisk, a jednocześnie nie uwiera przy chodzeniu. Tam będzie bezpieczna. Przy najbardziej drobiazgowej i skrupulatnej rewizji - gdyby miało do tego dojść - tam jej nie wykryją. Houdini lata całe chodził z cieniutkimi stalowymi narzędziami przyklejonymi plastrem do podeszew nóg, a nikomu nie przyszło do głowy tam właśnie ich szukać.

Na czworakach przeciągnąłem latarką po dywan, z ukosa wodząc wzrokiem w ślad za snopem światła. Nie był to dywan najwyższej klasy, ale dostatecznie miękki, aby dwie równoległe wyżłobione koleiny w miejscu, gdzie Jablonsky'ego wleczono, nie pozostawiały ani cienia wątpliwości. Wstałem, jeszcze raz przeszukałem łóżko, uniosłem poduszczkę leżącą na fotelu i z kolei jej się przyjrzałem. Nie mogłem dojrzeć niczego, ale kiedy schyliłem głowę i powąchałem ją, nabrałem absolutnej pewności: ostry zapach spalonego prochu całymi dniami tkwi w materiale.

Podszedłem do stojącego w kącie stolika, nalałem do szklanki solidną porcję whisky i usiadłem, próbując odtworzyć przebieg wypadków.

Cały układ wydawał się zupełnie bez sensu. Nic nie chciało zaskoczyć, nic nie pasowało. W jaki sposób Royale i ci, którzy mu w tym pomagali - bo nikt nie dałby rady sam wynieść Jablonsky'ego - zdołali wejść do tego pokoju? Jablonsky czuł się w tym domu równie bezpieczny jak zaginione jagnię wśród stada wygłodniałych wilków, musiał więc zamknąć drzwi na klucz. Oczywiście, ktoś inny mógł mieć klucz od tych drzwi, ale rzecz w tym, że Jablonsky swój klucz nieodmiennie pozostawiał w zamku i to pod takim kątem, że nie sposób go było ani wypchnąć, ani przekręcić z drugiej strony - chyba że użyto siły i zrobiono przy tym taki hałas, który wyrwałby go nawet z głębokiego snu.

Jablonsky'ego zastrzelono, kiedy spał w łóżku. Jablonsky miał piżamę i korzystał z niej, ale tam w ogrodzie był kompletnie ubrany. Po co się ubierał? Wszystko to nie miało sensu, a tym bardziej nie miało sensu ubieranie nieboszczyka, ważącego prawie sto dwadzieścia kilogramów. A dlaczego pistoletu nie wyposażono w tłumik? Byłem pewny, że tłumika nie było: tłumik tak bardzo zmniejsza siłę przebiecia, że nawet pocisk specjalny nie byłby w stanie dwukrotnie przedziurawić kości czaszki. Morderca posłużył się zresztą poduszką, żeby stłumić huk strzału. To było w pewnym sensie zrozumiałe: nasze pokoje znajdowały się w najdalszym skrzydle domu, więc wszystko przemawiało za tym, że dzięki poduszce i pod osłoną nasilającej się burzy nikt w pozostałych częściach domu wystrzału nie usłyszy. Ale rzecz w tym, że ja miałem znajdować się

tuż za drzwiami, musiałem więc słyszeć, chyba że byłbym głuchy i nieżywy, a o ile Royale'owi było wiadomo - przynajmniej ja sądziłem, że Royale'owi było wiadomo - spałem w przyległym pokoju. A może Royale wiedział, że mnie w pokoju nie było? Może wszedł, żeby dokonać szybkiej lustracji, przekonał się, że zniknąłem, domyślił się, że tylko Jablonsky mógł mi ucieczkę umożliwić, więc od ręki Jablonsky'ego zastrzelił? To by pasowało do faktów, ale nie pasowało do uśmiechu na twarzy denata.

Poszedłem z powrotem do mojego pokoju, przesunąłem krzesło z parującym ubraniem na poręcz przed elektryczny kaloryfer, a potem wróciłem do sypialni Jablonsky'ego. Znow uniosłem szklankę i rzuciłem okiem na butelkę whisky. Półlitrowa butelka była ciągle jeszcze w trzech czwartych pełna. To mi nic nie dawało, brakująca ilość nie mogłaby nawet w najmniejszym stopniu przytępić wyostrzonej jak brzytwa czujności Jablonsky'ego. Widziałem kiedyś, jak Jablonsky w ciągu wieczora pochłonął całą butelkę rumu - nigdy nie był entuzjastą whisky - a jedynym widocznym efektem było to, że śmiał się więcej nawet niż zazwyczaj.

Ale już nigdy się więcej nie roześmieje.

Siedząc tak w zupełnej niemal ciemności, rozjaśnionej odbłaskiem elektrycznego piecyka w sąsiednim pokoju, uniosłem szklankę. Toast, pożegnanie, nie wiem zresztą, jak to nazwać. Za Jablonsky'ego. Sącyłem alkohol powoli, smakując whisky na języku, żeby w pełni napawać się bogatym bukietem i smakiem pierwszorzędnej starej szkockiej; przez dwie albo trzy minuty siedziałem naprawdę bardzo spokojnie, a potem odstawiłem szklankę, wstałem, szybko poszedłem w kąt pokoju, wyplułem wódkę do zlewu i bardzo, ale to bardzo starannie przepłukałem usta.

To Vyland dostarczył whisky. Kiedy Jablonsky zademonstrował mnie zeszłego wieczoru wszystkim zgromadzonym na parterze, Vyland dał mu zalakowaną butelkę whisky i szklanki, żeby je zabrał ze sobą do pokoju. Jak tylko znaleźliśmy się na górze, Jablonsky nalał nam obu do szklanek, a ja już nawet trzymałem moją szklankę w ręku, ale sobie przypomniałem, że nierozsądnie jest pić alkohol, jeśli ma się oddychać tlenem podczas głębokiego nurkowania. Jablonsky wypił więc z obu szklanek, a po moim wyjściu może jeszcze ze dwie.

Royale i jego przyjaciele nie musieli więc wcale rąbać drzwi do pokoju Jablonsky'ego toporami, dysponowali bowiem kluczem, ale gdyby nawet zaszła konieczność użycia topora, Jablonsky nic by nie usłyszał. W tej butelce whisky była wystarczająca ilość środka nasennego, by uspić słonia. Przypuszczalnie, nim go całkowicie zamroczyło, zdołał jeszcze z trudem dowlec się do łóżka. Wiedziałem, że to głupie, ale stałem tak w milczącej ciemności i robiłem sobie wyrzuty, że się wtedy nie napiłem: to była bardzo delikatna mieszanka kropli usypiających i szkockiej whisky, ale myślę, że poznałbym się na tym od razu. Jablonsky natomiast nie należał do amatorów whisky, może więc mu się zdawało, że szkocka powinna mieć taki właśnie smak.

A Royale, rzecz jasna, znalazł dwie szklanki z nie dopitą whisky, co znaczyło, że jestem tak samo nieprzytomny jak Jablonsky. A więc w ich planach nie leżało zamordowanie mnie także.

Teraz zrozumiałem już wszystko, wszystko z wyjątkiem jednego, co miało zresztą decydujące znaczenie: dlaczego zamordowano Jablonsky'ego? Nie miałem nawet najmniejszego pojęcia. A czy zadali sobie trud, żeby zajrzeć do mojego pokoju i sprawdzić, co ze mną? Nie przypuszczałem. Ale nie dałbym za to dwóch groszy.

Nie miało najmniejszego sensu siedzieć tu i rozmyślać o tym, co się stało, a mimo to siedziałem i rozmyślałem ładnie parę godzin. W ciągu tego czasu moje ubranie przeszło przynajmniej na tyle, że mogło uchodzić za suche. Spodnie były wymięte i pomarszczone jak nogi słonia, ale ostatecznie nie można oczekiwać nieskazitelnego kantu w stroju człowieka, który musi spać w ubraniu. Ubrałem się więc, tylko nie włożyłem marynarki i krawata. Otworzyłem okno i właśnie miałem wyrzucić trzy podrobione klucze od pokoju i kluczyk od kajdanek w to samo miejsce, gdzie na dole, wśród krzaków, leżała reszta moich ciuchów, kiedy usłyszałem leciutkie pukanie do drzwi pokoju Jablonsky'ego.

Skoczyłem jak oparzony, a później zamarłem. Zdawałoby się, że właśnie wtedy powinienem był wyteńczyć wszystkie swoje myśli, ale prawdę mówiąc po wszystkich przejściach tej nocy i po ostatnich dwóch godzinach bezowocnego, jałowego myślenia mój umysł nie tylko nie nadawał się do żadnej wścieklej pracy, ale nawet do funkcjonowania w żółwym tempie. Po prostu tkwiłem w miejscu. Żona Lota to przy mnie hetka. Przez całą wieczność, trwającą chyba z dziesięć sekund, nie przyszła mi do głowy żadna inteligentna myśl, a tylko impuls, jeden jedyny, nieodparty impuls. Uciekać! Tylko że nie miałem dokąd uciekać.

Był to Royale, cichy, opanowany, śmiertelnie niebezpieczny człowiek z małym pistolecikiem. Cekał pod drzwiami ze swoim małym pistoletem w rękę. Wiedział, że wychodziłem z domu, to było jasne. Sam to sprawdził. I wiedział, że wrócę, bo wiedział, że byłem z Jablonskim w zмовie i że nie miałbym się tak desperackich czynów, żeby dostać się do tego domu po to tylko, by przy pierwszej nadarżającej się okazji dać nogę. Domyślił się nawet, że wrócę o tej właśnie porze. Może nawet widział, jak wracałem? Ale w takim razie, po co tak długo zwlekał?

Na to pytanie mogłem się domyślać odpowiedzi. Wiedział, że po powrocie będę spodziewał się zastać Jablonsky'ego na miejscu. Doszedł więc do wniosku, że sobie pomyślę, iż Jablonsky wypuścił się na jakąś prywatną wyprawę, a ponieważ po powrocie na pewno drzwi zamknąłem i klucz zostawiłem w zamku, Jablonsky nie będzie mógł drzwi otworzyć własnym kluczem. Będzie więc musiał pukać. Leciutko. A po dwóch godzinach czekania na powrót mojego współnika będę tak przerażony jego przeciągającą się nieobecnością, że na odgłos pukania natychmiast rzucę się do

drzwi. Wtedy Royale i mnie wpakuje między oczy pocisk w płaszczu ze stopu miedzi i niklu. Jeśli bowiem wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że Jablonsky i ja pracujemy razem, wiedzieli także, że w żadnym wypadku nie zrobię dla nich tego, czego ode mnie wymagają, a więc nie będę im do niczego przydatny. I stąd kulka między oczy. Tak samo jak Jablonsky.

Kiedy pomyślałem o nim, przypomniałem sobie, że leży wciśnięty w skromną skrzynię do pakowania, i przestałem się czegokolwiek bać. Nie widziałem dla siebie dużych szans, ale przestałem się bać. Na koniuszkach palców przeszedłem przez pokój Jablonsky'ego, dłonią ująłem szyjkę butelki whisky, równie cicho wróciłem do swojego pokoju i wsunąłem klucz w drzwi wychodzące na korytarz. Zasuwa odskoczyła bez najmniejszego nawet trzasku, a w tej samej chwili rozległo się ponowne pukanie, tym razem nieco głośniejsze i bardziej natarczywe. Korzystając z hałasu uchyliłem szparę w drzwiach, podniosłem butelkę do góry, gotów ją cisnąć, i wysunąłem głowę za framugę drzwi.

Korytarz był słabo oświetlony nocną lampką w przeciwległym końcu, ale to mi wystarczyło w zupełności. Okazało się, że osoba, która znajduje się w korytarzu, nie ma broni. Że to wcale nie jest Royale, tylko Mary Ruthven. Opuściłem butelkę whisky i delikatnie cofnąłem się do swojego pokoju.

W pięć sekund później stałem pod drzwiami pokoju Jablonsky'ego, starając się najwierniej naśladować niski, ochryply głos Jablonsky'ego: - Kto tam?

- Mary Ruthven. Proszę mnie wpuścić. Szybko! Proszę!

Wpuściłem ją. Szybko. Podobnie jak ona, i ja nie miałem najmniejszej ochoty, żeby ją ktoś w tym korytarzu zobaczył. Przytrzymałem drzwi, kiedy wchodziła, potem, nim jeszcze zdołała mnie rozpoznać w bladym świetle przesączającym się z zewnątrz, szybko je zamknąłem.

- Panie Jablonsky! - Jej głos przypominał szybki, nagły, zdyszany, przerażony szept. - Musiałam się z panem zobaczyć. Po prostu musiałam. Myślałam, że nigdy nie uda mi się wymknąć, ale Gunther zasnął, choć może się w każdej chwili obudzić, a wtedy zobaczy, że ja...

- Spokojnie, spokojnie - powiedziałem. Zniżyłem głos do szeptu, bo tak łatwiej mi było naśladować głos Jablonsky'ego, ale było to chyba jedno z najgorszych naśladownictw, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć. - Po co pani do mnie przyszła?

- Bo nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić. Pan nie jest mordercą, nie jest pan nawet przestępcą, nic mnie to nie obchodzi, co mówią o pańskiej przeszłości, ale nie jest pan człowiekiem złym. - Bystra była, to jasne, jej kobiece przecucie albo intuicja, czy jak to się nazywa, zaprowadziły ją znacznie dalej, niż obejmowało pole widzenia zarówno Vylanda, jak i generała. - Musi mi pan pomóc, nam pomóc... po prostu musi pan. My... grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

- My?

- Tatus i ja. - Przerwa. - Mówię szczerze, ja nic nie wiem o moim ojcu, słowo daję, że nie wiem. Może jemu nic nie grozi. Może współpracuje z tymi... z tymi złoczyńcami z własnej, nieprzymuszonej woli. On wyjeżdża i przyjeżdża, jak mu się żywnie podoba. Ale... to takie do niego niepodobne. Może musi z nimi współpracować? Nie wiem, sama nie wiem. Może mają nad nim jakąś władzę, jakąś straszną groźbę, może... - potrząsnęła głową, a ja dostrzegłem odbłask jej włosów. - On... no więc, on był zawsze taki dobry i honorowy, i uczciwy, i... i w ogóle, a teraz...

- Spokojnie - przerwałem po raz wtóry. Długo nie mogłem tej maskarady utrzymywać, gdyby nie była taka wystraszona, taka zaniepokojona, sama zorientowałaby się natychmiast. - Fakty, panienko, jeśli łaska.

Zostawiłem w moim pokoju zapalony piecyk elektryczny, drzwi łączące obie sypialnie były otwarte, byłem więc pewny, że wkrótce mnie rozpozna na tyle, by wiedzieć, że nie jestem Jablonskym. Zdradzała mnie zresztą natychmiast moja ruda czupryna. Odwróciłem się plecami do piecyka.

- Od czego mam zacząć? - powiedziała. - Mam wrażenie, że straciliśmy, a przynajmniej tatuś zupełnie stracił swobodę ruchów. Nie mówię o swobodzie poruszania się, on nie jest więźniem, ale ostatnio nigdy sami nie podejmujemy decyzji, a raczej tatuś postanawia za mnie, a mnie się zdaje, że ktoś postanawia za niego. Nie pozwalają nam nigdy rozstać się na czas dłuższy. Tatuś mówi, że nie wolno mi pisać żadnych listów, jeśli on ich przedtem nie przejrzy, nie wolno mi telefonować, nigdzie wychodzić, chyba że jest przy mnie ten obrzydliwy Gunther. Nawet kiedy odwiedzam dom przyjaciół, na przykład u sędziego Mollisona, ta kreatura sterczy tam przez cały czas. Tatuś mówi, że ostatnio zasypują go groźbami, że porwą mnie. Ja w to nie wierzę, a gdyby to nawet było prawdą, Simon Kennedy, nasz szofer, jest znacznie lepszy od Gunthera. Nigdy nie mam ani chwili dla siebie samej. Kiedy przebywam na pływającej wyspie, na X 13, nie jestem więźniem, ale nie mogę stamtąd wyjechać, tu zaś okna mojego pokoju zamknięte są na stałe, a Gunther nocę spędza w przedpokoju i ciągle mi się przygląda...

Ostatnie trzy słowa długo, strasznie długo wydobywały się z jej ust, by wreszcie ustąpić miejsca milczeniu pełnemu zgorszenia. Była tak podniecona, tak szybko chciała wyrzucić z siebie te wszystkie sprawy, które od tygodni ją trapiły, że zbliżyła się do mnie. Tymczasem jej oczy przywykły już do ciemności. Zadrżała na całym ciele. Prawą dłoń uniosła do ust, jej ramię dygotało jak u kukielki, usta otworzyła szeroko, oczy rozszerzyły się, mogłem nawet dostrzec białka oczu, zakrywające niemal całe źrenice. A potem drząc zaczerpnęła głębokiego oddechu. Za moment zaczęła krzyczeć.

Ale nie krzyknęła. W moim fachu nie ma zwyczaju z góry, telegraficznie kogokolwiek uprzedzać. Nim jeszcze zdążyła się zdecydować, w jakiej tonacji zacznę śpiewać, już jedną dłonią zakryłem jej usta, a ciało otoczyłem ramieniem. Przez kilka sekund szamotała się z wściekłością i zaskakującą siłą - w podobnych okolicznościach właściwie może wcale nie tak zaskakującą - a potem zawisła na mnie, bezwolnie jak postrzelony królik. To mnie zaskoczyło, sądziłem, że czasy, kiedy młode niewiasty traciły przytomność w chwilach napięcia, przeminęły bez śladu jeszcze przed pierwszą wojną. Ale może nie doceniłem przerażającej reputacji, na jaką najwidoczniej zdołałem sobie zasłużyć, może też nie doceniłem narastania skutków wstrząsu, jaki przeżyła po długiej nocy zbierania odwagi, aby się zdobyć na podjęcie ostatniej, ryzykownej próby. Tak czy owak, nie udawała, naprawdę straciła przytomność. Wziąłem ją na ręce i przenieśliśmy na łóżko, a potem z jakichś niejasnych przyczyn poczułem głęboki niesmak, nie mogłem znieść myśli, że leży na tym samym łóżku, na którym tak niedawno zamordowano Jablonsky'ego. Przenieśliśmy ją więc na łóżko do mojej sypialni.

Otrzymałem solidne przeszkolenie w zakresie niesienia pierwszej pomocy, ale nie miałem zielonego pojęcia, jak się cuci zemdlone panienki. Odnosiłem niejasne wrażenie, że wszystko, co zrobię, może okazać się niebezpieczne. Doszedłem więc do wniosku, że najlepsze i jedyne wyjście to pozwolić jej samej otrząsnąć się z omdlenia. Ale nie chciałem, żeby odzyskała przytomność bez mojej wiedzy i próbowała ściągnąć mi na kark cały dom, więc siadłem na krawędzi łóżka i oświetlałem jej twarz latarką, trzymając ją tak, by snop światła nie padał jej na oczy i nie oślepił.

Miała na sobie niebieską jedwabną piżamę, a na niej niebieski, pikowany, jedwabny szlafrok. Ranne pantofle na wysokich obcasach także były niebieskie, nawet wstążka, którą na noc wiązała grube, lśniące warkocze, była dokładnie tego samego koloru. Twarz miała w tym momencie bladą, jak stara kość słoniowa. Nic na to nie poradzi, jej twarz nigdy nie będzie piękna, ale mnie się z kolei zdawało, że gdyby była piękna, moje serce nie zaczęłoby fikać koziołków - pierwszy raz od trzech długich, pustych lat, kiedy zaczęło zdradzać w ogóle jakieś oznaki życia, nie mówiąc już o takich ekstrawaganckich wybrykach. Krew jak gdyby spłynęła z jej twarzy i znów miałem przed oczyma kominek i miękkie pantofle, o jakich marzyłem dwa dni temu. Dzieliło nas zaledwie dwieście osiemdziesiąt pięć milionów dolarów oraz fakt, że ja byłem chyba jedynym mężczyzną w świecie, na którego widok z przerażenia traciła przytomność. Odpędziłem więc marzenia precz.

Poruszyła się i otworzyła oczy. Doszedłem do wniosku, że metoda, jaką zastosowałem wobec Kennedy'ego - mówiąc mu, że za moją latarką znajduje się wycelowana broń - w tym przypadku może przynieść jedynie skutki godne ubolewania. Złapałem ją więc za rękę, bezwładnie

zwisającą na kapie, pochyliłem się do przodu i powiedziałem cicho, z wyrzutem w głosie: - Mały, głupiutki dzieciaku, skąd ci przyszło do głowy, żeby robić takie niemądre numery?

Szczyście, instynkt, albo i jedno, i drugie razem, skierowały mnie na właściwą drogę. Oczy miała szeroko rozwarte, ale przestała wpatrywać się w przestrzeń, a strach, który ciągle z nich przeziarał, zmieszany był ze zdumieniem. Mordercy pewnego gatunku nie trzymają za rękę i nie przemawiają kojąco. Truciciele, owszem; ci, którzy wbijają nóż w plecy, być może; ale na pewno nie mordercy o mojej reputacji, amatora przemocy dla samej przemocy.

- Nie będziesz próbowała znów krzyzczeć, prawda'? - zapytałem.

- Nie - odpowiedziała chrapliwym głosem. - Ja... przepraszam. Byłam taka głupia...

- W porządku - szybko przerwałem. - Jeżeli czujesz się na siłach, porozmawiajmy. Musimy porozmawiać, a mamy bardzo mało czasu.

- Nie mógłby pan zapalić światła? - poprosiła.

- Żadnego światła. Przebija przez story. O tej porze nie życzymy sobie żadnych gości...

- Są okiennice - przerwała. - Drewniane okiennice. Na wszystkich oknach w całym domu.

Talbot-Sokole Oko - to ja! Cały dzień zmarnowałem na gapienie się w to okno, a nawet okiennic nie zauważyłem. Podniosłem się, zamknąłem drzwi od pokoju Jablonsky'ego i zapaliłem światło. Mary siedziała teraz na skraju łóżka ze splecionymi rękoma, jakby jej było zimno.

- Czuję się dotknięty - powiedziałem. - Tylko raz rzuciła pani okiem na Jablonsky'ego i natychmiast stwierdziła... albo tak się pani przynajmniej zdaje!... że nie jest przestępcą. Ale im dłużej pani mnie się przygląda, tym bardziej nabiera pani przeświadczenia, że jestem mordercą. - Ponieważ chciała się odezwać, uniosłem rękę w górę: - Wiem, wiem ma pani po temu powody. I to poważne. Tylko że nieprawdziwe. - Podciągnąłem nogawkę spodni i wystawiłem jej na pokaz stopę elegancko obutą w brązową skarpetkę i zupełnie gładki czarny półbucik. - Poznaje pani?

Popatrzyła na nie przez krótką chwilę, potem przeniosła wzrok na moją twarz: - Simona - powiedziała. - Należą do Simona.

- Pani szofera. - Nie bardzo mi przypadło do gustu to mówienie po imieniu. - Pożyczył mi je przed paroma godzinami. Z własnej, nieprzymuszonej woli. Potrzebowałem równych pięciu minut, żeby go przekonać, że nie jestem mordercą. Jest pani skłonna poświęcić mi tyle samo czasu?

Wolno, bez słowa, kiwnęła głową.

Nie zabrało mi to nawet trzech minut. Fakt, że Kennedy uznał, że jestem w porządku, oznaczał, przynajmniej z jej punktu widzenia, że bitwa była już z góry więcej niż w połowie wygrana. Ale opuściłem fragment o odnalezieniu Jablonsky'ego. Nie była przygotowana na tego rodzaju wstrząsy, przynajmniej na razie.

Kiedy skończyłem, powiedziała, prawie z niedowierzaniem: - Więc pan o nas cały czas wiedział? O tatusiu i o mnie, i o naszych kłopotach, i o...

- Wiedziałem o was od kilku miesięcy. Tyle tylko, że nic konkretnego o kłopotach pani i pani ojca, jakiegokolwiek by były: wiedzieliśmy tylko, że generał Blair Ruthven wplątał się w coś, w co generał Blair Ruthven nie miał prawa się wplątać. I proszę nie pytać, co to za "my" ani kim jestem, bo nie lubię odmawiać odpowiedzi na pytania, a zresztą to tylko dla pani dobra. Czego się obawia twój ojciec, Mary?

- Ja... nie wiem. Wiem, że boi się Royale'a, ale...

- Boi się Royale'a. Ja też się boję Royale'a. Wszyscy boimy się Royale'a. Mogę się założyć, że Vyland karmi generała mnóstwem opowieści o Royale'u, żeby tylko utrzymywać go w ciągłym strachu. Ale nie w tym rzecz. W każdym razie nie jest to najważniejsze. On się boi także o panią, ale mnie się wydaje, że te obawy narosły dopiero wtedy, kiedy się zorientował, w jakie wpadł towarzystwo. To znaczy, kim ci ludzie są naprawdę. Myślę, że przystąpił do tej sprawy z otwartymi oczyma i dla swoich własnych celów, nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy, co się tu dla niego kroi. Od jak dawna Vyland i pani ojciec są, nazwijmy to, współnikami w interesach?

Pomyślała chwilę, a potem powiedziała: - Na to mogę panu dokładnie odpowiedzieć. Zaczęło się to w końcu kwietnia zeszłego roku, kiedy spędzaliśmy wakacje na naszym jachcie "Temptress" w Indiach Zachodnich. Znajdowaliśmy się w Kingston na Jamajce, gdy tatuś dostał wiadomość od adwokatów mamusi, że wystąpiła o sądową separację. Może słyszał pan o tym - dodała tonem rozpacz. - W całej chyba Ameryce Północnej nie było gazety, która przemilczałaby tę historię, a niektóre przejawiały nawet szczególną złośliwość.

- Chodzi pani o to, że przedtem generał przedstawiany był jako wzorowy obywatel kraju, a jego małżeństwo jako przykładowe i wzorowe.

- Tak, coś w tym rodzaju. Rodzice stali się celem napaści całej brukowej prasy - wyjaśniła z goryczą. - Nie wiem, co się mamusi stało, zawsze było nam tak dobrze ze sobą, ale to tylko świadczy, że dzieci nigdy dokładnie nie wiedzą, jak się sprawy układają czy układały między rodzicami.

- Dzieci?

- Mówiłam ogólnie. - Sprawiała wrażenie znużonej, zrozpaczonej, przygnębionej i tak też wyglądała. Musiało tak być, bo inaczej nigdy by o takich sprawach nie rozmawiała z obcym człowiekiem. - Tak się zresztą składa, że jest jeszcze jedna dziewczyna, moja młodsza siostra, Jean... młodsza ode mnie o dziesięć lat. Tatuś dość późno się ożenił. Jean jest u matki. Wygląda zresztą na to, że zostanie z matką. Adwokaci ciągle jeszcze próbują dojść do porozumienia. Rozwodu, rzecz jasna, nie będzie - uśmiechnęła się beznamyślnie. - Pan, panie Talbot, nie zna

Ruthvenów z Nowej Anglii, ale gdyby ich pan znał, wiedziałby, że niektórych pojęć w ich słowniku wcale nie ma. Jak na przykład "rozwód"...

- A pani ojciec nigdy nie podejmował prób pojednania?

- Dwa razy jeździł, żeby się z mamą zobaczyć. Wszystko na nic. Ona nie... nawet nie chciała się ze mną zobaczyć. Wyjechała gdzieś, nikt nie wie gdzie, prócz tatusia. Kiedy się ma pieniądze, nie są to sprawy trudne do załatwienia. - Chyba właśnie wzmianka o pieniądzach skierowała jej myśli na nowe tory, bo kiedy znów zaczęła mówić, wyczułem w jej głosie te dwieście osiemdziesiąt pięć milionów, a w twarzy uwidoczniły się rysy przodków z "Mayflower". - Niezupełnie rozumiem, co pana, panie Talbot, obchodzą nasze prywatne sprawy rodzinne?

- Ja też nie rozumiem - przytaknąłem. Było to coś w rodzaju przeprosin. - Może ja też czytuję brukową prasę. Interesuje mnie tylko o tyle, o ile wiąże się z układem Vylanda. Więc to w tym właśnie momencie pojawił się on na widowni?

- Mniej więcej wtedy. Tydzień lub dwa później. Tatuś był bardzo przygnębiony, zdaje mi się, że skłonny był przyjąć każdą propozycję, która by jego uwagę oderwała od tych kłopotów, no i... no i...

- No i oczywiście jego zmysł krytyczny był przytłumiony. Choć wystarczyło obniżenie poziomu wymagań nawet o ułamek procenta, by nasz przyjaciel Vyland zdołał wcisnąć się mocno we frontowe drzwi. Od kształtu wąsów aż po sposób układania chusteczki w kieszonce marynarki Vyland jest ideałem dobrze prosperującego przemysłowca. Przeczytał wszystkie książki o Wall Street, od lat nie opuścił ani jednego seansu filmowego w sobotni wieczór, opanował do perfekcji wszystkie, najdrobniejsze nawet gierki. Przypuszczam, że Royale dopiero później pojawił się na widowni.

W milczeniu potaknęła głową. Robiła na mnie wrażenie dziewczyny bardzo bliskiej płaczu. Łzy mnie niekiedy wzruszają, ale nie wtedy, kiedy brak mi czasu. A teraz miałem tragicznie mało czasu. Zgasilem światło, podszedłem do okna, otworzyłem jedną okiennicę i wyjrzałem na dwór. Wiatr był silniejszy niż kiedykolwiek, deszcz zacinał o szyby, a woda spływała po oknach wąskimi, szybkimi strumieniami. Co ważniejsze, na wschodzie zaczynało się rozjaśniać, i nastawał szary świt. Odwróciłem się, zamknąłem okiennicę, a zapaliwszy światło, z góry spojrzałem na znużoną dziewczynę.

- Myśli pani, że będą dziś mogli wysłać śmigłowiec na X 13? - zapytałem.

- Śmigłowce mogą latać praktycznie przy każdej pogodzie. - Poruszyła się. - Kto mówi, że dziś zamierzają tam lecieć?

- Ja mówię - więcej nic nie wyjaśniałem. - A teraz może mi pani powie prawdę, po co przyszła się pani zobaczyć z Jablonskym?

- Powiedzieć prawdę...

- Mówiła pani, że ma miłą twarz. Może ma, może nie ma, ale jako uzasadnienie to bzdura.

- Rozumiem. Ale ja niczego nie ukrywam, daję słowo, że nie. Po prostu idzie tylko o to, że jestem taka... taka niespokojna. Podśledzałam na jego temat coś, co mi dało do myślenia...

- Mów do rzeczy - przerwałam brutalnie.

- Pan wie, że biblioteka jest na podsłuchu. To znaczy, że oni mają włączoną aparaturę podsłuchową, dzięki której mogą...

- Słyszałem o czymś takim - wyjaśniałem cierpliwie. - Nie trzeba mi tego rysować.

Na jej bladych policzkach wykwitł rumieniec. - Przepraszam. No więc byłam w pokoju przylegającym do kancelarii, tam gdzie są słuchawki, i sama nie wiem dlaczego, nagle je włączyłam. - Uśmiechnąłem się drwiąco: spodobała mi się myśl o tym, kto pod kim dołki kopie... - W bibliotece był Vyland i Royale. Rozmawiali o Jablonskim.

Teraz już przestałem się uśmiechać.

- Oni go śledzili tego ranka, kiedy pojechał do Marble Springs. Rzekomo wszedł do składu z żelastwem, po co, nie wiedzieli... - Tę lukę mogłem sam wypełnić: poszedł kupić linkę, dorobić dodatkowe klucze i załatwić całe mnóstwo telefonów. - Ponoć spędził tam pół godziny, a wtedy ten, który go śledził, wszedł za nim do środka. Jablonsky wyszedł, ale jego "cień" nie. Zaginął... - uśmiechnęła się blado. - Wygląda na to, że Jablonsky musiał go załatwić.

Ja się nie uśmiechałem. Zapytałem spokojnie: - Skąd o tym wiedzieli? Przecież "cień" nie wrócił, prawda?

- Posłali za Jablonskim aż trzech ludzi. Dwóch pozostałych nie rozpoznał.

Zmęczony, kiwnąłem głową: - I co potem?

- Jablonsky wszedł na pocztę. Sama go widziałam, kiedyśmy, tatuś i ja, jechali na policję, żeby opowiedziała - tego ode mnie żądał tatuś - o tym, jak mnie pan porzucił, a ja autostopem wróciłam do domu. No więc, okazuje się, że Jablonsky wziął plik formularzy telegraficznych, zamknął się w budce i nadał jakąś depezę. Jeden z ludzi Vylanda czekał, aż wyjdzie, potem z tej samej sterty zabrał górny formularz, ten, znajdujący się bezpośrednio pod kartką, na której pisał Jablonsky, i przyniósł go do domu. Z tego, co udało mi się usłyszeć, Vyland to rozpracował za pomocą jakiegoś proszku i lamp.

No tak, nawet Jablonsky'emu mogła powinąć się noga! Ale i ja na jego miejscu zrobiłbym to samo. Dokładnie to samo.

Założyłbym, że skoro pozbyłem się "cienia", na tym koniec sprawy. Vyland był sprytniejszy, łatwo mógł się okazać dla mnie za sprytny. Zapytałem dziewczynę: - Słyszała pani coś więcej?

- Trochę, niewiele. Domyśliłam się, że udało im się odczytać większość tego, co było na formularzu, ale nie potrafili zrozumieć tekstu. Zdaje się, że to było pisane szyfrem. - Urwała, zwilżyła wargi, potem z powagą ciągnęła dalej: - Ale adres, oczywiście, nie był zaszyfrowany.

- Oczywiście. - Przeszedłem przez pokój i przyjrzałem się jej. Znałem odpowiedź na moje następne pytanie, ale musiałem je zadać: - Co to był za adres?

- Niejaki pan J.C.Curtin, Federalne Biuro Śledcze. Dlatego... dlatego właśnie przyszedłem. Wiedziałam, że muszę ostrzec pana Jablonsky'ego. Nic więcej nie słyszałam, ktoś szedł korytarzem, więc wymknęłam się bocznymi drzwiami, ale zdaje się, że grozi mu niebezpieczeństwo. Panie Talbot, zdaje mi się, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Od kwadransa szukałem sposobu łagodnego przekazania jej tej wiadomości, ale teraz dałem za wygraną.

- Spóźniła się pani. - Wcale nie chciałem, żeby mój głos zabrzmiał szorstko i oschle, ale tak właśnie wypadło. - Jablonsky nie żyje. Zamordowano go.

`cp2

Przyszli po mnie następnego ranka o ósmej. Royale i Valentino.

Byłem całkowicie ubrany, tylko bez marynarki, i przykuty jedną parą kajdanek do poręczy łóżka. Kluczyk wyrzuciłem razem z trzema podrobionymi kluczykami Jablonsky'ego, uprzednio skrupulatnie zamknąwszy wszystkie drzwi.

Nie było powodu, dla którego mieliby mnie rewidować, toteż modliłem się żarliwie, jak nigdy przedtem, żeby tego nie robili. Kiedy Mary wyszła zapłakana, zagubiona, niechętnie przyrzekłszy, że ani słowa o tym, co zaszło, nie powtórzy nikomu, nawet rodzonemu ojcu, siadłem i zacząłem myśleć. Do tej pory cała moja praca myślowa jak gdyby kręciła się w kółko, popadłem już w taką rutynę, że praktycznie przestawałem dostrzegać przed sobą światła. Ale właśnie w chwili, gdy zanosilo się na to, że moje procesy myślowe całkowicie zatoną w mroku, doznałem pierwszego przeblysku olśnienia. Ponury mrok mojego umysłu rozdarło oślepiające jasne przecucie lub przyływ zdrowego rozsądku, po raz pierwszy od chwili gdy przekroczyłem próg tego domu. Zastanawiałem się nad tym przez dalsze pół godziny, potem wyciągnąłem kartkę cienkiego papieru, po jednej stronie napisałem obszerny list, złożyłem kartkę dwukrotnie, tak by liczyła zaledwie pięć centymetrów szerokości, zakleiłem ją taśmą i zaadresowałem do sędziego Mollisona na jego domowy adres. Złożyłem kartkę jeszcze raz na pół, wsunąłem z tyłu na szyi pod krawat i opuściłem kołnierzyk, tak że była zupełnie niewidoczna. Kiedy po mnie przyszli, od niespełna godziny leżałem w łóżku, ale nie spałem w ogóle.

Udawałem, że mocno śpię. Ktoś mnie brutalnie potrząsnął za ramię. Nie zwróciłem na to uwagi. Potrząsnął mnie jeszcze raz. Poruszyłem się. Dał sobie spokój z potrząsaniem, uznawszy, że ta metoda nie da rezultatów, i wcale nie łagodnie trzepnął mnie wierzchem dłoni po twarzy. Co za dużo, to niezdrowo. Jęknąłem, boleśnie zamrugalem oczyma i uniosłem się na łóżku, wolną ręką pocierając czoło.

- Podnoś się, Talbot! - Jeśli pominąć lewą górną część twarzy, w miniaturze przypominającą zachód słońca oglądany przez sinoniebieską mgłę, Royale sprawiał wrażenie spokojnego i zrównoważonego jak zawsze, a na domiar w pełni wypoczętego: jeszcze jeden trup na sumieniu nie spędzał mu snu z powiek. Z przyjemnością zauważyłem, że Valentino nosi rękę na temblaku: dzięki temu będę miał ułatwione zadanie przekształcenia go w straż przyboczną w stanie spoczynku.

- Podnoś się - powtórzył Royale. - Jak to się stało, że masz tylko pojedyncze kajdanki?

- Czego? - potrząsnąłem głową w jedną i drugą stronę, z zapalem grając rolę oszołomionego i na wpół odurzonego. - Co, do jasnej cholery, jadłem wczoraj na kolację?

- Kolację? - Royale uśmiechnął się charakterystycznym dla siebie bladym i spokojnym uśmiechem. - Ty z twoim klawiszem do spółki osuszyliście pełną flaszkę. To właśnie była twoja kolacja.

Wolno pokiwałem głową. Tu on się poruszał po bezpiecznym terenie, o tyle, o ile ten teren w ogóle znał: jeśli zostałem odurzony, mogłem mieć tylko najbardziej mgliste wspomnienie o tym, co się działo na krótko przedtem, nim straciłem przytomność. Zrobiłem grymas w jego kierunku i głową wskazałem kajdanki: - Może byś otworzył to cholerstwo, co?

- Dlaczego tylko pojedyncze kajdanki? - Royale łagodnie powtórzył pytanie.

- Co za różnica, czy jeden łańcuszek, czy dwadzieścia? - odpowiedziałem z rozdrażnieniem.

- Nie pamiętam. Coś mi się wydaje, że Jablonsky wepchnął mnie tu w wielkim pośpiechu i znalazł tylko jedną parę. Może i on czuł się nie najlepiej. - Ukryłem twarz w dłoniach i pociągnąłem je z całych sił w dół, jak gdyby chcąc przywrócić jasność głowie i oczom. Przez palce dostrzegłem, że Royale wolno skinął głową na znak zrozumienia, i teraz już wiedziałem, że mi się udało: Jablonsky tak właśnie byłby postąpił. Poczulby, że coś się z nim dzieje niedobrego i pospieszyłby się, aby mnie przywiązać, nim jeszcze straci przytomność.

Zdjęto mi kajdanki. Kiedy przechodziliśmy przez pokój Jablonsky'ego, od niechcenia zerknąłem na stół. Butelka po whisky jeszcze tam stała. Pusta. Royale albo Vyland nie zapomnieli o niczym.

Przeszliśmy do korytarza. Royale prowadził, Valentino zamykał pochód. Nagle zwolniłem kroku, a Valentino wyrznął mnie pistoletem w same krzyże. Valentino nigdy nie nauczył się

niczego robić łagodnie, ale jak na niego był to względnie łagodny sposób dodania mi bodźca, a mój przejmujący okrzyk bólu byłby uzasadniony, gdyby mnie rąbnął dziesięć razy mocniej. Stałem jak wryty, Valentino nadział się na mnie, a Royale odwrócił się na pięcie. Znow wykonał swoją magiczną sztuczkę, a jego śmiercionośny malutki pistolet-zabawka błogo spoczywał w dłoni.

- Co się dzieje? - zapytał oschle. Żadnego akcentowania słów, najmniejszego nawet podniesienia głosu... Miałem nadzieję, że dożyję dnia, kiedy Royale będzie zdenerwowany.

- Właśnie to się dzieje - odpowiedziałem sztywno. - Trzymaj swoją tresowaną małpę z dala ode mnie, Royale, bo inaczej rozłożę ci go na czynniki pierwsze. Bez względu na wasze pistolety.

- Odczep się od niego, Gunther - spokojnie powiedział Royale.

- Chryste, szefie, ja go prawie nie tknąłem. - Z uwagi na brwi małpoluda; złamany nos, dzioby i szramy na twarzy, oblicze Valentina nie pozostawiało wiele miejsca na grymasy i miny, ale nawet ta skromna, odkryta powierzchnia zdradzała zdumienie i ostre poczucie niesprawiedliwości. - Ja go tylko lekko puknąłem...

- Wiem, wiem - Royale już się odwrócił i szedł dalej. - Odczep się od niego i tyle.

Royale pierwszy doszedł do schodów, a kiedy ja się tam znalazłem, zdążył już zejść z kilku stopni. Znow nagle przyhamowałem, znow Valentino zderzył się ze mną. Odwróciłem się, rąbnąłem krawędzią dłoni w nadgarstek ręki trzymającej pistolet i wybiłem mu broń na ziemię. Valentino rzucił się, żeby ją podnieść lewą ręką, a potem zawył z wściekłości, bo noskiem buta z całych sił nadepnąłem i zmiażdżyłem mu palce o metal. Nie słyszałem chrzęstu łamanych kości, ale takie drastyczne środki wcale nie były konieczne - skoro utracił panowanie nad obiema rękami, Mary Ruthven będzie potrzebowała nowego osobistego opiekuna.

Nie próbowałem schylać się ani podnieść pistoletu. Nie poruszyłem się nawet. Słyszałem, jak Royale wolno wraca pod górę.

- Odsuńcie się od tego pistoletu - rozkazał. - Jeden i drugi.

Odsunęliśmy się. Royale podniósł broń, stanął z boku i kiwnął na mnie, żebym pierwszy schodził po schodach. Nie umiałbym powiedzieć, co sobie myślał; minę miał taką, że z równym powodzeniem mógł przyglądać się spadającym z drzew liściom. Nie odezwał się więcej i nawet nie zadał sobie trudu obejrzenia ręki Valentina.

Pozostali czekali na nas w bibliotece: generał, Vyland i Larry narkoman. Generał, jak zwykle, ukrywał myśli pod wąsami i brodą, ale oczy miał z lekka przekrwione i zdawało się, że w ciągu tych trzydziestu sześciu godzin jeszcze bardziej posiwiiał: może tak mi się tylko wydawało, zresztą wszystko tego ranka wydawało mi się gorsze. Vyland był elegancki i gładki, uśmiechnięty i twardy jak zawsze, świeżo ogolony, w pięknie skrojonym ciemnoszarym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie. Wyglądał jak marzenie. Larry natomiast prezentował się po prostu jak Larry:

blada twarz, wytrzeszczone oczy narkomana; kręcił się tam i z powrotem za biurkiem, ale nie robił wrażenia tak nerwowego jak zwykle. On też się uśmiechał, więc doszedłem do wniosku, że musiał być po dobrym śniadaniu, złożonym głównie z heroiny.

- Dzień dobry, Talbot. - To odezwał się Vyland; w naszych czasach wielkim zbrodniarzom uprzejmość przychodzi równie łatwo, jak opryskliwe warczenie i walenie po łbie, a lepiej popłaca. - Royale, co to były za hałasy?

- Gunther - Royal obojętnie skinął na Valentina, który właśnie wchodził z lewą ręką ciasno wtuloną pod unieruchomione prawe ramię i pojękiwał z bólu. - Zbyt ostro docinał Talbotowi, a Talbot tego bardzo nie lubi.

- Wynoś się stąd z tym jęczeniem! - oschle powiedział Vyland. Prawdziwy dobry samarytanin! - A ty, Talbot, czujesz się dziś rano energiczny i rozgniewany, co? - Tym razem nie próbował już nawet udawać, że generał jest szefem, albo nawet, że ma równy głos w decydowaniu o tym, co się dzieje w jego własnym domu: Ruthven po prostu stał spokojnie na dalszym planie, obojętny i wyniosły, w pewnym sensie nawet tragiczny. Ale niewykluczone, że ten tragizm był tylko wytworem mojej wyobraźni: mogłem generała odczytywać zupełnie błędnie. Mogłem się straszliwie mylić, jeśli o niego chodzi. Wręcz zabójczo się mylić.

- Gdzie jest Jablonsky? - zapytałem.

- Jablonsky? - Vyland leniwie uniósł brew: żaden amant filmowy lepiej by tego nie zrobił! - Co ciebie obchodzi Jablonsky, Talbot?

- Mój klawisz - odpowiedziałem zwięźle. - Gdzie jest?

- Coś mi się zdaje, że za wiele chciałbyś wiedzieć, Talbot! - obrzucił mnie długim, taksującym spojrzeniem, co mi się wcale nie podobało. - Gdzieś już ciebie widziałem, Talbot. Generał także. Chciałbym sobie uświadomić, kogo mi przypominasz.

- Kaczora Donalda. - Teren był teraz najeżony niebezpieczeństwami. - Gdzie on jest?

- Wyjechał. Zwiął. Z siedemdziesięcioma tysiącami dolarów.

"Zwiął" - to było potknięcie, ale nie zwróciłem na nie uwagi. - Gdzie on jest?

- Zaczynasz się powtarzać i nudzić, przyjacielu. - Pstryknął palcami: - Larry, depesze.

Larry zebrał z biurka jakieś papiery, wręczył je Vylandowi, drwiąco uśmiechnął się do mnie i znów zaczął krążyć po pokoju.

- Generał i ja jesteśmy ludźmi bardzo ostrożnymi, Talbot - ciągnął dalej Vyland. - Ktoś mógłby nawet powiedzieć: "podejrzliwymi". To na jedno wychodzi. Sprawdziliśmy ciebie. Sprawdziliśmy w Anglii, w Holandii i w Wenezueli. Pomachał papierami: - Te nadeszły dziś rano. Powiadają, że jesteś tym, za kogo się podajesz, jednym z najwybitniejszych w Europie specjalistów w dziedzinie ratownictwa okrętowego i poszukiwań podwodnych. No więc, możemy bez przeszkód

skorzystać z twoich usług. No więc, Jablonsky nie jest nam już więcej potrzebny. Dziś rano pozwoliliśmy mu wyjechać. Razem z czekiem. Powiedział, że ma ochotę odbyć wycieczkę po Europie.

Vyland mówił spokojnie, przekonywająco, absolutnie szczerze i mógłby nawet świętego Piotra przekonać, żeby go wpuścił do nieba. Przybrałem taki wyraz twarzy, jaki w moim przekonaniu mógł mieć święty Piotr, gdyby się dał przekonać, a potem powiedziałem mnóstwo rzeczy, których święty Piotr na pewno by nie powiedział, i zakończyłem warknięciem: Parszywy kłamca i oszust!

- Jablonsky? - znów ta filmowa sztuczka z podnoszeniem brwi.

- Tak, Jablonsky. I pomyśleć, że ja usłuchałem tego kłamcy i zdrajcy! Nie trzeba było go słuchać, szkoda było każdej chwili! A przecież obiecał mi...

- No więc, co ci obiecał? - miękko zapytał Vyland.

- Teraz to już nieważne - warknąłem. - Myślałem, że wy mnie tu robicie w konia... i myślałem, że zarzuty, z powodu których wyrzucono go z nowojorskiej policji, były spreparowane. Zdaje mu się... albo przynajmniej mówił, że mu się zdaje... że potrafi to udowodnić, jeżeli tylko mu pozwolą przeprowadzić dochodzenia w sprawie kilku policjantów i umożliwią dostęp do niektórych kartotek policyjnych. - Zakląłem ponownie. I pomyśleć, że ja uwierzyłem...

- Odchodzisz od tematu, Talbot - raptownie przerwał mi Vyland. Teraz przyglądał mi się naprawdę bardzo badawczo. - Mów dalej.

- Myślał, że potrafi skorzystać z tej okazji... a przy tym skorzystać z mojej pomocy w zamian za to, że on mi pomoże. Parę godzin spędził w naszym pokoju, starał się przypomnieć sobie stary szyfr federalny, a potem ułożył depeszę do jakiejś federalnej agencji, obiecując dostarczyć bardzo interesujących danych o generale Ruthvenie w zamian za umożliwienie mu dostępu do jakichś kartotek. A ja, bałwan, uwierzyłem, że mówi szczerze!

- Nie przypominasz sobie przypadkiem nazwiska faceta, do którego ta depesza była adresowana?

- Nie. Zapomniałem.

- Lepiej sobie przypomnij, Talbot. Niewykluczone, że okupisz tym sobie coś bardzo dla ciebie cennego... własne życie.

Przyglądałem mu się beznamiętnie, a potem wbiłem wzrok w podłogę. Wreszcie powiedziałem, nie podnosząc wzroku: - Catin, Cartin, Curtin... tak, właśnie tak: Curtin. J. C. Curtin.

- I proponował tylko udzielenie informacji w zamian za spełnienie jego warunków? Dobrze mówię?

- Tak jest.

- Talbot, przed chwilą uratowałeś sobie życie.

Jasne, uratowałem sobie życie! Zwróciłem uwagę, że Vyland nie wyszczególnił, jak długo pozwolą mi się cieszyć tym nabytkiem. Dwadzieścia cztery godziny albo i tyle nie. Wszystko zależało od tego, jak pójdzie robota. Ale było mi wszystko jedno. Satysfakcja, jaką odczuwałem, kiedy tam, na piętrze, nadepnałem na rękę Valentina, to była betka w porównaniu z ciepłem, które mnie teraz ogarnęło. Kupili moją bajeczkę, kupili ją bez reszty. W tych okolicznościach, przy odpowiednim przetasowaniu i rozdaniu kart, nie mogło być inaczej: musieli kupić! A ja rozdałem karty dokładnie jak trzeba. Z punktu widzenia ich słabego pojęcia o zakresie mojej znajomości rzeczy wymyślenie takiej opowieści przeze mnie po prostu nie wchodziło w rachubę. Nie mieli pojęcia, że wiem o śmierci Jablonsky'ego, o tym, że go wczoraj śledzili i że odszyfrowali adres na depeszy: nie wiedzieli przecież, że minionego wieczora byłem w ogrodzie, że Mary podsłuchiwała ich rozmowę w bibliotece i że w nocy przyszła do mnie. Gdyby podejrzewali, że od samego początku byłem współnikiem Jablonsky'ego, zastrzeliliby mnie od ręki. W tej sytuacji nie zastrzelą mnie jeszcze przez jakiś czas. Niezbyt długi czas. Ale może wystarczy.

Widziałem, jak Vyland i Royale wymieniają spojrzenia, to było tylko mgnienie oka, a potem Vyland nieznacznie wzruszył ramionami. Ci dwaj to byli prawdziwi twardziele, jak kamień, opanowani, wyczuci z wszelkich skrupułów, wyrachowani i niebezpieczni. W ciągu ostatnich dwunastu godzin musieli żyć w przeświadczeniu, że lada chwila zwalić im się mogą na kark agenci federalnych władz śledczych, ale nie dali poznać po sobie, że są świadomi tej presji, nie okazywali żadnego napięcia. Zastanawiałem się, jak by zareagowali na wieść, że agenci federalni już trzy miesiące temu mogli im się byli dobrać do skóry. Ale sytuacja wtedy jeszcze do tego nie dojrzała. I teraz też jeszcze nie.

- No więc, moi panowie, czy zachodzi konieczność dalszej zwłoki? - po raz pierwszy przemówił teraz generał, a mimo iż na zewnątrz zachowywał spokój, jego gardłowy głos zdradzał napięcie. - Skończmy wreszcie z tą sprawą. Pogoda pogarsza się raptownie, wydano nawet komunikat ostrzegawczy przed huraganem. Musimy wyjechać możliwie najwcześniej.

Jeśli idzie o pogodę, miał rację, choć użył niewłaściwego czasu. Pogoda już się pogorszyła. Wiatr już nie zawodził, teraz od kołyszących się dębów nieprzerwanie dochodziło dojmujące wycie, któremu sporadycznie towarzyszyły sztormowe ulewy, krótkotrwałe, ale o wyjątkowym nasileniu. Prawie całe niebo pokryte było ciężkimi, nisko wiszącymi chmurami. Rzuciłem okiem na barometr wiszący w hallu, strzałka powoli przesuwała się w kierunku cyfry 27, a to nie wróżyło nic dobrego. Czy oko cyklonu uderzy w nas, czy przejdzie bokiem, nie wiedziałem, rzecz jasna, ale

jeśli znajdziemy się na jego trasie, nadciągnie w ciągu niespełna dwunastu godzin. Prawdopodobnie znacznie wcześniej.

- Już ruszamy, generale. Wszystko przygotowane. Peterson czeka na nas w zatoce. - Domyśliłem się, że Peterson to pilot śmigłowca. - Parę krótkich obrotów, a w ciągu mniej więcej godziny wszyscy znajdziemy się na miejscu. Talbot będzie mógł zabrać się wreszcie do dzieła.

- Wszyscy? - zapytał generał. - To znaczy: kto?

- Pan, ja, Royale, Talbot, Larry, no i oczywiście pańska córka.

- Mary? Czy to konieczne?

Vyland nic nie odpowiedział, nie posłużył się nawet tą swoją sztuczką z podnoszeniem brwi, po prostu wytrwale wpatrywał się w generała. Minęło pięć sekund, może więcej, po czym generał rozluźnił zaciśnięte pięści, a ramiona lekko przykulił. Nie trzeba było słów.

Teraz z przyległej sieni doszedł szybki stukot damskich kroków i przez otwarte na oścież drzwi weszła Mary Ruthven. Miała na sobie dwuczęściowy kostium w kolorze cytrynowym, a pod tym zieloną bluzkę z otwartym kołnierzykiem. Oczy miała podkrążone, była blada i wyglądała na zmęczoną, ale uznałem, że jest cudowna. Kennedy znajdował się w sieni z czapką w rękę, istna rapsodia w kolorze kasztanowym i lśniących, wysokich, skórzanych butach; przybrał obojętną minę idealnie ułożonego szofera w zamożnej rodzinie, który nic nie widzi i niczego nie słyszy. Zacząłem od niechcienia przesuwając się w kierunku drzwi, czekając, aż Mary zrobi to, o czym jej mówiłem przed niespełna dwiema godzinami, przed samym jej odejściem do swojego pokoju.

- Jadę z Kennedym do Marble Springs, ojciec - zaczęła bez żadnych wstępów. Sformułowała to jak stwierdzenie faktu, ale w rzeczywistości była to prośba o zezwolenie.

- Ależ... no więc, my lecimy na pływającą wyspę - odpowiedział ojciec żałośnie. - Wczoraj wieczorem mówiłaś...

- Lecę z wami - przerwała z leciutkim zniecierpliwieniem. - Ale i tak nie możemy polecieć wszyscy razem. Ja przyjadę drugą turą. To nam zajmie najwyżej dwadzieścia minut. Nie ma pan nic przeciwko temu, panie Vyland? - zapytała słodziutko.

- Obawiam się, że będzie to dość trudne, panno Ruthven - szarmancko odpowiedział Vyland. - Widzi pani, Gunther zrobił sobie krzywdę...

- Fajnie!

Znów uniósł brwi: - Nie tak fajnie z pani punktu widzenia, panno Ruthven. Pani przecież wie, że ojciec lubi, aby pani znajdowała się pod ochroną, kiedy...

- Kennedy do tej pory potrafił mnie dobrze chronić - odparła oschle. - I potrafi w dalszym ciągu. Co więcej, nie mam zamiaru udać się na pływającą wyspę z panem i z Royalem, i z tym... z

tą kreaturą - nie ulegało wątpliwości, że ma na myśli Larry'ego - jeżeli Kennedy nie poleci ze mną. To jest moja ostateczna decyzja. A teraz muszę jechać do Marble Springs. Natychmiast.

Ciekaw byłem, kiedy po raz ostatni ktoś tak do Vylanda przemawiał. Ale otaczająca go warstewka ogłady nie zdradzała ani śladu najłżejszego załamania.

- Dlaczego pani musi, panno Ruthven?

- Są pewne pytania, których dżentelmen nigdy nie zadaje - odparła lodowato.

To go wykończyło. Nie wiedział, co miała na myśli, tak samo, jak i ja nie miałbym pojęcia, co miała na myśli, ale efekt końcowy był taki, że zapędziła go w kozi róg. Wzrok wszystkich obecnych w pokoju skierował się na tę parę, tylko ja byłem wyjątkiem: ja patrzyłem na Kennedy'ego, a on na mnie. Znajdowałem się teraz w pobliżu drzwi, odwrócony do reszty towarzystwa plecami. Z łatwością mogłem wysunąć skrawek papieru spod kołnierzyka; teraz przyciskałem go do piersi, aby mógł zobaczyć tam nazwisko sędziego Mollisona. Miny nie zmienił ani na jotę, zmierzyć skinięcie jego głowy można by chyba było tylko mikrometrem. Ale zrozumiał. Wszystko rozwijało się wspaniale - gdyby nie ryzyko, że nim minę drzwi, Royale zdąży rozłożyć mnie jednym celnym strzałem.

I to właśnie Royale przerwał panujące w pokoju napięcie, otwierając przed Vylandem furtkę, przez którą mógł wycofać się z godnością: - Przydałoby mi się trochę świeżego powietrza, panie Vyland. Mógłbym przejechać się z nimi?

Rzuciłem się przez otwarte drzwi, jak torpeda wystrzelona z wyrzutni. Kennedy szeroko rozłożył ręce. Złapałem go za ramię, runęliśmy ciężko na podłogę i razem potoczyliśmy się przez korytarz. W ciągu pierwszych dwóch sekund udało mi się wsunąć mu list głęboko' za pazuchę bluzy, - ale nadal młóciliśmy się i walili po ramionach, po plecach i wszędzie tam, gdzie to nie sprawiało zbyt dojmującego bólu. Wreszcie usłyszeliśmy bezsporny trzask odbezpieczanego pistoletu.

- Hej, wy tam, dosyć tego dobrego!

Odskokczyliśmy od siebie, a ja podniosłem się pod nieustającą groźbą pistoletu Royale'a. Na drugim planie Larry też podskakiwał, wymachując rewolwerem: na miejscu Vylanda nie pozwoliłbym mu trzymać nawet procy.

- To była czysta robota, Kennedy - powiedział serdecznie Vyland. - Nie zapomnę wam tego.

- Dziękuję, sir - odpowiedział Kennedy drewnianym głosem. - Nie lubię morderców.

- Ani ja, mój chłopcze, ani ja - z uznaniem powiedział Vyland. Pewnie zatrudniał ich tylko po to, aby im dać szansę rehabilitacji. - Doskonale, panno Ruthven. Pan Royale pojedzie z panią. Ale proszę się pospieszyć.

Wyszła bez słowa skierowanego do niego i bez spojrzenia w moją stronę. Głowę trzymała wysoko. Nadal byłem zdania, że jest cudowna.

Rozdział VIII

Lot śmigłowcem na pływającą wyspę nie sprawił mi przyjemności.

Do samolotów jestem przyzwyczajony, sam kiedyś pilotowałem własną maszynę, byłem nawet współnikiem w niewielkiej firmie lotów czarterowych, ale śmigłowce - to nie dla mnie. Nawet przy ładnej pogodzie, a tego ranka pogoda była gorzej niż paskudna. Kiwaliśmy się i huściliśmy, spadaliśmy i wyskakiwaliśmy w górę, jak gdyby jakiś pijak rzucał nami na sznurku jak gigantycznym jojo, a przez cały prawie czas nie widzieliśmy nawet, dokąd lecimy, bo wycieraczki nie mogły uporać się z istnym potopem wody walącej o przednią szybę. Ale Petersen był pilotem doskonałym i do celu dotarliśmy. Na pokładzie X 13 wylądowaliśmy wkrótce po dziesiątej rano.

Aż sześciu chłopów musiało trzymać maszynę we względnie stabilnej pozycji, kiedy generał, Vyland, Larry i ja opuszczaliśmy się po wysuwanej drabince. W chwili gdy ostatni z nas stanął na pokładzie, Petersen zwiększył obroty silnika, wystartował i nim minęło dziesięć sekund, znikł w oślepiających potokach deszczu. Zastanawiałem się, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Tu, na odkrytym pokładzie, wichura była jeszcze bardziej gwałtowna i porywista niż na lądzie stałym, toteż z największym trudem mogliśmy co najwyżej utrzymywać równowagę na oślizłej metalowej podłodze. Jeśli o mnie idzie, nie groził mi upadek do tyłu, jako że cały czas Larry dźgał mnie w krzyże lufą swojej armaty. Miał na sobie płaszcz z wielkim kołnierzem, szerokimi klapami, pasem, naramiennikami i obciążonymi skórą guzikami, który, jak go nauczyły hollywoodzkie filmy, jest właściwym strojem na tę porę dnia i na taką pogodę, pistolet zaś trzymał w głębokiej kieszeni. Byłem podenerwowany. Larry mnie nie lubił, a dziurę w eleganckim płaszczu potraktuje jako niezbyt wygórowaną cenę za przywilej - pociągnięcia za spust. Zalażłem Larry'emu za skórę jak zadra i nie miałem zamiaru ruszać się z tego miejsca. Rzadko się do niego odzywałem, ale ilekroć mi się to zdarzało, nigdy nie nazywałem go inaczej niż "czubek" lub "narkoman", nie omieszkalem też dodać, że spodziewam się, iż zaopatrzenie w biały proszek nadchodzi regularnie. Tego ranka, w drodze do śmigłowca, troskliwie dowiadywałem się, czy aby nie zapomniał zapakować nesesera, a kiedy podejrzliwie i niecenzuralnie zapytał, co miałem na myśli, wyjaśniłem, że się martwię, bo mógłby zapomnieć strzykawek. Vyland i generał musieli wyżyć wszystkie siły, by odciągnąć go ode mnie. Nie ma nic niebezpieczniejszego i bardziej nieobliczalnego od narkomana nałogowca, tak samo zresztą jak nie ma nic bardziej godnego pożałowania; ale w moim sercu nie było wówczas cienia litości. W tym łańcuchu Larry był ogniwem najsłabszym, miałem więc zamiar piłować właśnie to ogniwo, dopóki nie pęknie.

Kuśtykając pod wiatr, doszliśmy do podniesionej klapy wejściowej, wiodącej na szeroką drabinę, która prowadziła na dolny pokład. Tam czekała nas grupka ludzi, więc postawiłem kołnierz, opuściłem rondo kapelusza i trzymaną w ręku chusteczką energicznie ocierałem twarz z deszczu. Niepotrzebnie się zresztą trudziłem: Joe Currana, brygadzysty portowego, z którym rozmawiałem przed dziesięcioma godzinami, wśród zgromadzonych nie było. Próbowałem sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby tam czekał albo gdyby dowiadywał się u generała, czy jego prywatny poufny sekretarz, C. C. Farnborough, odnalazł zagubioną aktówkę, ale dałem temu spokój: to wymagało od mojej wyobraźni wysiłku ponad siły. Prawdopodobnie pożyczylbym po prostu pistolet Larry'ego i zastrzeliłbym się na miejscu.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się, żeby nas powitać. Generał Ruthven robił honory domu: - Martin Jerrold, kierownik robót wiertniczych, Tom Harrison, inżynier naftowy. Panowie, to jest John Smith, inżynier specjalista, który przyleciał z Anglii, aby pomóc panu Vylandowi w jego poszukiwaniach. - Domyśliłem się, że "John Smith" to nazwisko, wybrane z wyjątkową przebiegłością, właśnie dla mnie.

Obaj mężczyźni wymamrotali od niechcienia zdawkowe formułki powitalne. Larry dźgnął mnie w plecy, więc powiedziałem, że cała przyjemność po mojej stronie, ale ja ich najwidoczniej zupełnie nie interesowałem. Obaj sprawiali wrażenie zaaferowanych i niespokojnych, obaj robili wszystko, co w ich mocy, żeby to ukryć. Ale nie uszło to uwagi generała.

- Coś wam doskwiera, Harrison? - Tu, na pływającej wyspie, obowiązywała najwidoczniej zasada, że Vyland trzyma się na dalszym planie.

- I to nawet bardzo, sir. - Harrison, młodzian ostrzyżony na jeża, w grubych okularach w rogowej oprawie, wyglądał mi na studenta, ale chyba był dobrym fachowcem, skoro pełnił taką odpowiedzialną funkcję. Wyciągnął niewielki plan, rozłożył go i wskazał stolarskim ołówkiem: - Ten plan jest dokładny, panie generale. Trudno byłoby o lepszy, a Pride i Honeywell to najlepszy zespół geologów w branży. Ale przekroczyliśmy już planowaną głębokość odwiertu o czterysta metrów. Powinniśmy byli znaleźć ropę już po stu pięćdziesięciu metrach. Tymczasem nie ma jeszcze nawet zapachu gazu. Nie potrafię znaleźć żadnego wytłumaczenia, sir.

Ja mógłbym to wytłumaczyć, ale pora raczej nie była po temu sposobna.

- To się zdarza, mój chłopcze - swobodnie odpowiedział generał. Nie mogłem powstrzymać się od podziwu dla tego starego bałwana; coraz lepiej zaczynałem zdawać sobie sprawę, w jak nieludzkim napięciu musi się znajdować, ale jego opanowanie i spokój zasługiwały na szacunek. - Mamy szczęście, jeżeli trafimy dwa razy na pięć. A żaden geolog nie będzie rościł sobie pretensji do dokładności stuprocentowej czy choćby nawet zbliżonej do stu procent. Daj im jeszcze trzysta metrów. Na moją odpowiedzialność.

- Dziękuję, sir. - Harrison wyglądał, jakby mu ulżyło, ale wciąż jeszcze był jakiś skrępowany, i generał natychmiast się w tym zorientował.

- Coś was jeszcze trapi, Harrison?

- Nie sir, oczywiście, że nie - odpowiedź była zbyt szybka, zbyt stanowcza. Jako aktor ten młody człowiek nie mógł się równać z generałem. - Absolutnie nic.

- Hm... - Generał przyglądał mu się w zamyśleniu, a potem spojrzął na Jerrolda. - Wam też coś dolega?

- Pogoda, sir.

- Jasne. - Generał pokiwał głową ze zrozumieniem. - Według ostatnich meldunków huragan Diana uderzy prosto na Marble Springs: A to znaczy, że i na X 13. Nie musicie mnie o to pytać, Jerrold. Sami wiecie najlepiej. Wy jesteście kapitanem tego statku, ja tylko pasażerem. Nie uśmiecha mi się perspektywa strat sięgających dziesięciu tysięcy dolarów dziennie, ale musicie przerwać wiercenia z chwilą, kiedy dojdziecie do wniosku, że to konieczne.

- Nie w tym rzecz, sir - odparł strapiony Jerrold. Kciukiem wskazał za siebie. Ten eksperymentalny filar, nad którym pan pracuje, sir... Czy nie należałoby go opuścić dla maksymalnego zwiększenia stabilności?

A więc załoga wiertnicza wiedziała, że coś się dzieje w tym filarze, który badałem zeszłej nocy! Kiedy się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że wprawdzie można było tego uniknąć, ale wskazane było, aby wiedzieli. O wiele łatwiej podać załodze jakieś wprowadzające w błąd wyjaśnienie wykonywanych tam czynności niż odgrodzić część instalacji i wzbudzić podejrzenia oraz niepożądane, może nawet niebezpieczne domysły. Zastanawiałem się, jaką im opowiedziano bajeczkę, okazało się, że miałem się o tym zaraz dowiedzieć.

- Vyland? - generał zwrócił się do stojącego obok mężczyzny i pytająco uniósł brew.

- Przyjmuję pełną odpowiedzialność na siebie, generale. - Mówił tonem spokojnym, precyzyjnym, ufnym, takim, jakim mógłby przemawiać najwybitniejszy inżynier, choć ja bym się zdziwił, gdyby się okazało, że potrafi odróżnić nakrętkę od sforznia. Ale zdrowym rozsądkiem także umiał się posługiwać, bo niezwłocznie dodał: - Ten sztorm uderzy od zachodu, a największy napór będzie po przeciwległej stronie, od stałego lądu. Po tej stronie może spowodować jedynie uniesienie platformy. - Lekceważąco machnął ręką. - Chyba byłoby raczej bezcelowe opuszczanie dodatkowego filara właśnie wtedy, gdy normalne filary po tej stronie będą miały do utrzymania napór znacznie mniejszy niż po przeciwległej? A ponadto, generale, jesteśmy teraz tak bliscy doprowadzenia do perfekcji tej techniki, która zrewolucjonizuje podwodne wiercenia, że zbrodnią byłoby cofanie się, może nawet o kilka miesięcy, wskutek opuszczenia filara i ewentualnego zniszczenia całej delikatnej aparatury.

A więc to był ten tekst! Musiałem przyznać, że udany: ton zaangażowania i entuzjazmu w jego głosie był wręcz idealny, w najmniejszym nawet stopniu nie przesadzony.

- Mnie to zadowala - powiedział Jerrold. Ponownie zwrócił się do generała: - Przyjdzie pan do nas na kwaterę, sir?

- Później. Zjem coś, ale nie czekajcie na mnie z obiadem. Może każe pan przysłać coś do mojej kabiny? Pan Smith chciałby natychmiast przystąpić do pracy. - Jak jasna cholera!

Zostawiliśmy ich i ruszyliśmy szerokim korytarzem. Tu, w sercu platformy, nie słychać było odgłosów wichury i burzliwych fal uderzających i rozbijających się o filary. Może udałoby się rozróżnić jakieś lekkie szmery, gdyby nie warkot potężnych generatorów w tym jasno oświetlonym stalowym przejściu: mijaliśmy chyba jakąś halę silników wysokoprężnych.

W końcu przejścia skręciliśmy w lewo i prawie dochodząc do kresu ślepo zamkniętego korytarza, zatrzymaliśmy się przed drzwiami po prawej ręce. Widniał na nich napis wykonany dużymi białymi literami: "Wiercenia doświadczalne", a poniżej tylko trochę mniejszymi literami słowa: "Wstęp wzbroniony. Ściśle tajne".

Vyland zapukał do drzwi umówionym długim szyfrem, który skrupulatnie zakonotowałem sobie w pamięci: cztery krótkie, dwa długie, cztery krótkie. Odczekał, aż od wewnątrz dosłyszeliśmy trzy długie pukania, potem znów zapukał cztery razy, szybko, raz po raz. W dziesięć sekund potem wszyscy znaleźliśmy się za drzwiami, które bezzwłocznie zamknięto na podwójne klucze i rygle. W związku z tym wszystkie te napisy "Ściśle tajne!" czy "Wstęp wzbroniony!" były chyba zbędne.

Stalowa podłoga, stalowe grodzie, stalowy sufit - w sumie był to nie pokój, lecz ponure, czarne pudło. Przynajmniej trzy boki składały się na to pudło: ścianka, przez którą właśnie weszliśmy, ścianka po lewej i ścianka po prawej, z wysokimi okratowanymi drzwiami w samym środku. Czwarta ściana natomiast była wypukła, wybrzuszona do wewnątrz, w kształcie niemal idealnie półkolistym, ze skrzydełkowo zakleszczonym lukiem w środku: byłem pewny, że to właśnie główny szyb wielkiego stalowego filara, sięgającego w dół aż na dno morskie. Po obu stronach luku zwisały duże bębny, na które starannie nawinięto rury gumowe w elastycznym stalowym pancerzu. Pod każdym bębniem znajdował się przyśrubowany do podłogi duży silnik: ten po prawej to jak zauważyłem, kompresor powietrza - ten sam, którego pracę słyszałem, kiedy w nocy znalazłem się po zewnętrznej stronie filara - po lewej zaś prawdopodobnie pompa wodna o wymuszonym ssaniu. Urządzenie tego pokoju nawet Spartanie uznaliby za surowe: stół kreślarski, dwie ławy i metalowa półka w ścianie.

W pomieszczeniu znajdowało się dwóch mężczyzn - jeden otworzył nam drzwi, drugi siedział przy stole ze zgaszonym cygarem w ustach. Na stole rozłożona była talia wytłuszczonych kart. Obaj jak gdyby wyszli spod jednej sztancy - ale ich podobieństwo nie wynikało stąd, że obaj

byli w samej koszuli, a drewniane kabury nosili zawieszane wysoko pod lewym ramieniem, ani nawet stąd, że się dobrali wzrostem, wagą i szerokim rozstawem muskularnych barów. Podobieństwo tkwiło w twarzach, twardych, pozbawionych wyrazu twarzach o zimnych, nieruchomych, czujnych oczach. Zdarzało mi się uprzednio widywać ludzi z tej samej sztancy, byli to czołowi fachowcy zbrodniczego podziemia. Larry oddałby pół życia, żeby się do nich upodobnić. Moim zdaniem Vyland powinien był zatrudnić właśnie tego rodzaju ludzi, ale w takim razie obecność Larry'ego stawała się jeszcze bardziej tajemnicza.

Vyland mruknął słowa powitania, po czym z miejsca, nie marnując ani chwili, zabrał się do dzieła. Podeszedł do półki w ścianie, sięgnął po długi rulon podlepionego płótnem papieru, owiniętego dookoła drewnianego kijka, rozłożył go płasko na stole i obciążył brzegi, żeby się nie zwijały. To był duży, bardzo skomplikowany schemat, długości około dwudziestu pięciu, a szerokości dwunastu centymetrów. Po chwili cofnął się i spojrzał na mnie.

- Talbot, widziałeś kiedyś coś podobnego?

Pochyliłem się nad stołem. Schemat przedstawiał dziwny przedmiot w kształcie ni to walca, ni cygara, o długości czterokrotnie większej od szerokości. Wierzchołek był spłaszczony, płaska była także środkowa część podstawy, a potem w obu kierunkach zwężał się z lekka ku górze. Co najmniej osiemdziesiąt procent przedmiotu stanowiły jakieś zbiorniki - widziałem rury paliwowe, prowadzące do zbiorników z przypominającej pomost wieżyczki nałożonej na górną powierzchnię. W tym samym pomoście mieścił się początek pionowej komory w kształcie walca, biegnącej przez cały korpus maszyny, przechodzącej przez dno, skręcającej pod ostrym kątem w lewo i wchodzącej w owalnego kształtu komorę podwieszoną pod korpusem cygara. Po drugiej stronie tej owalnej komory znajdowały się duże prostokątne zasobniki, przymocowane do spodu owego cygara. Po lewej, w kierunku węższego, bardziej spiczastego końca, były chyba reflektory oraz cienkie, zdalnie kierowane chwytaki, umieszczone wzdłuż całego boku w sprężynowych zaciskach.

Przyjrzałem się temu dokładnie, a potem wyprostowałem się. - Bardzo mi przykro - potrząsnąłem przecząco głową. - Nigdy w życiu tego nie widziałem.

Nie musiałem zadawać sobie trudu i prostować pleców, bo już w następnej chwili leżałem na pokładzie; w kilka sekund później podciągnąłem się na kolana i kręciłem głową tam i z powrotem, próbując odzyskać jasność umysłu. Spojrzałem w górę, jęknąłem z bólu umiejscowionego tuż za uchem i próbowałem skupić wzrok. Rozpoznałem Vylanda stojącego nade mną i trzymającego pistolet za lufę.

- Właśnie sobie pomyślałem, że tak mógłbyś mi odpowiedzieć, Talbot. - Przyjemny, spokojny, opanowany głos, jak gdybyśmy siedzieli na plebanii przy herbatce, a on prosił mnie o

przysunięcie bułeczek. - Kiepsko z twoją pamięcią, Talbot. Może chciałbyś, żebym ci ją jeszcze raz odświeżył, nie?

- Czy to naprawdę konieczne? - w głosie generała Ruthvena przebijało niezadowolenie. Wyglądał na człowieka strapionego. - Vyland, chyba możemy...

- Stul pysk! - warknął Vyland. Wizyta na plebanii skończyła się. Kiedy starałem się stanąć na własnych nogach, odwrócił się w moim kierunku. - No więc jak?

- Co ci przyjdzie z walenia mnie po głowie? - spytałem z wściekłością. - Jak mogę w takiej sytuacji przypomnieć sobie coś, czego nigdy...

Tym razem widziałem nadciągające uderzenie, osłoniłem ręką głowę i uchyliłem się przed ciosem, szybko się cofnąwszy, kiedy mnie dosięgnął. Zachwiałem się i rąbnąłem w stalową grodz. Prawie wszystko było na pokaz, więc dla uzupełnienia obrazu osunąłem się jeszcze na pokład. Nikt nie odezwał się ani słowem. Vyland i dwóch jego zbirów przyglądali mi się z niedbałym zainteresowaniem, generał był blady i zębami przygryzał dolną wargę, a twarz Larry'ego przypominała niesamowicie wesołą maskę.

- Teraz już coś sobie przypomniałeś?

Obrzuciłem go niecenzuralnym słowem i niepewnie wstałem.

- Doskonale. - Vyland wzruszył ramionami. - Zdaje mi się, że tu obecny Larry miałby ochotę cię przekonać.

- Mogę? Naprawdę mogę? - Gorliwość na twarzy Larry'ego była odrażająca, straszna. - Chcesz, żebym go zmusił do mówienia?

Vyland uśmiechnął się i skinął. - Tylko pamiętaj, że nawet kiedy skończysz, będzie jeszcze musiał dla nas popracować.

- Będę pamiętał. - Teraz wybiła wielka chwila Larry'ego. Zająć sam środek sceny, odegrać się za moje drwiny i kpiny, przede wszystkim zaś dać upust sadyzmowi - to miał być jeden ze szczytowych punktów jego życiowej kariery. Zbliżył się do mnie, leciutko wymachując potężnym pistoletem, nieustannie zwilżał wargi i chichotał tym swoim cieniutkim, obrzydliwym falsetem. - Wewnętrzna strona prawego uda, u samej góry. Będzie wył jak... jak zarzynany wieprzak. Potem lewe udo. A pracować będzie mógł mimo to... - Oczy miał szeroko rozwarte, wybałuszone, szalone; po raz pierwszy w życiu znalazłem się w obliczu człowieka, który miał pianę na ustach.

Vyland był dobrym psychologiem: wiedział, że stokroć bardziej przerazi mnie przewrotność Larry'ego, jego neurotyzm i rozkojarzenie aniżeli wszystko to, co on sam lub dwaj jego zbiry mogliby zdziałać po linii zimnego wyrachowanego okrucieństwa. Byłem naprawdę przerażony. Zresztą dostatecznie już się stawiałem, tego się nawet po mnie spodziewali, ale nie miało najmniejszego sensu przeciągać struny.

- To jest ulepszona wersja starego francuskiego batyskafu - powiedziałem szybko. - Ten model łączy zalety brytyjskich i francuskich konstrukcji morskich. Wprawdzie zaprojektowano go tak, że może osiągnąć zaledwie dwadzieścia procent głębokości zanurzenia swych poprzedników... nadaje się do głębokości ponad osiemset metrów... ale za to jest szybszy, bardziej zwrotny i w przeciwieństwie do swych poprzedników wyposażony z myślą o poszukiwaniach podwodnych.

Nikt nigdy nie darzył mnie taką nienawiścią jak Larry w tym momencie. Był małym chłopcem, ja zaś obiecaną zabawką, najwspanialszą zabawką, jaką zdarzyło mu się oglądać. Teraz, kiedy ta zabawka już była, zdawało się, w zasięgu ręki, odbierano mu ją przemocą. Gotów był płakać z wściekłości, pełen goryczy i rozczarowania. Ciągle jeszcze harcował wokół mnie, pistoletem wymachując na wszystkie strony.

- On kłamie - głos miał piskliwy, przechodzący w krzyk. - On tylko próbuje...

- Nie kłamie - oschle przerwał mu Vyland. W jego głosie nie było ani triumfu, ani zadowolenia. Cel został osiągnięty, przeszłość wymazana. - Odlóż pistolet.

- Ale ja ci mówię... - Larry urwał, krzycząc z bólu, gdy jeden z dwóch milczących mężczyzn złapał go za rękę i wykręcił w dół, a broń poleciała na ziemię.

- Odlóż tego gnata, gnojku - warknął - bo ci go odbiorę!

Vyland obrzucił ich wzrokiem, po czym przestał zwracać uwagę. - Ty, Talbot, nie tylko wiesz, co to jest, ale faktycznie w tym pracowałeś. Generał dysponuje w Europie niezawodnymi źródłami informacji, a dziś rano otrzymaliśmy odpowiedź. - Pochylił się i cicho ciągnął dalej: - Później też to ulepszałeś. Nawet niedawno. Nasze źródła informacji na Kubie są jeszcze dokładniejsze niż w Europie.

- Ostatnio nad tym nie pracowałem - podniosłem rękę w górę. Vyland zagryzł wargi. - Kiedy sprowadzono ten batyskaf frachtowcem z myślą o wstępnym zanurzeniu bezzałogowym w osłoniętych wodach u wybrzeży Nassau, Anglicy i Francuzi doszli do wniosku, że lepiej i rozsądniej będzie wynająć nadającą się do tych celów jednostkę miejscową niż sprowadzać ją z Europy. Ja w tym czasie byłem zatrudniony przez firmę ratownictwa okrętowego w Hawanie, która dysponowała statkiem wyposażonym w ciężki żuraw i bom na samej rufie. Do tej roboty idealnie się nadawał. Byłem na pokładzie tego batyskafu, ale na nim nie pracowałem. Gdyby było inaczej, po cóż miałbym się wypierać? - uśmiechnąłem się nieznacznie. - Zresztą na pokładzie statku ratowniczego pracowałem tylko przez jakiś tydzień. Dowiedzieli się, że tam jestem, zdawałem sobie sprawę, że deptają mi po piętach, więc musiałem się szybko zmywać.

- Oni? - brwi Vylanda jak zawsze poruszały się gładko.

- Co to ma teraz za znaczenie? - nawet w moich uszach zabrzmiało to jak głos człowieka znużonego, pokonanego.

- Prawda, prawda - uśmiechnął się Vyland. - O ile znamy twoją przeszłość z równym powodzeniem mogła to być policja wielu krajów. Tak czy inaczej, generale, to tłumaczy jedną sprawę, która nas niepokoiła: skąd nam była znana twarz Talbota?

Generał Ruthven nic na to nie odpowiedział. Może kiedyś trzeba mnie było przekonać, że jest narzędziem, pionkiem w rękach Vylanda: teraz byłem pewny tego. Był postacią żalowaną, nieszczęśliwą, nie miał najmniejszej ochoty uczestniczyć w tym, co się właśnie działo.

Powiedziałem, jak gdyby nagle spadła na mnie łaska oświecenia: - Czy to wy... to wy byliście odpowiedzialni za zatonięcie tego batyskafu? Na Boga, tak, to wy! Jak to się...

- Chyba nie sądziłeś, że sprowadziliśmy cię tu tylko po to, żeby się zastanawiać nad schematycznym przekrojem tej jednostki? - Vyland pozwolił sobie na lekki uśmiech zadowolenia. - Pewnie, że to my. To była łatwa sprawa. Idioci przycumowali ją na metalowym holu na głębokości dziesięciu sądni. Odczepiliśmy ją, wymieniliśmy cumę na wystrzępioną, żeby myśleli, że batyskaf zerwał się z holu i że fala zapędziła go na głęboką wodę, a potem go odholowaliśmy. Większość drogi odbyliśmy w ciemnościach, a kiedy nas mijaly niezliczone zresztą statki, po prostu zmniejszaliśmy szybkość, podciągaliśmy batyskaf na stronę niewidoczną ze zbliżającego się statku i tak go prowadziliśmy na holu. - Uśmiechnął się ponownie: - To nie było trudne. Nikt się nie spodziewał, że zobaczy prywatny jacht holujący batyskaf.

- Prywatny jacht? To znaczy...? - czułem, jak jeżą mi się włosy na głowie. Na końcu języka miałem słowo "Temptress", ale przecież nikt nie wiedział, że kiedykolwiek słyszałem tę nazwę, z wyjątkiem Mary Ruthven, która mi o tym opowiadała. - Prywatny jacht generała? On jest właścicielem jachtu?

- No przecież nie Larry ani ja. - Uśmiechnął się drwiąco. "Larry i ja...", to było nieoczekiwane sformułowanie, ale dla mnie nic z tego nie wynikało, więc nie poświęcałem mu uwagi. - Oczywiście, że to był jacht generała.

Pokiwałem głową. - I równie oczywiste jest to, że trzymacie ten batyskaf gdzieś w pobliżu. Może zechciałby mi pan powiedzieć, do czego, na miłość boską, potrzebny jest wam batyskaf?

- Jasne. I tak będziesz się musiał dowiedzieć. Jesteśmy... hm... poszukiwaczami skarbów.

- Niech mi pan nie opowiada, że wierzycie w kapitana Kidda i w Czarnobrodego! - zakpiłem.

- Odzyskujesz tupet, Talbot, co? Nie, ten skarb jest raczej świeższej daty i znajduje się bardzo blisko nas.

- Jak go pan odnalazł?

- Jak go odnaleźliśmy? - zdać się mogło, że Vyland zapomniał o tym, że czas nagli: jak każdy zbrodniarz na wielką skalę miał w sobie coś z kabotyńca, nie był w stanie wyrzec się okazji

do pławienia się w słońcu własnej chwały. - Mieliśmy przybliżone pojęcie o miejscu, gdzie się znajduje. Próbowaliśmy go wyciągnąć... to było jeszcze w czasach, nim poznałem generała... ale bez powodzenia. Potem poznaliśmy generała. Może nic ci o tym nie wiadomo, ale generał oddaje swój jacht do dyspozycji geologów, a wtedy oni krążą tam i z powrotem, układają te swoje małe bombki na dnie oceanu, podłączają je do swoich przyrządów sejsmograficznych i starają się ustalić, gdzie się znajdują złoża ropy naftowej. A podczas gdy oni tym byli zajęci, myśmy sporządzali pomiary dna oceanu za pomocą wyjątkowo czulej echosondy. No i znaleźliśmy.

- Tu, w pobliżu?

- Bardzo blisko.

- Więc dlaczego go nie wydobyliście? - Teraz Talbot występował w roli specjalisty od ratownictwa okrętowego, tak pogrążonego w nowym problemie, że zapomniał o swoim własnym położeniu.

- Jak ty byś go wydobył, Talbot?

- Nurkując, oczywiście. Na tych wodach to powinna być łatwa sprawa. Ostatecznie znajdujemy się tu na rozległym szelfie oceanicznym, trzeba się oddalić na co najmniej sto mil od byle jakiego punktu na zachodnim wybrzeżu Florydy, by znaleźć głębokość przekraczającą sto siedemdziesiąt metrów. W tym miejscu jesteśmy blisko brzegu. Ile to może być: trzydzieści, pięćdziesiąt metrów?

- Na jakiej głębokości stoi X 13, generale?

- Nieco ponad czterdzieści metrów w czasie odpływu - Ruthven odpowiedział jak automat.

Wzruszyłem ramionami:

- No więc właśnie!

- Żadne "właśnie"! - Vyland zrobił przeczący ruch głową. - Jaka jest maksymalna głębokość, na której twoim, Talbot, zdaniem nurek może wykonać rzeczywiście użyteczną pracę?

- Chyba ze sto metrów. - Zastanowiłem się chwilę. - O ile mi wiadomo, najgłębiej zapuszczali się nurkowie amerykańscy u wybrzeży Honolulu. Niespełna sto metrów. Okręt podwodny marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych F 4.

- Z ciebie, Talbot, fachowiec całą gębą, co?

- Każdy nurek i specjalista od ratownictwa okrętowego, jeśli w ogóle jest cokolwiek wart, wie o tym doskonale.

- Niespełna sto metrów, powiadasz? Niestety, to, czego my szukamy, znajduje się na dnie wielkiej dziury, głębokiej rozpadliny w dnie morskim. Geologowie pana generała byli naprawdę mocno zaintrygowani, kiedy zlokalizowali tę dziurę. Mówili, że zupełnie przypomina... jak to było, generale?

- Głębię w kanale La Manche.

- Otóż to. W kanale La Manche. Głęboka dolina w dnie morskim, tam gdzie Anglicy wyrzucają wszystkie stare materiały wybuchowe. Ta nasza rozpadlina ma sto sześćdziesiąt metrów głębokości.

- To zupełnie co innego - powiedziałem z namysłem.

- Prawda? No więc, jak byś się zabrał do dzieła?

- Wszystko zależy od stopnia trudności dostępu. Najnowocześniejszy sztywny skafander Neufeldta i Kuhnkego, opancerzony stalową blachą, z trudem mógłby wystarczyć. Wątpię, czy jakiś nurek potrafiłby cokolwiek zwojować na takiej głębokości. Znajdowałby się pod ciśnieniem stu kilogramów na cal kwadratowy, poruszałby się jak w beczce z gęstą smołą. Każde poruszenie, prócz najbardziej elementarnych, byłoby ponad jego siły. Trzeba by się do tego zabrać za pomocą wieżyczek obserwacyjnych... Najlepsze produkuje Galeazzi i moja dawna firma Siebe-Gorman. Można je opuścić na głębokość około pięciuset metrów. Wchodzi się do takiej wieżyczki i za pomocą telefonu kieruje układaniem materiałów wybuchowych czy ustawianiem pogłębiarek, drapaczy czy czerpaków pneumatycznych. W podobny sposób z mniej więcej takiej samej głębokości u wybrzeży Nowej Zelandii wydobyto złoto wartości około dziesięciu milionów dolarów z pokładu "Niagary", a także złoto wartości czterech milionów dolarów z pokładu "Egiptu", leżącego na głębokości przeszło sto trzydzieści metrów koło Ushant. To są dwa klasyczne przykłady z czasów najnowszych i tak ja bym się też zabrał do tej roboty.

- I to by, oczywiście, wymagało co najmniej dwóch jednostek nawodnych i mnóstwa specjalistycznego wyposażenia - cichutko powiedział Vyland. - Czy tobie się wydaje, że możemy rozbijać się i kupować wieżyczki obserwacyjne czy pogłębiarki, nawet jeżeli są w tym kraju w ogóle do nabycia, a potem siedzieć tygodniami na kotwicy w jednym i tym samym miejscu, nie budząc niczyjego podejrzenia?

- Coś w tym jest, co pan mówi - przyznałem.

- Za to mamy batyskaf. - Vyland uśmiechnął się. - Rozpadlina w dnie morskim znajduje się w odległości niespełna dwustu metrów stąd. Weźmiemy ze sobą chwytaki i haki umocowane do stalowych lin, nawiniętych na bębny znajdujące się na zewnątrz batyskafu, zaczepimy się... można bardzo wiele zdziałać tymi wysiężnikami i chwytakami umocowanymi z przodu... potem zawrócimy, nawijając jednocześnie linę. A potem wyciągniemy tę linę na X 13.

- Takie to proste, co?

- Właśnie, takie proste, Talbot. Sprytne, nie sądzisz?

- Bardzo. - Wcale mi się to nie wydawało sprytne, doszedłem do wniosku, że Vyland jeszcze nie zaczął pojmywać związanych z tym trudności, nie kończących się prób w zwolnionym

tempie, prób, prób i jeszcze raz prób związanych z podwodnymi poszukiwaniami, przygotowań wstępnych, wymagających umiejętności i doświadczenia. Próbowałem sobie przypomnieć, ile czasu zajęło wydobycie złota i srebra wartości dwóch i pół miliona dolarów z pokładu "Laurentica", zatopionego na głębokości zaledwie trzydziestu pięciu metrów... jeśli dobrze pamiętam, jakieś sześć lat! A Vyland wyrażał się tak, jak gdyby miał tego dokonać w ciągu jednego popołudnia. - Gdzie dokładnie znajduje się ten batyskaf? - zapytałem.

Vyland wskazał półkolisty szyb.

- To jest jeden z filarów tej wyspy... ale tak się składa, że można go unieść na wysokość sześciu do siedmiu metrów nad dno morza. Pod nim zacumowany jest batyskaf.

- Zacumowany pod filarem? - gapiłem się na niego. - Co to ma znaczyć? Pod spodem tego filara? Jak się tam dostać? Jak się do niego wsiada? Jak, na Boga...

- Proste - przerwał mi. - Nie jestem, jak się mogłeś zorientować, wybitnym inżynierem, ale mam... hm... przyjaciela i współnika, który się na tym zna. On wymyślił prosty sposób zamontowania u spodu tego filara wzmocnionej i całkowicie odpornej na wodę stalowej podłogi o wielkiej wytrzymałości... tak mniej więcej dwa metry od dna... i wpuszczenia w nią zwężającego się stalowego walca długości około dwóch metrów i niespełna metrowej średnicy, wystającego ku dołowi, otwartego z góry i z dołu, ale z tym, że górę można za pomocą przyśrubowanej pokrywy szczelnie zamknąć jak wodoszczelną grodzią. We wgłębieniu około sześćdziesięciu centymetrów od wierzchołka tego cylindra znajduje się rura z uzbrojonej gumy... Zdaje się, że zaczynasz kapować, Talbot?

- Zaczynam kapować. - To była pomysłowa banda, trzeba im to przyznać. - W jaki sposób... prawie na pewno nocą... przekonałeś mechaników z pływającej wyspy, żeby współdziałali z tobą w opuszczeniu tego filara... pewnie wmówiłeś im tę bajeczkę o ściśle tajnych badaniach naukowych, tak tajnych, że nikomu nie wolno choćby okiem rzucić na to, co się tu robi? Batyskaf trzymałeś na powierzchni, odśrubowałeś pokrywę pomostu, wolno opuściłeś filar, aż ten walec pasował do wejściowego luku batyskafu, gumowy pierścień napompowałeś do pełna sprężonym powietrzem, żeby go idealnie uszczelnić, potem spuściłeś filar w wodę, popychając przed nim batyskaf, podczas gdy ktoś znajdujący się w batyskafie, prawdopodobnie twój przyjaciel inżynier, regulował zawór hydrostatyczny jednej z przyległych komór zatapialnych na tyle, by mógł łatwo zatonać, ale nie za bardzo, aby go nie pozbawiać małej wyporności, niezbędnej dla utrzymania wierzchołka komory wejściowej, wciśniętego w walec znajdujący się u stóp filara. A kiedy zechcesz się wynurzyć, po prostu wdrapiesz się do batyskafu, uszczelnisz luki walca i batyskafu, każesz komuś, znajdującemu się na pływającej wyspie, wypuścić powietrze z gumowej uszczelki otaczającej komorę wejściową batyskafu, wpuścisz wodę do zbiorników, otrzymasz dzięki temu wystarczającą ujemną wyporność

aby się odzepić od filara, no i jesteśmy w domu. Kiedy chce się wrócić na dno, odwraca się po prostu kolejność wszystkich czynności, z tą tylko różnicą, że potrzebna jest pompa ssąca dla usunięcia wody nagromadzonej w walcu. Mam rację?

- Co do joty - Vyland pozwolił sobie na jeden ze swoich rzadkich uśmiechów. - Genialne, nie uważasz?

- Nie. Jediną naprawdę genialną rzeczą jest uszczelnienie batyskafu. Cała reszta jest dostępna każdemu średnio wykwalifikowanemu specjalście od poszukiwań podwodnych. Jest to po prostu wykorzystanie zasady dwukomorowego ratunkowego dzwona nurkowego w okrętach podwodnych, który w identyczny sposób dopasować można do wjazdu trymowniczego każdego okrętu podwodnego. Bardzo zbliżoną zasadę stosowano też przy pracach kesonowych do zatapiania podwodnych pirsów pod mosty i temu podobne. Ale mimo to dość sprytnie. Ten twój przyjaciel inżynier jest niegłupi. Szkoda go, no nie?

- Szkoda? - Vyland przestał się uśmiechać.

- No tak. Nie żyje, prawda?

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Po dziesięciu chyba sekundach Vyland bardzo spokojnie zapytał:

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, że nie żyje. Kiedy ktoś zatrudniony u ciebie, Vyland, umiera śmiercią nagłą, zaryzykowałbym twierdzenie, że przestał być ci przydatny. Ale ponieważ nie wydobyto skarbu, to z pewnością nie wchodzi w rachubę. Znaczący, że był wypadek.

Znów długa przerwa.

- Skąd ci przyszedł do głowy jakiś wypadek?

- To był człowiek w starszym wieku, prawda, Vyland?

- Skąd ci przyszedł do głowy jakiś wypadek? - W każdym słowie ukryta była ledwie wyczuwalna groźba. Larry znów oblizywał wargi.

- Wodoszczelna podłoga, którą umieściłeś pod spodem filara, nie była aż tak wodoszczelna, jak ci się zdawało. Przeciekała, Vyland, prawda? Możliwe, że była to tylko bardzo mała dziurka, i to w obwodzie podłogi, tam gdzie przylegała do boku filara. Błąd w spawaniu. Ale miałeś szczęście. W filarze, gdzieś nad miejscem, gdzie my stoimy, musi być jeszcze jedna poprzeczna uszczelka... niewątpliwie celem wzmocnienia konstrukcji. Najpierw posłałeś kogoś do środka filaru i uszczelniałeś te drzwi, a potem wykorzystaleś tę tutaj maszynę - wskazałem palcem jeden z przyśrubowanych do pokładu generatorów - żeby wpompować sprężone powietrze. Kiedy już wpompowałeś wystarczającą ilość sprężonego powietrza, nagromadzona woda wypchnięta została

w dół, - a wówczas człowiek... albo ludzie... znajdujący się w środku, mogli dziurę załatać. Mam rację, Vyland?

- Masz rację. - Teraz znów odzyskiwał równowagę, a zresztą, cóż było złego w tym, że przyznał się wobec człowieka, który nigdy nie dożyje możliwości powtórzenia tego komukolwiek?

- Skąd ty, Talbot, o tym wszystkim wiesz?

- Ten lokaj w domu generała. Widziałem wiele podobnych przypadków. Cierpi na tak zwaną chorobę kesonową... i nigdy się z niej nie wyleczy. Choroba nurków, Vyland. Kiedy się pracuje pod wysokim ciśnieniem powietrza lub wody, a potem się to ciśnienie zbyt raptownie zmniejsza, do krwi przedostają się bąbelki azotu. Ci, którzy pracowali wewnątrz filara, znajdowali się pod ciśnieniem około czterech atmosfer, około trzydziestu kilogramów na cal kwadratowy. Jeżeli spędzili w dole więcej niż pół godziny, potrzebowali co najmniej pół godziny na dekompresję, ale tak się złożyło, że jakiś idiota lub zbrodniarz za szybko zmniejszył wypracowane ciśnienie... prawdopodobnie tak szybko, jak szybko potrafił uciekać. Nawet w najlepszych okolicznościach do robót kesonowych i temu podobnych nadają się wyłącznie ludzie młodzi. Twój przyjaciel inżynier nie był już ani młody, ani zdrowy. A ty, oczywiście, nie miałeś urządzenia dekompresyjnego. No więc, umarł. Lokaj może będzie nawet długo żył, ale nigdy już nie uwolni się od bólu. To ci chyba nie przeszkadza, Vyland, prawda?

- Marnujemy tylko czas. - Wyraźnie widziałem ulgę na twarzy Vylanda, bo przez chwilę podejrzewał, że ja, a może także inni, za dużo wiemy o tym, co się dzieje na X 13. Ale teraz był już zadowolony, ulżyło mu. Tylko że mnie interesowała nie jego mina, lecz generała.

Generał Ruthven przyglądał mi się w sposób doprawdy bardzo dziwny: jego twarz zdradzała zdumienie. Męczyła go jakaś myśl, nie dając spokoju, a co gorsza, dostrzegłem początki pierwszych wręcz niewiarygodnych przeblysków zrozumienia.

To mi się nie podobało, zupełnie mi się nie podobało. Szybko przypomniałem sobie wszystko, co powiedziałem, wszystko, co dałem do zrozumienia - a w tych sprawach mam pamięć niemal absolutną - ale nie mogłem uświadomić sobie ani jednego słowa, któremu mógłbym przypisać winę za ten wyraz twarzy. Bo jeżeli on coś zauważył, mógł zauważyć także Vyland. Ale twarz Vylanda nie zdradzała żadnego zrozumienia ani podejrzliwości. Wcale nie musiało stąd wynikać, że jakieś nietuzinkowe słowo czy wyrażenie, dostrzeżone przez generała, zarejestrował również Vyland. Generał był rzeczywiście człowiekiem bardzo mądrym: głupcy nie zaczynają z niczego i nie dorabiają się za życia blisko trzystu milionów dolarów.

Nie miałem zamiaru zostawiać Vylandowi czasu na rozszyfrowanie wyrazu twarzy generała - na to mógł być dostatecznie sprytny. Powiedziałem więc:

- No, skoro twój inżynier nie żyje, potrzebujesz teraz, nazwijmy to, pilota batyskafu?

- Błąd. Sami umiemy nim sterować. Nie sądzisz chyba, że jesteśmy aż tak głupi, żeby kraść batyskaf, nie nauczywszy się uprzednio z nim obchodzić? Z przedstawicielstwa w Nassau otrzymaliśmy pełny zestaw instrukcji obsługi i konserwacji, po francusku i po angielsku. Nie martw się, umiemy się nim posługiwać.

- Naprawdę? To bardzo interesujące. - Siadłem na ławce, nie pytając nikogo o zgodę, i zapaliłem papierosa. Jakiejś takiej demonstracji chyba się po mnie spodziewali. - Więc do czego właściwie jestem wam potrzebny?

Po raz pierwszy w czasie naszej krótkiej znajomości Vyland sprawiał wrażenie zaambarasowanego. Po kilku sekundach obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem i chrapliwie warknął:

- Nie możemy uruchomić tych cholernych silników.

Zaciągnąłem się głęboko papierosem i próbowałem puszczać kółka z dymu. Nie wyszło, nigdy mi to nie wychodzi.

- No, no, no... - mruknąłem. - To niewygodne. Dla ciebie, rzecz jasna. Bo dla mnie bardzo jest wygodne. Wystarczy tylko puścić te dwa małe silniczki w ruch... i... presto!... bez najmniejszego wysiłku wyciąga się skarb. Zakładam, że ty nie grasz o miedziaki, przynajmniej sądząc po zasięgu tej całej operacji. A beze mnie nie możesz ruszyć. Jak już mówiłem, bardzo to wygodne... dla mnie.

- Potrafisz uruchomić te maszyny? - zapytał oschle.

- Niewykluczone. Sprawa powinna być prosta... to są zwykłe silniki elektryczne o napędzie bateryjnym. - Uśmiechnąłem się. - Ale obwody elektryczne, przełączniki i bezpieczniki to rzeczy dość skomplikowane. Z pewnością figurują w instrukcji obsługi?

- Owszem. - Gładko polerowana warstewka cierpliwości zaczęła zdradzać wyraźne pęknięcia, a głos stał się warkliwy. - Tylko że są zaszyfrowane. Nie mamy do nich klucza.

- Cudownie, wręcz cudownie. - Podniosłem się leniwie i stanąłem twarzą w twarz z Vylandem. - Beze mnie jesteście zgubieni, czy tak?

Nie odpowiedział.

- No więc, mam swoją cenę, Vyland. Zagwarantowane życie - ta sprawa zupełnie mnie nie niepokoiła, ale wiedziałem, że muszę udawać, bo inaczej stanie się podejrzliwy jak wszyscy diabli. - Jakiej gwarancji możesz mi udzielić, Vyland?

- Boże święty, człowieku, żadne gwarancje nie są potrzebne - generał był zdumiony i oburzony. - I po co ktoś chciałby pana zabijać?

- Proszę mnie posłuchać, generale - tłumaczyłem cierpliwie. - Pan może sobie być potężnym, bardzo potężnym tygrysem, kiedy pan żeruje w dżunglach Wall Street, ale jeśli idzie o

drugą stroną linii praworządności, nie kwalifikuje się pan nawet jako kociak. Każdy, nie zatrudniony przez pańskiego przyjaciela Vylanda, musi marnie skończyć, jeśli za dużo wie... oczywiście dopiero wówczas, kiedy przestanie być mu przydatny. Vyland za swoje pieniądze lubi otrzymywać pełną wartość... nawet kiedy to go nic nie kosztuje.

- Co chce pan okrężną drogą dać mi do zrozumienia, że i ja mógłbym podobnie marnie skończyć? - zapytał Ruthven.

- Pan nie, generale. Pan jest bezpieczny. Nie wiem, na czym polega śmierzący układ między panem i Vylandem, nic mnie to zresztą nie obchodzi. Może on coś o panu wie albo może pan z nim idzie ręką w rękę, ale nie ma to większego znaczenia. Pan jest bezpieczny. Zniknięcie najbogatszego człowieka w kraju rozpętałoby największą od dziesięcioleci operację policyjną. Przepraszam, jeśli wydaję się cyniczny, generale, ale tak to jest. Pieniądze kupują gorliwość policji. Nacisk byłby olbrzymi, a tacy narkomani jak tu obecny nasz młody stuknięty przyjaciel - raptownym ruchem wskazałem przez ramię palcem w kierunku, gdzie powinien być znajdować się Larry - pod naciskiem śpiewają wszystko bardzo łatwo. Vyland o tym wie. Pan jest bezpieczny, a kiedy się to wszystko skończy, to jeżeli nawet nie zostanie pan dozgonnym współnikiem Vylanda, na pewno znajdzie on sposób, aby zapewnić sobie pańskie milczenie. Niczego mu pan nie będzie w stanie udowodnić, będzie tylko pańskie słowo przeciwko słowom jego i wielu innych, a nie sądzę, by nawet pańska rodzona córka wiedziała, co się święci. Pozostaje jeszcze, rzecz jasna, Royale... Świadomość, że Royale kręci się na wolności i tylko czeka, że się człowiekowi powinie noga, wystarczy, aby człowiek milczał jak grób. - Odwróciłem się od generała i uśmiechnąłem się do Vylanda. - Ale beze mnie można się obejść, prawda?

- Ja to panu zagwarantuję, Talbot - cicho odezwał się generał Ruthven. - Wiem, kim pan jest. Wiem, że jest pan mordercą. Ale nawet mordercy nie pozwolę zabić tak sobie, od niechcenia. Jeśli cokolwiek się panu stanie, zacznę mówić, bez względu na konsekwencje. Vyland jest przede wszystkim człowiekiem interesu. Zabicie pana nie mogłoby nawet w setnej części zrekompensować mu milionów, które by w takim wypadku utracił. Może się pan niczego nie obawiać.

Milionów... Po raz pierwszy wspomniano o wchodzących w grę sumach. Miliony. A ja miałem je dla nich wydobyć.

- Dziękuję panu, generale, stawia to pana w kręgu sprawiedliwych - mruknąłem. Zgasilem papierosa; odwróciłem się i uśmiechnąłem do Vylanda. - Przynieś worek z narzędziami, przyjacielu. Pójdziemy i obejrzymy sobie tę twoją nową zabawkę.

Rozdział IX

Gdyby moda przewidywała projektowanie grobowców w kształcie siedemdziesięciometrowych metalowych cylindrów, filar na X 13 budziłby powszechną sensację. W charakterze grobowca, ma się rozumieć. Było tam wszystko: zimno, wilgotno i ciemno, a mrok jeszcze bardziej podkreślały, a nie rozjaśniały, trzy malutkie robaczki świętojańskie u wierzchołka, w środku i na spodzie. Było tu niesamowicie, złowieszczo i groźnie, a wibrujące w tej czarnej otchłani głucho echo grzmotu sugerowało ponurą, apokaliptyczną beznadzieję, jak wówczas, gdy czarny Anioł Śmierci wywołuje czyjeś nazwisko na sąd ostateczny. Pomyślałem sobie posępnie, że w takie miejsce powinno się iść po śmierć, nie zaś tuż przed samą śmiercią. Choć właściwie o tej porze kwestia pierwszeństwa nie grała już roli...

Jako grobowiec - doskonały, ale żeby się stąd gdzieś przedostać - koszmar! Jedynym połączeniem między wierzchołkiem a dnem był ciąg żelaznych klamer, przyspawanych do nitowanych ścian filara. Drabin było dwanaście, każda o piętnastu szczeblach; od góry do samego dołu nie było żadnej przerwy czy miejsca na wypoczynek. Na plecach zwisał mi ciężki miernik oporności izolacji do badania obwodu elektrycznego, a ponieważ szczeble były tak wilgotne i śliskie, że z całych sił trzeba się było trzymać, aby nie spaść z drabiny, musiałem maksymalnie naprężyć mięśnie ramienia i barków: gdyby odległość była dwukrotnie większa, nie dałbym rady.

W nieznanym terenie zwyczaj nakazuje gospodarzowi iść przodem i wskazywać drogę, ale Vyland zrezygnował z tego przywileju. Może się bał, że jeśli będzie schodził po drabinie przede mną, skorzystam z okazji, żeby go kopnąć w głowę i zrzucić kilkadziesiąt metrów w dół na pewną śmierć na żelaznej platformie? Tak czy inaczej, ja schodziłem pierwszy, a Vyland i dwaj mężczyźni o lodowatych oczach szli tuż za mną. Na górze został więc Larry i generał, a nikt chyba nie miał złudzeń, że Larry potrafiłby pilnować kogokolwiek. Generał miał więc całkowitą swobodę ruchów, a mimo to Vyland nie żywił chyba obaw, że swobodę tę zechce wykorzystać dla pokrzyżowania jego planów. Wydawało mi się to niepojęte, ale teraz znałem już odpowiedź. A przynajmniej zdawało mi się, że znam: gdybym był w błędzie, niewinni ludzie musieliby niechybnie przepłacić to życiem. Starłem się o tym nie myśleć.

- W porządku, Cibatti, otwieraj! - rozkazał Vyland.

Potężniejszy z dwóch mężczyzn pochylił się i odśrubował włącz, podnosząc w górę klapę na zawiasach, żeby ją umocować w pionowym uchwycie. Rzuciłem okiem na wąski stalowy cylinder, prowadzący do stalowej kabiny u spodu batyskafu, i powiedziałem Vylandowi: - Chyba wiesz, że

nim ruszymy na poszukiwanie skarbów Czarnobrodego, trzeba będzie tę komorę wejściową zalać wodą?

- O co chodzi? - podejrzliwie spojrzał na mnie spode łba. - Niby dlaczego?

- Czyżbyś myślał o pozostawieniu jej nie zalanej? - zapytałem z niedowierzaniem. - Komorę wejściową zazwyczaj zatapia się w momencie, gdy zacznie się schodzić w dół, choć zwykle znajduje się na poziomie powierzchni morza, a nie, jak tutaj, przeszło czterdzieści metrów pod powierzchnią. Pewnie, pewnie, wiem, że sprawia solidne wrażenie, może nawet potrafi wytrzymać dwukrotnie większe zanurzenie, tego już nie jestem pewien. Ale wiem na pewno, że jest otoczona tymi waszymi pławnymi zbiornikami benzyny - w sumie około ośmiu tysięcy galonów - które są otwarte na dnie w kierunku pełnego morza. Ciśnienie wewnątrz zbiorników odpowiada dokładnie ciśnieniu morza na zewnątrz i właśnie dlatego wystarczy nawet najcieńsza metalowa blacha, by utrzymać zawartość benzyny. Ale jeśli w komorze wejściowej znajdzie się tylko powietrze, będziecie mieli ciśnienie co najmniej sto kilogramów na cal kwadratowy, pracę na zewnętrznej stronie komory wejściowej. A tego nie wytrzyma. Pęknie, benzyna wycieknie, wyporność dodatnia przeminie raz na zawsze i tak oto znajdziesz się na głębokości stu sześćdziesięciu metrów pod poziomem morza. I tam też pozostaniesz do końca świata.

W tych ledwie rozjaśnionych ciemnościach trudno było mieć jakąkolwiek pewność, ale mógłbym przysiąc, że z twarzy Vylanda odpłynęły rumieńce.

- Bryson nigdy mi o tym nie wspominał - Vyland mówił głosem lekko drżącym, przypominającym złowieszczy szept.

- Bryson? Ten twój przyjaciel inżynier? - Nie doczekałem się odpowiedzi, więc ciągnąłem dalej: - No nie, ja też myślę, że nic o tym nie wspominał. To nie był prawdziwy przyjaciel, czy nie tak, Vyland? Trzymałeś go na muszce pistoletu, prawda? Więc wiedział, że kiedy przestanie być ci przydatny, ktoś pociągnie za spust tego pistoletu. Po jaką cholere miał ci o tym wspominać? - odwróciłem od niego wzrok i ponownie zarzuciłem sobie na plecy miernik oporności. - Nikt nie musi schodzić razem ze mną, to mnie tylko denerwuje.

- Myślisz, że pozwolę ci zejść tam samemu? - spytał oschle. - Żebyś znów popróbował jednej z twoich sztuczek?

- Nie bądź głupi - odpowiedziałem znużonym głosem. - Mógłbym stanąć przed elektryczną tablicą rozdzielczą albo przed skrzynką bezpiecznikową i tak uszkodzić batyskaf, że nigdy już nie nadawałby się do niczego, a ty ani twoi przyjaciele nie mielibyście o tym zielonego nawet pojęcia. W moim własnym interesie leży uruchomienie tego mechanizmu i jak najszybsze zakończenie całej sprawy. Im szybciej, tym lepiej dla mnie. - Spojrzałem na zegarek. - Za dwadzieścia jedenasta.

Potrzebuję trzech godzin, żeby się przekonać, co nawaliło. Co najmniej tyle. O drugiej zrobię przerwę. Zastukam w pokrywę włazu, żebyś mógł mnie wypuścić.

- Nie trzeba - Vyland nie był uszczęśliwiony, ale jak długo nie potrafił wykryć żadnej możliwości oszustwa z mojej strony, nie zamierzał mi się przeciwstawiać. Zresztą nie miał nawet takiej możliwości. - W kajucie jest mikrofon z kablem zasilającym, nawiniętym na bęben znajdujący się na zewnątrz i z doprowadzeniem przez uszczelkę dławikową z tej strony filaru, łączącą się z pomieszczeniem, w którym my się znajdujemy. Tu jest przycisk dzwonka. Jak będziesz gotów, daj nam znać.

Kiwnąłem głową i zacząłem schodzić po klamrach przyspawanych do ściany cylindra, odśrubowałem górną klapę włazu komory wejściowej i zatapialnej batyskafu, udało mi się przez nią prześliznąć - wystający ku dołowi cylinder był tylko o kilkanaście centymetrów szerszy i nie zostawiał dość miejsca, by właz otworzyć na oścież - i wymacać znajdujące się pod nim szczelne. Zamknąłem właz i szczelnie go przyśrubowałem, a potem przez tę przygnębiająco ciasną komorę przedostałem się do położonej niżej kabiny. Na ostatnim metrze musiałem schylać się niemal pod kątem prostym, ale udało mi się przepchnąć i siebie, i miernik oporności. Otworzyłem ciężkie drzwi kabiny, prześliznąłem się przez lilipucie wejście, potem zatrzasnąłem za sobą drzwi i zamknąłem je na klucz.

O ile mnie pamięć nie myliła, nic tu się nie zmieniło. Kabina była znacznie przestronniejsza niż wę wcześniejszych jednostkach tego typu, których batyskaf był wersją ulepszoną, a kształt miała nie kolisty, lecz owalny. Stratę mocy konstrukcyjnej z nawiązką rekompensowała swoboda i łatwość poruszania się we wnętrzu, a ponieważ batyskaf przeznaczony był do prac poszukiwawczych na głębokości nie przekraczającej osiemset z górą metrów, względny ubytek mocy nie grał większej roli. Batyskaf miał trzy okna, w tym jedno w podłodze, o kształcie stożkowatym, zwężającym się od wewnątrz, podobnie jak u drzwi wejściowych, tak że ciśnienie morza jeszcze mocniej osadzało je w oprawie: te okna wyglądały krucho, ale wiedziałem, że specjalnie skonstruowany pleksiglas nawet w największym z nich, o zewnętrznej średnicy nie przekraczającej raptem jakichś trzydziestu centymetrów, może wytrzymać bez pęknięcia ciśnienie dwustu pięćdziesięciu ton, a więc wielokrotnie większe od tego, z jakim trzeba się liczyć na takich głębokościach, na jakich miał batyskaf w myśl założeń pracować.

Sama kabina była istnym majstersztykiem projektowania. Jedną ścianę - jeśli mniej więcej jedną szóstą wewnętrznej powierzchni kuli nazwać można ścianą - pokrywały przyrządy, tarcza zegarowa, skrzynki bezpiecznikowe, tablice rozdzielcze i najrozmaitsze instrumenty naukowe, których nie będziemy musieli używać; po jednej stronie wydzielono zespół przyrządów do regulowania rozrusznika silnika, prędkości silnika, biegów przedniego i wstecznego, reflektorów,

zdalnie kontrolowanych chwytaków oraz zwisającej liny sterowniczej, zdolnej utrzymać batyskaf w pozycji stabilnej w pobliżu dna: opuszczenie części liny na dno morskie wprawdzie ujmowało batyskafowi tylko znikomy ułamek ciężaru, ale to wystarczało dla zapewnienia mu idealnej równowagi. Tam wreszcie mieściły się także precyzyjne regulatory urządzenia do obserwacji wydzielanego dwutlenku węgla i do regenerowania tlenu.

Jednego z tych regulatorów nigdy przedtem nie widziałem, toteż przez czas jakiś ogromnie mnie intrygował. Był to nastawnik oporowy, po obu stronach środkowej gałki wyposażony w stopniowe układy do ruchu w przód i w tył; niżej gurował mosiężny napis: "Regulator liny holowniczej". Początkowo nie miałem pojęcia, do czego miałby służyć, ale po paru minutach mogłem już się domyślić, z dużą dozą prawdopodobieństwa. Vyland - a raczej Bryson na polecenie Vylanda - musiał na przodzie, a prawdopodobnie także w tyle batyskafu, umieścić bęben o napędzie elektrycznym, którego lina przed opuszczeniem filara w morze przyczepiona miała być do jakiegoś ciężkiego swożnia lub pierścienia, umocowanego w pobliżu podstawy filara. Teraz się domyśliłem, że nie chodziło o to, by w razie awarii można było tym sposobem wyciągnąć batyskaf na pływającą wyspę, bo żeby holować tę wielką maszynę po dnie oceanu, trzeba by znacznie więcej mocy aniżeli ta, jaką dysponowały silniki batyskafu - ale wyłącznie o możliwość uporania się ze zdradliwym zagadnieniem nawigacyjnym: jak odnaleźć drogę powrotną do filara? Zapaliłem reflektor, ustawiłem snop światła i gapiłem się w okno u moich stóp. Widoczny był jeszcze wyglądający jak trzydziestocentymetrowy rów głęboki kolisty pierścień w dnie oceanu, w miejscu, gdzie dawniej osiadł filar; biorąc ten pierścień za punkt wyjścia, ponowne dopasowanie komory wejściowej do cylindra znajdującego się wewnątrz filara nie powinno było nastroczać szczególnych trudności:

Teraz przynajmniej rozumiałem, dlaczego Vyland nie sprzeciwiał się zbyt stanowczo, abym sam pozostał w środku batyskafu: gdybym nawet zatopił komorę wejściową i po uruchomieniu silników huśtał batyskafem to w jedną, to w drugą stronę, mógłbym wprawdzie z łatwością oderwać się od gumowej uszczelki i wyprowadzić batyskaf w wolne i bezpieczne miejsce, ale przywiązany grubą liną do filara X 13 nie uszedłbym daleko. Vyland mógł sobie błaznować, jeśli idzie o strój czy sposób zachowania i wysławiania, ale to nie zmieniało faktu, że był facetem naprawdę bardzo szczwanym.

Z wyjątkiem instrumentów umieszczonych na tej ścianie, reszta kabiny była praktycznie pusta, jeśli nie liczyć trzech małych brezentowych stołków, zawiasami przymocowanych do ściany zewnętrznej, oraz półki, na której zgromadzono rozmaite kamery i sprzęt do fotografii podwodnej.

Moja wstępna, wszechogarniająca lustracja wnętrza nie zajęła mi wiele czasu. Uwagi wymagała przede wszystkim skrzynka regulująca przenośny mikrofon przy jednym z brezentowych

stołków. Vyland należał do gatunku ludzi, którzy zechcą skontrolować, czy rzeczywiście pracuję, a nie zdziwiłbym się wcale, gdyby wymienił przewody w skrzynce regulującej tak, że gdy przełącznik był wyłączony, mikrofon działałby mimo to i informował go przynajmniej, że pracuję, nawet jeśli nie był w stanie przekazać, jakiego rodzaju pracę wykonuję. Ale pomyliłem się albo go przeceniłem, przewody bowiem ułożone były jak należy.

Przez następne pięć minut wypróbowałem kolejno wszystkie elementy wyposażenia kabiny, z wyjątkiem regulatorów silników - gdyby mi się udało wprawić je w ruch, na dolnej podłodze filara z całą pewnością wszyscy musieliby odczuć wibrację.

Następnie odśrubowałem przykrywą największej skrzynki instalacji elektrycznej, wyciągnąłem z gniazd prawie dwadzieścia kolorowych przewodów i pozostawiłem je zwisające w najdzikszym zamieszaniu i bałaganie. Do jednego z tych drutów doprowadziłem przewód od miernika oporności izolacji, otworzyłem pokrywy dwóch innych skrzynek obwodów i bezpieczników, a większość narzędzi rozrzuciłem na małym podręcznym warsztacie. Wszystko to sprawiało jak najbardziej przekonujące wrażenie uczciwego trudu.

Powierzchnia podłogi tej stalowej kabiny była tak mała, że nie miałem miejsca, żeby się wyciągnąć jak długi na wąskim chodniku z sieci, ale było mi wszystko jedno. Poprzedniej nocy nie spałem w ogóle, w ciągu ostatnich dwunastu godzin przeżyłem wiele, teraz więc czułem się naprawdę bardzo zmęczony. Nic nie mogło mi przeszkodzić w ucięciu sobie drzemki.

Zasnąłem. Nim jeszcze straciłem świadomość, odniosłem wrażenie, że wiatr i fala teraz dopiero porządnie przybierają na sile. Na głębokości przeszło trzydziestu metrów wcale nie czuje się ruchu fal, albo prawie wcale, ale nie ulegało wątpliwości, że batyskaf buja, choć bardzo łagodnie. Ukołysało mnie to do snu.

`cp2

Kiedy się obudziłem, na moim zegarku było dopiero wpół do drugiej. Rzecz u mnie zupełnie wyjątkowa: zazwyczaj budzę się, jakbym miał w sobie budzik, i przerywam sen w chwili niemal dokładnie zamierzonej. Tym razem mi się nie udało, ale nie byłem tym zaskoczony. Głowa wściekle mnie bolała, w malutkiej kabinie powietrze było stęchłe. Była to wyłącznie moja wina, wpływająca z niedbalstwa. Sięgnąłem do przełącznika urządzenia kontrolującego absorpcję dwutlenku węgla i przekręciłem do oporu. Po pięciu minutach, kiedy zaczęło mi się przejaśniać w głowie, włączyłem mikrofon i poprosiłem, aby ktoś rozkręcił pokrywę wjazdu, wbudowaną w podłogę filara. Mężczyzna nazwiskiem Cibatti zszedł, wypuścił mnie, a po trzech minutach byłem już z powrotem w tym małym stalowym pomieszczeniu na górze.

- Spóźniłeś się chyba? - warknął Vyland. Był z nim tylko Royale (najwidoczniej śmigłowiec bezpiecznie dokonał także drugiego przelotu), jeśli nie liczyć Cibattiego, który właśnie zamykał za mną drzwi szybu.

- Chcesz, żeby to cholerstwo kiedyś działało, nie? - powiedziałem poirytowany. - Nie zajmuję się tym dla przyjemności!

- To fakt. - Jako dyrektor zbrodniczego przedsięwzięcia, nie miał zamiaru nikogo niepotrzebnie antagonizować. Przyjrzał mi się uważnie: - Co ci się stało?

- Pracowałem cztery godziny bez wytchnienia w ciasnej trumnie - odpowiedziałem kwaśno. - A poza tym ta rozregulowana aparatura oczyszczania powietrza! Ale teraz już jest w porządku.

- Robisz postępy?

- Cholernie niewielkie. - Uniosłem rękę, gdy jego brew zaczęła się unosić, a na twarzy pojawił się grymas. - Ale nie z braku dobrych chęci. W batyskafie wypróbowałem każdy kontakt i obwód z osobna, ale dopiero w ciągu ostatnich dwudziestu minut zacząłem się orientować, co się właściwie stało.

- No więc, co się stało?

- Stało się to, że twój przyjaciel nieboszczyk, inżynier Bryson, tu zadziałał, ot co. - Przyglądałem mu się w zamyśleniu. - Czy wybierając się po wydobycie tych skarbów miałeś zamiar zabrać Brysona ze sobą? Czy też chciałeś zrobić to sam?

- Tylko Royale i ja. Myśleliśmy, że...

- Tak, wiem. Nie było sensu brać go ze sobą. Nieboszczyk dużo nie zwojuje. Musiałeś dać mu do zrozumienia, że nie popłynie z wami, toteż wiedząc, że nie popłynie, przygotował sobie piękną zemstę pośmiertną, albo tak mocno cię nienawidził, że schodząc z tego świata, postanowił zabrać cię ze sobą. Twój przyjaciel przygotował naprawdę bardzo sprytną sztuczkę, tylko że nim go pochłonęła choroba kesonowa, nie zdążył jej całkowicie wykończyć, toteż silniki są w dalszym ciągu nie na chodzie. Wszystko tak ustawił, że batyskaf działałby idealnie, poruszałyby się w tył i w przód, w górę i w dół, jak byś sobie tylko życzył... dopóki nie opuściłbyś go na głębokość około stu metrów. Postarał się, żeby w tym momencie włączyły się pewne regulatory hydrostatyczne. Piękna robota! - ryzykowałem niewiele, znałem cały bezmiar ich ignorancji w tych sprawach.

- A co wtedy? - zapytał Vyland przez zaciśnięte wargi.

- Wtedy nic. Batyskaf nie byłby nigdy w stanie podnieść się z tych stu metrów. Albo wyczerpałyby się akumulatory, albo nawaliłaby aparatura regenerująca tlen, co musiałoby nastąpić po kilku godzinach... No cóż, po prostu byście się udusili. - Popatrzyłem na niego z namysłem. - Tylko że przedtem jeszcze byście wyli do utraty zmysłów.

Poprzednim razem zdawało mi się, że widziałem, jak Vylandowi rumieniec spływa z czerstwych policzków, ale tym razem nie ulegało najmniejszej wątpliwości: zbladł, a chcąc ukryć strach, niezdarnie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego, ale drżenia palców nie był w stanie zataić. Siedzący na stole Royale tylko się uśmiechał tajemniczo i w dalszym ciągu machał nogami, jak gdyby go to wcale nie obchodziło. Nie wynikało stąd bynajmniej, że Royale był odważniejszy od Vylanda, mogło znaczyć jedynie, że po prostu niedostaje mu wyobraźni. Jeżeli istnieje taki luksus, na który nie może sobie pozwolić zawodowy morderca, to właśnie nadmiar wyobraźni: musi przecież żyć z samym sobą i z duchami wszystkich swoich ofiar. Popatrzyłem jeszcze raz na Royale'a. Przysięgłem sobie, że dożyję dnia, w którym ta twarz zamieni się w maskę i zwierciadło strachu, taką samą, jaką Royale tylekroć widywał na twarzach swych ofiar, w ich ostatniej chwili świadomości i zrozumienia, nim pociągnął za języczek spustowy swojego zabójczego pistoleciku.

- Zgrabne, co? - powiedział Vyland chrapliwym głosem. Częściowo odzyskiwał już panowanie nad sobą.

- Niekiepskie - przyznałem. Przynajmniej ja mogę sympatyzować z jego punktem widzenia, z celem, jaki mu przyświecał.

- Bardzo dowcipnie. Naprawdę, bardzo dowcipnie. - Bywały chwile, kiedy Vyland zapominał, że dobrze wychowany baron przemysłu nigdy opryskliwie nie warczy. Popatrzył na mnie z nagłym błyskiem w oczach: - A czy tobie przypadkiem nie przychodzą do głowy podobne pomysły, Talbot? Na przykład, wykręcenie takiego numeru, jaki próbował wykręcić Bryson?

- Myśl jest nie pozbawiona uroku - wyszczerzyłem do niego zęby - ale nie doceniasz mojej inteligencji. Przede wszystkim, gdybym miał podobne pomysły, czy wspominałbym ci o nich? Po drugie, mam zamiar udać się razem z wami na tę przejażdżkę. Przynajmniej liczę na to.

- Doprawdy? - Vyland już zupełnie odzyskał równowagę, znowu był jak zawsze przebiegły.
- Twoja chęć współpracy wydaje mi się podejrzana, Talbot.

- Tak źle i tak niedobrze! - westchnąłem. - Gdybym powiedział, że nie chcę jechać, uznałbyś, że to jeszcze bardziej podejrzaną. Bądź dorosły, Vyland. W ciągu ostatnich kilku godzin układy się zmieniły. Pamiętasz mówkę generała o zapewnieniu mi trwałej pomyślności? Był zupełnie szczery; szczery w każdym słowie. Spróbuj mnie wykończyć, a on ciebie wykończy. Nie darmo jesteś przecież człowiekiem interesu, nie pójdziesz na taką kiepską transakcję. Tu obecny Royale zostanie pozbawiony przyjemności zamordowania mnie.

- Zabijanie nie sprawia mi przyjemności - cicho wtrącił Royale. Było to zwykłe stwierdzenie faktu, ale gapilem się na niego, chwilowo zupełnie zbity z pantafelki nedorzeczością tego wszystkiego.

- Czy dobrze słyszałem? - spytałem z wolna.

- Talbot, słyszałeś kiedy o kopaczu rowów, który kopie rowy dla przyjemności?

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. - Gapiłem się na niego przez dłuższą chwilę, był nawet bardziej jeszcze niehumanoidalny, niż przypuszczałem. - Tak czy siak, Vyland, teraz, skoro już mam pozostać przy życiu, inaczej się na te wszystkie sprawy zapatruję. Im szybciej ta historia się skończy, tym szybciej pożegnaję się z tobą i z twoimi milutkami kumplami. A wtedy myślę, że uda mi się naciągnąć generała na parę tysięcy. Nie sądzę, aby mu zależało, żeby się rozniosło, jak współuczestniczył w zbrodniczej działalności na wielką skalę.

- Chcesz przez to powiedzieć... chcesz powiedzieć, że byłbyś zdolny szantażować człowieka, który ci uratował życie? - Najwidoczniej były jeszcze na tym świecie rzeczy, które nawet Vylanda potrafiły wprawić w osłupienie. - Chryste, jesteś taki sam dobry jak każdy z nas. Nie, nawet gorszy!

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej - odpowiedziałem obojętnie. - Czasy są ciężkie, Vyland. Człowiek musi żyć. A mnie się spieszy. Dlatego proponowałem, że pojedę z wami. Tak, przyznaję, nawet dziecko da sobie radę ze sterowaniem, zanurzaniem i wynurzaniem batyskafu, jeśli tylko opanuje instrukcję obsługi, ale ratownictwo okrętowe nie jest zajęciem dla amatorów. Wierz mi, Vyland, ja się na tym znam. Wy jesteście amatorami. Ja jestem fachowcem. To jedyna rzecz, na której się naprawdę znam. Więc jadę z wami, co?

Vyland długo i z rozmysłem przyglądał mi się, a potem cicho powiedział: - Nawet przez myśl by mi nie przyszło wybierać się bez ciebie, Talbot.

Odwrócił się, otworzył drzwi i ręką dał mi znak, żebym szedł przodem. On i Royale wyszli za mną, a kiedy przechodziliśmy korytarzem, usłyszałem, jak Cibatti zasuwając ciężki rygiel i przekręcając klucz w zamku, co znaczyło, że pomieszczenie jest bezpieczne jak Bank Anglii, z jedną tylko różnicą: w Banku Anglii przy ustalonym sposobie pukania nie otwierają się automatycznie drzwi skarbcza. A tu się otwierały i ja o tym pamiętałem, a gdybym nawet zapomniał, odświeżyłbym sobie w pamięci, bo oto Vyland ponownie posłużył się uzgodnionym sygnałem w odległości pięciu metrów od drzwi znajdujących się w tym korytarzu.

Drzwi otworzył sobowtór Cibattiego. Pomieszczenie, do którego wchodziliśmy teraz, nie było aż tak ponure jak to, które przed chwilą opuściliśmy. Ściany nie były obite, nie było chodnika na podłodze ani nawet stołu, ale wzdłuż jednej ze ścian biegła wyściełana ława, a na niej siedzieli generał i Mary. Sztywno wyprostowany Kennedy przycupnął w kącie na drewnianym krześle, a Larry, ze swoim ogromnym pistoletem na wierzchu i z jak zawsze gorączkowo rozbieganymi oczyma, latał tam i z powrotem, odgrywając wspaniałą rolę wielkiego psa łańcuchowego. Jednym spojrzaniem obrzuciłem wszystkich bez różnicy.

Generał był, jak zawsze, sztywny i beznamiętny, jak zawsze nienagannie panował nad swoimi myślami i uczuciami, ale pod oczyma miał czarne obwódki, których nie było przed paroma dniami. Córka też miała oczy lekko podkrążone, twarz bladą, a choć sprawiała wrażenie raczej opanowanej, nie było w niej tej siły co u ojca: bez trudu można było dostrzec nieznaczne, co prawda, pochylenie jej wątych pleców. Jeśli o mnie idzie, nigdy nie zachwycałem się kobietami z żelaza: nic nie sprawiłoby mi jednak większej przyjemności, jak otoczenie ramieniem wyżej wspomnianych pleców, ale ani czas, ani miejsce nie były po temu; a reakcja tak czy owak nie do przewidzenia. Kennedy był po prostu Kennedym, jego przystojna twarz przypominała gładką brązową maskę, nie martwił się o nic: zwróciłem uwagę, że kasztanowy garnitur leżał na nim jeszcze lepiej niż przedtem. Nie znaczyło to wcale, że był u krawca z poprawką; ale ktoś odebrał mu broń i teraz znikł nawet cień wybrzuszenia, które przedtem zakłócało idealną gładkość liberii.

Kiedy drzwi się za nami zamknęły, Mary Ruthven podniosła się. W jej oczach był błysk gniewu, może miała w sobie więcej, niż przypuszczałem, żelaza? Nie spoglądając w kierunku Larry'ego, wskazała go ręką.

- Czy to jest naprawdę konieczne? - zwróciła się lodowatym głosem do Vylanda. - Czy mam uważać, że znaleźliśmy się na etapie przestępców... przestępców pod zbrojną strażą?

- Niech pani nie zwraca najmniejszej uwagi na naszego młodego przyjaciela - wtrąciłem tonem kojącym. - Ten gnat w jego ręku nie ma żadnego znaczenia. On sobie tylko tak pogwizduje w ciemności. Wszyscy narkomani są tak samo rozdygotani i nerwowi, nawet patrzenie na broń dodaje im otuchy: minęła już pora kolejnego zastrzyku, ale kiedy go dostanie, znów będzie się czuł jak młody bóg.

Larry szybko postąpił kilka kroków do przodu i wpakował mi lufę pistoletu w żołądek. Nie zrobił tego zresztą zbyt łagodnie. Oczy miał szkliste, na trupio bladych policzkach pojawiły się u samej góry dwie płonące plamy, ciężko dyszał i syczał na wół pogwizdując przez odsłonięte, zaciśnięte zęby.

- Mówiłem ci, Talbot - wyszeptał. - Mówiłem ci, żebyś mnie przestał denerwować. Po raz ostatni...

Spojrzałem ponad jego plecami, a potem uśmiechnąłem się do niego.

- Obejrzyj się za siebie, frajerze - powiedziałem cicho. Mówiąc to, znów przeniósłem wzrok za jego plecy i lekko pokiwałem głową.

Był zbyt otumaniony i rozdygotany, żeby się nie dać na to nabrać. Tak byłem tego pewny, że już w chwili, kiedy się zaczął odwracać, prawą ręką sięgnąłem po pistolet, a kiedy całkiem odwrócił głowę, ścisnąłem mu już rękę, pistolet zaś wycelowany był w bok i w dół tak, że gdyby nawet wypalił, nikomu nie wyrządziłby najmniejszej krzywdy. Bezpośredniej krzywdy, rzecz

jasna, bo nie umiałbym powiedzieć o sile i kierunku pocisku odbitego rykoszetem od stalowego pokładu i stalowych grodzi.

Larry obrócił się na pięcie, jego grymas przypominał odrażającą, wykrzywioną maskę wściekłości i nienawiści, przeklinał cicho; ohydnie, gwałtownym potokiem. Wolną ręką sięgnął po pistolet, próbując go uwolnić, ale ponieważ najcięższą pracą, jaką kiedykolwiek wykonywał, było wbijanie igły strzykawki w żyłę, niepotrzebnie tylko marnował czas. Wyrwałem mu broń, cofnąłem się o krok, a kiedy próbował rzucić się na mnie, trzepnąłem go mocno pięścią. Otworzyłem pistolet; wyrzuciłem magazynek i z trzaskiem cisnąłem w kąt, a sam pistolet w drugi. Larry stał, kuląc się pod przeciwległą ścianą, dokąd go pchnąłem, krew kapiała mu z nosa, a łzy wściekłości, frustracji i bólu spływały po policzkach. Już sam widok przyprawiał mnie o mdłości i dreszcze.

- W porządku, Royale - powiedziałem nie odwracając głowy. - Możesz schować broń. Przedstawienie skończone.

Ale przedstawienie nie było skończone. Rozległ się twardy głos: - Podnieś ten pistolet, Talbot! I magazynek. Włóż magazynek do pistoletu i oddaj go Larry'emu.

Odwróciłem się powoli. Vyland trzymał pistolet w garści, a mnie trochę nie podobała się biel kostki palca spoczywającego na cynglu. Wyglądał jak zwykle, gładko i elegancko, ale zdradzała go sztywność dłoni trzymającej broń i odrobinę za szybki oddech. To nie miało sensu! Ludzie pokroju Vylanda nie pozwalają sobie nigdy na emocjonalne zaangażowanie, a tym bardziej nie wzrusza ich to, co się może stać z takim gnojkiem jak Larry.

- Co byś powiedział na to, żebyś sobie wyszedł na górę i przespacerował się trochę?

- Liczę do pięciu!

- A co potem?

- Potem strzelam.

- Nie odważysz się - powiedziałem wzgardliwym tonem. - Ty, Vyland, nie jesteś z tych, którzy pociągają za spust. Dlatego właśnie zatrudniasz tego wielkiego, obrzydliwego zbira. A ponadto, kto w takim wypadku naprawi batyskaf?

- Talbot, zaczynam liczyć. - Byłem przekonany, że postradał rozum. - Raz... dwa...

- Dobra, dobra - przerwałem. - No więc, okazuje się, że umiesz liczyć. Doskonały z ciebie rachmistrz. Mogę się założyć, że potrafisz liczyć nawet do dziesięciu. Ale mogę się założyć, że nie potrafisz zliczyć tych wszystkich milionów, jakie stracisz dlatego tylko, że ja nie mam ochoty podnieść tego pistoletu.

- Znajdę innych, którzy mi batyskaf naprawią.

- Po tej stronie Atlantyku nie znajdziesz ich na pewno. A chyba nie masz aż tyle czasu do stracenia, co, Vyland? Skąd możesz wiedzieć, czy samolot pełen agentów FBI nie znajduje się już w drodze do Marble Springs, żeby sprawdzić, co się kryje za tym dziwnym telegramem, wysłanym przez Jablonsky'ego? Skąd możesz wiedzieć, czy już nie przybyli na miejsce? Skąd możesz wiedzieć, czy właśnie w tej chwili nie pukają do drzwi willi generała i nie pytają: "Gdzie generał?", a kamerdyner odpowiada: "Generał udał się właśnie na pływającą wyspę, proszę panów", a potem ci z FBI mówią: "Musimy natychmiast złożyć generałowi wizytę. Mamy z nim do omówienia doniosłe sprawy". I złożą ci wizytę, Vyland, skoro tylko minie burza.

- Obawiam się, że on ma rację, panie Vyland - nieoczekiwana pomoc przyszła ze strony Royale'a. - Nie mamy aż tyle czasu do stracenia.

Przez długą chwilę Vyland się nie odzywał. Potem opuścił broń i wyszedł z pokoju.

Royale, jak zwykle, nie okazywał najmniejszych śladów jakiegokolwiek napięcia czy wzruszenia. Uśmiechnął się i powiedział: - Pan Vyland poszedł na drugą stronę coś zjeść. Obiad jest gotów dla wszystkich - po czym usunął się na bok, żeby nas przepuścić przez drzwi.

To był dziwny, niecodzienny epizod. Nie miał żadnego sensu. Zastanawiałem się nad tym, podczas gdy Larry zbierał swój pistolet i magazynek amunicji, i starałem się choć trochę to zrozumieć, ale nadaremnie. Nie mogłem znaleźć wytłumaczenia, które pasowałyby do faktów. A ponadto uświadomiłem sobie nagle, że jestem rzeczywiście bardzo głodny. Stanąłem z boku, żeby przepuścić wszystkich pozostałych z wyjątkiem Royale'a, a nawet nie tyle z samej uprzejmości, chciałem po prostu zapobiec, żeby Larry nie strzelił mi w plecy. Następnie trochę przyspieszyłem kroku, ale tak, aby nikt nie zwrócił na mnie uwagi, chciałem bowiem dogonić Mary i Kennedy'ego.

Chcąc przejść na drugą stronę pływającej wyspy, musieliśmy minąć szeroki, trzydziestokilometrowy pokład studniowy, gdzie dziś nad ranem rozmawiałem z Joe Curranem, brygadzystą portowym. To była najdłuższa, najbardziej mokra i wietrzna odległość, jaką w życiu przyszło mi pokonywać.

Przez całą szerokość przeciągnięto parę stalowych lin ratunkowych, ale przydałoby się parę tuzinów. Siła wichury była wręcz fantastyczna, zdawało się, że od czasu, gdy przed czterema godzinami przybyliśmy na miejsce, jej moc podwoiła się, zrozumiałem więc, że nim burza minie, nie można oczekiwać, by jakiś śmigłowiec czy statek zbliżył się do pływającej wyspy. Byliśmy całkowicie odcięci od świata zewnętrznego.

O godzinie wpół do drugiej po południu było ciemno jak o zmierzchu, a z potężnej czarnej chmury cumulonimbusów, która nas prawie całkowicie otaczała, wiatr walił na X 13, jak gdyby zamierzał wyrwać ją z korzeniami z fundamentów o trzynastu filarach, przewrócić i pogrążyć w odmentach oceanu. Wiatr ryczał i wył po całym pokładzie pływającej wyspy z obłądnym,

szalonym hałasem, nawet z odległości kilkudziesięciu metrów można było wyraźnie słyszeć rozwrzeszczaną diabelską muzykę, a basowy grzmot burzy przekrzykiwało kakofoniczne obligato: to potężny wicher gwizdał i wrzeszczał falsetem; torując sobie drogę wśród setek stalowych dźwigarów, składających się na wieżową konstrukcję szybu wiertniczego. Żeby zachować równowagę, musieliśmy pochylać się pod wiatr pod kątem prawie 45 stopni, a jednocześnie kurczowo trzymać się lin ratunkowych. Siła wichury była taka, że jeśli ktoś upadłby i potoczył się po pokładzie, nie zatrzymałby się, a wiatr zmiótłby go za burtę. Zatykało dech w płucach, a pod ostrymi jak nóż ciosami huraganu deszcz młócił i siekł nagą skórę, jak nie kończący się potop drobnego ołowianego śrutu.

Mary szła przodem przez tę otwartą, wystawioną na burzę platformę roboczą, a tuż za nią kroczył Kennedy, jedną ręką przesuwając po linie, a wolnym ramieniem silnie obejmując w pasie idącą przed nim dziewczynę. W innych okolicznościach byłbym może skłonny rozwodzić się na temat szczęścia, które niektórym zawsze zdaje się sprzyjać, ale teraz moją uwagę zaprzętały inne, bardziej naglące sprawy. Zbliżyłem się do szofera dosłownie depcząc mu po piętach, przysunąłem się głową do jego głowy i zawołałem, przekrzykując burzę:

- Były już jakieś wiadomości?

Spryciarz z tego Kennedy'ego, to nie ulegało wątpliwości. Nie zmienił kroku ani się nie odwrócił, tylko nieznacznie pokręcił przecząco głową.

- Psiakrew! - powiedziałem z uczuciem. To było fatalne. - Dzwoniłeś?

Znów przeczący ruch głową, tym razem, jak mi się zdawało, ze zniecierpliwieniem, ale kiedy się nad tym zastanowiłem, nie mogłem mieć mu tego za złe. W jaki sposób miał znaleźć okazję i dowiedzieć się czy wykryć cokolwiek, skoro prawdopodobnie już od chwili, kiedy przybyli na pływającą wyspę, Larry skakał wokół niego, wymachując pistoletem?

- Kennedy, muszę z tobą porozmawiać! - krzychałem z całych sił.

Tym razem też mnie dosłyszał, jego skinięcie głowy było prawie niedostrzegalne, ale nie przegapiłem tego.

Dotarliśmy na drugą stronę; minęliśmy ciężko zaryglowane drzwi i natychmiast znaleźliśmy się w innym świecie. Przyczyniała się do tego nie tylko nagła cisza, ciepło, brak wiatru i deszczu, choć to wszystko też miało znaczenie: w porównaniu z tamtą stroną wyspy, z której przybyliśmy przed chwilą, ta przypominała wytworny hotel.

Zamiast posępnych stalowych grodzi było tu coś w rodzaju plastikowych boazerii, pomalowanych na miłe dla oka pastelowe kolory. Podłogę pokryto grubą dźwiękoszczelną gumą, a na całej długości przejścia rozpościerającego się przed nami ciągnęła się taśma chodnika. Zamiast ostrego, niczym nie osłoniętego światła, jakie tam rzucały nieregularnie rozmieszczone na suficie

lampy, tu dominował ciepły, rozproszony blask ukrytych za listwą świateł. Wzdłuż korytarza znajdowały się drzwi, a te, które były otwarte na oścież, wychodziły na pokoje urządzone równie okazale jak kabiny, które spotkać można w pomieszczeniach mieszkalnych wyższych oficerów na okrętach liniowych. Poszukiwanie nafty może być zajęciem niełatwym, ale po fajerancie wiertacze najwidoczniej chcieli i umieli sobie dogadzać. Na tej marsjańskiej konstrukcji, wysuniętej wiele kilometrów w morze, taki komfort, niemal luksus, sprawiał wrażenie dość niesamowite i zupełnie niestosowne.

Ale bardziej od wszystkich przejawów komfortu ucieszył mnie fakt, że wzdłuż korytarza, co parę metrów, rozmieszczone były ukryte głośniki. Nadawały muzykę, cichą muzykę, ale jak na moje potrzeby, być może, wystarczająco głośną. Kiedy ostatni z nas minął drzwi, Kennedy odwrócił się i spojrzał na Royale'a.

- Dokąd idziemy, sir? - Idealny szofer do samego końca! Każdy, kto zwracał się do Royale'a sir, zasługiwał na medal.

- Do apartamentów generała. Prowadźcie.

- Zazwyczaj jadam w kantine wiertaczy; sir - sztywno odpowiedział Kennedy.

- Nie dziś. Pośpieszcie się wreszcie.

Kennedy wziął go za słowo. Niebawem wszystkich pozostawił o przeszło trzy metry w tyle - wszystkich, znaczy, prócz mnie. A ja wiedziałem, że czasu mam bardzo niewiele. Mówiłem cichym głosem, z głową pochyloną, nie patrząc na niego.

- Czy można stąd zatelefonować na ląd stały?

- Nie. Tylko za zezwoleniem. Jeden z ludzi Vylanda pilnuje obsługi centrali telefonicznej. Kontroluje wszystkie telefony, w jedną i drugą stronę.

- Widziałeś szeryfa?

- Zastępcę. List otrzymał.

- Jeśli im się uda, jak dadzą nam znać?

- Depeszą. Do generała. Informując, że ciebie albo kogoś do ciebie podobnego aresztowano w Jacksonville, w drodze na północ.

Miałem ochotę zakląć głośno, ale zrobiłem to tylko w duchu. Może to było najlepsze, co zdołali wymyślić w ciągu tak krótkiego czasu, ale było nieprzekonywujące i związane z dużym ryzykiem niepowodzenia. Normalna obsługa centrali telefonicznej mogłaby rzeczywiście tę depeszę bezzwłocznie przekazać generałowi, a wtedy byłaby szansa, że ja się w tym czasie znajdę gdzieś w pobliżu. Natomiast pilnujący centrali zbir Vylanda będzie przecież wiedział, że wiadomość jest fałszywa, i nie zada sobie nawet trudu przekazywania jej dalej, co najwyżej po upływie kilku godzin, i to w charakterze żartu; nie było zresztą żadnej pewności, że nawet

wówczas wiadomość taka dotrze do moich uszu. Wszystko, dosłownie wszystko może się załamać, a niewinni ludzie mogą utracić życie dlatego tylko, że ja nie będę mógł otrzymać potrzebnych mi wiadomości. To było irytujące. Frustrację i smutek odczuwałem tym dotkliwiej, że rozpaczliwie zależało mi na pośpiechu.

Muzyka umilkła nagle, ale my skręcaliśmy właśnie, co na chwilę odcięło nas od pozostałych, więc postanowiłem zaryzykować.

- Czy radiotelegrafista jest stale na służbie?

Kennedy zawahał się:

- Nie wiem. Zdaje się, że alarmuje go dzwonek.

Zrozumiałem, o co mu chodzi. Jeśli z najrozsądniejszych względów nie sposób zapewnić nieprzerwanej obsługi stacji radiowej, instaluje się urządzenie, które, ilekroć nadchodzi wezwanie na częstotliwości nasłuchu stacji, natychmiast uruchamia dzwonek alarmowy.

- Umiesz obsługiwać krótkofalówkę? - mruknąłem.

Zrobił przeczący ruch głowy.

- Musisz mi pomóc. Trzeba koniecznie...

- Talbot!

Był to głos Royale'a. Usłyszał mnie, byłem pewien, że mnie dosłyszał, i nic na to nie mogłem poradzić: jeżeli powziął najlżejsze podejrzenie, to znaczy, że Kennedy i ja wymieniliśmy już ostatnie słowa, koniec ze mną. Ale pohamowałem się i zamiast zatrzymać się jak przyłapany na gorącym uczynku i zmienić krok w połowie, zwalniałem stopniowo, łagodnie i oglądając się za siebie: Royale znajdował się prawie trzy metry za mną, a na jego twarzy nie było ani cienia podejrzenia czy wrogości. Ale jego twarz zawsze przecież była pozbawiona wyrazu! Royale już przed wielu laty odzwyczyił się w ogóle od posiadania wyrazu twarzy.

- Zaczekaj tu! - rzucił krótko. Minął nas, otworzył drzwi, zerknął do środka, rozejrzał się starannie, a potem skinął na nas. - W porządku. Wchodźcie.

Weszliśmy. Pokój był obszerny, luksusowo urządzone, miał blisko siedem metrów długości. Czerwony dywan od ściany do ściany, czerwone stopy zasłaniające kwadratowe, zamazane deszczem okna, zielone i czerwone perkalowe nakrycia na fotele, cocktail-bar z czerwonymi, krytymi skórą stołkami w jednym kącie, przy drzwiach stół z fornirowanym blatem na osiem osób, a w kącie, naprzeciwko barku, zasłonięta kotarą nisza. To w tej właśnie jadalni, stanowiącej część większego apartamentu, o czym świadczyły wewnętrzne drzwi po lewej i po prawej ścianie, generał prowadził spartański tryb życia, ilekroć przybywał z wizytą na pływającą wyspę.

Vyland był już na miejscu, czekał na nas. Odzyskał chyba równowagę umysłu, musiałem przyznać, że jego gładka, wytworna twarz, starannie przystrzyżony wąsik i skronie lekko przyprószone siwizną idealnie do tego pokoju pasowały.

- Zamknij drzwi - polecił Larry'emu, a potem odwrócił się do mnie i głową wskazał niszę zasłoniętą kotarą. - Ty będziesz jadł tam, Talbot.

- Jasne - zgodziłem się. - Najemny wyrobnik. Mnie się daje jeść w kuchni!

- Będziesz tam jadł z tego samego powodu, dla którego w drodze do tego pokoju nie spotkałeś na korytarzu żywej duszy. Myślisz, że chcemy, aby załoga wiertnicza latała i rozgłaszała, że właśnie przed chwilą widziano tu Talbota, ściganego mordercę? Nie zapominaj, że oni mają tu radia, a śmigłowiec codziennie dowozi prasę... Nie sądzi pan, generale, że moglibyśmy już zadzwonić na stewarda?

Pospieszyłem na swoje miejsce przy malutkim stoliku za kotarą i usiadłem. Byłem wstrząśnięty. Powinienem być odczuwać ulgę, że Royale niczego nie podejrzewa, że nim weszliśmy do pokoju generała, chciał tylko skontrolować, czy droga wolna, ale bardziej niepokoiło mnie moje potknięcie. Skupiając całą uwagę na najbliższych problemach, zupełnie zapomniałem, że gram rolę mordercy. Gdybym był prawdziwym, ściganym zabójcą, starałbym się zakryć twarz, trzymałbym się środka grupy i ze strachem zerkał za każdy napotkany narożnik. Tymczasem ja nie robiłem nic z tych rzeczy. Ile czasu potrzeba Royale'owi, żeby się zaczął zastanawiać, dlaczego właściwie tego nie robię?

Otworzyły się drzwi zewnętrzne, ktoś, przypuszczalnie steward, wszedł do pokoju. W roli gospodarza i rozkazodawcy tym razem znów występował generał, Vyland zaś był jego podwładnym i gościem: generał coraz bardziej imponował mi swą umiejętnością dostosowania się do zmieniającej się roli i niezawodnym panowaniem nad sobą w każdych okolicznościach. Zaczynałem żywić nadzieję, że może niegłupio byłoby choć częściowo wtajemniczyć generała w bieg wypadków, w pewnym sensie skorzystać z jego pomocy. Nie miałem już teraz wątpliwości, że potrafi wiarygodnie przeprowadzić każdy oszukańczy podstęp, każdą podyktowaną okolicznościami dwulicową gierkę. Ale jeśli idzie o szanse nawiązania z nim kontaktu, równie dobrze mogłem znajdować się w odległości tysiąca mil od jego osoby.

Generał zadysponował obiad; za wychodzącym stewardem zamknęły się drzwi, przez minutę chyba panowało całkowite milczenie. Potem ktoś się podniósł i przeszedł przez pokój, a następnie dobiegł mnie brzęk butelek i szklanek. Takie drobiazgi jak morderstwo, porwanie czy podwodne poszukiwania milionowego skarbu nie mogły przecież stanowić przeszkody w przestrzeganiu obyczajów staroświeckiej gościnności ludzi Południa. Gotów byłem założyć się o każdą sumę, że to generał osobiście pełnił rolę barmana - i miałem rację; o jeszcze więcej

założyłbym się, że pominię Talbota mordercą - ale tu byłem w błędzie. Ktoś odsunął kotarę alkowy, a sam generał postawił przede mną szklaneczkę. Przez parę sekund stał pochylony nad moim stolikiem, a spojrzenie, jakim mnie obrzucił, nie było spojrzeniem, jakim się darzy notorycznego mordercę, który na domiar porwał kiedyś córkę i groził jej śmiercią. Było to długie, powolne, wyrozumiałe, pełne namysłu spojrzenie, a potem, w sposób równie trudny do uwierzenia, co nie pozostawiający ani cienia wątpliwości, generał wykrzywił w uśmiešku kącik ust i przymrużył jedno oko. Po chwili już go nie było, a zasłona opadła na miejsce, oddzielając mnie od reszty towarzystwa.

Nie był to owoc mojej wyobraźni, wiedziałem, że sobie tego nie wymyśliłem. Generał mnie przejrzał! Na ile mnie przejrzał, nie miałem nawet pojęcia, tak samo jak pojęcia nie miałem, co sprawiło, że wykrył to, co wiedział lub podejrzewał. Pewny byłem tylko jednego: od córki niczego się nie dowiedział. Zbyt mocno wbilem jej do głowy konieczność przestrzegania bezwzględnej tajemnicy.

Z pokoju dochodził szmer rozmowy. Uświadomiłem sobie, że głos ma teraz generał Ruthven.

- Jest to cholernie obraźliwe i absolutnie bzdurne - mówił właśnie tonem, jakiego nigdy dotąd u niego nie słyszałem. Tonem oschłym, lodowatym; bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że taki właśnie ton daje najlepsze rezultaty, gdy chodzi o uśmierzenie zbuntowanej rady nadzorczej. - Nie winię Talbota, choć to morderca. Musimy skończyć z tym wymachiwaniem bronią, z tym trzymaniem straży. Będę się przy tym upierał, Vyland. Boże święty, chłopie, przecież to jest absolutnie zbędne! Nie sądzę, aby człowiek pańskiego pokroju lubował się w tego rodzaju tanich melodramatach. - Generałowi najwidoczniej coraz bardziej przypadła do serca myśl, aby przeciwstawić się temu ustawicznemu pilnowaniu pod lufą pistoletu, a przynajmniej nieustającemu nadzorowi. - Niech pan spojrzysz na pogodę: człowieku, przecież w ciągu co najmniej dwunastu najbliższych godzin nikt się stąd nie ruszy! Nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy sprawić najmniejszych kłopotów, a zresztą pan przecież wie, że ja przede wszystkim nie życzę sobie żadnych kłopotów. Za moją córkę i za Kennedy'ego mogę ręczyć osobiście.

Generał był szczwany, szczwany jak lis, bardziej szczwany niż Vyland i Royale. Było trochę za późno, żeby stawiać opór temu nadzorowi, ale domyślałem się, że w rzeczywistości generałowi chodziło o odzyskanie swobody ruchów - może dla niego samego, ale bardziej prawdopodobne, że dla jego szofera. Co więcej, umiał postawić na swoim. Vyland był zgodny, zastrzegając jedynie, że kiedy on i Royale opuszczą się na pokład batyskafu, generał, szofer i Mary przebywać będą w pokoju nad filarem, razem z pozostałymi ludźmi Vylanda.

Ciągle jeszcze nie miałem pojęcia, iloma faktycznie ludźmi Vyland dysponował na pokładzie pływającej wyspy, ale prawdopodobnie się wydawało, że prócz Larry'ego, Cibattiego i jego przyjaciela, miał jeszcze co najmniej trzech innych. I to wszystko ludzi pokroju Cibattiego.

Rozmowa urwała się, skoro tylko zapukano do drzwi. Steward - albo może stewardzi - nakrył do stołu i chciał serwować posiłek, ale generał kazał mu wyjść. Kiedy drzwi się zamknęły, powiedział: - Mary, czy nie mogłabyś zanieść czegoś Talbotowi?

Doszedł mnie delikatny odgłos przesuwania krzesła na dywanie, a potem głos Kennedy'ego: - A może ja to zrobię, sir?

- Dziękuję, Kennedy. Za chwileczkę, tylko moja córka nałoży. - Wkrótce zasłonę odsunięto w jedną stronę, a Kennedy starannie postawił przede mną talerz. Obok talerza położył niewielką niebieską książeczkę w skórzanej oprawie, wyprostował ją, spojrzął na mnie bez wyrazu i odszedł.

Odszedł, nim jeszcze zdałem sobie sprawę z wagi tego, co uczynił. Wiedział doskonale, że jeśli nawet generał wywalczył jakieś ustępstwa w zakresie swobody ruchów, nie odnosiły się one do mnie. Ja miałem pozostawać pod czujnym okiem i pistoletem przez sześćdziesiąt sekund na minutę, sześćdziesiąt minut na godzinę, a więc znikła ostatnia szansa rozmowy między nami. Ale nie ostatnia realna szansa porozumienia, o czym świadczyła leżąca koło mnie książeczka.

Właściwie nie była to książeczka w pełnym tego słowa znaczeniu, raczej coś pośredniego między kalendarzykiem a notesem, z malutkim ołówkiem zatkniętym w skórzaną pętelkę: setki tysięcy takich kalendarzyków rozdają co bardziej wypłacalnym klientom garaże i warsztaty samochodowe, najczęściej w okolicach Bożego Narodzenia. Prawie każdy szofer ma przy sobie taki notes, w którym w odpowiednich rubrykach wpisuje koszt benzyny i oleju, naprawy, przebyte kilometry i zużycie paliwa. Nic z tych rzeczy mnie nie interesowało; interesowały mnie wyłącznie puste miejsca na kartkach notesu i mały kopiowy ołówek.

Jednym okiem pilnowałem notesu, drugim zaś zasłony, uszy natomiast nastawiłem na głosy i odgłosy dochodzące zza tej zasłony; jednocześnie systematycznie, przez prawie pięć minut, pisałem, na oślep posługując się widelcem trzymanym w lewej ręce, bo prawą starałem się tymczasem w możliwie najkrótszym czasie jak najzwięźlej opisać to wszystko, co chciałem Kennedy'emu przekazać. Kiedy skończyłem, byłem z siebie zadowolony: nadal bardzo wiele jeszcze spraw pozostawiałem na los szczęścia, ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Ostatecznie ryzyko należało do podstawowych reguł tej gry.

Może w dziesięć minut po tym, jak skończyłem pisać, Kennedy przyniósł mi filiżankę kawy. Notesu nigdzie nie było widać, ale nie zawahał się ani przez chwilę, bez namysłu sięgnął ręką pod leżącą przede mną zmiętą serwetkę, dłonią przykrył notes i gładko wsunął go za pazuchę bluzy. Moje zaufanie do Simona Kennedy'ego wzrosło teraz niepomiarnie...

W pięć minut później Vyland i Royale zaprowadzili mnie z powrotem na drugą stronę pływającej wyspy. Pokonywanie siły podmuchu huraganu szalejącego na odkrytym pokładzie wcale nie było tym razem łatwiejsze niż poprzednio, w ciągu minionej pół godziny mrok się pogłębił i teraz panowała już ciemność jak w nocy.

Dwadzieścia po trzeciej opuściłem się ponownie do batyskafu i szczelnie zamknąłem za sobą pokrywę wjazdu:

Rozdział X

O wpół do szóstej opuściłem batyskaf. Cieszyłem się, że wyłażę. Kiedy nie ma pracy, wypełniającej czas - a jeśli nie liczyć czynności, które zajęły mi dokładnie jedną minutę, tego popołudnia nie kiwnąłem nawet palcem - wewnątrz batyskafu jest wyjątkowo mało atrakcyjne dla rozrywki i wypoczynku. Pozostawiłem Cibattiemu przyśrubowanie pokrywy wjazdu w podłodze filaru, a sam wspiąłem się po stu osiemdziesięciu żelaznych szczeblach do górnego pomieszczenia. Znajdował się tam Royale, sam jeden.

- Skończyłeś, Talbot? - zapytał.

- To wszystko, co mogłem zrobić tam, na dole. Potrzebuję papieru, ołówka, książki obsługi. Jeżeli mam rację, a myślę, że mam, uda mi się te silniki uruchomić w ciągu pięciu minut od zejścia na dół. Gdzie Vyland?

- Generał wezwał go pięć minut temu. - Brawo, generał! Dokładny co do sekundy... - Poszli dokądś, nie wiem dokąd.

- Nieważne. To mi zajmie najwyżej pół godziny. Możesz mu powiedzieć, że będziemy gotowi zaraz po siódmej. Teraz potrzebuję papieru, trochę ciszy i spokoju, żeby przeprowadzić wyliczenia. Jakie jest najbliższe pomieszczenie?

- A tu nie możesz? - Royale łagodnie się uśmiechał. - Każę Cibattiemu przynieść papier.

- Jeżeli ci się zdaje, że potrafię pracować, podczas gdy Cibatti bez przerwy będzie się we mnie gapił wzrokiem zdechłego dorsza, to jesteś w wielkim błędzie. - Zastanawiałem się przez chwilę. - Wracając tutaj mijaliśmy na korytarzu, kilka metrów stąd, normalnie urządzoną pracownię. Drzwi były otwarte. Zauważyłem porządne biurko, papier, linijki i wszystko, czego mi trzeba.

- Co w tym trudnego? - Royale wzruszył ramionami i stanął z boku, żeby pozwolić mi przejść. Kiedy wychodziłem, z filaru przez szyb wyłonił się Cibatti, a nim przeszedłem ze trzy metry, usłyszałem za nami solidny stuk zasuwanego rygla i zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Obowiązki strażnika pałacowego Cibatti traktował ze śmiertelną powagą.

W połowie korytarza otwarte drzwi prowadziły do niewielkiego, względnie wygodnie wyposażonego pokoju. Obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że Royale skinął głową, więc wszedłem do środka. Pokój wyglądał tak, jak gdyby służył architektowi za pracownię, bo na sztalugach stały dwa spore rajzbrety, a za nimi wisiały lampy kreślarskie. Zrezygnowałem z nich jednak na korzyść wielkiego, pokrytego skórą biurka, przy którym stał wygodny fotel.

Royale rozejrzał się po pokoju w sposób, w jaki zawsze będzie się rozglądał po każdym pokoju. Nie można było wyobrazić sobie Royale'a siadającego gdziekolwiek plecami do drzwi, pod oknem albo tam, gdzie padałoby mu światło w oczy. Tak samo zachowywałby się chyba w pokoju niemowlaków. W tym przypadku jednak lustrował pokój bardziej z punktu widzenia jego przydatności jako celi więziennej, a to, co zobaczył, najwidoczniej go zadowoliło: prócz drzwi, przez które właśnie weszliśmy, było jeszcze tylko okno ze szlifowaną szybą wychodzące na pełne morze. Wybrał krzesło stojące dokładnie pod środkową lampą sufitową, zapalił papierosa i tak tkwił bez ruchu. Światło lampy odbijało się w jego ulizanych ciemnoblonde włosach, a wyprana z wszelkiego wyrazu twarz pozostawała w cieniu. Odległość między nami nie przekraczała dwóch metrów, ale nie zdążyłbym pokonać połowy drogi do jego krzesła, on bez pośpiechu wyciągnąłby swój mały pistolecik i wywiercił we mnie dwie małe dziurki. A poza tym w tym konkretnym momencie stosowanie przemocy nie było wskazane - przynajmniej jeśli o mnie mowa.

Spędziłem dziesięć minut na smarowaniu jakichś cyfr na kartce papieru, majstrowaniu suwakiem logarytmicznym, zaglądaniu do schematu obwodów elektrycznych bez żadnych skutków. Wcale nie ukrywałem, że nie osiągam wyników. Zniecierpliwiony mlaskałem językiem, drapałem się końcem ołówka po głowie i z rosnącym podenerwowaniem rozglądałem się po ścianach, drzwiach, oknach. Ale największe zdenerwowanie okazywałem patrząc na Royale'a. Wreszcie dotarło do niego! Musiałby się chyba specjalnie starać, żeby nie pojąć, w czym rzecz.

- Moja obecność ci przeszkadza, Talbot?

- Co? No, niezupełnie... po prostu jakoś nie potrafię...

- Nie wychodzi tak łatwo, jak ci się zdawało, co?

Przyglądałem mu się w pełnym złości milczeniu. Jeżeli on tego nie zaproponuje, ja sam będę to musiał zrobić, ale na szczęście oszczędził mi fatygi.

- Chyba mnie tak samo jak tobie zależy, żeby już z tym skończyć... Należysz pewnie do tych facetów, którzy nie lubią, jak ich coś rozprasza. A ja cię na pewno rozpraszam - bez szemrania podniósł się z miejsca, zerknął na leżącą przede mną kartkę, jedną ręką uniósł swoje krzesło i skierował się ku drzwiom. - Poczekam na zewnątrz.

Nie odpowiedziałem, tylko krótko skinąłem głową. Wyjął klucz od wewnątrz drzwi, wyszedł na korytarz, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Wstałem i na koniuszkach palców podszedłszy do drzwi, czekałem.

Długo nie musiałem czekać. Po upływie minuty usłyszałem odgłosy kroków, ktoś szybko szedł korytarzem, ktoś powiedział bezspornie amerykańskim akcentem: "Przepraszam, stary!", a potem, niemal w tej samej chwili, rozległ się głuchy odgłos potężnego ciosu, który sprawił, że

nawet ja zatrzepotałem powiekami, cierpiąc niejako w zastępstwie. W chwilę później przekręcono klucz w zamku, drzwi się otworzyły i pomogłem wtaszczyć do pokoju ciężki toból.

Był to Royale, nieprzytomny, jak śnięta ryba. Wciągnąłem go do środka, podczas gdy mężczyzna w sztormowej olejówce, który mi go podał przez drzwi, przekładał klucz i przekręcał go w zamku. Bezzwłocznie zaczął też ściągać zydwestkę, płaszcz i sztylpy; pod tym wszystkim jego kasztanowa liberia była jak zawsze niepokalana.

- Niezgorzej - mruknąłem. - Udała się i pałka, i amerykański akcent. Nawet mnie wprowadziłeś w błąd.

- Royale'a wprowadziłem w błąd. - Kennedy nachylił się i lustrował już siniejącą ranę nad skronią Royale'a. - Może za mocno go stuknąłem... - Był tym głęboko zaniepokojony, zupełnie tak jak ja, gdybym przypadkiem nadepnął na jadowitą tarantulę. - Wyżyje?

- Wyżyje. Chyba od dawna już cieszyłeś się na samą myśl o takiej rozkoszy: - Zrzuciłem swój płaszcz i starałem się jak najszybciej uporać ze sztormową olejówką. - Wszystko załatwione? Ładunek w warsztacie?

- No wie pan - powiedział z wyrzutem. - Miałem pełne trzy godziny.

- W porządku. A jeżeli nasz tu obecny przyjaciel zacznie zdradzać objawy przytomności?

- Chyba będę musiał znów go lekko pogłaskać - odpowiedział Kennedy rozmarzonym głosem.

Wyszczrzyłem zęby i wyszedłem. Nie miałem pojęcia, jak długo uda się generałowi zatrudnić Vylanda przy jakimś rzekomym zadaniu, do którego go wezwał, ale podejrzewałem, że to nie potrwa zbyt długo: Vyland zaczynał ostatnio przejawiać nieco nadmierne zaniepokojenie z powodu upływającego czasu. Niewykluczone, że najzupełniej niepotrzebnie przypomniałem mu o agentach federalnych, którzy może nawet już teraz czekają tylko na poprawę pogody, by pojawić się na wyspie i przesłuchać generała, ale kiedy Vyland wycelował we mnie lufę pistoletu, to była jedyna brzytwa, jakiej tonąc potrafiłem się chwycić.

Na odsłoniętym pokładzie studniowym wicher wył i dął z nie zmniejszoną siłą, ale kierunek się zmienił i musiałem torować sobie drogę prawie wprost pod wiatr. Teraz wiał z północy, wiedziałem więc, że oko cyklonu musiało przejść gdzieś na północ od nas, zataczając łuk w kierunku Tamy. Zanosiło się na to, że w ciągu kilku godzin uspokoją się i wiatr, i morze, ale na razie wiatr był równie silny jak przedtem, toteż tak mocno musiałem skulić głowę i ramiona, że patrzyłem w tył, na już przebytą drogę. Zdawało mi się, że w niemal całkowitych ciemnościach dostrzegłem jakąś postać torującą sobie za mną drogę wzdłuż liny ratunkowej, ale nie zwracałem na to uwagi. Tą liną posługiwano się tu zapewne przez okrągły dzień.

Zresztą minął już czas rozważań, starannego wypatrywania każdego potencjalnego niebezpieczeństwa na drodze. Teraz gra toczyła się o wszystko albo nic. Dotarłem na drugą stronę i zapuściłem się w długi korytarz, gdzie tego samego popołudnia udało mi się szeptem wymienić parę słów z Kennedym. Na końcu korytarza skręciłem nie jak przedtem w lewo, lecz w prawo, zatrzymałem się, żeby zorientować się, gdzie jestem, i ruszyłem w kierunku szerokiej zejściówki, prowadzącej, jak mówiła Mary, na właściwy pokład wiertniczy. Kręciło się tu parę osób, jakieś mijane przeze mnie otwarte drzwi prowadziły do pomieszczenia rekreacyjnego, szarego od dymu i pełnego ludzi: najwidoczniej wszystkie prace na pokładach wiertniczym i górnym zostały zupełnie wstrzymane. Wiertaczy to nie martwiło, ich dziesięciodniowy turnus opłacany był od chwili opuszczenia brzegu do ponownego wejścia na ląd. Mnie zaś też to nie martwiło, bo szedłem właśnie na pokład roboczy, a brak jakiegokolwiek ruchu mógł tylko ułatwić mi zadanie.

Mijając kolejny narożnik całym rozpędem, omal nie wpadłem na dwie osoby, które zdawały się sprzeczać o coś gwałtownie: byli to Vyland i generał. Vyland mówił najwięcej, ale kiedy przeprosiłem go za potrącenie, przerwał i zmierzył mnie wzrokiem, ja zaś poszedłem dalej wzdłuż korytarza. Byłem pewny, że nie mógł mnie rozpoznać, zydwestkę nasunąłem na same oczy, wysoki luźny kołnierz sztormowej olejówki podniesiony miałem pod nos, ale najważniejsze, że przestałem utykać. Mimo wszystko jednak czułem niemiłą sensację między łopatkami, która przeszła mi dopiero, gdy skręciłem za kolejnym rogiem i zszedłem im z oczu. Nie miałem pewności, czy to dobrze, czy źle, że między generałem a Vylandem doszło do jawnego sporu. Jeżeli generałowi udało się zainteresować Vylanda bez reszty jakimś spornym zagadnieniem natychmiastowej i osobistej wagi dla nich obu, to wszystko w najlepszym porządku; jeśli natomiast Vyland robi mu wymówki z tytułu jakiejś zbędnej jego zdaniem zwłoki, sprawy mogą przybrać naprawdę kiepski obrót. Jeżeli wcześniej ode mnie wróci na drugą stronę pływającej wyspy, strach nawet pomyśleć, jakie mogą wyniknąć z tego konsekwencje. Przestałem więc o tym myśleć. Puściłem się biegiem, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia pracowników, nie mogących w żaden sposób pojąć powodów takiego przyływu energii w czasie praktycznie biorąc wysoko płatnego urlopu. Wreszcie dopadłem zejściówki i zacząłem piąć się w górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Mary, szczelnie opatulona w plastikowy płaszcz deszczowy z kapturem, czekała u szczytu schodów za zamkniętymi drzwiami. Kiedy raptownie zatrzymałem się przed nią, cofnęła się i wstrzymała dech, a ja na moment ściągnąłem kołnierz olejówki, aby mnie mogła rozpoznać.

- To pan! - gapiała się na mnie. - Pan... z chorą nogą... co się stało, że pan nie utyka?

- Nigdy nie utykałem. To służyło mi tylko do lepszej charakteryzacji. Gwarantowany sposób rozwiania wszelkich podejrzeń. Kennedy mówił pani, do czego jest mi pani potrzebna?

- Jako... pies łańcuchowy. Mam stać na straży.

- Otóż to. Nie chciałem zainkasować kulki czy noża w plecy w kajucie radiooperatora. Przykro mi, że to musi być pani, ale nie ma nikogo innego. Gdzie jest kajuta?

- Za tymi drzwiami - wskazała ręką. - Około piętnastu metrów w tamtym kierunku.

- Chodźmy - chwyciłem klamkę drzwi, niebacznie nacisnąłem, chcąc je otworzyć, i gdybym się tej klamki mocno nie trzymał, wyleciałbym jak z procy i przeokołkowałbym na łeb, na szyję na sam dół schodów. Ale i tak podmuch wyjącego wiatru o sile kowalskiego młota z taką mocą cisnął drzwiami i mną w stalową gródź, że całe powietrze uciekło mi z płuc. Gdyby zydwestka nie zamortyzowała impetu, z jakim boleśnie wyrznąłem potylicą o stalową ścianę, prawdopodobnie straciłbym przytomność. Wisiałem tak przez chwilę, mając w głowie wirujący kalejdoskop najjaskrawszych barw, zgięty wpół, by stawić czoło huraganowej sile wiatru. Krztusiłem się boleśnie, usiłując przezwyciężyć wstrząs wywołany uderzeniem i zasysającym działaniem wiatru oraz wciągnąć nieco powietrza do obolałych płuc; potem wyprostowałem się i słaniając się na nogach, przedostałem się przez drzwi, ciągnąc Mary za sobą. Dwukrotnie usiłowałem drzwi zatrzasnąć, ale przy nie słabnącym naporze wichury nie mogłem ich nawet domknąć do połowy. Wreszcie dałem za wygraną. Z dołu mogli sobie wysłać choćby cały pluton, żeby te drzwi zatrzasnąć, i zapewne wkrótce to uczynią, ale ja musiałem zająć się bardziej nagłymi sprawami.

To był koszmar, nie noc! Posępny, wyjący koszmar. Z całych sił zacisnąłem powieki, by stawić czoło gnany przez huragan i ostrym jak nóż porywom deszczu, i spojrzałem w czarne niebo. Siedemdziesiąt metrów nad głową ledwie rozróżnić mogłem regularne migotanie ostrzegawczych światełek przeciwlotniczych na wierzchołku szybu wiertniczego, w taką noc zupełnie niepotrzebnych - bo przecież pilot znajdujący się teraz w powietrzu musiałby chyba być niespełna rozumu - a jednocześnie zupełnie nieprzydatnych z punktu widzenia oświetlenia na poziomie pokładu. Brak światła miał swoje dobre i złe strony, ale na ogół byłem z tego zadowolony: wprawdzie nie widziałem, dokąd idę, więc mogłem się nadziać na jakieś niebezpieczne, nawet paralizujące przeszkody, ale z drugiej strony nikt inny także nie zobaczy, dokąd idę.

Ramię w ramię, chwiejnym, niepewnym krokiem jak para pijaków przetoczyliśmy się przez pokład, kierując się ku kwadratowej plamie światła, padającej z niewidocznego okna. Dotarliśmy do osłoniętych od wiatru drzwi po południowej stronie, w pobliżu narożnika, i właśnie miałem się nachylić i zerknąć przez dziurkę od klucza, gdy Mary chwyciła klamkę, pchnęła drzwi i weszła do niewielkiej, nie oświetlonej sieni. Czując się trochę nieswojo, wyprostowałem się i poszedłem za nią. Lekko zamknęła za sobą drzwi.

- Drzwi wejściowe znajdują się na przeciwległym końcu, po prawej stronie - szepnęła. Oburącz objęła mnie za szyję, żeby móc mi szeptać do ucha, jej głosu nie słysząc było z odległości kilkudziesięciu centymetrów. - Zdaje się, że ktoś jest w środku.

Stałem bez ruchu i nasłuchiwałem, podczas gdy ona nadal obejmowała mnie za szyję. W bardziej sprzyjających okolicznościach mógłbym tak stać całą noc, ale nie były to sprzyjające okoliczności. Zapytałem: - Czy to możliwe że po prostu zostawiają zapalone światło, by na dźwięk dzwonka alarmowego radiooperator mógł trafić do kajuty?

- Zdawało mi się, że słyszałam, jak coś się poruszyło - wyszeptała.

- Nie ma czasu na sprawdzanie. Zostań w korytarzu - mruknąłem. - Wszystko będzie w porządku. - Uwalniając szyję z jej ramion, uściśnąłem jej dłoń dla dodania otuchy i z goryczą pomyślałem, że Talbot pozostaje zawsze wierny swoim ideałom. Potem powlokłem się korytarzem, otworzyłem drzwi i wszedłem do pomieszczenia radiooperatora.

Przez chwilę stałem w miejscu, mrużąc oczy w jaskrawym świetle, ale nie aż tak szybko mrużąc, bym nie dostrzegł wielkiego, potężnego typu, siedzącego przed stołem z aparaturą radiową, który w chwili otwarcia drzwi odwrócił się na krzesło. Gdybym go nawet nie dostrzegł, z pewnością usłyszałbym go w ułamek sekundy później, kiedy z hukiem kopnął krzesło w tył i zerwał się na równe nogi, dokonując zwrotu z szybkością zaskakującą u tak potężnego mężczyzny, by znaleźć się dokładnie naprzeciw mnie. Naprawdę potężne chłopisko! Był ode mnie wyższy, znacznie szerszy, cięższy i młodszy; podobne twarze, brutalne, smagłe, czarnoookie i czarnowłose, widuje się czasami u Amerykanów wywodzących się z Włoch w pierwszym lub drugim pokoleniu. Jeżeli on był autentycznym radiooperatorem, to ja byłem królową Sabą.

- Skąd ta panika? - spytałem krótko. Staralem się mówić najlepszym amerykańskim akcentem, ale wypadło fatalnie. - Szef przesyła ci depeszę.

- Co za szef? - spytał cicho. Budowa ciała mistrza wagi ciężkiej i pasująca do niej twarz niekoniecznie muszą iść w parze z umysłem debila, a ten chłopak debilem nie był. - Pokaż no się bliżej, stary.

- Co cię ugryzło? - spytałem. Opuściłem kołnierz płaszcza. - O co ci chodzi?

- A teraz kapelusz - powiedział spokojnie.

Zdjąłem kapelusz i cisnąłem mu w twarz w tej samej chwili, kiedy usłyszałem, jak wypluł z siebie jedno jedyne słowo: Talbot! Nim jeszcze rzuciłem kapeluszem, padłem na podłogę i lewym ramieniem rąbnąłem go z całych sił w sam środek brzucha. Przypominało to zderzenie z pniem drzewa, ale on nie był aż tak mocno zakotwiczony jak drzewo, toteż poleciał na ziemię.

Z takim łoskotem wyrznął głową i ramionami w przeciwległą ścianę, że kajuta radiooperatora zatrzęsała się aż po stalowe fundamenty. Na tym powinno się to było skończyć, ale

się nie skończyło. Mógłbym przysiąc, że ten przyjemniaczek nawet okiem nie mrugnął. Podniósł jedno kolano i złośliwie mnie dźgnął tak, że gdyby wylądowało w upatrzonym przez niego miejscu, musiałbym na zawsze rozstać się z tym światem. Na szczęście nie wylądowało, trafiło mnie w klatkę piersiową i przedramię, ale i tak był to cios o sile wystarczającej, by mnie powalić na bok. W chwilę później tarzaliśmy się obaj po podłodze, okładając się pięściami, kopiąc; drapiąc i wyłupując sobie oczy. Markiz Queensberry, autor przepisów boks sportowego, wcale nie byłby z nas zadowolony.

W dwóch punktach miał nade mną zdecydowaną przewagę. Ciężka sztormowa olejówka ograniczała mi swobodę ruchów, a choć przyczyniała się do częściowego zamortyzowania jego krótkich, dźgających ciosów, to jednocześnie krępując mnie odbierała moim razem znaczną część siły uderzenia. Po drugie, on najwidoczniej nie miał absolutnie nic przeciwko temu, aby całą kajutę radiooperatora zamienić w rumowisko połamanych mebli i sprzętu, czego ja za wszelką cenę starałem się uniknąć: wszystko, dosłownie wszystko zależało od tego, czy aparatura radiowa pozostanie nietknięta. Teraz obaj tarzaliśmy się w kierunku stołu radiowego, ja zaś znajdowałem się na spodzie i mogłem dobrze się przyjrzeć, jak jedna z nóg tego stołu łamie się i pada na ziemię pod naporem połączonych ciężarów obu naszych ciał.

W tej chwili nie czułem się już najlepiej. Na własne oczy mogłem się właśnie przekonać, że ten chłop, jak każdy inny, wyposażony był tylko w ramiona i pięści, a nie jak mi się początkowo mogło zdawać, w parę pneumatycznych młotów kowalskich, ale widok walącego się stołu z aparaturą radiową doprowadził mnie do rozpacz. Wcale nie musiałem się specjalnie wysilać, by po szczególnie wrednym ogłuszającym ciosie w dolne żebra zakrztusić się z bólu i bezwładnie paść na podłogę. Natychmiast skorzystał z okazji i już przywiercał mnie do podłogi, ale nagle podniosłem kolano i prawą ręką - jak siekierą rąbnąłem go przez odsłonięty kark z całą siłą, na jaką pozwalała zawadzająca mi olejówka.

Według wszelkich reguł powinien był stracić przytomność jak zdmuchnięta świeca, tylko że on widocznie nigdy nie znał żadnych reguł. Ale krzywdę mu zrobiłem mimo to: jego jęk bólu był równie autentyczny jak mój niedawno. Przez moment był wręcz oszołomiony - wystarczająco długo, bym zdołał wykaraskać się spod niego i tak długo toczyć się po podłodze, aż się oparłem o na wpół otwarte drzwi, przez które wszedłem do pokoju. Mógłbym wprowadzić go do podłogi w tym samym miejscu, gdzieśmy razem upadli, ale nie miałem zamiaru w najmniejszym choćby stopniu ryzykować zderzenia z kilkoma rozłupanymi fragmentami nogi od stołu - a to było wszystko, co chroniło nadajnik radiowy przed zdruzgotaniem o stalowy pokład.

Prawdziwy był z niego twardziel. Kiedy ja zerwałem się na równe nogi, on też już się podniósł, drżący, ale stanął o własnych siłach. Przez chwilę myślałem, że już mu odeszła ochota na

te całe zapasy wręcz; najwyraźniej świadczyło o tym ciężkie drewniane krzesło, które uniósł w górę i ze świstem brał nim rozmach przez ramię. Ale kiedy się uchyliłem i usłyszałem, jak krzesło gdzieś za mną rozbija się o framugę drzwi, okazało się, że to miało być tylko przygotowanie artyleryjskie dalekiego zasięgu i że siły szturmowe dopiero później ruszą do natarcia. "Później" w tym przypadku znaczyło zresztą "nieomal jednocześnie", ale udało mi się uniknąć wściekłej młócki przypominającej szarżę byka na arenie, obrócić się na pięcie i stawić czoło kolejnemu natarciu.

Do tego jednak nie doszło. Przykucnął właśnie naprzeciwko mnie szczerząc zęby, a jego oczy wyglądały jak para złowieszczych szczelin w smągłej, południowej twarzy, ręce oparł za sobą o ścianę, aby zwiększyć impet zamierzonego skoku, ale w tym właśnie momencie, wysoko w górze, w odrzwiach znajdujących się za nim, dostrzegłem wylaniającą się wiotką dłoń w białej rękawicze, która trzymała nogę krzesła.

Mary Ruthven uderzyła go; mógłbym się z góry założyć o wszystkie pieniądze, że właśnie tak zrobi - było to pełne wahania puknięcie w głowę, które nawet karaluchowi nie odebrałoby przytomności. Mimo to odniosła galwanizujący skutek elektrycznego wstrząsu. Mój przeciwnik raptownie odwrócił głowę, chcąc zlokalizować źródło nowego zagrożenia, a w tej samej chwili ja dałem dwa długie susy i ze wszystkich sił, jakimi jeszcze dysponowałem, wyrzuciłem go w kark.

W boksie jest to jeden z najbardziej zabójczych ciosów mogący z łatwością zwichnąć szczękę lub skrócić kark. Tak też byłoby się niechybnie stało u każdego normalnego człowieka. Ale on był wręcz fenomenalnie wytrzymały. Z łoskotem znowu opadł na stalową gródź i zaczął osuwać się na podłogę, nie mogąc zogniskować wzroku, ale nawet osuwając się, zrobił jeszcze jeden, ostatni, rozpaczliwy wysiłek, by rzucić się na mnie, objąć mnie za nogi i powalić na ziemię. Ale tym razem zawiodła go już koordynacja ruchów i wyczucie czasu. Zdążyłem cofnąć się w chwili, gdy jego twarz znalazła się w pobliżu mojej prawej stopy. Nie widziałem powodów, dla których nie miałbym doprowadzić do zderzenia obu tych obiektów, wszystko natomiast przemawiało za tym, tak też więc postąpiłem.

Leżał teraz na podłodze twarzą do ziemi, z rozcapierzonymi rękami i nogami, cicho i bez ruchu. Ja bynajmniej nie byłem cichy, oddychałem z trudem, powietrze wciągałem wielkimi haustami, jak gdybym właśnie przebiegł milę, choć od lat już nie biegałem nawet na sto metrów. Ramiona, dłonie, twarz miałem mokre od potu, wyciągnąłem więc chusteczkę i otarłem twarz. Ale nie znalazłem śladów krwi ani żadnej rany. Gdyby mi przyszło przy następnym spotkaniu tłumaczyć Vylandowi, skąd się wzięło podbite oko czy rozkwaszony nos; miałbym naprawdę poważne trudności. Schowałem więc chusteczkę i spojrzałem na dziewczynę stojącą w drzwiach. Ręka jej, w której ciągle jeszcze trzymała nogę krzesła, lekko drżała, oczy miała szeroko rozwarte,

wargi pobladłe, a cień grymasu rysującego się na jej twarzy niełatwo można było pomylić i uznać za zaczątki podziwu i adoracji.

- Czy pan... czy pan musiał użyć buta? - zapytała drżącym głosem.

- A jak pani chciała? Czego miałem użyć? - odparłem z wściekłością. - Wnętrza dłoni dla otarcia potarganych brwi? Niech no panienka będzie dorosła. Ten facet nigdy w życiu nie słyszał o Małym Lordzie Fauntleroy. Gdybym mu zostawił choć cień szansy, posiekałby mnie na drobne kawałki i nakarmiłby mną rekiny. No więc, niech pani tu stoi nad nim z pałką w ręku i jak tylko ruszy powieką - stuknie go, ale tym razem mocniej. I tak - dodałem szybko, aby mnie nie podejrzewała o niewdzięczność - jestem pani ogromnie zobowiązany za to, co pani do tej pory dla mnie zrobiła.

Odwróciłem się, bo od chwili, gdy wszedłem do kajuty, już straciłem bezcenną minutę, i od razu znalazłem to, czego szukałem. Kilka kołków w ścianie ozdobionych było ciasno skręconymi szpulkami drutu i przewodów elektrycznych oraz częściami zapasowymi do anten i do naprawy radia. Wybrałem ładną, elastyczną rolkę przewodów elektrycznych i w jednej chwili pięknie związałem radiooperatora, jak kurczaka przed nadzianiem na elektryczny rożen, założyłem pętlę dookoła jego szyi, koniec zaś przywiązałem do klamki kredensu. Może i były jakieś dzwonki, przyciski czy telefony, do których miałby ochotę sięgnąć, ale prędko da za wygraną, kiedy się przekona, że w ten sposób może się tylko udusić. Przez moment zastanawiałem się przelotnie; czy nie zakneblować mu ust. Ale przy potężnym huraganie, wyjąłym na dworze, mógł sobie krzyczyć aż do utraty tchu, i tak nikt by go nie usłyszał pod pokładem.

Przysunąłem sobie jedyne pozostałe w kajucie krzesło i siadłem przed aparatem radiowym. Był to nadajnik standardowy, używany w lotnictwie. Znałem go dobrze i umiałem się nim posługiwać. Włączyłem, nastroiłem na długość fal poleconą mi przez szeryfa za pośrednictwem Kennedy'ego, nałożyłem słuchawki. Byłem pewien, że długo nie przyjdzie mi czekać: policja przez dwadzieścia cztery godziny na dobę prowadzi nasłuch na swoich odbiornikach krótkofalowych. Po upływie trzech sekund od zakończenia mojego sygnału wywoławczego w słuchawkach coś zaczęło trzeszczeć.

- Komenda policji. Szeryf Prendergast przy aparacie. Proszę mówić.

Przerzuciłem przełącznik nadajnika z ręcznego na mikrofon.

- Melduje się radiowóz dziewiętnaście. - Dla celów identyfikacji ten z góry uzgodniony podstęp nie był wcale konieczny, bo wszystkie radiowozy policyjne w powiecie ostrzeżono, aby się nie włączały, szeryf zaś wiedział, że to mogłem być tylko ja, ale w dzisiejszych czasach entuzjastycznych amatorów krótkofalarstwa pełno jest podsłuchujących na wszystkich pasmach fal. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przestępcza organizacja Vylanda także utrzymywała stały

podsluch na długościach fal używanych przez policję. Ciągnąłem więc dalej: - Podejrzany odpowiadający rysopisowi zatrzymany w pobliżu skrzyżowania Ventura. Czy mamy go doprowadzić?

- Nie - zaskrzeczał głos w słuchawce. Przerwa. - Znaleźliśmy poszukiwanego. Możecie podejrzanego zwolnić.

Czułem się, jak gdyby ktoś ofiarował mi milion dolarów. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy opadłem ciężko na oparcie krzesła, nawet nie czułem ogromu wyczerpania, związanego z narastającym napięciem minionych czterdziestu ośmiu godzin. Już sama ulga psychiczna i głębokie zadowolenie przekraczały wszystko, co kiedykolwiek dane mi było przeżyć:

- Radiowóz dziewiętnaście - powtórzyłem. Nawet mnie samemu mój głos nie wydawał się szczególnie opanowany. - Proszę powtórzyć, dobrze?

- Zwolnijcie podejrzanego - Prendergast mówił powoli i dobitnie. - Złapaliśmy naszego człowieka. Powtarzam, złapaliśmy...

Nadajnik podskoczył dobre pięć centymetrów w tył, w samym środku pasma strojenia pojawiła się szczerbata dziura, kajuta radiooperatora eksplodowała mi w uszach z ogłuszającym hukiem. Taki był niszczący efekt odpalenia ciężkiego pistoletu w ciasnym pomieszczeniu.

Ja sam podskoczyłem nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów, a gdy opadłem na krzesło, normalnie podniosłem się na równe nogi, ale powoli, ostrożnie. Nie chciałem, by ktoś się zdenerwował, a przecież ten ktoś, kto wykręcił taki głupi numer, zupełnie niepotrzebnie rozwalił nadajnik i uprzedził tym samym gliniarzy, że coś jest nie tak, był naprawdę bardzo zdenerwowany. Wcale nie mniej niż ja, kiedy się odwróciłem i zobaczyłem nieproszonego gościa.

Był to Larry. Dymiący Colt w jego dłoni wycelowany był - na tyle, na ile pozwalały jego rozdygotane ręce - wprost między moje oczy. Wielkością przypominał haubicę. Larry miał proste czarne włosy, zlepione i ulizane nad czołem a za trzęsącą się lufą dygotały płonące i szalone, czarne jak węgiel oczy. Właściwie widziałem tylko jedno oko, drugiego nie mogłem dostrzec, a także pół twarzy, dłoń dzierżącą pistolet oraz lewą rękę, zaciśniętą wokół szyi Mary Ruthven. Całą resztę całkowicie zasłaniała dziewczyna. Popatrzyłem na nią z wyrzutem.

- Ładny z pani pies łańcuchowy - powiedziałem łagodnie.

- Stul pysk! - warknął Larry. - Glina, co? Menda. Parszywy tchórz, zdradziecki klawisz! - Obrzucił mnie jeszcze innymi wyzwiskami - wszystkie bez wyjątku niecenzuralne - a głos jego syczał nienawiścią.

- Znajdujesz się w obecności młodej damy, przyjacielu - mruknąłem.

- Damy?... dziwki! - zacisnął uchwyt wokół jej szyi, jak gdyby to mu sprawiało przyjemność. Domyśliłem się, że swego czasu omyłkowo próbował ją poderwać i to go musiało

zdrowo rąbnąć. - Myślałeś, żeś taki cwaniak, Talbot, co? Myślałeś, że wszystko potrafisz, myślałeś, że nas wszystkich wywiodłeś w pole, prawda, gliniarzu? Ale mnie, Talbot, nie wywiodłeś w pole. Ja czuwałem nad tobą, od chwili przylotu na pływającą wyspę łąziłem za tobą bez przerwy. - Był naćpany narkotykami po dziurki w nosie, trzął się i podskakiwał jak przy chorobie świętego Wita, a w jego głosie brzmiał ton jadowitego, mściwego triumfu, typowy dla systematycznie ignorowanego i wyszydzanego człowieka, który na koniec udowodnił, że ma rację, podczas gdy ci wszyscy, którzy nim gardzili, okazali się być w błędzie. Dla Larry'ego była to chwila wielkiego triumfu, nie miał zamiaru rezygnować z choćby jednej nutki. Ale mnie już zdarzało się słuchać bardziej melodyjnych głosów...

- Nie podejrzewałeś, że ja wiem, że jesteś w zмовie z Kennedym, co, gliniarzu? - nie przerywał swojej tyrady. - I z tą dziwką! Widziałem, jak przed dziesięcioma minutami wylazłeś z batyskafu, widziałem, jak ten gładki szofer rąbnął Royale'a w łeb, a...

- Skąd wiedziałeś, że to Kennedy? - przerwałem. - Był przebrany...

- Podśluchiwałem pod drzwiami, frajerze. Mogłem wykończyć cię tam, na miejscu, ale chciałem się przekonać, co knujesz. Myślisz, że ja się martwię, jak Royale dostaje w łeb? - urwał nagle i zaklął, bo dziewczyna bezwładnie osunęła się w jego objęciach. Próbował ją podtrzymać, ale heroina nie zastąpi białka, koniecznego do rozwoju mięśni, więc nawet jej wątły ciężar okazał się dla niego zbyt wielki. Mógł ułożyć ją łagodnie na ziemi, ale tego nie zrobił: cofnął się raptownie i pozwolił, by ciężko opadła na podłogę.

Zrobiłem pół kroku w przód, aż do bólu zaciskając pięści, gotów go byłem zamordować. Larry obnażył zęby i jak wilk wyszczerzył je w moim kierunku.

- Zbliź się, to dostaniesz za swoje, gliniarzu. Zbliź się, to dostaniesz - szeptał. Spojrzałem na niego, potem na podłogę i z powrotem, wreszcie powoli rozluźniłem pięści. - Przestraszyłeś się, gliniarzu, co? Tchórz cię obleciał, gliniarzu, co? Palisz się do niej, gliniarzu? Zupełnie tak, jak ten pedałowaty Kennedy - roześmiał się; a w jego cienkim, falsetowym chichocie wyczuwało się szaleństwo. - Obawiam się, że kiedy wrócę na tamtą stronę, Kennedy'emu przydarzy się wypadek. Kto będzie miał mi za złe, jeśli go sprzątnę po tym, jak walił Royale'a przez łeb?

- W porządku - odpowiedziałem ze znużeniem. - Bohater z ciebie i wielki detektyw. Chodźmy do Vylanda i skończmy z tym.

- Niebawem zrobimy z tym koniec - pokiwał głową. Jego głos stał się nagle bardzo spokojny i mam wrażenie, że w tym wcieleniu jeszcze mniej mi się podobał. - Ale ty nie pójdziesz do Vylanda, gliniarzu, ty nigdy już do nikogo nie pójdziesz. Zastrzelę cię, Talbot. Tu, zaraz, dostaniesz za swoje.

Miałem uczucie, jak gdyby ktoś wytarł mi usta bibułą. Czułem, jak serce wali mi ciężko i wolno, a dłonie stają się mokre od potu. On wcale nie żartował. Za moment pociągnie języzek spustowy swojego ciężkiego Colta, a choćby nawet dożył stu lat, nic nigdy nie sprawi mu większej przyjemności. Koniec. Ale mimo to udało mi się opanować głos.

- No więc zamierzasz mnie zastrzelić? - spytałem wolno. - Dlaczego?

- Dlatego że nienawidzę cię, gnoju, parszywcze, właśnie dlatego, Talbot - powtarzał drżącym szeptem dźwięczącym przeraźliwie. - Dlatego że drwiłeś ze mnie i wyśmiewałeś się od pierwszej chwili, kiedyśmy się poznali, wymyślałeś mi od narkomanów, nałogowców, czubków, zawsze dopytywałeś się o moją strzykawkę. Dlatego że jesteś napalony na tę cizię, a jeżeli ja nie mogę jej mieć, nikt jej nie będzie miał. I dlatego że nienawidzę glin.

Nie lubił mnie, to było dla mnie oczywiste. Nawet kiedy nic nie mówił, poruszał ustami i wykrzywił je jak epileptyk. To, co przed chwilą powiedział, jeszcze nigdy nikomu dotychczas nie mówił, byłem tego pewien i wiedziałem dlaczego. Nieboszczycy nie zdradzają tajemnic. Lada chwila i ja nim się stanę. Nieboszczykiem. Nieboszczykiem jak Herman Jablonsky. Jablonsky kilkadziesiąt centymetrów pod ziemią, Talbot w morzu, na głębokości czterdziestu metrów, choć wszystko jedno, gdzie się spocznie. Wcale nie było mi lżej na myśl, że zginę z rąk tej rozdygotanej, ogłupiałej od nadużywania narkotyków bryły, przebranej za istotę ludzką.

- Masz zamiar tu mnie wykończyć? - Ani na chwilę nie odrywałem oczu od palca dygocącego na cynglu.

- No właśnie - zachichotał. - W bebechy, niziutko, tak, żebym mógł się trochę dłużej przyglądać, jak się trzepoczesz.

Będiesz wył i wył, ale nikt nawet nie usłyszy. Jak ci to się podoba, glino?

- Czubek - powiedziałem cichutko. Nie miałem nic do stracenia.

- Co? - Jego twarz wyglądała jak maska niedowierzania. Skulił się nad swoim pistoletem w sposób, który w innych okolicznościach przyprawiłby mnie o śmiech. Teraz nie musiałem nawet specjalnie się wysilać, żeby powstrzymać się od śmiechu. - Coś ty powiedział?

- Ućpany - powiedziałem dobitnie. - Jesteś tak ućpany, że nawet nie wiesz, co czynisz. Co masz zamiar zrobić ze zwłokami? - Po raz pierwszy pomyślałem o swoich zwłokach i muszę powiedzieć, że nie było to uczucie szczególnie przyjemne. - Nie dasz rady wynieść mnie stąd, a jeżeli znajdą mnie zastrzelonego w tej kajucie, będą wiedzieli, że to tyś mnie zabił. Wtedy dopiero zadyndasz, bo oni ciągle jeszcze bardzo, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebują mojej pomocy. Nie będą cię kochać, Larry, mój chłopcze.

Przebiegle pokiwał głową, jak gdyby sam właśnie to wymyślił.

- Masz rację, glino - mruknął. - Nie mogę cię tu zastrzelić, prawda? Musimy wyjść na dwór, prawda? Nad samą krawędź, żebyś cię mógł zastrzelić i zepchnąć do morza.

- Otóż to - zgodziłem się. Makabryczne wrażenie sprawiały te przygotowania do likwidacji mojej osoby, ale nie byłem tak zwariowany jak Larry. To ryzyko - to moja ostatnia nadzieja. Ale ryzyko zupełnie obłądne.

- A potem będą się kręcili w kółko i szukali ciebie - mówił rozmarzony Larry. - Ja też będę się kręcił w kółko i szukał ciebie, a przez cały czas będę się śmiał w duchu, myślał o tobie i o rekinach, tam w dole, między wodorostami, z poczuciem, że jestem sprytniejszy od nich wszystkich.

- Jesteś naprawdę uroczy - powiedziałem.

- No nie? - Znów ten wysoki falsetowy chichot! Poczulem, jak włosy jeżą mi się na karku. Szturchnął nogą Mary, ale ona ani drgnęła. - Cizia poczeka, aż wrócę. To długo nie potrwa, prawda, glino? No, chodź. Ty przodem. I nie zapominaj, że mam latarkę i pistolet.

- Małe szanse, żebyś zapomniał.

Ani Mary, ani radiooperator nawet nie drgnęli. Byłem prawie pewien, że radiooperator nie drgnie przez czas dłuższy, bo ciągle jeszcze odczuwałem ból w pięści i w stopie. Ale nie miałem żadnej pewności, jeśli idzie o Mary. Nie byłem nawet pewny, czy nie udaje, jej oddech wydawał mi się zbyt przyspieszony i nieregularny przy utracie przytomności.

- No, chodź już! - niecierpliwie powiedział Larry.

Boleśnie dźgnął mnie pistoletem w krzyż. - Jazda!

Wyszedłem przez drzwi, minąłem korytarz i drzwi zewnętrzne, znów znalazłem się na omiatanym wichurą i ulewą pokładzie. Drzwi zewnętrzne wychodziły na osłoniętą stronę kajuty radiowej, ale za chwilę będziemy wystawieni na wałacy jak kafar podmuch wiatru: Zdawałem sobie sprawę, że gdy ta chwila nadejdzie, to będzie teraz albo nigdy.

Okazało się, że właśnie teraz. Popychany pistoletem wpijającym mi się w plecy, okrążyłem narożnik nadbudówki, nisko skulony i pochylony do przodu, by stawić czoło potężnej wichurze, gdy tylko mnie zaatakuje. Larry nie był na to przygotowany. Nie tylko był wątłej budowy, ale stał wyprostowany, a nagłe kołysanie i podrygi snopu światła latarki na pokładzie pod moimi nogami wystarczyły mi aż nadto, by się upewnić, że wiatr złapał go w momencie, kiedy był na to zupełnie nie przygotowany, może nawet rzucił nim kilkadziesiąt centymetrów w tył. Opuściłem głowę jeszcze niżej, aż znalazłem się w pozycji sprintera podczas pierwszych dwóch susów stumetrówki i słaniając się na nogach ruszyłem na spotkanie wiatru.

Niemal natychmiast zdałem sobie sprawę, że pomyliłem się w rachubie. Błędnie oceniłem siłę huraganu: bieg pod taki wiatr przypominał bieg przez beczułkę melasy: Zapomniałem także, że

wiatr wiejący z szybkością przeszło stu dziesięciu kilometrów na godzinę wprawdzie ciała człowieka stawia opór nie do pokonania, ale wywiera tylko minimalny wpływ na ciężki ołowiany pocisk, wystrzelony z Colta z prędkością wyjściową - tysiąca kilometrów na godzinę.

Zdążyłem odskoczyć na jakieś osiem metrów, nim odnalazł mnie gorączkowo przeszukujący pokład snop światła latarki i zamarł w bezruchu. Przebiegłem jeszcze dwa metry, nim Larry wystrzelił.

Gangsterzy i rewolwerowcy znani są jako najgorsi w świecie strzelcy, zazwyczaj stosują bowiem metodę zbliżenia do celu na odległość co najwyżej dwóch metrów albo zalewania obiektu tak obfitym gradem pocisków, że rachunek prawdopodobieństwa działa na ich korzyść; setki razy słyszałem twierdzenie, że tacy faceci z dziesięciu kroków nie trafią nawet we wrota stodoły. Larry, być może, nigdy o tym nie słyszał albo też zasada odnosiła się wyłącznie do wrót stodoły.

Kopnięcie muła jest niczym w porównaniu z siłą przebicia kalibru 0,45. Trafiło mnie w górną część lewego ramienia i okręciło mną tak, że nim padłem na ziemię, zatoczyłem pełne koło. Ale to właśnie uratowało mi życie, bo już padając poczułem ostre szarpnięcie kołnierza mojej sztormowej olejówki, przebitego kolejnym pociskiem. To nie były strzały ostrzegawcze: Larry strzelał, żeby zabić.

I byłby mnie zabił, gdybym pozostał na pokładzie jeszcze przez parę sekund. Znów usłyszałem stłumiony grzmot Colta wśród wycia wichury, ledwie go mogłem odróżnić nawet z odległości dziesięciu metrów - zobaczyłem iskry odbijające się o pokład kilka zaledwie centymetrów od mojej twarzy i usłyszałem wrzaskliwy furkot pustych łusek, rykoszetem padających w ciemność nocy. Ale iskiereki wzbudziły we mnie nadzieję, znaczyło to bowiem, że Larry strzela pociskami pełnymi, w metalowym płaszczu, z gatunku tych, jakich policja używa do przestrzeliwania karoserii samochodowych lub zamkniętych drzwi; pozostawiają ranę o całe niebo czystszej niż płaskonose pociski grzybkujące. Niewykluczone, że przebił mi ramię na wylot.

Zerwałem się na równe nogi i znów pobiegłem. Nie widziałem, dokąd biegnę, nic mnie to zresztą nie obchodziło, najważniejsze było, że uciekam. Oślepiający, bombardujący poryw deszczu z takim gwizdem przetoczył się przez pokład, że musiałem szczelnie zacisnąć oczy, co mi się nadzwyczaj spodobało. Jeżeli ja musiałem oczy trzymać zamknięte, to co dopiero Larry!

Ciągle jeszcze z zamkniętymi oczyma, zderzyłem się z metalową drabiną. Uchwyciłem się jej, by odzyskać równowagę i nim jeszcze zdałem sobie porządnie sprawę z tego, co robię, już byłem trzy metry nad ziemią i nie przerywałem wspinaczki. Może to sprawił odwieczny instynkt człowieka, zawsze starającego się wspiąć jak najwyżej, by ująć niebezpieczeństwu, że w ogóle zacząłem się wdrapywać, ale jeżeli nie przerywałem wspinaczki, to dlatego, że uświadomiłem

sobie, iż drabina ta prowadzić musi na coś w rodzaju platformy, z której uda mi się może odeprzeć atak Larry'ego.

To była okrutna, wyczerpująca wspinaczka. Normalnie nawet przy takim gigantycznym wietrze nie sprawiałaby mi szczególnych trudności, ale w tej sytuacji mogłem posługiwać się wyłącznie jedną ręką. Lewe ramię nie dokuczało mi specjalnie, na to jeszcze było zbyt odrętwiałe, prawdziwy ból przyjdzie dopiero później. Na razie cała ręka sprawiała wrażenie sparaliżowanej, a ilekroć prawą dłońią puszczałem szczebel i sięgałem po następny, wiatr spychał mnie z drabiny, tak że palce zazwyczaj wczepiały się w następny szczebel na pełną odległość wyciągniętego ramienia. Wtedy zdrową ręką musiałem przysunąć się do samej drabiny i cały proces zaczynać od nowa. Po przebyciu jakichś czterdziestu szczebli zdawało mi się, że prawa ręka i ramię były całe w ogniu.

Pozwoliłem sobie na chwilę wytchnienia, zahaczyłem się o szczebel i zerknąłem w dół. Wystarczyło jedno spojrzenie. Zapomniałem o bólu i zmęczeniu, zacząłem wspinać się szybciej niż kiedykolwiek, wdrapując się ku górze jak ogromny niedźwiadek koala. Larry stał u podnóża drabiny, wymachując latarką na wszystkie strony. Nawet jego ptasi mózdzek lada moment musi wpaść na pomysł skierowania tej latarki w górę.

To była najdłuższa drabina, na jaką się w życiu wspinałem. Wydawała się nieskończenie długa. Domyśliłem się teraz, że musi stanowić jakąś część wieży wiertniczej, niemal z całą pewnością była to drabina prowadząca na "małpie gniazdo", wąską półkę, z której jeden z pracowników sterował wydobywanymi z gruntu półtonowymi odcinkami rury wiertniczej i kierował je do znajdujących się w tyle pomieszczeń magazynowych. Przypomniałem sobie jednak, że "małpie gniazdo" jest całkowicie pozbawione poręczy, co nie było pocieszające - poręcze mogły bowiem jedynie zawadzać temu, kto kierował odprowadzaniem na właściwe miejsce ciężkich odcinków wiertła.

Zgrzytliwy, rozdygotany brzęk, jak gdyby w żelazną drabinę uderzył kowalski młot - oto, w jaki sposób Larry zakomunikował, że mnie wreszcie dostrzegł. Pocisk trafił szczebel, na którym spoczywała moja noga i przez chwilę myślałem, że mi przebił stopę. Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie, jeszcze raz szybko zerknąłem w dół.

Larry szedł za mną. Nie mogłem go dostrzec, ale widziałem latarkę trzymaną w jednej dłoni i poruszającą się na chybił trafił, gdy wspinał się po drabinie z szybkością chyba trzykrotnie większą od mojej. To nie było do niego podobne. Larry'ego nikt nigdy nie mógł oskarżać o nadmiar odwagi: albo był nadziany narkotykami po dziurki w nosie, albo poganiał nim strach - strach, że uda mi się uciec, a Vyland się dowie, że próbował mnie zamordować. Była zresztą jeszcze jedna możliwość, i to bardzo prawdopodobna, że pozostał mu w magazynku już tylko jeden lub dwa pociski, więc nie mógł sobie pozwolić na ich marnotrawstwo.

Stopniowo zacząłem zdawać sobie sprawę z jasności nade mną i wokół mnie. Początkowo myślałem, że to musi być odbłask światła ostrzegawczych dla samolotów na szczycie wieży, ale w tej samej chwili, kiedy mi ta myśl przyszła do głowy, przekonałem się, że jestem w błędzie: wierzchołek wieży znajdował się jeszcze około trzydziestu pięciu metrów powyżej miejsca, na którym stałem. Znów zrobiłem przystanek, zacisnąłem oczy nieomal całkowicie, aby się uchronić przed piekącymi razami deszczu, i zerknąłem w górę, w posępny mrok.

Zaledwie trzy metry nad moją głową znajdowała się platforma, a po jej lewej stronie słabo majaczyło światło. Nie było mocne, ale wystarczające, abym zobaczył zarys ciemnej płataniny dźwigarów składających się na wieżę wiertniczą, bym dojrzał nad sobą, a także po prawej stronie, ciemny cień, sprawiający wrażenie jakiejś niewielkiej kabiny. I właśnie wtedy Larry wyprostował latarkę i skierował jej światło pionowo w górę, a ja zobaczyłem coś, co mnie przyprawiło o lekkie mdłości: platforma nade mną nie była z pełnej metalowej blachy, lecz stanowiła ażurową siatkę, przez którą można było dostrzec każdy ruch człowieka. Rozwiała się więc moja nadzieja, że uda mi się zaczekać, aż głowa Larry'ego wynurzy się nad poziom platformy, i wtedy skopać mu ją z ramion.

Zerknąłem w dół. Larry był nie więcej niż trzy metry za mną, pistolet i latarkę trzymał wycelowane prosto we mnie. Mogłem dojrzeć metalowe odbicie światła na lufie i ciemną dziurę w samym środku tam gdzie czaiła się śmierć. Jedno lekkie naciśnięcie języczka spustowego, a z tej czarnej dziury w ciemność nocy wyskoczy język ognia. Za Talbotem zapadnie kurtyna... Mgliście, głupio zacząłem się zastanawiać, czy zdążę odnotować błysk płomienia, nim jeszcze pocisk i niesiona przezeń niepamięć zamkną mi oczy na wieki... A potem zacząłem pomału zdawać sobie sprawę, że Larry nie ma zamiaru strzelać, że nawet Larry nie jest aż tak zwariowany, żeby strzelać, przynajmniej w tej chwili. Dziewięćdziesiąt kilogramów żywej wagi mojego spadającego ciała zdmuchnęłoby go z tej drabiny jak muchę, a z takiej dziesięciopiętrowej wysokości żaden z nas nie potrafiłby odbić się od stalowego pokładu!

Nie przerywałem więc wspinaczki i dotarłem na szczyt. Gdyby była tam masywna platforma, nie sądzę, bym dał radę wdrapać się na nią pod wiatr, moja jedyna zdrowa ręka tak długo grzebałaby po gładkiej metalowej powierzchni, aż wreszcie padłbym z wyczerpania i zleciałbym z drabiny; ale w tej sytuacji udało mi się zacisnąć palce na ażurowej stalowej kracie i podciągnąć się na platformę.

Larry był tuż za mną. Dał mi latarką znak, a ja zrozumiałem, o co mu chodzi. Posunąłem się w bok, minąłem małą kabinę w narożniku, gdzie lampa stojąca w osłoniętej niszy rzucała słabe światło, ucięte nagle na wysokości pasa, i czekałem.

Powoli, ostrożnie, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mojej twarzy, Larry wszedł na górę i wyprostował się. Przesunąłem się dalej wzdłuż "małpiego gniazda", wolniutko, tyłem, twarzą zwrócony do Larry'ego. Po prawej z trudem mogłem rozróżnić wielkie stelaże do składowania rur, po lewej znajdowała się krawędź "małpiego gniazda" bez żadnej poręczy, stromy uskoki nad przepaścią głębokości trzydziestu kilku metrów. Zatrzymałem się. Galeryjka "małpiego gniazda" biegła chyba dookoła całej zewnętrznej strony wieży wiertniczej, a Larry byłby aż nazbyt szczęśliwy, gdyby mnie mógł zapędzić na krawędź północną, gdzie z wiatrem czy bez wiatru potężne pchnięcie - albo pocisk kaliber 0,45 - zwałoby mnie prosto w morze, znajdujące się pięćdziesiąt metrów pod nami.

Larry zbliżył się do mnie. Teraz zgasił latarkę. Stałe światelko w ścianie kabiny pozostawiło wprawdzie nogi w ciemności, ale do jego celów aż nadto wystarczało. Nie chciał w najmniejszym stopniu ryzykować, że ktoś dostrzeże migoczącą latarkę i zacznie się zastanawiać, co za szaleniec wlaźł podczas takiego huraganu na "małpie gniazdo", choć wszelkie prace zostały przerwane.

Zatrzymał się w odległości metra. Sapał ciężko, ale na jego twarzy znów pojawił się wilczy uśmiech.

- Posuwaj się dalej, Talbot! - krzyknął.

Zrobiłem przeczący ruch głowy. - Dalej się nie ruszę. - W rzeczywistości nie mogłem go słyszeć, moja reakcja była czysto automatyczna, zauważyłem właśnie coś, co sprawiło, że poczułem lodowate zimno, o wiele bardziej dojmujące niż zacinać deszczu. Tam w dole, w kajucie radiooperatora, zastanawiałem się, czy Mary Ruthven udaje zemdloną, teraz jednak wiedziałem już, że miałem rację. Była przytomna, musiała ruszyć w drogę natychmiast po naszym wyjściu. Nie mogłem pomylić tej ciemnoblonde głowy, tych ciężkich splecionych warkoczy, które wynurzały się właśnie nad szczytem drabiny pośród ciemnej nocy.

Ty głuptasie, pomyślałem z wściekłością, ty mały zwariowany głuptasie! Nie zastanawiałem się ani przez chwilę nad odwagą, jakiej wymagała taka wspinaczka, ani nad tym, jaki to musiał być wyczerpujący koszmar, ani nawet nad nadzieją, jaką mi zwiastowała. Nie byłem w stanie odczuwać nic prócz goryczy, żalu i rozpacz, nade wszystko zaś niejasnego, lecz stale narastającego przeświadczenia, że mogę uważać, iż dla Mary Ruthven świat się skończył.

- Posuwaj się! - ponownie krzyknął Larry.

- Żebyś mnie mógł zepchnąć do morza? Nie!

- Odwróć się!

- Żebyś mnie mógł rąbnąć tym pistoletem, potem odnaleźć na dolnym pokładzie, a nikt nawet nie podejrzewałby morderstwa? - Mary znajdowała się teraz w odległości już niewiele ponad pół metra. - Nic z tego, Larry, mój chłopcze. Oświetl latarką moje ramię. Moje lewe ramię.

Zapaliło się światło i usłyszałem znów szaleńczy chichot.

- A więc dosięgłem cię, Talbot, co?

- Dosięgłeś. - Mary stała teraz tuż za nim; potężny wiatr zagłuszał każdy nieostrożny ruch, jaki mogła wykonać: Przyglądałem jej się kąciakiem oka, ale teraz spojrzałem wprost na nią ponad ramionami Larry'ego, szeroko otwierając pełne nadziei oczy.

- Spróbuj czegoś innego, glino - chichotał Larry. - Dwa razy mnie tak nie nabierzesz.

Zarzuć mu rękę na szyję albo na nogi, modliłem się w duchu. Albo zarzuć mu płaszcz na głowę! Ale, na litość boską, nie złap go za rękę, w której trzyma broń!

Mary sięgnęła, oczywiście, po rękę z bronią. Objęła go z prawej strony, wyraźnie słyszałem plaśnięcie, gdy prawą dłoń zacisnęła wokół jego prawego nadgarstka.

Przez chwilę Larry stał jak słup soli. Gdyby podskoczył, wykręcił się lub poruszył, rzuciłbym się na niego jak zły pies, ale on się nie poruszył, nieoczekiwany szok przejściowo go sparaliżował. Sparaliżował jednocześnie rękę trzymającą broń - wycelowaną ciągle jeszcze prosto we mnie.

I pozostawała wycelowana prosto w moje serce, kiedy lewą ręką gwałtownie szarpnął prawą dłoń Mary. Szarpnął lewą rękę w górę, szarpnął prawą w dół i już trzymał pistolet w wolnej dłoni. Potem przesunął się lekko w lewo, pchnął ją kilkadziesiąt centymetrów do przodu, przygwoździł do stelaży magazynowych i zaczął jej wykręcać rękę. Teraz już wiedział, kogo trzyma, a na jego twarzy znów się pojawił wilczy uśmiech, jego czarne oczy zaś, podobnie jak pistolet, przez cały czas wycelowane były prosto we mnie.

Przez pięć, może dziesięć sekund stali, tak się ze sobą mocując. Strach i rozpacz dodawały dziewczynie sił, których inaczej nigdy by w sobie nie znalazła, ale Larry także był zdesperowany, a mógł znacznie więcej z siebie wykrzesać. Rozległ się na wpół zduszony jęk bólu i rozpacz: Mary padła przed nim na kolana, a potem osunęła się w bok, Larry zaś nie puszczał jej ręki. Teraz nie mogłem jej już widzieć, znajdowała się poza zasięgiem słabego światła lampy, dostrzegałem tylko leciutki odbłask włosów. Jednocześnie widziałem szaleństwo na twarzy mężczyzny stojącego naprzeciw mnie oraz światło padające z półki małej kabiny, jakiś metr za nim. Uniosłem z ziemi czubek prawego buta i pomagając sobie lewą nogą, usiłowałem oswobodzić stopę. Ale szansy nie miałem żadnej.

- Zbliź się tu, glino - powiedział Larry kamiennym głosem. - Zbliź się albo jeszcze raz przekręcę rękę twojej przyjaciółeczki, a wtedy będziesz jej mógł pomachać na dobranoc. - Nie

żartował, teraz już było mu wszystko jedno, wiedział, że i tak będzie ją musiał zabić. Zbyt dużo wiedziała.

Postąpiłem dwa kroki bliżej. Piętę wysliznąłem już z prawego buta. Larry z całej siły wepchnął mi lufę Colta w usta, poczułem, jak łamie mi się ząb, a potem słonawy smak krwi z rozciętej od zewnętrznej strony górnej wargi. Wepchnął mi pistolet głębiej w gardło.

- Boisz się, co? - zapytał cichutko. Mówił szeptem, ale ja go słyszałem mimo potężnego wycia wiatru. Chyba jest trochę prawdy w tych opowieściach o niezwykle wzmożonej wrażliwości ludzi, którzy mają umierać. A ja przecież miałem za chwilę umrzeć!

Bałem się; nie ulegało wątpliwości. Strach przeszywał mnie na wskroś, jak nigdy przedtem. Ramię zaczęło mnie boleć, chciałem wymiotować, ten cholerny rewolwer wgryzający się w gardło zalewał mnie narastającymi falami mdłości. Cofnąłem prawą stopę w tył, jak tylko mogłem najdalej, nie tracąc przy tym równowagi. Palcami prawej stopy trzymałem się języczka buta.

- Nie zrobisz tego, Larry - jęknąłem. Ucisk na krtań był strasznie bolesny, celownik okrutnie dźgał mnie w dolną część podbródka. - Jeżeli mnie zabijesz, nigdy nie odzyskają skarbu!

- Śmiać mi się chce! - Nawet się śmiał naprawdę, opętany chichotem szaleńca. - Przyjrzyj mi się, gliniarzu, jak się śmieję. Ja i tak nic bym z tego skarbu nie zobaczył. To nie dla Larry'ego narkomana. Biały proszek, to wszystko, co mój stary ofiaruje ukochanemu synkowi.

- Vyland? - wiedziałem o tym już od wielu godzin.

- Mój ojciec, niech Bóg przeklnie jego duszę - zmienił położenie pistoletu, celując teraz w moje podbrzusze. - Żegnaj, glino!

Moja prawa stopa, niewidoczna dla Larry'ego w ciemności, rozbijała się do przodu i nabierała szybkości.

- Ja go pożegnaj od ciebie - powiedziałem. W tej samej chwili but z hałasem wyrzwał w falistą blachę małej kabiny.

Larry poderwał głowę, żeby zerknąć przez prawe ramię i umiejscowić źródło nowego zagrożenia. Na ułamek sekundy, nim jeszcze zdążył odwrócić się z powrotem, odsłonił tylną część lewej kości szczękowej, podobnie jak to przed kilkoma zaledwie minutami zrobił radiooperator.

Rąbnąłem go. Rąbnąłem go, jak gdyby był sztucznym satelitą, którego zamierzałem wystrzelić na orbitę dookoła księżyca. Rąbnąłem go, jak gdyby od tego zależało życie wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci na całym świecie. Rąbnąłem go, jak nigdy w życiu nikogo nie rąbnąłem, a już w chwili zadawania ciosu wiedziałem, że nigdy w życiu nie będę w stanie tego powtórzyć.

Rozległ się stłumiony, tępy odgłos trzaśnięcia, Colt wypadł mu z ręki i stuknął w siatkę u moich stóp. Przez dwie lub trzy sekundy zdawało się, że Larry trzyma się prosto, a potem

niewiarygodnie powoli, ostatecznie i nieodwołalnie, jak walący się komin fabryczny, poleciał w przepaść.

Żadnego krzyku przerażenia, żadnego dzikiego wymachiwania rękami i nogami. Lecąc w dół na stalowy pokład, trzydzieści kilka metrów pod nami, Larry już nie żył. Miał skrzyżowany kark, nim jeszcze zaczął spadać.

Rozdział XI

Osiem minut po śmierci Larry'ego, dokładnie dwadzieścia minut po pożegnaniu Kennedy'ego i Royale'a, wróciłem do kajuty, pośpiesznie pukając z góry ustalonym sygnałem. Drzwi otwarto z klucza, szybko wśliznąłem się do środka. Kennedy natychmiast ponownie przekręcił klucz, ja zaś przyglądałem się rozciągniętemu na pokładzie nieprzytomnemu Royale'owi.

- Jak nam się pacjent sprawował? - spytałem. Ciągle jeszcze dyszałem ciężko, bo całą drogę powrotną pokonałem biegiem.

- Odpoczywał - uśmiechnął się Kennedy. - Musiałem zaaplikować mu jeszcze jeden środek uspokajający. - Potem dopiero obrzucił mnie wzrokiem, a kiedy zobaczył najpierw krew spływającą z ust, a potem dziurę w ramieniu olejówki, uśmiech z wolna zaczął znikać z jego twarzy. - Kiepsko wyglądasz. Jesteś ranny. Były kłopoty?

Skinąłem głową. - Ale wszystko za nami, jakoś dałem sobie radę. - Starłem się możliwie najszybciej wypłatać z olejówki, ale to nie sprawiało mi najmniejszej przyjemności. - Nawiązałem kontakt radiowy. Wszystko idzie jak po maśle. Przynajmniej do tej pory.

- Świetnie, cudownie! - to była reakcja czysto automatyczna. Kennedy był raczej zadowolony na wieść o moich sukcesach, ale zupełnie mu się nie podobał stan, w jakim się znajdowałem. Ostrożnie, łagodnie pomagał mi w ściągnięciu olejówki, ale usłyszałem, jak nerwowo wciągał powietrze w płuca na widok oderwanego przeze mnie rękawa koszuli, a potem poplamionych krwią opatrunków z waty. Kiedy - po zejściu z drabiny - zatrzymaliśmy się na krótką chwilę w kajucie radiooperatora, Mary opatrzyła mi ranę z obu stron, ponieważ pocisk przebił ramię na wylot, nie ruszając kości, ale wrywając pół mięśnia trójgłowego. - Boże święty, ależ to musi boleć.

- Nie tak bardzo. - Mowa! Po obu stronach mojego ramienia siedziała para krasnoludków, która na akord piłowała mi kość z takim zapalem, jakby od tego zależało ich życie. W ustach też doznawałem tego samego uczucia: wyłamany ząb pozostawił po sobie odkryty korzeń, całą twarz i głowę co sekundę szarpały gwałtowne skurcze bólu. W innej sytuacji włożyłbym z bólu na ścianę, ale nie były to warunki normalne.

- Nie możesz tego tak zostawić - upierał się Kennedy. - Grozi ci wykrwawienie i...

- Czy widać, że dostałem w zęby? - spytałem nagle.

Podszedł do umywalki, zmoczył chusteczkę i całą twarz otarł mi z krwi.

- Chyba nie - powiedział po namyśle. - Jutro górna warga będzie dwa razy taka, ale na razie jeszcze nie spuchła. - Uśmiechnął się bez radości. - Jak długo ta rana w ramieniu nie pobudza cię do głośnego śmiechu, nikt nie zobaczy, że masz wybity ząb.

- Świetnie. To wszystko, czego mi potrzeba. Wiesz; że muszę zrobić swoje. - Ściągnąłem sztylpy olejówki, a teraz musiałem zmienić położenie pistoletu za pasem. Zauważył to Kennedy, który właśnie zaczął wciągać olejówkę na siebie.

- Larry'ego?

Skinąłem głowę.

- To on cię tak urządził?

Znów skinięcie głowy.

- A Larry?

- Udał się tam, gdzie nigdy już nie będzie więcej potrzebował heroiny. - Z trudem wcisnąłem się w mój płaszcz bardziej niż kiedykolwiek zadowolony, że nie zabrałem go wtedy ze sobą. - Skręciłem mu kark.

Kennedy przyglądał mi się długo i w zamyśleniu. - Brutalnie się bawisz, Talbot, co?

- Ani w połowie nie tak brutalnie, jak ty byś zagrał - odparłem posępnie. - Na "małpim gnieździe" wieży wiertniczej, trzydzieści kilka metrów nad pokładem, trzymał Mary na czworakach i miał zamiar spuścić ją na pokład bez drabiny.

Urwał w trakcie zapinania ostatniego guzika olejówki, dwoma długimi susami przeskoczył przez całą szerokość pokoju; chwycił mnie za ramiona, ale kiedy nagle zawyłem z bólu, natychmiast puścił.

- Przepraszam cię, Talbot. Zrobiłem cholerne głupstwo. - Jego twarz nie była tak smagła jak zazwyczaj, oczy i usta zdradzały niepokój. - Jak... czy jest cała i zdrowa?

- W porządku - odpowiedziałem znużonym głosem. - Przyjdzie tu za dziesięć minut, to się sam przekonasz. A tymczasem lepiej już sobie idź, Kennedy. Mogą lada chwila wrócić.

- Masz rację - mruknął. - Pół godziny, mówił generał... już prawie minęło. Ty... jesteś pewien, że wszystko w porządku?

- Całkiem pewien - powiedziałem zirytowany, ale natychmiast pożałowałem tej irytacji. Tego człowieka mógłbym polubić, i to nawet bardzo. Uśmiechnąłem się do niego szeroko: - Nigdy jeszcze nie spotkałem szofera, który by tak się troszczył o swego pracodawcę.

- Zmykam - powiedział. Nie było mu do śmiechu. Sięgnął po skórzany notes, leżący na biurku obok moich papierów, i wcisnął go do wewnętrznej kieszeni. - Nie wolno mi o tym zapomnieć. Może byś zechciał otworzyć drzwi i zobaczyć, czy nikogo nie ma na horyzoncie?

Otworzyłem, a przekonawszy się, że droga wolna, skinąłem mu głową. Oburącz ujął Royale'a pod pachy; przeciągnął go przez drzwi i bezceremonialnie cisnął na podłogę w korytarzu, obok przewróconego krzesła. Royale wiercił się i pojękiwał: lada chwila dojdzie do siebie. Kennedy przyglądał mi się przez chwilę, jak gdyby zastanawiał się, co powiedzieć, potem wyciągnął rękę i lekko poklepał mnie po zdrowym ramieniu.

- Powodzenia, Talbot! - mruknął. - Co bym dał za to, żeby móc być z tobą!

- I ja wolałbym mieć cię przy sobie - powiedziałem z uczuciem. - Nie martw się, już prawie wszystko skończone. - Nawet sobie samemu nie potrafiłem tego wmówić, o czym Kennedy doskonale wiedział. Skinąłem mu głową, wszedłem do środka i zatrzasnąłem drzwi. Usłyszałem, jak Kennedy przekręca klucz i zostawia go w zamku. Nasłuchiwałem, ale nie dosłyszałem nawet jego oddalających się kroków: jak na mężczyznę tak potężnej budowy był równie cichy, co szybki.

Teraz, kiedy zostałem sam, nic nie mając do roboty, ból zaatakował mnie ze zdwojoną mocą. Na przemian, falami, napadały mnie ból i mdłości. Czuję, jak granice świadomości przybliżają się i oddalają ponownie. Jak łatwo byłoby po prostu się poddać! Ale nie mogłem się poddać, teraz na pewno nie. Już było za późno. Dałbym nie wiadomo ile za zastrzyk uśmierzający ból, za coś, co pozwoliłoby mi przetrzymać najbliższe kilka godzin. Byłem niemal szczęśliwy, gdy w niespełna dwie minuty po wyjściu Kennedy'ego usłyszałem odgłosy zbliżających się kroków. Wyliczyliśmy wszystko z idealną precyzją. Usłyszałem jakiś okrzyk, pośpieszne kroki, ja zaś siadłem za biurkiem i ująłem ołówek w rękę. Górne światło zgasilem, a teraz podregulowałem umocowaną w ścianie lampę kreślarską, tak że świeciła mi dokładnie nad głową, pozostawiając twarz w głębokim cieniu. Może, jak twierdził Kennedy, po ustach nie poznać, że dostałem w zęby, ale mnie się wydawało, że wszystko widać, i nie chciałem ryzykować.

Klucz szorstko zazgrzytał w zamku, drzwi otworzyły się z rozmachem i odbiły od ściany, a do pokoju wskoczył zbir, którego nigdy przedtem nie widziałem, podobnej co Cibatti budowy ciała. Hollywood nauczył go wszystkich sposobów otwierania drzwi w podobnych okolicznościach. Jeśli uszkodziło się przy tym framugę, zawiasy czy tynk na ścianie - nie miało znaczenia, koszt i tak ponosić musiał niefortunny gospodarz. W tym przypadku, jako że drzwi były ze stali, jedyną szkodę wyrządził własnym palcom u nogi. Wcale nie musiałem być wnikliwym znawcą natury ludzkiej, by mieć pewność, że nic nie przypadłoby mu do gustu bardziej niż wystrzelenie całego magazynku. Niestety, zobaczył tylko mnie z ołówkiem w dłoni i łagodną, lekko zdziwioną twarzą. Mimo to warknął na mnie, a potem odwrócił się i dał znak komuś, kto stał w korytarzu.

Wszedł Vyland z generałem, na wpół taszcząc przytomnego już teraz Royale'a: Widząc, jak ciężko opada na krzesło, poczułem błogość w sercu. We dwóch - ja parę dni temu, a Kennedy dziś

wieczorem - odwaliliśmy, jeśli idzie o niego, kawał solidnej roboty: zapowiadał się najpotężniejszy siniak na twarzy, jaki w życiu widziałem. Już teraz był bez wątpienia najbardziej kolorowy! Siedziałem więc sobie i zastanawiałem się z raczej abstrakcyjnym zainteresowaniem - jako że nigdy więcej już nie będę umiał myśleć o Royale'u inaczej niż z abstrakcyjnym zainteresowaniem - czy siniak będzie widoczny jeszcze i wtedy, kiedy go zaprowadzą na fotel elektryczny. Skłonny byłem przypuszczać, że raczej tak.

- Talbot, czy w ciągu wieczora wychodziłeś z tego pokoju? - Vyland był roztrzęsiony i podenerwowany, musiał zrezygnować z tonu wykwiutnego przedstawiciela kadr kierowniczych.

- Pewnie. Zdematerializowałem się i prześliznąłem przez dziurkę od klucza. - Przyglądałem się Royale'owi z zainteresowaniem. - Co się przytrafiło naszemu przyjacielowi? Wieża wiertnicza spadła mu na łeb?

- To nie był Talbot - Royale odepchnął pomocną dłoń Vylanda, poszperał pod marynarką i wyciągnął pistolet. Malutki, śmiercionośny pistolecik, który w umyśle Royale'a zajmować będzie zawsze pierwsze miejsce. Miał go już schować, gdy nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy i otworzył magazynek. Był nietknięty, nie brakowało ani jednego malutkiego pocisku ze stopu miedzi i niklu. Wsunął magazynek z powrotem do pistoletu, a broń do kabury, potem zaś, niejako od niechcienia, pomacał wewnętrzną kieszeń na piersi. Jego zdrowe oko parokrotnie zalśniło, a człowiek obdarzony wybujałą wyobraźnią mógłby dostrzec cień grymasu, świadczącego o konsternacji, a potem o uldze. Do Vylanda powiedział: - Mój portfel! Znik!

- Portfel? - nie ulegało wątpliwości, co czuł Vyland: to była najczystszej wody ulga: - Złodziejaszek!

- Portfel? Na mojej pływającej wyspie? Skandal, oburzający skandal! - Generał ruszał wąsikami, sztukę aktorską opanowaną miał do perfekcji. - Bóg mi świadkiem, Royale, ja nie zamierzam pana bronić, ale na mojej pływającej wyspie! Zaraz każę zarządzić powszechną rewizję, a winowajcą...

- Może pan oszczędzić sobie trudu, generale - przerwałem oschłym tonem. - Winowajca dawno już pieniądze przełożył do kieszeni spodni, a portfel rzucił na dno oceanu. A poza tym każdy, kto odbiera Royale'owi pieniądze, zasługuje na medal.

- Za wiele gadasz, przyjacielu - chłodno przerwał Vyland. Przyglądał mi się z namysłem, który mi się wcale nie podobał, a potem dodał: - To mogło być tylko maskowanie, próba skierowania podejrzeń na fałszywy trop... Nie wykluczone, że Royale został ogłuszony z zupełnie innych pobudek. Z pobudek, które tylko tobie, Talbot, mogą być znane.

Ciarki przeszły mi po plecach. Vyland nie był głupi, tego się nie spodziewałem. Jeżeli nabiorą podejrzeń i zechcą mnie zrewidować, znajdą pistolet Larry'ego i ranę - w tych warunkach

nie sposób przegapić ani jednego, ani drugiego! - a wtedy ponad wszelką wątpliwość nastąpi benefis Talbota. W chwilę potem poczułem się jeszcze bardziej lodowato... Royale powiedział: - Może to naprawdę było oszustwo? - po czym chwiejnie stanął na nogi, podszedł do biurka i wpatrywał się w leżące przede mną papiery.

No tak, jasne. Przypominam sobie teraz ogromnie skrupulatne spojrzenie, jakim Royale, wychodząc z pokoju, obrzucił od niechcenia te papiery. Przed jego wyjściem zasmarowałem chyba z pół kartki literami i cyframi, a od tego czasu nie dodałem ani jednej litery, ani jednej cyfry. Bardziej przekonującego dowodu Royale nie będzie potrzebował. Wciąż jeszcze wpatrywałem się w jego twarz, nie mając odwagi zerknąć na papiery. Zastanawiałem się, ile kulek Royale wpakuje mi w ciało, nim zdążę choćby sięgnąć po wiszącą za pasem armatę Larry'ego. Aż nagle, nie dowierzając własnym uszom, usłyszałem słowa Royale'a:

- Idziemy fałszywym tropem. Talbot jest czysty. On tu pracował. Powiedziałbym nawet, że pracował non stop...

Rzuciłem okiem na rozłożone przede mną papiery. W miejscu, gdzie przedtem zostawiłem pół stroniczki nagryzmlonych cyfr i liter, teraz leżały dwie i pół kartki. Zapisane były tym samym piórem, tylko bardzo drobiazgowa analiza byłaby w stanie wykryć, że nie wyszły spod jednej ręki - a dla Royale'a to i tak była greka. Nagryzmlone bzdury były równie bezsensowne jak te, które ja pozostawiłem, ale to wystarczyło, wystarczyło aż nadto, to była moja przepustka do życia, wystawiona przez Kennedy'ego, który przenikliwością i umiejętnością przewidywania w tym przypadku zdecydowanie nade mną górował. Żałowałem, że nie poznałem Kennedy'ego przed paroma miesiącami...

- Dobra, dobra. No więc, komuś zabrakło gotówki - Vyland był usatysfakcjonowany, cała sprawa przestała zaprzętać jego uwagę. - Jak tobie poszło, Talbot? Zaczyna być krucho z czasem.

- Nic się nie martw - uspokoiłem go, - Wszystko rozwiązane. Z pełną gwarancją. Pięć minut dopinania ostatnich guzików na dole, w batyskafie, i możemy ruszać.

- Doskonale - Vyland sprawiał wrażenie zadowolonego, ale tylko dlatego, że nie wiedział tego, co ja wiedziałem: Zwrócił się do bandziora, który kopniakiem otworzył drzwi: - Córka pana generała i jego szofer... zastaniesz ich w apartamencie generała. Niech tu natychmiast przyjdą. Gotowe, Talbot?

- Gotowe - podniosłem się, nieco chwiejnie, ale w porównaniu z Royale'em wyglądałem wręcz kwitnąco i zdrowo, toteż nikt na to nie zwrócił uwagi. - Miałem bardzo ciężki, długi dzień, Vyland. Nim zejdziemy na dół, przydałoby mi się coś na rozgrzewkę.

- Zdziwiłbym się, gdyby Cibatti i jego przyjaciel nie dysponowali zapasami wystarczającymi na wyposażenie całego baru! - Vyland oczyma wyobraźni widział już kres drogi, tryskał więc teraz humorem. - Chodźmy.

Gęsiego wyszliśmy na korytarz i ruszyliśmy w stronę pomieszczenia, w którym znajdowało się zejście do kesonu. Vyland zapukał w umówiony sposób - z radością zauważyłem, że szyfr był ciągle ten sam - po czym weszliśmy do środka.

Vyland miał rację, Cibatti i jego przyjaciel rzeczywiście, jeśli idzie o alkohol, nie dawali sobie robić krzywdy. Kiedy wlałem w siebie solidną porcję szkockiej, dwa krasnoludki piłujące moje ramię porzuciły akordową pracę i zatrudniały się teraz już tylko na dniówkę, tak że odechciało mi się nawet tłuc łbem o ścianę. Logiczne wydawało się przypuszczenie, że jeszcze większa poprawa nastąpi, jeśli zaaplikuję sobie następną porcję środka uśmierzającego. Byłem właśnie w trakcie realizowania tej myśli, kiedy drzwi się otworzyły, a w nich pojawił się bandzior wysłany uprzednio przez Vylanda na drugą stronę wyspy, prowadzący przed sobą Mery i Kennedy'ego. Moje serce nie mało tego wieczora przeżyło, nie było przyzwyczajone do takiego wysiłku, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Mary, by znów zaczęło koziółkować jak oszalałe. Tylko mój umysł bynajmniej koziółków nie fikał. Spoglądałem na jej twarz, w umyśle zaś tłoczyły się najrozmaitsze rozkoszne myśli na temat tego, co bym chciał zrobić z Vylandem i Royale'em. Mary miała pod oczyma wielkie, ciemnogrnatowe obwódki, wyglądała na bladą i wyczerpaną, wręcz chorą. Gotów się byłem założyć, że ostatnie pół godziny, jakie ze mną spędziła, przstraszyły ją i wstrząsnęły jak jeszcze nic w życiu. Mnie przynajmniej przstraszyły, wstrząsnęły mną, jak się patrzy. Ale ani Vyland, ani Royale nie dostrzegli chyba nic nienormalnego: wśród ludzi zmuszonych do współpracy z nimi przestach i wstrząs były raczej regułą niż wyjątkiem.

Kennedy nie wyglądał ani na przestraszonego, ani na wstrząśniętego, zresztą wyglądał po prostu jak szofer doskonały. Ale Royale, podobnie jak i ja, nie dał się wprowadzić w błąd. Zwrócił się do Cibattiego i jego koleś i powiedział:

- Pomacajcie mi tego ptaszka, dobrze? Przekonajcie się, czy nie nosi przy sobie nic nieodpowiedniego.

Vyland obrzucił go pytającym spojrzeniem.

- Możliwe, że jest równie nie groźny, jak wygląda... ale ja w to wątpię - wyjaśnił Royale. - Przez całe popołudnie miał swobodę ruchów po całej wyspie. Nie można wykluczyć, że mógł gdzieś znaleźć broń, tak samo, jak nie można wykluczyć, że jeśli Cibatti i pozostali nie będą się mieli na baczności, spróbuje ich sterroryzować. - Royale skinął głową w kierunku drzwi w

wypukłej grodzi. - Po prostu nie miałbym najmniejszej ochoty wspinać się trzydzieści kilka metrów po żelaznej drabinie, gdy Kennedy przez cały czas celuje we mnie z pistoletu.

Zrewidowali Kennedy'ego, ale nic nie znaleźli. Royale był naprawdę sprytny, jego uwagi nie uchodziło nawet tyle, co brudu za paznokciem. Ale nie był aż tak sprytny. Powinien był mnie też zrewidować.

- Nie chcielibyśmy cię ponaglać, Talbot - odezwał się Vyland z wymuszoną ironią.

- Robi się - odpowiedziałem. Wlałem w siebie resztę środka znieczulającego, zmarszczyłem czoło i z miną mędrca popatrzyłem na notatki, które trzymałem w ręku, złożyłem je i schowałem do kieszeni, po czym skierowałem się ku drzwiom prowadzącym do filara. Starannie unikałem krzyżowania wzroku z Mary, generałem czy Kennedym.

Vyland klepnął mnie w zranione ramię i gdyby nie środek znieczulający, pewnie przedziurawiłbym szalunek pod pokładem. Ale i tak podskoczyłem ładne parę centymetrów w górę, a obaj drwale-krasnołudki znów przystąpiły do dzieła, piłując ramię gorliwiej niż przedtem.

- Cóż to, robię się nerwowy, tak? - szydził Vyland. Skinął głową w kierunku leżącej na stole aparatury, zwykłego wyłącznika solenoidu, który przyniosłem z batyskafu na górę. - Jeśli się nie mylę - zapomniałeś o czymś.

- Nie. To nam nie będzie więcej potrzebne.

- Dobra, ruszamy. Ty przodem... Pilnuj ich dobrze, Cibatti, pamiętaj!

- Przypilnuję, szefie - zapewnił go Cibatti. I dotrzyma słowa, rąbnie pistoletem w łeb pierwszego, kto się ośmieli zbyt głęboko westchnąć. Generał i Kennedy nie mieli zamiaru próbować żadnych sztuczek w czasie, gdy Vyland i Royale znajdowali się razem ze mną tam w dole, w batyskafie, mieli tu czekać pod lufą pistoletu aż do naszego powrotu. Byłem przekonany, że Vyland wolałby nawet zabrać z nami generała do batyskafu jako dodatkową gwarancję, ale pomijając już fakt, że w batyskafie wygodnie mogły pomieścić się tylko trzy osoby, a Vyland nigdy nie narażałby się na najmniejsze niebezpieczeństwo, nie mając u swego boku specjalisty od mokrej roboty, sam widok zejścia w dół po stu osiemdziesięciu szczeblach był ponad siły starego generała.

O mały włos okazałoby się to również ponad moje siły. Nim jeszcze zszedłem w pół drogi, ramię, ręka i kark zdrętwiały mi; jakby je zanurzono w kadzi ze stopionym ołowiem. Wściekły ból falami uderzał mi do głowy, gdzie ogień zamieniał się w mrok, a także niżej, do klatki piersiowej i żołądka, gdzie zamieniał się w mdłości. Parokrotnie byłem o krok od pogrążenia się w bólu, mroku i mdłościach. Desperacko musiałem się trzymać tą jedną zdrową ręką czekając, aż fale bólu się cofną, a powróci przytomność. Z każdym szczeblem wydłużały się okresy ciemności, a skracały okresy świadomości. Ostatnie trzydzieści czy czterdzieści dolnych szczebli musiałem pokonać jak

automat kierując się instynktem, pamięcią i jakąś dziwną odmianą podświadomej siły woli. Na moją korzyść przemawiało jedynie to, że uprzejmi jak zawsze, kazali mi schodzić przodem, żebym nie musiał zmagać się z pokusą zrzucenia im czegoś ciężkiego na łeb. Dzięki temu nie byli w stanie zauważyć, jak bardzo cierpię. Kiedy już wreszcie osiągnąłem dolną platformę, a potem nadszedł ostatni z nich - przyjaciel Cibattiego, który znajdował się w pobliżu wjazdu luku platformy - mogłem przynajmniej stać, nie chwiejąc się na nogach. Twarz miałem, jak sądzę, koloru papieru, skąpaną w pocie; ale oświetlenie, jakie rzucała mała lampka u podnóża cylindrycznego grobowca, było tak słabe, że nie zanosilo się na to, aby Vyland albo Royale zdołali coś zauważyć. Podejrzewałem, że Royale także czuł się nie najlepiej po tej wyprawie: kto zainkasował cios albo ciosy, po których pozbawiony jest przytomności na przeciąg pół godziny, nie może osiągnąć szczytu formy po upływie zaledwie kwadransa od odzyskania przytomności. Jeśli idzie o Vylanda, miałem niejasne podejrzenie, że był niewąsko przestraszony i że w tej chwili troszczył się przede wszystkim o siebie i o wyprawę, którą mieliśmy jeszcze przed sobą.

Luk wjazdu platformy był otwarty, precyzyjnie się więc przez wejściową komorę zatapiającą batyskaf do znajdującej się poniżej stalowej kuli. Dokładałem wszelkich możliwych starań, aby przy przeciskaniu się przez ostry, prawie prostopadły zakręt do komory obserwacyjnej oszczędzać zranione ramię, ale mimo to czułem się jak w agonii. Zapaliłem górną lampę i skierowałem się do skrzyni bezpiecznikowej, pozostawiając Vylandowi zatrzaśnięcie wjazdu komory zatapiającej. W pół minuty potem wśliznął się do komory obserwacyjnej i zamknął za sobą ciężkie, wypukłe drzwi w kształcie klina.

Obfitość i płątanina drutów zwisających ze skrzynek bezpiecznikowych zrobiła należyte wrażenie na obu moich towarzyszach podróży. Jeśli w równym stopniu nie zaimponowała im szybkość i sprawność, z jaką zaglądając do moich notatek podłączyłem je wszystkie w odpowiednich miejscach, to już nie moja wina. Całe szczęście, że skrzynki bezpiecznikowe umocowane były na poziomie talii; bo moje lewe ramię było już tak sztywne, że teraz mogłem się nim posługiwać tylko od łokcia w dół.

Podłączyłem ostatni przewód, zatrzasnąłem pokrywę skrzynki i przystąpiłem do wypróbowywania wszystkich obwodów. Vyland przyglądał mi się ze zniecierpliwieniem; Royale zwrócił ku mnie twarz, która z powodu braku wszelkiego wyrazu i stanu uszkodzeń z powodzeniem mogła konkurować z obliczem sfinksa z Pizy. Naleganie Vylanda, abym się pospieszył, nie robiło na mnie najmniejszego wrażenia - ja też znajdowałem się we wnętrzu batyskafu i nie miałem ochoty narażać się na żadne ryzyko. Skierowałem się więc ku regulującym nastawnikom oporowym obu zasilanych bateryjnie motorów, odwróciłem się do Vylanda i pokazałem mu parę migocących zegarów kontrolnych.

- Silniki. Tu ich prawie nie słysząc, ale działają prawidłowo. Gotowi do odpłynięcia?

- Tak - zwilżył wargi. - Kiedy tylko zechcesz...

Skinąłem głową, przekręciłem gałkę zaworu, żeby zatopić komorę wejściową, wskazałem mikrofon zawieszony na widelkach na wysokości głowy między Royale'em i mną, wreszcie przekręciłem przełącznik w ścianie. - Może chciałbyś wydać rozkaz usunięcia powietrza z uszczelniającego pierścienia gumowego?

Kiwnąłem głową, wydałem niezbędne rozkazy i odłożyłem mikrofon. Wyłączyłem go i czekałem.

Batyskaf kołysał się łagodnie, łukiem może trzech albo czterech stopni w linii wzdłużnej, gdy nagle ruch ustał całkowicie. Zerknąłem na głębokościomierz. Notowania były chaotyczne, znajdowaliśmy się dostatecznie blisko powierzchni, aby oddziaływały wpływy przewalających się nad naszymi głowami głębokich dolin wśród fal, ale i tak nie ulegało wątpliwości, że średnia głębokość zanurzenia wydatnie wzrosła.

- Oderwaliśmy się od filara - powiedziałem Vylandowi. Włączyłem reflektor pionowy i palcem wskazałem znajdujące się u naszych stóp pleksiglasowe okno. Piaszczyste dno odległe było teraz zaledwie o jeden sążeń. - Jaki kierunek, szybko...! Nie chcę, żebyśmy utkwili w tym piachu.

- Całą naprzód, w kierunku, w jakim płyniemy.

Połączyłem oba silniki, zwiększyłem obroty do połowy szybkości i podregulowałem skrzydło dla uzyskania maksymalnej siły ciągu do przodu. Niewiele tego było trzeba, najwyżej dwóch stopni: w przeciwieństwie do steru bocznego, głębinowe skrzydła batyskafu wymagają zupełnie minimalnego regulowania, pełnią bowiem jedynie pomocniczą rolę przy wynurzaniu i nurkowaniu. Powoli zwiększałem obroty silników do maksimum.

- Niemal dokładnie na południowy zachód - Vyland zaglądał do wydobytej z kieszeni kartki papieru. - Kurs 222 stopnie.

- Naprawdę?

- Co ma znaczyć to "naprawdę"? - warknął ze złością. Teraz, kiedy spełniły się wszystkie jego życzenia, a batyskaf był na chodzie, Vyland wcale nie czuł się szczęśliwy. Klaustrofobia, na pierwszy rzut oka.

- Czy to jest kierunek rzeczywisty, czy zgodny z tym kompasem? - zapytałem cierpliwie.

- Zgodny z tym kompasem.

- A wzięto poprawkę na odchylenie?

Jeszcze raz zajrzał do swojej kartki. - Tak. Bryson mówił, że jak długo będziemy się trzymać tego kierunku, metal, z którego zbudowana jest podstawa pływającej wyspy, nie będzie miał na nas wpływu.

Nic nie odpowiedziałem. Gdzie się teraz znajdował Bryson, inżynier, który zmarł na chorobę kesonową? Byłem prawie pewny, że nie dalej niż kilkadziesiąt metrów stąd. Żeby wywiercić szyb naftowy głębokości chyba ze czterech kilometrów, trzeba było co najmniej sześciu tysięcy worków cementu, ale dwóch wiader cementu wystarczyło aż nadto, aby zagwarantować, że Bryson pozostanie na dnie oceanu jeszcze na długo potem, jak się zmieni w szkielet nie do zidentyfikowania, a którego braku nikt nawet nie zauważy.

- Pięćset dwadzieścia metrów - mówił Vyland. - Od podstawy, od której się odczepiliśmy, aż do skrzydła. - Po raz pierwszy wspomniał w ogóle o skrzydłach. - To znaczy, odległość pozioma. Biorąc poprawkę na zanurzenie na głębokość rozpadliny, około sześciuset dwudziestu metrów. Tak przynajmniej twierdził Bryson.

- Gdzie zaczyna się rozpadlina?

- Po przebyciu mniej więcej dwóch trzecich drogi. Przy niespełna pięćdziesięciu metrach... na tej samej mniej więcej głębokości, na której spoczywa pływająca wyspa. Potem następuje trzydziestostopniowy spadek do głębokości stu sześćdziesięciu metrów.

Pokiwałem głową, ale nic nie powiedziałem. Zawsze słyszałem, że nie można jednocześnie doznawać bólu z dwóch różnych źródeł, ale okazuje się, że ludzie nie mają racji. Można. Moja ręka, ramię i plecy stanowiły jedno wielkie morze bólu, bólu dodatkowo akcentowanego szarpaniem i dźganiem ostrza włóczni obolałej górnej szczęki. Nie miałem ochoty na rozmowę, nie miałem ochoty w ogóle na nic. Starłem się zapomnieć o bólu, skupiając uwagę na zadaniu, jakie miałem wykonać.

Przekonałem się, że lina holownicza, łącząca nas z filarem, nawinięta była na bęben o napędzie elektrycznym. Ale był to napęd wyłącznie jednokierunkowy, służący do zwijania liny w czasie drogi powrotnej. Teraz, kiedyśmy posuwali się do przodu, lina rozwijała się na luzie, wlokąc ze sobą izolowany kabel telefoniczny, biegnący przez środek liny; liczba obrotów bębna, wykazywana na instrumencie pomiarowym wewnątrz komory obserwacyjnej, dawała dość dokładne pojęcie o przebytej odległości. Dawała pojęcie także o prędkości. Maksymalna prędkość batyskafu wynosiła dwa węzły, ale nawet lekkie zahamowanie, spowodowane rozwijaniem liny holowniczej, redukowało ją do jednego węzła. Była to jednak prędkość wystarczająca. Nie mieliśmy przed sobą dalekiej drogi.

Vyland sprawiał takie wrażenie, jakby cieszyło go, że mnie pozostawiono całą obsługę batyskafu. Większość czasu spędzał na dość nerwowym gapieniu się przez boczne okno. Royale ani na moment nie spuszczał ze mnie jedyne zdrowego, ale zimnego jak lód i nieruchomego oka: śledził każdy mój najdrobniejszy ruch i przyglądał się regulacji instrumentów, ale to z czystego nawyku; mam wrażenie, że jego ignorancja zasad działania batyskafu i kierowania nim była niemal

całkowita: Nie mogło zresztą być inaczej: nawet kiedy przekręciłem gałkę regulatora aparatury absorbującej dwutlenek węgla, nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Z dziobem lekko wychylonym w górę wskutek oporu stawianego przez linę holowniczą dryfowaliśmy wolno na wysokości ponad trzech metrów nad dnem morskim, natomiast lina kierująca zwisała pod komorą obserwacyjną, ledwie omiatając formacje skalne i koralowe lub ocierając się o ławice gąbki. Ciemność wody była absolutna, ale dwa nasze reflektory i światło przebijające przez pleksiglasowe okna dawały oświetlenie wystarczające, aby widzieć, co się wokół nas dzieje. Co pewien czas przesuwał się koło okien jakiś granik; węzowata barakuda skręcała ku nam wiotkie szare ciało, złowieszcze oczy wlepiła w okna i przez blisko minutę gapiała się bez mrugnięcia powieką; ławica ryb przypominających hiszpańskie makrele przez pewien czas dotrzymywała nam towarzystwa, ale potem znikła w popłochu, gdy pojawił się rekin z nosem jak trąba, poruszając się majestatycznie: Na ogół dno morza sprawiało wrażenie pustkowie; niewykluczone, że szalejąca w górze burza zagnała większość ryb na poszukiwanie głębszych otchłani.

Dokładnie w dziesięć minut dno morza nieoczekiwanie zapadło się pod nami; w ziejącej ciemności, której nie były w stanie przebić nasze reflektory, wydawało się, że nagle znaleźliśmy się nad stromym skalnym urwiskiem. Wiedziałem, że to tylko złudzenie: Vyland musiał dziesiątki razy badać ocean i jeśli twierdził, że uskok jest pod kątem zaledwie trzydziestu stopni, niemal na pewno było tak, jak mówił. Mimo to wrażenie nagłej, bezdennej czeluści było wręcz nieodparte.

- To właśnie tu - cichym głosem powiedział Vyland. Na jego gładko wygolonej twarzy pojawiła się cieniutka warstwa potu. - Teraz ją opuść, Talbot.

- Później - zrobiłem przeczący ruch głową. - Jeśli zaczniemy nurkować już teraz, lina holownicza, którą ciągniemy za sobą, zacznie wypychać ogon batyskafu ku górze. Nasze reflektory nie rzucają światła do przodu, tylko pionowo w dół. Chcesz, żebyśmy nosem zderzyli się z jakąś wystającą skałą, której nie potrafimy dostrzec? Chcesz uszkodzić przedni zbiornik benzyny? Nie zapominaj, że zbiorniki obudowane są tylko cieniutką blachą. Wystarczy jedno pęknięcie zbiornika, a nabierzemy takiego wyporu ujemnego, że nigdy więcej nie zdołamy się wynurzyć. Zdajesz sobie z tego sprawę, Vyland, no nie?

Twarz błyszczała mu od potu. Znow zwilżył wargi i powiedział: - Rób więc po swojemu, Talbot.

Robiłem po swojemu. Trzymałem kurs 222 stopnie do chwili, aż wskaźnik liny holowniczej wskazywał sześćset metrów, zatrzymałem silniki i pozwoliłem, by do głosu doszła lekka przewaga wyporu ujemnego, którą do tej pory pokonywał ruch naprzód i ustawione pod kątem skrzydła. Zanurzaliśmy się stopniowo, ruchem tak powolnym, że wręcz doprowadzającym do szału, zdawało

się, że wskazówka echosondy ani drgnie. Zwisający ciężar liny holowniczej na rufie powodował skłonność do ściągnięcia rufy w dół, a co dziesięć sążni musiałem zwalniać silniki i bardziej popuszczać linę.

Na głębokości dokładnie siedemdziesięciu sześciu sążni nasze reflektory oświetliły dno morza. W tym miejscu nie było skał, koralu czy ławic gąbki, jedynie niewielkie skrawki szarawego piachu i długie, czarne pasma mułu. Znów uruchomiłem oba silniki, dodałem gazu prawie do połowy mocy, wyrównałem skrzydła i zacząłem bardzo, ale to bardzo wolno posuwać się do przodu. Wystarczyło przesunięcie o zaledwie pięć metrów. Szacunkowa ocena Brysona okazała się niemal idealnie trafna: kiedy na wskaźniku liny holowniczej figurowała odległość sześciuset dwudziestu pięciu metrów, po lewej stronie dostrzegłem odbłask czegoś wystającego z dna morza, niemal poza naszym polem widzenia. Był to ogon samolotu. Minęliśmy więc nasz cel z prawej, dziób samolotu bowiem wskazywał kierunek, z którego właśnie przybyliśmy... Wrzuciłem wsteczny bieg, a potem zupełnie wygasilem silniki. Powoli, ale pewnie batyskaf zaczął opadać: zwisająca lina sterownicza dosięgła dna, okazało się jednak, że zmniejszenie obciążenia nie było w stanie zrównoważyć niewielkiego stopnia wyporu ujemnego, choć powinno było taki właśnie osiągnąć skutek. Podstawa komory obserwacyjnej ciężko opadła w czarny muł dna oceanu.

Zaledwie piętnaście minut upłynęło od chwili, gdy przekręciłem gałkę regulatora aparatury do absorpcji tlenu węgla, ale powietrze w kabinie już było stęchłe. Na pozór ani Vyland, ani Royale żadnych skutków nie odczuwali; może sądzili, że takie są normalne warunki atmosferyczne, ale prawdopodobnie w ogóle nie zauważyli niczego. Obaj byli całkowicie zaabsorbowani tym, co widzieli przez przednie okno obserwacyjne w potężnym świetle przedniego reflektora.

Bóg mi świadkiem, że i ja tym byłem zaabsorbowany. Setki razy zastanawiałem się, jak będę się czuł; jak zareaguję, kiedy wreszcie zobaczę, jeśli w ogóle kiedyś zobaczę to, co teraz leżało na wpół pograżone w mule na zewnątrz batyskafu. Gniewu się spodziewałem, gniewu, wściekłości, odrazy, bólu serca, może nawet z domieszką strachu. Ale teraz nie odczuwałem nic z tych rzeczy, już nie... Zdawałem sobie jedynie sprawę z żalości i smutku, z najbardziej przepastnej, bezdennej melancholii, jakiej w życiu doznałem. Może reagowałem nie tak, jak się tego spodziewałem, ponieważ mój umysł był zamroczony wirującymi oparami bólu, ale wiedziałem, że nie w tym rzecz: wcale nie było mi lżej, kiedy sobie uświadomiłem, że żal i melancholia odnoszą się nie do tamtych, ale do mnie samego... Melancholijnie odnosiłem się do wspomnień, które będą wszystkim, co mi pozostało, a zamiast odczuwać żal, rozczulałem się nad sobą jak człowiek nieodwołalnie zagubiony we własnej samotności.

Samolot ugrzązł w mule na głębokości przeszło metra. Prawe skrzydło znikło bez śladu, zapewne oderwało się w chwili zderzenia z wodą. Znikł także koniuszek lewego skrzydła, ale część

ogona i kadłub były zupełnie nietknięte, jeśli nie liczyć dziobu podziurawionego jak rzeszoto i roztrzaskanej szyby - dowodu, jak zginął samolot DC. Znajdowaliśmy się blisko kadłuba, dziób batyskafu zwisał nad zatopioną kabiną samolotu, a komora obserwacyjna leżała na mniej więcej tym samym poziomie. Za rozwalonymi szybami mogłem dostrzec dwa kościotrupy: szkielet w fotelu pilota, podtrzymywany na miejscu przez pas bezpieczeństwa, zachował pozycję wyprostowaną, oparty był o rozbite boczne okno, ten drugi zaś, na miejscu drugiego pilota, wychylony był do przodu i prawie niewidoczny.

- Wspaniale, co, Talbot? Czy to nie imponujące? - Vyland na moment przewyciężył swój klaustrofobiczny strach i dosłownie zacierał ręce. - Po tak długim czasie... ale gra była warta świeczki, gra była warta... Zupełnie nietknięty! Obawiałem się, że mogło go rozrzucić po całym dnie morza. Doświadczony specjalista od ratownictwa podwodnego nie będzie miał chyba z tym żadnych trudności, co, Talbot? - Nie czekał odpowiedzi, natychmiast się odwrócił i znów gapił się przez okno, napawając się widokiem. - Wspaniale! - powtórzył raz jeszcze. - Wręcz wspaniale!

- Tak, wspaniale - zgodziłem się. Byłem zdziwiony, że mówię tak opanowanym, obojętnym głosem. - Z wyjątkiem brytyjskiej fregaty De Braak, zatopionej podczas burzy u wybrzeży Delaware w roku 1798, jest to prawdopodobnie największy podwodny skarb na zachodniej półkuli. Dziesięć milionów, dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w sztabach złota, szmaragdach i nie szlifowanych diamentach.

- Tak jest! - Vyland zapomniał, że jest wytwornym przedstawicielem kadry dyrektorskiej, i znów powrócił do zacierania rąk. - Dziesięć milionów, dwieście... - głos nagle ucichł, zadrżał i umilkł całkowicie. - Jak... skąd ty o tym wiesz, Talbot? - wyszeptał.

- Wiedziałem, zanim jeszcze ty o tym usłyszałeś, Vyland - odparłem spokojnie. Obaj odwrócili się teraz od okna i wpatrywali się we mnie, Vyland z mieszanym uczuciem zdziwienia, podejrzliwości i rodzącego się strachu, Royale swym jednym zdrowym lodowatym, bezbarwnym, skamieniałym okiem, rozwartym szerzej niż kiedykolwiek. - Obawiam się, Vyland, że sprytem nie dorównujesz generałowi. Ja zresztą też nie. On mnie już dziś rano rozszyfrował, Vyland. Doszedłem nawet do tego, jak się to stało. A ty, Vyland, wiesz dlaczego? Chcesz wiedzieć dlaczego?

- O czym ty mówisz? - zapytał ochrypłym tonem.

- Spryciarz z naszego generała - ciągnąłem dalej, jak gdybym w ogóle nie słyszał jego na pływającej wyspie, zauważył, że zakrywałem twarz tylko od czasu, kiedy się upewniłem, że w składzie komitetu powitalnego nie ma pewnej osoby. Później przestałem już się o to troszczyć. Przyznaję, że to było niedbalstwo z mojej strony. Ale to niedbalstwo zdradziło mu fakt, że nie jestem mordercą; bo gdybym nim był, ukrywałbym twarz przed wszystkimi: Domyślił się także, że

już kiedyś musiałem być na pływającej wyspie i dlatego obawiałem się, że ktoś mnie może rozpoznać. W obu punktach miał całkowitą rację; nie jestem mordercą i byłem już przedtem na pływającej wyspie. Dokładnie mówiąc, dziś nad ranem.

Vyland nie miał nic do powiedzenia, całkowicie zbił go z pantafelów katastrofalny efekt moich słów, nieskończoność posępnych możliwości otwierających się z tego powodu. Był zbyt zmieszany, by pokusić się choćby o ujęcie sprzecznych myśli w słowa.

- A ponadto generał zauważył coś jeszcze - mówiłem dalej. - Zauważył, że kiedy mi opowiadałeś o czekającej nas robocie, ani razu nie zadałem podstawowego, najbardziej rzucającego się w oczy pytania: jaki to skarb mamy wydobyć, na jakim statku czy samolocie skarb ten się znajduje? Ani razu nie zadałem takiego pytania, Vyland, prawda? Znow niedbalstwo z mojej strony, czy nie tak? Tyś na to nie zwrócił uwagi. A generał Ruthven zauważył i zrozumiał, że może być tylko jedna odpowiedź: ja już z góry wiedziałem!

Nastąpiła chyba dziesięciosekundowa przerwa, a potem Vyland wyszeptał: - Kim ty jesteś, Talbot?

- Nie twoim przyjacielem, Vyland - uśmiechnąłem się do niego na tyle, na ile pozwalała moja obolała górna szczęka. - Umrzesz, Vyland, skonasz w męczarniach, a jeszcze ostatnim tchem będziesz mnie przeklinał i dzień, w którym mnie spotkałeś.

Znow zapadło milczenie, jeszcze bardziej przerażające niż poprzednio. Miałem wielką ochotę zapalić, ale wewnątrz tej kabiny nie było to możliwe. Bóg świadkiem, że i bez tego powietrze było tu stęchłe, nasze oddechy nienaturalnie przyspieszone, pot zaczynał spływać nam po twarzach.

- Opowiem ci jedną historyjkę - ciągnąłem dalej. - To nie jest bajka dla dzieci, ale możemy tak zacząć: "Za górami, za lasami..." Otóż za górami, za lasami był sobie kiedyś kraj, który miał bardzo skromną marynarkę wojenną - para niszczycieli, jakaś fregata, kanonierka. Prawda, że to nic wielkiego, Vyland? No więc władcy tego kraju postanowili ją podwoić. Dzięki ropie naftowej i eksportowi kawy zupełnie nieźle im się powodziło, doszli więc do wniosku, że mogą sobie na to pozwolić. Oczywiście, mogli pieniądze wydać na sto korzystniejszych sposobów, ale w kraju często zdarzały się rewolucje, a władza każdego kolejnego rządu w znacznej mierze zależała od potęgi podległych jej sił zbrojnych. Podwoimy więc naszą marynarkę wojenną, postanowili. Kto tak postanowił, Vyland?

Próbował coś powiedzieć, ale z krtani wydobył się tylko jęk. Zwilżył wargi i powiedział: - Kolumbia.

- Ciekaw jestem, skąd o tym wiesz? Tak jest, Kolumbia. Udało im się zakupić w Wielkiej Brytanii parę używanych niszczycieli, a w Stanach Zjednoczonych kilka fregat, poławiaczy min i

kanonierek. Jeśli wziąć pod uwagę, że te używane okręty były prawie nowe, zakupili je za bezcen: 10 250 000 dolarów. Ale w tym sęk: Kolumbii groził wybuch rewolucji, wojny domowej i anarchii, wartość peso za granicą spadała na łeb na szyję, a Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, którym miano przekazać łączną zapłatę, odmówiły dostawy za peso. Żaden bank międzynarodowy nawet nie chciał słyszeć o Kolumbii. Uzgodniono więc, że zapłata nastąpi w naturze. Poprzednie rządy sprowadziły do kraju dla celów przemysłowych brazylijskie nie oszlifowane diamenty wartości dwóch milionów dolarów; z diamentów tych nie zdążono zrobić użytku. Do tego dołożono kolumbijskie złoto wartości dwóch i pół miliona dolarów, prawie dwie tony w dwudziestoosmioletnich sztabach, ale gros ceny uiszczono w szlifowanych szmaragdach. Chyba nie muszę ci przypominać, Vyland, że kopalnia Muzo w Andach Wschodnich jest najslawniejszym i najważniejszym źródłem szmaragdów w świecie? A może o tym nie wiedziałeś?

Vyland nie odpowiedział. Z kieszonki na piersi wyciągnął ozdobną chusteczkę i otarł nią twarz. Wyglądał na chorego.

- Mniejsza o to. Potem wyłonił się problem transportu. Zamierzano w pierwszym etapie przewieźć to do Tamy drogą powietrzną, ściślej mówiąc samolotem transportowym towarzystwa Avianca lub Lansa, ale w początkach maja 1958 roku, kiedy zbliżały się nowe wybory, wydano wszystkim maszynom krajowym tymczasowy zakaz lotów. Część wyższych funkcjonariuszy państwowych pragnęła za wszelką cenę pozbyć się tego skarbu, aby nie wpadł w nieodpowiednie ręce, zaczęli więc rozglądać się za zagranicznym towarzystwem lotniczym przewożącym towarowe, utrzymujących jedynie połączenia międzynarodowe. Ich wybór padł na Transkaraibskie Towarzystwo Lotów Czarterowych. Lloyd zgodził się ładunek ubezpieczyć. Samolot transportowy Towarzystwa Transkaraibskiego zameldował fałszywy rozkład lotu i wystartował z Barranquilli, kierując się nad Cieśniną Jukatańską do Tamy... Tylko cztery osoby znajdowały się na pokładzie tego samolotu, Vyland. Był pilot, brat bliźniaczy właściciela linii transkaraibskiej, drugi pilot, który pełnił jednocześnie funkcję nawigatora, oraz kobieta z małym dzieckiem. Uważano, że lepiej nie zostawiać ich na miejscu, na wypadek gdyby wybory przyjęły niepomysłny obrót, a na jaw wyszłaby rola, jaką Towarzystwo Transkaraibskie odegrało w wywiezieniu skarbu z kraju... Zameldowali więc fałszywy rozkład lotu, Vyland, ale to im na nic się zdało, bo jeden z owych szlachetnych i wspaniałomyślnych funkcjonariuszy państwowych, którzy tak się troszczyli o uiszczenie długu należnego Anglii i Ameryce, okazał się zwykłym oszustem i twoją, Vyland, marionetką. On znał prawdziwy rozkład lotów i powiadomił cię drogą radiową. Tyś wtedy znajdował się w Hawanie i wszystko miałeś przygotowane, co, Vyland?

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - jęknął Vyland.

- Bo ja jestem... byłem... właścicielem Transkaraibskiego Towarzystwa Lotów Czarterowych. - Czułem niewysłowione znużenie. Nie wiem, czy z powodu bólu, czy stęchłego powietrza, a może po prostu z przemożnego uczucia pustki w życiu. - Ja w tym czasie znajdowałem się na ziemi w Belize, w brytyjskim Hondurasie, ale udało mi się nawiązać z nimi łączność radiową... kiedy już naprawili radio. Poinformowali mnie, że ktoś usiłował wysadzić w powietrze samolot, ale wiem, że to nie było zupełnie trafne, usiłowano jedynie zniszczyć aparaturę radiową, odciąć maszynę od świata zewnętrznego. I to się prawie udało... tylko że niezupełnie. Prawda, Vyland, że nigdy się nie dowiedziałaś, że tuż przed zestrzeleniem samolotu ktoś nawiązał z nim łączność radiową? To właśnie ja nawiązałem tę łączność. Raptem na dwie minuty, Vyland! - przyglądałem się powoli, z rozmysłem, bez wyrazu. - Dwie krótkie minuty, ale dlatego dziś musisz umrzeć.

Vyland wpatrywał się we mnie z chorobliwym przerażeniem w oczach. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co teraz musi nastąpić, albo przynajmniej sądził, że sobie zdaje sprawę: wiedział już, kim jestem, wiedział, co oznaczało spotkanie z człowiekiem, który stracił wszystko, dla którego litość i współczucie przestały się liczyć nawet jako słowa. Powoli, jak gdyby kosztem wielkiego wysiłku i bólu, odwrócił głowę, by spojrzeć na Royale'a, ale po raz pierwszy nie był w stanie znaleźć u niego pociechy, poczucia bezpieczeństwa, pewności ocalenia. Stała się wreszcie rzecz niewiarygodna: Royale miał stracha!

Zrobiłem pół obrotu i wskazałem rozwaloną kabinę DC.

- Przyjrzyj się dobrze, Vyland - powiedziałem spokojnie. - Przyjrzyj się dobrze twemu dziełu. Możesz być z niego dumny. W fotelu kapitańskim... ten kościotrup to był kiedyś Peter Talbot, mój brat bliźniak. Ten drugi to Elizabeth Talbot... ona była moją żoną, Vyland. W tyle samolotu znajdziesz doczesne szczątki małego chłopca, mojego synka, Johna Talbota. Miał trzy i pół roku. Tysiąc razy myślałem nad tym, jak umierał mój synek; Vyland. Pociski, które ugodziły moją żonę i brata, jego nie dosięgły, musiał żyć, dopóki samolot nie zderzył się z wodą. Może dwie albo trzy minuty, kiedy maszyna runęła i zlatywała z nieba, Vyland, chłopczyk łkał i wołał, z przerażenia odchodził od zmysłów, a matka nie zjawiała się, mimo że ją wzywał. Mimo że wzywał ją raz po raz... Nie mogła przyjść do niego, prawda, Vyland? Siedziała na swoim fotelu już nieżywa. A potem samolot runął do wody i niewykluczone, że nawet wówczas Johnny jeszcze żył. Może kadłub tonął powoli... wiesz, Vyland, to się często zdarza... albo kiedy tonął, utrzymywało się w nim powietrze, nie znajdujące ujścia. Zastanawiam się, ile czasu minęło, nim pochłonęły go fale. Czy możesz to sobie, Vyland, wyobrazić: trzyletni chłopczyk, który krzyczy i mocije się, umiera bez nikogo bliskiego przy sobie? A potem wołania i zmagania ustały, bo mój synek utopił się.

Długo wpatrywałem się w kabinę rozbitego samolotu: przynajmniej tak mi się wydawało, a kiedy się odwróciłem, Vyland złapał mnie za prawe ramię. Odepchnąłem go, padł na podłogę, gapiąc się we mnie szeroko rozwartymi, oszalałymi z przerażenia oczyma. Usta miał rozchylone, oddychał z trudem, szybko i chrapliwie wciągając powietrze, drżał na całym ciele. Royale jeszcze nad sobą panował, ale z trudem: dłonie koloru kości słoniowej złożył na kolanach, oczy rozbiegane jak u ściganego zwierzęcia omiatały całą komorę obserwacyjną, szukając drogi ucieczki.

- Długo na to czekałem, Vyland - mówiłem dalej. - Czekałem dwa lata i cztery miesiące, a nie wydaje mi się, bym przez cały ten czas choć przez pięć minut myślał o czymś innym... Nie mam po co żyć, Vyland, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Mam tego dość. Może to makabra, ale czuję, że chciałbym pozostać tu, w ich pobliżu. Przestałem samego siebie oszukiwać, że jest jakiś sens w utrzymywaniu się przy życiu. Nie ma najmniejszego sensu, teraz już nie ma, więc z równym powodzeniem mogę tu pozostać. Wszystko jest już bezcelowe, bo jeżeli coś mnie dotąd trzymało przy życiu, to tylko obietnica, jaką trzeciego maja 1958 roku złożyłem samemu sobie: nie spocznę, dopóki nie odzyskam i nie unicestwię człowieka, który unicestwił moje życie. Dokonałem tego, a teraz nic mi już nie pozostaje. Trochę mi chyba dokucza myśl, że i ty tu będziesz, ale z drugiej strony wydaje mi się, że to nawet pasuje. Na koniec mordercy i ofiary spotykają się razem...

- Jesteś szalony - wyszeptał Vyland. - Jesteś szalony. Co ty wygadujesz?

- Tylko to. Pamiętasz ten elektryczny przełącznik, który został na stole? Ten, o który mnie spytałeś, a ja powiedziałem: "Teraz już nam nie będzie potrzebny"? No więc rzeczywiście nie będzie nam potrzebny. To był główny przełącznik, regulujący zwalnianie balastu, bez niego aparatura do zwalniania balastu jest całkowicie nieprzydatna. Bez zwolnienia balastu nigdy nie zdołamy się wynurzyć. Tak więc jesteśmy tutaj, Vyland, i tu zostaniemy. Na zawsze.

Rozdział XII

Pot ściekał nam z twarzy strumieniami. Temperatura wzrosła do blisko pięćdziesięciu stopni, powietrze było wilgotne i nieopisanie stęchłe. Kiedy tak walczyliśmy o tlen dla płuc, nasze chrapliwe, zgrzytliwe sapanie było jedynym dźwiękiem, rozlegającym się w tej małej stalowej kuli, spoczywającej na dnie Zatoki Meksykańskiej; sto sześćdziesiąt metrów pod poziomem morza.

- Rozmontowane? - Vyland odezwał się słabym, niedowierzającym szeptem. Oczy miał niemal oszalałe z przerażenia. - My... ugrzęźliśmy tu? Tu, w tym... - głos stopniowo zamierał, on zaś odwrócił głowę i zaczął rozglądać się wokół siebie z desperackim popłochem szczura zapędzonego w kąt i czekającego śmierci. Co zresztą doskonale pasowało do jego sytuacji.

- Nie ma ratunku, Vyland - odparłem ponuro. - Chyba że przez ten właz wyjściowy. Może chcesz spróbować i otworzyć go? Na tej głębokości ciśnienie na zewnątrz może sięgać zaledwie pięćdziesięciu ton albo coś koło tego. A jeżeli uda ci się otworzyć... no cóż, zostaniesz spłaszczony o przeciwną gródź na placek centymetrowej grubości! Nie bierz tego tak tragicznie, Vyland... ostatnie minuty przyniosą ci jeszcze cierpienie. Nigdy byś nie uwierzył, że człowiek może tak cierpieć. Będziesz mógł obserwować, jak w ostatnich paru sekundach sinieją ręce i twarz, z kolei wszystkie większe naczynia krwionośne w płucach zaczynają pękać, ale już wkrótce potem...

- Przestań! Przestań! - zawył Vyland. - Przestań, na miłość boską! Wydostań nas stąd, Talbot, wyciągnij nas stąd! Dam ci wszystko, czego zechcesz, milion, dwa miliony, pięć milionów. Możesz sobie wszystko zabrać, Talbot, wszystko co do grosza! - Twarz jego przypominała szaleńca, oczy omal mu nie wyskoczyły z orbit.

- Przyprawiasz mnie o mdłości - powiedziałem beznamiętnie. - Nie wyciągnąłbym cię stąd, Vyland, nawet gdybym potrafił. I właśnie na wypadek, że mogłoby mnie podkusić, zostawiłem główny przełącznik na pływającej wyspie. Zostało nam piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut życia, jeśli chcesz życiem nazwać niewysłowione męczarnie, których teraz doznamy. A raczej, których ty doznasz. - Podniosłem rękę do poły płaszcza, oderwałem środkowy guzik i wpakowałem go sobie w usta. - Ja nie poczuję nic, ja przygotowywałem się do tego od miesiący. To nie guzik, Vyland, to tabletką stężonego cyjanku. Wystarczy, że raz ją ugryzę, a umrę nie zdając sobie nawet sprawy, że umieram.

To go wykończyło. Śliniąc się w kąciakach ust i bełkocąc bez związku; rzucił się na mnie nie wiem, z jakim zamiarem. Był zbyt oszalały, by samemu zdawać sobie sprawę z tego, co robi. Ale spodziewałem się tego, pod ręką miałem ciężki klucz maszynowy, więc nim jeszcze zdążył mnie

nawet dotknąć, podniosłem go i zamachnąłem się. Nie był to szczególnie mocny cios, ale wystarczył: Vyland zatoczył się do tyłu, rąbnął głową o ścianę i ciężko runął na podłogę.

Pozostał więc tylko Royale, który ni to siedział, ni kuczał na małym brezentowym stołku. Jego godne sfinksa opanowanie znikło bez śladu, wiedział, że zostały mu już tylko odliczone minuty życia, a twarz drgała jak opętana, jak gdyby chcąc nadrobić te wszystkie miny, których przez długie lata unikał. Wiedział, że lada moment czeka go los, który tylekroć gotował swym ofiarom, pazury strachu wpijały mu się głęboko w ciało, sięgając do najskrytszych zakątków mózgu. Jeszcze nie ogarnęła go panika, w przeciwieństwie do Vylanda jeszcze nie stracił do reszty panowania nad sobą, ale zdolność rozumowania i myślenia już go opuściła. Jedyny pomysł, jaki mógł mu przyjść do głowy, to tylko powtórzenie tego, co zawsze zwykł był czynić w chwili zagrożenia, a mianowicie zrobienie użytku z małego śmiercionośnego pistoleciku. Zdążył go już nawet wyciągnąć i celował we mnie, ale wiedziałem, że to nic nie znaczy, że jest to najczystszej wody odruch warunkowy, że nie ma zamiaru użyć broni. Po raz pierwszy w życiu Royale stanął w obliczu problemu, którego nie sposób rozwiązać przez pociągnięcie języczka spustowego.

- Strach cię obleciał, Royale, no nie? - powiedziałem łagodnie. Teraz nawet mówienie wymagało wysiłku; moje normalne tempo oddychania wzrastało z taką wielką szybkością, że trudno mi było wydobyć z siebie choćby jedno słowo.

Nic nie odpowiedział, przyglądał mi się tylko, w otchłani jego czarnych oczu czało się piekło i szatani. Po raz drugi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, tym razem mimo wilgoci oraz stęchłego i cuchnącego powietrza w naszej kabinie, mógłbym przysiąc, że poczułem zapach dopiero co przekopanej, wilgotnej, świeżej ziemi. Zapach, który występuje nad otwartą mogiłą.

- Wielki specjalista od mokrej roboty - szeptałem ochryple. - Royale, Royale morderca. Pomyśl o tych wszystkich, którzy drżeli, którzy nadal drżą na sam dźwięk twego imienia. Czy nie chciałbyś, żeby cię mogli teraz oglądać? Nie chciałbyś, Royale? Nie chciałbyś, żeby widzieli, jak się trzęsiesz? Trzęsiesz się, Royale, no nie? Jesteś przerażony, jak nigdy w życiu. Mam rację, Royale?

Znów nic nie odpowiedział. W oczach jego nadal było piekło i szatani, ale teraz już nie zwracał na mnie uwagi, wzrok skierował niejako do wewnątrz, z uporem lustrował najtajniejsze zakamarki swego ponurego umysłu. Zmienna gra mięśni jego wykrzywionej grymasem twarzy była dostatecznym dowodem, że rzucało nim we wszystkich możliwych kierunkach, przede wszystkim jednak świadczyła o mrocznej otchłani całkowitego załamania nerwowego, o paralizującym strachu, który nosi maskę szaleństwa.

- Jak ci się to podoba, Royale? - spytałem chrapliwym głosem. - Czy czujesz, jak zaczynają cię boleć krtań i płuca? Ja swoje czuję... i widzę, jak ci zaczyna sinieć twarz. Na razie jeszcze nie

tak mocno, ale pod oczyma już się zaczyna. Oczy i nos, tam zawsze występują pierwsze objawy. - Wpakowałem rękę do kieszeni na piersi marynarki i wyciągnąłem mały prostokącik polerowanego chromu... - Lusterko, Royale. Czy nie chciałbyś się w nim przejrzeć? Nie chciałbyś zobaczyć, jak...

- Niech cię wszyscy diabli wezmą, Talbot! - z rozmachem wytrącił mi lusterko z ręki; mówił ni to łkając, ni to wyjąc: - Ja nie chcę umierać! Ja nie chcę umierać!

- Ale twoje ofiary chciały, Royale, prawda? - nie mogłem dłużej mówić w sposób artykułowany, by wykrztusić z siebie jedno zdanie, musiałem cztery czy pięć razy łapać powietrze. - Każdy z nich zdecydowany był popełnić samobójstwo, a ty z niezmierzonej dobroci serca tylko im w tym pomagałeś. Tak było, Royale?

- Ty też umrzesz, Talbot - jego głos przypominał opętany rechot, rozdygotany pistolet wycelowany był w moje serce. - Teraz dostaniesz swoje.

- Ja się śmieję. Głośno się śmieję. Trzymam kapsułkę cyjanku między zębami. - Czułem ból w klatce piersiowej, wewnątrz komory obserwacyjnej zaczynało tańczyć mi przed oczyma. Wiedziałem, że długo już nie pociągnę. - Na co czekasz? - wykrztusiłem. - Jazda, pociągnij za cyngiel.

Popatrzył na mnie oszalałymi, rozkojarzonymi oczyma, które prawie nie kontaktowały z rzeczywistością, i niezgrabnie schował czarny pistolecik z powrotem do kabury. Ciosy w głowę, które przedtem zainkasował, teraz zaczęły owocować, znajdował się w stanie jeszcze gorszym ode mnie. Zachwiał się na stołku, nagle przechylił się do przodu i padł na czworaki, głową kręcąc tam i z powrotem, jak gdyby chciał rozpędzić mgłę. Nachyliłem się nad nim, sam już ledwie przytomny, chwyciłem palcami gałkę przełącznika aparatury absorpcyjnej dwutlenku węgla i przekręciłem ją z pozycji zerowej do maksimum. Nim nastąpi odczuwalna poprawa, miną dwie, może trzy minuty, niewykluczone, że trzeba będzie blisko dziesięciu minut, by atmosfera w tej komorze choć z grubsza wróciła do normy. Chwilowo różnicy nie było żadnej. Pochyliłem się nad Royale'em.

- Zdychasz, Royale - zacharczałem. - Jakie to uczucie być pogrzebanym w mogile zanurzonej na głębokości stu pięćdziesięciu metrów pod poziomem morza? Jakie to uczucie, kiedy masz świadomość, że nigdy więcej już nie będziesz oddychał cudownym, czystym, świeżym powietrzem, tam w górze, nad nami? Jak się czujesz, mając świadomość, że nigdy więcej nie będziesz oglądał słońca? Jak się czujesz umierając? Opowiedz mi, Royale, jakie to uczucie? - Pochyliłem się nad nim jeszcze bliżej: - Powiedz, Royale, jak ci się podoba zdychanie?

Nie rozumiał mnie, już zaczynał tracić świadomość:

- Chciałbyś żyć, Royale? - musiałem te słowa niemal wykrzyknąć.

- Ja chcę żyć! - jego głos przypominał zgrzytliwy jęk bólu, zaciśnięta prawa pięść słabo bębniła po pokładzie komory. - O Boże, chcę żyć!

- Może mógłbym zwrócić ci życie, Royale. Może. Czołgasz się teraz na czworakach, Royale, prawda? Błagasz o życie, Royale, no nie? Przysiągłem sobie, że dożyję dnia, w którym będziesz się czołgał na czworakach i błagał o życie, a teraz przecież właśnie to robisz, Royale, no nie?

- Niech cię cholera weźmie, Talbot! - to był chrapliwy, zdesperowany, rozdzierający krzyk. Chwiał się teraz na czworakach, głową kiwając tam i z powrotem, oczy trzymał mocno zaciśnięte. Tam w dole, na podłodze, powietrze musiało być stęchłe i skażone w znacznie większym stopniu, niemal zupełnie pozbawione tlenu, toteż na jego twarzy zaczęły naprawdę występować pierwsze objawy sinienia. Oddychał szybko jak zgoniony pies, każde krótkie wciągnięcie powietrza przyprawiało o męczarnie. - Zabierz mnie stąd! Na miłość boską, zabierz mnie stąd!

- Jeszcze nie zdechłeś, Royale - powiedziałem mu do ucha. - Może jeszcze zobaczysz kiedyś słońce. A może nie. Vylanda okłamałem, Royale. Główny przełącznik aparatury zwalniającej balast znajduje się ciągle na swoim miejscu... po prostu skrzyżowałem parę kabli, to wszystko. Ty potrzebowałbyś wielu godzin, żeby odkryć, o jakie kable chodzi. Ja to mogę załatwić w ciągu trzydziestu sekund.

Przestał kręcić głową, zwrócił ku mnie lekko zsiniałą, oblaną potem twarz, spojrzał przekrwionymi, pociemniałymi z przerażenia oczyma, w których gdzieś daleko, na samym dnie, zamigotała słabiutka iskierka nadziei. - Zabierz mnie stąd, Talbot - wymamrotał. Nie wiedział, czy pozostawała mu jakaś nadzieja, czy też są to tylko dodatkowe wyrafinowane tortury.

- Mógłbym to zrobić, Royale, wiesz przecież o tym? Spójrz, mam tu pod ręką śrubokręt - pokazałem mu go, uśmiechając się bez cienia współczucia. - Ale kapsułkę cyjanku trzymam nadal między zębami. - Pokazałem mu guzik, który trzymałem w zębach.

- Nie! Nie rób tego! - krzyknął ochryple. - Nie rozgryzaj! Jesteś szalony, Talbot, szalony! Boże, czy nie ma w tobie ani trochę ludzkich uczuć? - Jak na Royale'a to był dobry tekst.

- Kto zabił Jablonsky'ego? - spytałem spokojnie. Teraz było już łatwiej oddychać, choć nie tam w dole, gdzie klęczał Royale.

- To ja. Ja go zabiłem - jęknął Royale.

- Jak?

- Zastrzeliłem go. W głowę. Spał.

- A potem?

- Zakopaliśmy go w ogrodzie. - Royale w dalszym ciągu jęczał i kiwał się, ale wyęczał wszystkie siły, by skupić myśli, i starał się wyrażać je w sposób artykułowany: chwilowo cała energia odeszła go bezpowrotnie, mówił, aby ocalić życie, był tego świadom.

- Kto stoi za Vylandem?

- Nikt.

- Kto stoi za Vylandem? - powtórzyłem niemiłosiernie.

- Nikt! - nie mówił, lecz prawie krzyczał, tak rozpaczliwie zależało mu na tym, żeby mnie przekonać. - Przedtem było dwóch innych: jeden z ministrów, członków rządu kubańskiego oraz Houras, wyższy funkcjonariusz państwowego w Kolumbii. Ale już ich nie ma.

- Co się z nimi stało?

- Są... zostali zlikwidowani - powiedział Royale znużonym głosem. - Sam to załatwiłem.

- Kogo jeszcze zlikwidowałeś od czasu, kiedy zacząłeś pracować na zlecenie Vylanda?

- Nikogo.

Pokazałem mu guzik, który trzymałem w zębach. Zadrżał.

- Pilota. Pilota myśliwca, który zestrzelił ten samolot. On... za dużo wiedział.

- To właśnie dlatego nie udało mi się tego pilota odnaleźć - pokiwałem głową. - Boże święty, miła z was ferajna. Ale popełniłeś błąd, Royale, prawda? Zastrzeleń go przedwcześnie. Nim zdążył dokładnie podać ci miejsce, w którym DC wpadł do morza... Wszystkie polecenia otrzymywałeś od Vylanda?

Skinął głową.

- Słyszałeś pytanie? - upierałem się.

- We wszystkich sprawach wydawał mi polecenia Vyland.

Zapanowało krótkie milczenie. Wyglądałem przez okno, zauważyłem jakieś podobne do rekina stworzenie, które wpłynęło w pole widzenia, przyglądało się ciekawie zarówno batyskafowi, jak i samolotowi, a potem leniwie poruszyło ogonem i znikło gdzieś w czeluściach Hadesu. Odwróciłem się i poklepałem Royale'a po ramieniu.

- Postaraj się doprowadzić Vylanda do przytomności - powiedziałem.

Gdy Royale pochylał się nad swoim chlebobawcą, ja ponad jego głowę sięgnąłem do przełącznika aparatury regulacji tlenu. Nie chciałem, by powietrze przedwcześnie odzyskało świeżość.

Po upływie chyba minuty Royale zdołał przywrócić Vylandowi przytomność. Vyland miał duże trudności z oddychaniem, znajdował się w dość mocno zaawansowanej pierwszej fazie niedotlenienia, ale mimo wszystko jeszcze dyszał, bo kiedy otworzył oczy, dzikim wzrokiem potoczył wokół i zobaczył mnie ciągle jeszcze trzymającego guzik między zębami. Zaczął wrzeszczeć, raz po raz wydając przerażające dźwięki, szarpiące nerwy w tym ciasnym pomieszczeniu o stalowych grodziach. Pochyliłem się do przodu, chcąc wymierzyć mu siarczysty policzek i w ten sposób wyrwać z panicznej hysterii, ale Royale mnie uprzedził. Royale dostrzegł

wątki cień nadziei i był zdecydowany wykorzystać go do maksimum. Zamachnął się ręką, niezbyt łagodnie obchodząc się z Vylandem.

- Przestań! - Royale potrząsał nim ze wszystkich sił. - Przestań, przestań! Talbot mówi, że może doprowadzić ten mechanizm do porządku. Słyszysz mnie? Talbot mówi, że może to naprawić!

Powoli wrzask przycichał. Vyland wpatrywał się w Royale'a wzrokiem, w którym wśród przerażenia i szaleństwa zaczął torować sobie drogę nikły cień zrozumienia.

- Coś powiedział? - jęczał chrapliwie. - Co to miało znaczyć, Royale?

- Talbot mówi; że potrafi ten mechanizm naprawić - powtórzył z gorliwością Royale. - Mówi, że nas okłamał, mówi, że przełącznik, który zostawił na górze, nie jest taki ważny. On to może naprawić. On to może naprawić!

- Ty... Talbot, możesz to naprawić? - Vyland szeroko rozwarł oczy, zobaczyłem nawet pierścien białka wokół tęczówki. W jego rozdygotanym głosie brzmiała błagalna modlitwa, całe ciało skuliło się w błagalnym geście. Nie miał jeszcze nawet odwagi ludzić się nadzieją, umysł zbyt głęboko pograżył się już w otchłani śmierci, by mógł dostrzec choćby promień światła przebijający z góry; ściślej mówiąc, nie miał śmiałości tam spojrzeć, ze strachu, że takiego promienia światła wcale nie ma. - Możesz nas stąd wyciągnąć? Teraz... nawet teraz... możesz...?

- Może was wyciągnę, może nie - w moim głosie zdyszany wprowadzie i chrapliwym brzmiała właściwa nutka obojętności. - Powiedziałem już, że wolałbym tu pozostać, tak, wolałbym tu pozostać. Wszystko zależy. Chodź tu, Vyland.

Drżąc, podniósł się i podszedł do mnie. Nogi, całe ciało zresztą, miał tak rozdygotane, że z trudem utrzymywał się w pozycji pionowej. Zdrową ręką chwyciłem go za kłapy i przyciągnąłem do siebie:

- Powietrza zostało nam na jakieś pięć minut, Vyland. Może nawet i nie tyle. Więc powiedz mi, i to prędko, jaką rolę odegrałeś w tej sprawie, do chwili poznania generała. Ale już!

- Wyciągnij nas stąd! - jęczał. - Brak mi powietrza, brak mi powietrza! Płuca mi pękają, nie mogę... nie mogę oddychać! - Prawdę mówiąc, wcale nie przesadzał, stęchłe powietrze z charkotem przedostawało mu się do płuc i z powrotem w tempie normalnego bicia serca. - Nie mogę mówić. Nie mogę!

- Gadaj, do cholery, gadaj! - Royale złapał go od tyłu za szyję i trząsał nim jak liściem, a Vyland, niby złamana lalka, kiwał głową w przód i w tył. - Gadaj! Chcesz tu zdychać, Vyland? Myślisz, że ja chcę przez ciebie zdychać? Gadaj!

I Vyland zaczął gadać. W ciągu niespełna trzech minut łapczywego zachłystywania się powietrzem, kasłania i dławienia się powiedział mi wszystko, czego się chciałem dowiedzieć: jak

ubił interes z kubańskim ministrem jednego z resortów wojskowych, jak w ciągu wielu tygodni trzymał na podorędziu samolot, jak nakłonił do przestępstwa oficera dowodzącego jedną ze stacji radarowych w zachodniej części Kuby, jak śledził lot samolotu, przechwyił go i zestrzelił, jak razem z Royale'em likwidowali tych, którzy przestali już być im potrzebni: Zaczął nawet opowiadać o generale, ale powstrzymałem go ruchem ręki.

- Dobra, dosyć tego, Vyland. Wracaj na swoje miejsce! - Sięgnąłem do przełącznika aparatury wchłaniającej dwutlenek węgla i przekręciłem na pełne obroty.

- Co robisz? - wyszeptał Vyland.

- Wpuszczam świeże powietrze. Zrobiło się trochę duszno, nie sądzisz?

Popatrzyli na siebie, potem spojrzeli na mnie, ale zachowali milczenie. Mogłem się spodziewać wściekłości, żalu, nawet przemocy, ale nie tego. W dalszym ciągu największą władzę miało nad nimi przerażenie: wiedzieli, że zdani są ciągle na moją łaskę i niełaskę.

- Kto... kim ty jesteś, Talbot? - zacharczał Vyland.

- Mógłbyś chyba nazwać mnie gliną. - Siadłem na brezentowym stołku. Nie chciałem przystępować do delikatnego zadania wynurzenia batyskafu, nim powietrze, a także mój umysł, nie odzyskają pełnej świeżości. - Kiedyś byłem zwykłym specem od ratownictwa okrętowego, pracowaliśmy razem z bratem. To właśnie on, a raczej to, co z niego zostało, tam, na fotelu kapitańskim. Stanowiliśmy zgrany zespół, Vyland, dokopaliśmy się skarbu przy wybrzeżach Tunezji i wykorzystaliśmy ten kapitał, by założyć własną linię lotniczą... W czasie wojen obaj byliśmy pilotami na bombowcach, obaj mieliśmy licencję pilotów cywilnych. Bardzo dobrze nam się powodziło, Vyland... dopóki nie zetknęliśmy się z tobą... Po tym twoim wyczynie - szarpnięciem ręki wskazałem uszkodzony samolot, obrośnięty wodorostami i skorupiakami - wróciłem do Londynu. Aresztowano mnie, podejrzewano, że miałem z tą sprawą coś wspólnego. Wyjaśnienie nie zabrało mi wiele czasu, a potem udało mi się namówić londyńskie biuro Lloyd'a, które straciło całą polisę ubezpieczeniową, by zatrudniło mnie w charakterze specjalnego agenta. Lloyd był skłonny wydać nieograniczoną sumę pieniędzy, żeby odzyskać choć część poniesionych strat. A ponieważ w grę wchodziły fundusze państwowe, miałem poparcie brytyjskiego i amerykańskiego rządu. Solidne poparcie. Nikt nigdy nie miał lepszego. Amerykanie posunęli się nawet do tego, że przydzielili mi w tym celu do wyłącznej dyspozycji jednego z najzdolniejszych policjantów, Jablonsky'ego.

Zatrzęsło nimi, i to paskudnie. Wyzwolili się już dostatecznie ze strachu przed natychmiastową śmiercią, w wystarczającym stopniu powrócili do realiów tego świata, aby docenić sens tego, co mówię i co mam na myśli. Spoglądali po sobie, potem spojrzeli na mnie: nie mógłbym sobie wymarzyć uważniejszego audytorium!

- To był błąd, nieprawdaż, moi panowie? - ciągnąłem dalej. - Mówię o zastrzeleniu Jablonsky'ego! To wystarczy, aby was obu posłać na fotel elektryczny. Sędziowie nie lubią facetów, którzy mordują policjantów. Może to nie być w zgodzie z ideałami sprawiedliwości, ale tak jest. Zamordujesz prostego obywatela, może ujdzie ci to płazem; zamordujesz policjanta, nigdy się nie wymigasz od kary. Ale to nieistotne. Wiemy o was dość, aby posłać was na fotel elektryczny, i to niejedną raz.

Opowiedziałem im, jak z Jablonskim spędziłem dobrze ponad rok, głównie na Kubie, szukając śladów sztab złota i jak doszliśmy do wniosku, że skarbu jeszcze nie wydobyto: na żadnym ze światowych rynków nie pojawił się ani jeden szlifowany szmaragd. Interpol dowiedziałby się o tym w ciągu paru dni.

- A przy tym dobrze wiedzieliśmy - mówiłem dalej - z jakich to powodów skarbu dotąd nie wydobyto. Dlaczego? Mogła być tylko jedna przyczyna: zatonął w morzu, a ktoś okazał się ociupinę nadgorliwy i zabił jedynego człowieka, który wiedział dokładnie, gdzie się ten skarb znajduje. Pilota myśliwca... Nasze poszukiwania koncentrowały się coraz bardziej w pobliżu zachodnich wybrzeży Florydy. Ktoś szukał skarbu zatopionego w morzu. Do tego potrzebny był statek. "Temptress" generała idealnie się do tego celu nadawał. Ale potrzebna wam była wyjątkowo czuła echosonda i tu właśnie, Vyland, popełniłeś swój jedyny, fatalny w skutkach błąd. Zwróciliśmy się do wszystkich ważniejszych dostawców sprzętu morskiego w Europie i Ameryce Północnej, żeby zawiadomili nas natychmiast, jeśli sprzedadzą jakikolwiek sprzęt do pomiarów głębokości jednostkom pływającym, nie należącym do marynarki wojennej, floty handlowej lub rybackiej. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

Nie ulegało wątpliwości, rozumieli mnie doskonale. Prawie wrócili już do normy, w ich oczach znów czał się mord.

- W interesującym nas czteromiesięcznym okresie sprzedano prywatnie aż sześć takich ultraczułych echosond. Wszystkie bez wyjątku zakupili właściciele dużych jachtów. Dwa z tych jachtów znajdowały się w podróży morskiej dookoła świata. Jeden był w Rio, jeden w Long Island Sound, jeden na wybrzeżach Pacyfiku, szósty zaś krążył wzdłuż zachodnich brzegów Florydy. Właśnie "Temptress" generała Blaira Ruthvena... Muszę przyznać, że pomysł był genialny. Czy można sobie wymarzyć lepszy kamuflaż, by nie budząc niczyich podejrzeń przebadać każdy metr kwadratowy morza u wybrzeży Florydy? Geologowie generała trudzili się zakładaniem i eksplozowaniem małych bombek i rysowaniem map sejsmologicznych podwodnych warstw skalistych, a tymczasem wy pracowicie kartowaliście za pomocą echosondy nawet najdrobniejsze zarysy dna oceanu. Zajęło to wam blisko sześć tygodni, bo rozpoczęliście prace w punkcie wysuniętym zbyt daleko na północ... Już wówczas śledziliśmy zresztą każdy wasz krok i

wyposażyliśmy specjalny statek do poszukiwań nocnych... Tym właśnie statkiem przypląnąłem dziś nad ranem. No więc znaleźliście samolot. Spędziliście nawet trzy noce na próbach wyłowienia go bosakami, ale udało wam się jedynie wyciągnąć niewielką część koniuszka lewego skrzydła - ruchem ręki wskazałem za okno. - Możecie zobaczyć, jak świeży jest w tym miejscu ślad złamania.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - wyszeptał Vyland.

- Bo postarałem się o pracę w zastępstwie mechanika na pokładzie "Temptress". - Świadomie nie zwróciłem uwagi na zduszone przekleństwo, na mimowolne zaciśnięcie pięści przez Vylanda. - Tobie i generałowi wydawało się, że widzieliście mnie na pokładzie tego statku ratowniczego w Hawanie, ale myliliście się; chociaż pracowałem w tamtejszej firmie. Za to pięć tygodni spędziłem na "Temptress" i dopiero kiedy opuściłem pokład, przefarbowałem sobie włosy na ten piekielny kolor, specjalista od chirurgii plastycznej ozdobił mnie szramą i zacząłem udawać, że kuleję. Ale i tak nie okazałeś się zanadto spostrzegawczy, nieprawdaz, Vyland? Powinieneś być mnie zdemaskować... No więc, tak to wygląda. Wiedzieliście, gdzie się skarb znajduje, ale nie potrafiliście go wydobyć... Jeśli by ktoś zaczął posługiwać się dzwonem nurkowym i całym pozostałym skomplikowanym sprzętem ratowniczym, nieodzownym w tego rodzaju robocie, ukreśliłby sobie po prostu stryczek na szyję. Ale wtedy ktoś wpadł na genialny pomysł... Założę się o każdą sumę, że ten pomysł wylękł się w głowie twego nieżyjącego już przyjaciela, inżyniera Brysona. Musiał gdzieś czytać o przeprowadzanych w Indiach Zachodnich doświadczeniach z batyskafem i wpadł na pomysł użycia batyskafu w połączeniu z tą pływającą wyspą wiertniczą.

Wewnątrz komory obserwacyjnej powietrze już prawie powróciło do normy, a choć nadal było duszno i o wiele za gorąco, to jednak tlenu już nie brakowało, oddychanie przestało być problemem. Z upływem każdej chwili Royale i Vyland odzyskiwali właściwą sobie nikczemność i tupet.

- No więc, jak widzisz, wszyscy mieli genialne pomysły - ciągnąłem dalej. - Ale najgenialniejszy, ten który was obu przywiódł do kresu nocy, pochodził od Jablonsky'ego. To właśnie Jablonsky doszedł do wniosku, że byłoby naprawdę miło i ładnie z naszej strony, gdybyśmy dostarczyli wam batyskafu i pozwolili dokończyć zbożnego dzieła.

Vyland zaklął cicho, ale dobitnie, powoli obrzucił wzrokiem Royale'a, a potem znów spojrzał na mnie: - To znaczy, że...? - zaczął pytająco.

- Wszystko było z góry zaplanowane - powiedziałem zmęczonym głosem. Nie sprawiało mi to najmniejszej przyjemności - francuska i brytyjska marynarka wojenna przeprowadzały doświadczenia w Zatoce Lwów, ale chętnie zgodziły się kontynuować je tutaj. Zadbaliśmy, by towarzyszyła im krzykliwa reklama, zadbaliśmy, by raz po raz podkreślano korzyści płynące z batyskafu, tak że nawet największy debil musiał zrozumieć, jak świetnie taki statek nadaje się do

przeprowadzanych cichaczem operacji z zakresu ratownictwa podwodnego i poszukiwania zatopionych skarbów. Wiedzieliśmy, że to tylko kwestia czasu, aby pojawił się "Temptress", i tak się też stało. A więc zostawiliśmy batyskaf w pięknym, bezludnym miejscu. Ale nim go zostawiliśmy, spreparowaliśmy go tak gruntownie, że nikt, z wyjątkiem mnie oraz elektryka, który zakładał oryginalne obwody, nigdy nie byłby w stanie doprowadzić go ponownie do stanu używalności. Potrzebowałeś więc kogoś, kto ci go rozkręci, nieprawdaż, Vyland? Czy to nie był szczęśliwy zbieg okoliczności, że pojawiłem się przypadkiem, i to w najodpowiedniejszym momencie? Nawiasem mówiąc, ciekaw jestem, co powiedzą nasi przyjaciele, kierownik brygady wiertaczy i inżynier nafciarz, kiedy się dowiedzą, że prawie całe trzy miesiące zmarnowali na wiercenie w odległości jakichś trzech kilometrów od miejsca, które im wskazali geologowie. Podejrzewam, że to ty i Bryson przerobiliście koordynaty nawigacyjne na mapach, żeby znaleźć się w zasięgu ręki od zatopionego skarbu, ale wiele kilometrów od miejsca, gdzie znajdują się złoża ropy. W dotychczasowym tempie mogą dowieźć się do Oceanu Indyjskiego i żadnej ropy nie znajdą.

- Nie przejdzie ci ten numer! - zawołał Vyland z wściekłością. - Na Boga, nie będziesz...

- Stul pysk! - przerwałem z pogardą. - Stul pysk, bo przekręcę jedną gałkę, przesunę drugi przełącznik i za chwilę obaj będziecie tu skamlać na kolanach i błagać, żebym wam darował życie, dokładnie tak, jak przed niespełna pięcioma minutami.

Gdyby mogli, zamordowaliby mnie na miejscu, gotowi byli przyglądać się, jak zdycham w niewysłowionych męczarniach, a łzy radości spływałyby im po policzkach. Dotąd nikt nigdy tak do nich nie przemawiał, nie mieli więc pojęcia, co odpowiedzieć, co z tym fantem zrobić: ich życie przecież ciągle znajdowało się w moich rękach. Potem, po długiej chwili, Vyland przechylił się na swoim stołku w tył i uśmiechnął się. Jego umysł zaczynał już działać normalnie.

- Podejrzewam, Talbot, że roi ci się jakaś myśl o wydaniu nas w ręce władz. Czy mam rację? - Czekał na odpowiedź, a kiedy jej nie otrzymał, dorzucił: - Jeżeli tak, zmienię o tobie zdanie. Jak na takiego szczwanego glinę, byłeś, Talbot, w jednej sprawie wyjątkowo ślepy. Jestem pewien, że nie zechcesz ponosić odpowiedzialności za śmierć dwojga niewinnych ludzi, prawda, Talbot?

- O czym ty gadasz? - zapytałem wolno.

- Mówię o generale. - Vyland zerknął na Royale'a wzrokiem po raz pierwszy wolnym od strachu, wzrokiem, w którym czaił się triumf. - O generale Blairze Ruthvenie. Ó generale, jego żonie i młodszej córce. Czy wiesz, co mam na myśli, Talbot?

- Co ma wspólnego żona generała z...?

- Boże święty! A przez chwilę myślałem, że ma nas w swoim ręku! - ulga na twarzy Vylanda była niemal namacalna. - Ty głupcze, ty ślepy głupcze! Generał... czy nigdy nie przyszło ci do głowy, w jaki sposób nakłoniliśmy go do współpracy? Czy nigdy nie zastanowiłeś się, dlaczego człowiek tego pokroju pozwolił nam posłużyć się swoim jachtem, swoją pływającą wyspą wiertniczą i wszystkim innym, czego nam było trzeba? Nie zastanowiłeś się, Talbot? Naprawdę nie?

- Ja myślałem, że...

- Myślałeś! - zadrwił. - Stary Ruthven, chcąc nie chcąc, musiał nam pomagać. Pomagał, bo wiedział, że od nas zależy życie jego żony i młodszej córki.

- Jego żony i młodszej córki? Ale... przecież oni są po sądowej separacji, prawda?... Mówię o generale i jego żonie. Czytałem o tym...

- Pewnie. Pewnie, że o tym czytałeś. - Vyland zapomniał już o swoim przerażeniu i teraz był prawie rubaszny. - Setki milionów innych też o tym czytały. Generał postarał się, żeby ta historia nabrała rozgłosu. One są zakładniczkami, Talbot. Trzymamy je w bezpiecznym miejscu i tam też pozostaną dopóty, dopóki tu nie skończymy. Bo inaczej...

- Wy... wyście je porwali?

- Nareszcie zaskoczyło! - zadrwił Vyland. - Pewnie, że je porwaliśmy.

- Ty i Royale?

- Ja i Royale.

- Przyznajesz się? Porwanie... zbrodnia federalna i kara śmierci. Przyznałeś się otwarcie i dobrowolnie. Czy tak?

- Tak jest. Dlaczegoż nie miałbym się przyznać? - chełpił się Vyland. Ale mimo wszystko poczuł się nieswojo. - Więc lepiej będzie, jeśli zapomnisz o glinach i o całym projekcie wydania nas w ich ręce. A zresztą może ci się zdaje, że nas wyciągniesz z tego kesonu i wywieziesz z pływającej wyspy, nim zostaniesz posiekany w kawałeczki? Obawiam się, żeś postradał zmysły, Talbot.

- Żona i córka generała - zadumałem się w głos, jak gdybym nie słyszał jego słów. - To nie był zły pomysł. W końcu puściłbyś je wolno, nie mógłbyś sobie na nic innego pozwolić. Gdybyś próbował jakichś sztuczek, wybuchłaby afera stokroć głośniejsza od sprawy Lindbergha. Z drugiej strony wiedziałeś, że generał później nie przedsięwzię nic: nie miałby żadnych dowodów przeciwko tobie, a ty w rękawie trzymałeś jeszcze atutowego asa, Royale'a. Jak długo Royale chodzi wolno po Ameryce, generał nie odważy się pisnąć słówkiem. Cała operacja kosztowałaby go prawdopodobnie równy milion, ale to dla niego bagatelka w porównaniu z życiem żony i córki. Piękny układ.

- Zgadza się. Mam wszystkie atuty w ręku.

- Tak - odparłem z roztargnieniem. - A każdego dnia, dokładnie w samo południe, wysyłasz zaszyfrowaną depeszę... firmowym szyfrem generała... do twoich psów łańcuchowych, którzy czuwają nad panią Ruthven i nad Jean. Widzisz, Vyland, znam nawet imię córeczki. Jeśli szyfrowana depesza nie nadejdzie w ciągu dwudziestu czterech godzin, twoi ludzie mają polecenie przeniesienia obu zakładniczek w inne miejsce, do bezpieczniejszej kryjówki. Obawiam się, że Atlanta nie okazała się zbyt bezpieczna.

Twarz Vylanda poszarzała, rękę znów zaczęły dygotać. Głos, jaki z siebie wydobył, był zduszonym szeptem: - Coś ty powiedział?

- Skapowałem się dopiero przed dwudziestoma czterema godzinami - wyjaśniłem. - Byliśmy ślepi... Całymi tygodniami kontrolowaliśmy wszystkie wysyłane z Marble Springs depesze zagraniczne, ale zapomnieliśmy o krajowych. Kiedy zorientowaliśmy się w tym niedopatrzaniu, przekazałem sędziemu Mollisonowi wiadomość za pośrednictwem Kennedy'ego, przypominasz sobie tę naszą bójkę, wtedy wcisnąłem mu karteczkę do ręki... I to właśnie rozpętało najbardziej chyba od wielu lat zorganizowany bezlitosny pościg. FBI nie cofnie się przed niczym, zwłaszcza od czasu likwidacji Jablonsky'ego, no i najwidoczniej nie cofnęło się przed niczym. Pani Ruthven i Jean są całe i zdrowe, natomiast twoi przyjaciele, Vyland, znajdują się pod kluczem i sypią jeden przez drugiego, aby tylko ocalić głowę. - Tego ostatniego mogłem się tylko domyślać, ale nie przypuszczałem, bym miał się specjalnie w tym względzie mylić.

- Zmyślasz - chrapliwym głosem powiedział Vyland. Na jego twarzy znów zagościł strach, chwycił się byle czego, jak tonący brzytwy. - Przez cały dzień przebywałeś pod strażą, więc skąd...

- Gdybyś się pofatygował na górę do kabiny radiooperatora i zobaczył, w jakim stanie jest ta twoja kreatura, która usiłowała przeszkodzić mi w wysłaniu depeszy radiowej do szeryfa, nie mówiłbyś takich głupstw. To dzięki Kennedy'emu Royale ma teraz tak obolały łeb. To Kennedy wtaszczył go do pokoju i pilnował, zapisując całe kartki papieru na moim biurku fikcyjnymi obliczeniami, bo ja tymczasem poszedłem załatwić parę spraw. Rozumiesz przecież, że nie odważyłbym się zrobić kroku, nie upewniwszy się, że nie zagraża im niebezpieczeństwo. Ale już nie zagraża.

Spojrzałem na jego szarą, niezdrową twarz ściganego i odwróciłem wzrok. Nie był to widok budujący. Pora już wracać, dowiedziałem się wszystkiego, co wiedzieć chciałem, zebrałem wszystkie dowody, jakie mogłyby być mi kiedykolwiek potrzebne. Otworzyłem więc skrzynkę bezpiecznikową, odłączyłem i przełączyłem cztery kable, ponownie zamknąłem skrzynkę i pociągnąłem za pierwsze z czterech elektromagnetycznych urządzeń wyzwalających balast z ołowianego śrutu.

Aparatura działała. Za oknami komory obserwacyjnej dwa obłoki szarych kulek śrutowych spadły jak grad i znikły w czarnym mule morskiego dna. Aparatura działała, ale zmniejszenie ciężaru na nic się nie zdało. Batyskaf ani drgnął.

Pociągnąłem drugi przełącznik, opróżniłem drugą parę zbiorników: ciągle tkwiliśmy w bezruchu. Zagrzebaliśmy się dość głęboko w tym mule, nie miałem nawet pojęcia, jak głęboko, ale poprzednio, w czasie prób, nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Usiadłem i zacząłem się zastanawiać, czy aby o czymś nie zapomniałem, ale teraz, kiedy napięcie już zelżało, powrócił ból w ramieniu i w ustach, toteż myślenie nie przychodziło mi łatwo. Wyjąłem guzik, który trzymałem w zębach i w roztargnieniu schowałem do kieszeni.

- Czy... czy to cyjanek? - Vyland nadal był szary na twarzy.

- Nie wygłupiaj się. Róg jeleni w najlepszym gatunku. - Wstałem, jednocześnie szarpnąłem oba pozostałe przełączniki. Oba działały, ale bez rezultatu. Spojrzałem na Vylanda i na Royale'a, w ich twarzach dostrzegłem strach, który zaczynał także i mnie drażnić. Boże, pomyślałem, co to byłaby za ironia losu, gdyby po tym wszystkim, co zrobiłem i powiedziałem, przyszło nam rzeczywiście umierać tu; na dnie. Nie miało sensu odwlekać chwili decyzji. Zapuściłem oba silniki, pochyliłem skrzydła do pozycji maksymalnego kąta podniesienia, uruchomiłem silnik liny holowniczej i w tej samej chwili nacisnąłem przełącznik zrzucający w morze dwa wielkie akumulatory elektryczne zamontowane po zewnętrznej stronie batyskafu. Upadły jednocześnie i z łoskotem, który targnął batyskafem, i wyrzuciły w górę ciemną, powiększającą się chmurę czarnego, lepkiego mułu. Przez trwającą jak wieczność chwilę nie działo się nic, wyzbyłem się ostatniej szansy, rozwiały się resztki nadziei, aż nagle, w ciągu sekundy, batyskaf nagle, w ciągu sekundy, batyskaf zadygotał, zassał na rufie i zaczął unosić się w górę. Słyszałem, jak Vyland łka z ulgi i przerażenia.

Wyłączyłem silniki. Wynurzaliśmy się powoli gładko, na równej stępcie: od czasu do czasu włączałem silnik liny holowniczej, by podciągnąć zwis. Podnieśliśmy się już o jakieś trzydzieści kilka metrów, gdy odezwał się Royale.

- A więc to wszystko było mydleniem oczu, Talbot. Nigdy nie miałeś zamiaru zostawić nas na dnie. - Mówił złowieszczym szeptem, zdrowa część twarzy wróciła do normy i była jak zawsze wyzuta z wszelkiego wyrazu.

- Zgadza się - przytaknąłem.

- Więc po co?

- Żeby dowiedzieć się dokładnie, gdzie się skarb znajduje. Ale to w gruncie rzeczy miało znaczenie drugorzędne, wiedziałem, że musi być gdzieś tu, w pobliżu, a rządowy okręt hydrograficzny odnalazłby go w ciągu jednego dnia.

- Więc po co, Talbot? - powtórzył tym samym bezbarwnym głosem.

- Bo musiałem mieć dowody. Potrzebowałem dowodów, żeby posłać was obu na fotel elektryczny. Do tej pory nie miałem żadnych dowodów, wasz trop przypominał długi szereg wodoszczelnych pomieszczeń o zamkniętych drzwiach. Royale kolejno te drzwi zamykał zabijając każdego, kto mógłby sypać. Wręcz nie do wiary, ale nie było ani jednego zarzutu, który moglibyśmy wysunąć przeciwko wam, nie było człowieka, który mógłby was wsypać... z tej prostej, ale wystarczającej przyczyny, że wszyscy już nie żyli. Zamknięte drzwi! Dziś sami je otworzyliście. Strach okazał się kluczem do wszystkich drzwi.

- Ciągłe nie masz dowodów, Talbot - powiedział Royale. - To będzie tylko twoje słowo przeciwko naszemu... a zresztą nie dożyjesz możliwości wypowiedzenia tego słowa.

- Spodziewałem się czegoś takiego - kiwnąłem głową. Znajdowaliśmy się właśnie na głębokości ponad osiemdziesięciu metrów. - Wraca ci odwaga, Royale, no nic! Ale i tak nie odważysz się nic zrobić. Beze mnie nie przycumujecie batyskafu do pływającej wyspy wiecie o tym sami. A zresztą, są także dowody konkretne. Do palca u nogi przyklejony mam plastrem pocisk, który zabił Jablonsky'ego. - Wymienili zdumione spojrzenia. - To wami wstrząsnęło, co? Wiem o wszystkim! W ogrodzie odkopałem nawet zwłoki Jablonsky'ego. Ten pocisk będzie pasował do twojego samopowtarzalnego pistoletu, Royale. Już tego będzie dość, żeby cię posłać na krzesło elektryczne.

- Daj mi to, Talbot. Daj mi to natychmiast! - bezbarwne, kamienne oczy błyszczały teraz, dłoń sięgała po broń.

- Nie wygłupiaj się. Co z tym zrobisz? Wyrzucisz przez okno? Nie możesz się tego pozbyć, sam o tym wiesz. A gdybyś nawet mógł, jest jeszcze coś, czego nie pozbędziesz się już nigdy. Prawdziwa przyczyna naszej dzisiejszej wyprawy, przyczyna, dla której obaj przyplaciecie życiem...

W moim głosie ciągle było coś, co ich paraliżowało. Royale tkwił w absolutnym bezruchu. Vyland nadal był szary, nadal wstrząsały nim dreszcze. Zdawali sobie sprawę, że koniec się zbliża, choć jeszcze nie wiedzieli jaki.

- Lina holownicza - powiedziałem. - Drut z kablem mikrofonowym, podłączony do głośnika na pływającej wyspie. Widzicie ten przełącznik mikrofonu? Widzicie, że jest włączony? Tak go ustawiłem, tak podłączyłem dziś po południu, że mikrofon działa bez chwili przerwy. Dlatego zmusiłem was do głośnej rozmowy, kazałem wam większość zeznań powtarzać; dlatego ciebie, Vyland, przyciągnąłem do siebie, żebyś w chwili przyznawania się do winy mówił wprost do mikrofonu. Każde słowo, które tu dziś padło, każde słowo teraz wypowiedane przechodzi przez podłączony głośnik. I każde słowo jest trzykrotnie nagrywane: przez magnetofon, przez cywilnego stenografa i przez stenografa policyjnego z Miami. Wracając dziś rano z pływającej wyspy

zadzwoiłem na policję. Już przed świtem byli na wyspie i pewnie dlatego, kiedy przybywaliśmy dziś na pokład, kierownik robót wiertniczych i inżynier nafcjarz sprawiali wrażenie tak podenerwowanych. Ukrywali się przez dwanaście godzin, ale Kennedy wiedział, gdzie są. A w porze obiadowej, Vyland, przekazałem Kennedy'emu umówione przez ciebie pukanie. Cibatti i jego ludzie na pewno dali się na to nabrać, musieli uwierzyć. No i teraz już po wszystkim...

Nie odezwali się ani słowem. Nic nie mieli do powiedzenia, przynajmniej na razie, przynajmniej do czasu, aż pełna wymowa moich słów w sposób jasny i nieodwołalny dotrze do ich świadomości.

- O taśmę magnetofonową też się nie martwcie - ciągnąłem dalej. - Z reguły sądy nie dopuszczają taśm jako dowodów rzeczowych, ale tym razem zrobią wyjątek. Wszystkie wasze zeznania były składane dobrowolnie... pomyślcie; przypomnijcie sobie, a przekonacie się, że tak właśnie było. W kesonie znajdzie się przynajmniej dziesięciu świadków, gotowych zaprzysiąc autentyczność tych nagrań, zaprzysiąc, że nie mogły pochodzić z żadnego innego źródła, tylko z wnętrza batyskafu. Każdy prokurator w kraju zażąda i uzyska wyrok skazujący, sędziowie przysięgli nie będą nawet musieli udawać się na naradę. Wiecie, co to znaczy?

- Taaak - Royale wyciągnął pistolet, widocznie snuł mu się po głowie jakiś szalony pomysł przestrzelenia linki holowniczej i sterowania batyskafem w bezpieczne miejsce. - No więc pomyliliśmy się, jeśli idzie o ciebie, Talbot, no więc okazałeś się cwańszy od nas. Dobra; przyznaję. Odwagi też ci nie brak... ale nigdy nie dożyjesz chwili odczytania wyroku. Jeżeli już mam dyndać, to niech wiem za co - zaczął zaciskać palec spoczywający na języczku spustowym. - Żegnaj, Talbot.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu - powiedziałem. - Czy nie wolałbyś, gdy nadejdzie pora, trzymać oburącz oparcie elektrycznego fotela?

- Nie pomoże ci już gadanie, Talbot, powiedziałem...

- Zajrzyj do lufy - poradziłem mu. - Jeżeli chcesz rozwalić sobie łapę, to popróbuj. Kiedy dziś leżałeś nieprzytomny, Kennedy posłużył się młotkiem i przebijakiem, żeby ołowiany cylinder wepchnąć w głąb lufy. Czy myślisz, że ze mnie taki wariat? Czy opuściłbym się tu z wami na dno, kiedy trzymasz w garści nabitą broń? Nie musisz mi wierzyć na słowo, Royale, wystarczy, że pociągniesz za cyngiel.

Z ukosa zerknął w głąb lufy, na jego wykrzywionej twarzy pojawiła się maska nienawiści. W ciągu jednego dnia wykonał chyba dziesięcioletni plan w zakresie zmiany wyrazu twarzy, a teraz nie umiał nawet ukryć swoich zamierzeń. Wcześniej od niego wiedziałem już, że ciśnie pistolet. Udało mi się uchylić, broń trafiła w znajdujące się za mną okno z pleksiglasu i nie wyrządzając żadnych szkód spadła na podłogę u moich stóp.

- Ale przy mojej broni nikt nie majstrował - chrapliwie odezwał się Vyland. Nikt nie rozpoznałby w nim teraz niegdyś wytwornego i układnego, choć nieco przedobrzonego przedstawiciela kadry dyrektorskiej. Teraz twarz miał wychudłą, dziwnie postarzałą i pokrytą zielonkawo połyskującym potem. - Nareszcie i ty popełniłeś błąd, Talbot, prawda? - dyszał ciężko. - Nie uda ci się...

Urwał, ręka znieruchomiła mu w pół drogi za pazuchę marynarki. Gapił się w wylot lufy ciężkiego Colta, wycelowanego między jego oczy.

- Gdzie... skąd to masz? To... czy to jest pistolet Larry'ego?

- Był. Należało mnie zrewidować, a nie Kennedy'ego, nieprawdaż? Głupcy! Pewnie, że to pistolet Larry'ego, tego ućpanego narkotykami czubka, który twierdził, że jest twoim synem - przyglądałem mu się spokojnie, nie życzyłem sobie żadnej strzelaniny na głębokości pięćdziesięciu metrów pod powierzchnią morza. Nie wiedziałem, jakie mogłyby być tego konsekwencje. - Odebrałem mu go dziś wieczorem, Vyland, mniej więcej godzinę temu, nim go zabiłem.

- Nim go...?

- Nim go zabiłem. Skręciłem mu kark.

Wydając z siebie ni to łkanie, ni jęk, Vyland rzucił się na mnie przez całą szerokość komory. Ale reakcje miał zwolnione, ruchy jeszcze wolniejsze, toteż gdy lufa Colta Larry'ego trafiła go w skroń, bezwolnie klapnął na podłogę.

- Zwiąż go - powiedziałem Royale'owi. Dookoła wałało się mnóstwo przewodów elektrycznych, a Royale nie był aż tak głupi, żeby mi się przeciwstawiać. Związał go, ja zaś tymczasem zredukowałem przepływ paliwa w zaworach i zwolniłem tempo wynurzenia do głębokości około czterdziestu metrów: Jak tylko skończył; a nim jeszcze zdążył się wyprostować, rąbnąłem go w ucho rękojęścią Colta Larry'ego. Jeżeli była nawet kiedyś pora odpowiednia do zabawy w dżentelmena, to dawno już minęła. Czuję się teraz tak osłabiony, tak zagubiony w zalewającym mnie morzu bólu... Zdawałem sobie sprawę, że nie dam rady doprowadzić batyskafu do pływającej wyspy wiertniczej i jednocześnie czuwać nad Royale'em. Miałem wątpliwości, czy w ogóle dam sobie radę.

Udało mi się, ale niewiele brakowało. Pamiętam, jak wewnątrz kesonu uniosłem w górę luk wjazdu batyskafu, zupełnie nieswoim, belkotliwym, jękającym się głosem prosząc przez mikrofon, by napompowano obręczkowany gumowy pierścień. Potem słaniając się na nogach dowlokłem się, by odkręcić zawór drzwi wejściowych. Więcej nic nie pamiętam. Powiedziano mi, że wszystkich trzech znaleziono nas nieprzytomnych na podłodze batyskafu.

Epilog

Schodami gmachu sądów wyszedłem w cichy, ciepły słoneczny dzień październikowy. Właśnie przed chwilą Royale skazany został na karę śmierci, a wszyscy wiedzieli, że od tego wyroku nie będzie apelacji. Zgodnie z moimi przewidywaniami sędziowie przysięgli orzekli o winie nie opuszczając nawet ławy. Rozprawa trwała zaledwie jeden dzień. Royale przez cały czas siedział jak kamienna rzeźba, ze wzrokiem wbitym godzinami w jedno i to samo miejsce. Celem jego wzroku byłem ja. Puste, bezbarwne, kamienne oczy, jak zawsze pozbawione wszelkiego wyrazu, nie drgnęły ani na ułamek, nawet gdy oskarżyciel z taśmy odtwarzał scenę, w której Royale w batyskafie na dnie morza na czworakach błagał o darowanie mu życia. Nie zmieniły się także przy odczytywaniu wyroku śmierci, ale mimo tej obojętnej miny nawet ślepiec z łatwością mógł odczytać zawarte w nich posłanie: "Wieczność to bardzo wiele czasu, Talbot - zdawały się mówić te oczy. - Wieczność trwa zawsze. A ja będę na ciebie czekał".

Niech sobie czeka: wieczność to za długi czas, abym się miał o nią martwić.

Vyland uniknął stryczka, bo nigdy nie udało się postawić go przed sądem. Wspinając się z batyskafu po stu siedemdziesięciu stopniach wewnątrz kesonu, Vyland po prostu rozluźnił uchwyt rąk na drabinie, przechylił się w tył i poleciał w przepaść: przez całą długą drogę w dół, na samo dno, nie wydał nawet jednego krzyku.

Na schodach minąłem generała z żoną: Panią Ruthven poznałem po raz pierwszy w dniu, kiedy opuściłem szpital, to znaczy wczoraj. Okazała się bardzo urocza, łaskawa i nieskończenie wdzięczna. Proponowali mi wszystko możliwe, poczynając od posady na samym wierzchołku hierarchii w koncernie naftowym Ruthvena, a kończąc na sumie pieniędzy, która każdemu człowiekowi wystarczyłaby na pół tuzina żywotów. Ja się tylko uśmiechałem, podziękowałem i odmówiłem. W tych wymyślnych dyrektorskich stanowiskach nie znajdowałem dla siebie niczego, a wszystkie skarby świata nie byłyby w stanie odkupić minionych dni. Pieniądze nie były zresztą w stanie kupić także tej jednej, jedynej rzeczy, której obecnie pragnąłem.

Mary Ruthven stała na chodniku przy należącym do jej ojca piaskowobeżowym Rolls-Roysie. Miała na sobie gładką, prostą, białą suknię, która kosztowała najwyżej tysiąc dolców, splecione w warkocze pszeniczne włosy upięła wysoko na czubku głowy: nigdy nie widziałem jej wyglądającej tak uroczo. Za nią stał Kennedy. Po raz pierwszy zobaczyłem go w nieposzlakowanej skrojonym, ciemnogrnatowym garniturze i nie byłem już w stanie wyobrazić go sobie w żadnym innym stroju. Przeminięły czasy jego pracy jako szofera: generał wiedział, jak wiele zawdzięcza mu rodzina Ruthvenów, a takich zobowiązań nie sposób spłacić szoferskim wynagrodzeniem. Życzyłem mu wszystkiego najlepszego: to był bardzo równy gość.

Zatrzymałem się u podnóża schodów. Lekka bryza wiała od mieniającej się wszelkimi odcieniami niebieskości lśniącej Zatoki Meksykańskiej, gnając przez ulicę drobinki kurzu i skrawki papieru.

Mary zauważyła mnie, wahała się przez chwilę, a potem podeszła do mnie. Jej oczy sprawiały wrażenie ciemnych i dziwnie zamglonych, ale mogła to być tylko gra mojej wyobraźni. Wymamrotała coś, czego nie potrafiłem zrozumieć, potem nagle, uważając, by nie urazić mojego prawego ramienia, które ciągle jeszcze nosiłem na temblaku, zarzuciła mi obie ręce na szyję, przyciągnęła moją głowę do siebie i pocałowała mnie. W chwilę potem już jej nie było, szła w kierunku Rolls-Royce'a, jak człowiek cierpiący na zaburzenia wzroku. Kennedy przyglądał się jej, kiedy zbliżała się ku niemu, potem przeniósł wzrok i spojrzał na mnie; minę miał spokojną i beznamiętną. Uśmiechnąłem się do niego, a on odpowiedział mi uśmiechem. Równy facet.

Ruszyłem w dół ulicy, wzdłuż brzegu, i zaszedłem do baru. Nie miałem właściwie takiego zamiaru, prawdę mówiąc nie czułem potrzeby, ale ponieważ napatoczył mi się bar, więc wstąpiłem. Wypiłem parę podwójnych szkockich whisky, ale to było zwykle marnotrawstwo szlachetnego trunku. Wyszedłem więc i skierowałem się ku nabrzeżnej plaży.

Godzina, dwie godziny... sam nie wiem, jak długo tam siedziałem. Słońce obniżyło się aż na sam skraj oceanu, morze i niebo przybrały kolor pomarańczowy i złota, a na widnokręgu ledwie dojrzeć mogłem niesamowitą odbijającą się od tej płomiennej dekoracji teatralnej sylwetkę masywnej, groteskowej kanciastej instalacji wiertniczej na pływającej wyspie X 13.

X 13. Przypuszczam, że odtąd pozostanie na zawsze częścią mojego ja. Ta pływająca wyspa i wrak DC o połamanych skrzydłach, spoczywających w odległości niespełna dwustu metrów od niej, zatopiony na głębokości stu sześćdziesięciu metrów. Na dobre i na złe, będzie zawsze częścią mojego ja. Na złe, pomyślałem, na pewno na złe. Teraz już wszystko przeminęło, wszystko się skończyło, została pustka, bez żadnego znaczenia, ale niestety, tylko tyle zostało.

Słońce znajdowało się teraz na skraju morza, a cała zachodnia strona świata zamieniła się w wielki czerwony płomień, który niebawem zgaśnie i zniknie bez śladu. To samo stało się z moją czerwoną różą, nim pobladła.

Słońce znikło, od strony morza nadciągała noc. Wraz ze zmrokiem przyszedł chłód, więc podniosłem się ociężale i ruszyłem z powrotem do hotelu.